

Władysław Stanisław Reymont

CHŁOPI

TOM CZWARTY: LATO

Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej



Uniwersytet Gdański • Polska.pl • NASK

Tekst pochodzi ze zbiorów
„Wirtualnej Biblioteki Literatury Polskiej”
Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1	3
ROZDZIAŁ 2	29
ROZDZIAŁ 3	53
ROZDZIAŁ 4	69
ROZDZIAŁ 5	90
ROZDZIAŁ 6	114
ROZDZIAŁ 7	127
ROZDZIAŁ 8	138
ROZDZIAŁ 9	153
ROZDZIAŁ 10	176
ROZDZIAŁ 11	185
ROZDZIAŁ 12	196
ROZDZIAŁ 13	208

ROZDZIAŁ 1

I tak się ano było zmarło Maciejowi Borynie.

Zaś w chałupie zaspali ździebko z powodu niedzieli, jaże dopiero Łapa przebudził ich szczekaniem, bo tak ujadał, tak wył, tak ciskał się do drzwi, a kiej mu otworzyli, tak szarpał za przyodziewy i wylatywał obzierając się, czy za nim lecą, że Hanke jakby cosik tknęło.

– Wyrzyj no, Józka, czego ten pies chce.

Poleciała za nim w dobrej myśle, swywołąc po drodze.

Doprowadził ją do ojcowego trupa.

Wrzask ci straszny podniosła, zbiegli się wnet wszyscy na pole do starego, ale już całkiem widział się być zeskrzytwałym, leżał na twarzy, jak był padł w skonania czasie, a rozkrzyżowany kieby w tym ostatnim dusznym i gorącym pacierzu.

Zniesiono go do chałupy, próbując jeszcze ratować.

Ale na darmo poszły starunki, próżne już były wszelakie pomoce i zabiegi, trup ci to był jeno, zimny trup człowieczy.

Srogi lament powstał w chałupie, Hanka rozkrzyczała się wniebogłosy, Józka z rykiem tłukła się o ściany, Witek buczał wraz z dziećmi, nawet Łapa wył i szczekał w opłotkach, tylko jeden Pietrek, co się był pokrecił tu i owdzie, wyrżał na słońce i spać poszedł do stajni.

A Maciej leżał na swoim łóżku, rozciągnięty i sztywny, z rozdzwioną i uwalaną w ziemi gębą, podobien zgoła do zeschłej na słońcu grudy ziemi lebo pnia spróchniałego; w zesztyniałych garściach zaciskał piach; zaś oczy otwarte szeroko patrzyły z takim zachwyceniem, a tak kajś daleko, jakoby w niebo już na ścieżaj wywarte.

Ale taka straszna groza śmierci biła od niego i taka przejmująca lutość, jaże go płachtą przykryli.

Że zaś w mig rozniosło się po wsi, to ledwie co słońce wyniesło się chyła tyła nad chałupy, a już ludzie lecieli na przewiady; raz po raz wchodził ktosik, unosił płachty, zazierał mu w oczy, przykłękał i pacierz mówił, zaś drudzy łamiąc rozpacznie ręce przystawali w żałobnej

cichości, do cna w sobie struchleli z onej Bożej przemocy nad człowiekowym żywotem.

Jeno te żalosne lamenty sierot nie ścichały ani na chwilę, roznosząc się na całą wieś.

Dopiero kiej Jambroż nadszedł, wypędził wszystkich przed dom, a izbę zamknął, by wespół z Jagustynką i Jagatą, która się była przywlekleła z tym ochfiarnym pacierzem, wziąć się do obrządzania umarlaka. Ochotnie on to zawdy robił i z niemałymi przekpinkami, ale dzisiaj było mu czegoś na sercu ciężko.

– Tyla ano człowieczej szczęśliwości! – mamrotał rozdiewając zmarłego. – Kostucha, kiej się jej spodoba, ułapi cię za grdykę, praśnie w pysk, zadrzesz giry na księżą oborę i oprzej się!

Nawet Jagustynka była jakaś markotna, bo wyrzekła żałośnie:

– Tyrał się jeno chudziaczek po świecie, to lepiej, co i pomarł.

– A juści, bo mu to jaka krzywda była!

– Ale i dobrości też nażył niewiela.

– Któż to jej zażywa do syta! Coby największy dziedzic, coby nawet sam król, a kłopotał, a zabiegał, a cierpiał będzie.

– Tyle jeno było jego, co głodu nie zaznał a chłodu.

– Co to głód, matko. Turbacje gryzą barzej wszystkiego.

– Prawda, czym to sama nie praktyk! A jemu Jagusia zapiekała do żywego mięsa, dzieci też nie żałowały.

– Dzieci miał dobre i nijakiej krzywdy od nich nie zaznał – wtrąciła Jagata przerywając głośnie modły.

– Pilnujcie lepiej pacierza. Hale, żałości wyciąga za nieboszczyka, a uszów dobrze nadstawia na nowinki – warknęła Jagustynka.

– Bo złe dzieci tak by się nie biadoliły. Posłuchajcie ano...

– Bych się waju tylachna ostało po kim, to byście się do siódmego potu wydzierali nie żałując gardzieli.

– Cichajta! Jagusia bieży! – przyciszył Jambroż.

Jaguś wnet wpadła do izby i stanęła w pośrodku kiej wryta, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

Właśnie byli Macieja przyodziewali w czystą koszulę.

– Pomarli! – jęknęła wreszcie wtapiając w niego zestrachane, nieprzytomne oczy. Strach ją chycił za gardło i serce jakby się zakrzepło na lód, że ledwie dychać poredziła.

– Nie wiedzieliście to? – pytał Jambroż łagodnie.

– U matki spałam, a Witek co ino przyleciał powiedzieć. Nie żyje to naprawdę? – zapytała nagle, przystępując do niego.

– Juści, co nie do ślubu go rychtujem, a jeno do trumny.

Nie mogła jeszcze zrozumieć, wsparła się o ścianę, gdyż się jej widziało, jakoby ją morzył ciężki śpik i zmora dusiła, a ona nie poredzi się przebudzić, jeno się kala cała w potach i w męce strachu. I co trochę wychodziła z izby i powracała nie mogąc oderwać oczów od trupa, i co trochę zrywała się kajś uciekać, a ostawała, i co trochę leciała za dom, na przelaz i nic nie widzący patrzyła po polach albo siadała na przyźbie wpodle Józki, która buczała drąc włosy i krzycząc żałośnie:

– O mój tatulu jedyny! O mój tatulu!

Juści, co wszystko obejście i dom pełne były tych płaczów i lamentliwych szlochań, a ona tylko jedna, chocia się w niej trzęsła każda kosteczka i jakieś ciężkie bolenie spierało pod piersiami, nie puściła ni jednej łzy, nie poredziła krzyczeć, a jeno chodziła błędna, świecąc oczami zapiekłymi w zgrozie.

Szczeńciem, że Hanka wrychle się opamiętała i chociaż jesczech popłakujący, a już dawała baczenie na wszystko i rządziła jak zwykle, że kiej przylecieli kowalowie, całkiem była ostygła.

Magda wybuchnęła płaczem, a jeno kowal rozpytywał.

Opowiedziała po porządku, jak się to stało.

– Dobrze, co mu Pan Jezus dał lekką śmierć! – szepnął.

– Tylachna wycierzpiął, to mu się należała.

– Chudziaszek, na pole jaże uciekał przed kostuchą!

– A z wieczora zaglądałam do niego, to leżał se cicho jak zawdy.

– I nie przemówił, co? – pytał trąc suche oczy.

– Ani tego słowa, ogarnęłam mu pierzynę, dałam pić i poszłam.

– I sam wstał! Może by jesczech nie pomarli, żeby go kto pilnował – jęknęła Magda przez głębokie szlochania.

– Jagusia sypiała u matki, bo stara ciężko chora, zawdy tak.

– Tak już miało być, to i tak się stało! Tyla się nachorzał, jakże, toć więcej niżli kwartał! A komu nie do zdrowia, to lepsza prędką śmierć. Trza Panu Bogu dziękować, co się już nie morduje – wyrzekł.

– Juści, a sami wiecie, co to zrazu kosztowały doctory, co leki, a na nic poszło wszystko.

– Bo jak kto na śmierć chory, temu nie pomogą doctory.

– Taki gospodarz, taki mądrała, mój Jezu! – biadoliła Magda.

– A mnie jeno żal, co Antek nie zdążył do żywego.

– Nie dzieciuch, to płakał nie będzie. O pochowku pilniej pomyśleć.

– Prawda, a tu jakby na złość i Rocha nie ma.

– Poredzimy se sami. Nie frasujcie się, już ja wszystko wyrychtuję.

Odpowiadał kowal, którego chociaż twarz pokazywał frasobliwą, a w sobie cosik drugiego taił, gdyż niby to wzdychał, niby to żałował i łązy obcierał, a w oczy nie patrzył. Wziął się Jambrożowi pomagać i ubiery ojcowe szykować, a długo myszkował w komorze pomiędzy motkami przedzy i w rupieciach, to po kątach szukał, to jaże na górę wlaził niby to po buty, które tam wisiały. Wzdychał jucha kiej miech, pacierze trzepał głośniej niżli Jagata i wypominał dobroście nieboszczyka, ale oczy mu ciągien szukały czegoś po izbie, a same ręce lały pod poduszki lebo we słomie łóżka chciwie bobrowały.

Aż Jagustynka ozwała się kąśliwie:

– Byście tam czego uschniętego nie naleźli... a najdziecie, to trzymajcież, bo waju uciecze z garści, ślizgie...

– Kogo nie piecze, temu nie uciecze! – mruknął i już szukał otwarcie, kaj jeno mógł, nawet nie bacząc na organistowego Michała, którego przyleciał zziajany po Jambroża.

– Chodźcie do kościoła, przywieźli do chrztów czworo dzieci.

– Niech poczekają, nie ostawię rozbabranego.

– Wyręcę was, idźcie, Jambroży – namawiał kowal, jakby chcąc się go pozbyć.

– Ochfiarowałem się, to i zrobię. Nieprędko trafi mi się drugi taki gospodarz. Zrób w kościele, co potrza, Michał, wyręcź mnie, a niech chrzestni ołtarz obejdą z zapalonymi świecami, to ci grosz jaki kapnie. Na organistę się uczy, a przy głupim chrzcie jeszcze usłużyć nie poredzi – ozwał się za nim wzgardliwie.

Hanka przywiedła Mateusza, bych wziął miarę na trumnę.

– Jeno mu domowiny nie żałuj, niechta chudziak rozeprze się choćby po śmierci – powiedział Jambroż smutnie.

– Mój Jezu, za życia to ciasno mu było i na włókach, a teraz i we czterech deskach się zmieści – szepnęła Jagustynka, zaś Jagata przerywając pacierze jąkała płaczliwie:

– Gospodarzem se był, to i gospodarski pochówek miał będzie, a biedny człowiek to nawet nie wie, pod jakim płotem tę ostatnią parę puści. Bych ci światłość wiekuista! Bych ci... – zaniesła się znowu.

A Mateusz jeno głową pokiwał, odmierzył trupa, pacierz zmówił i wyszedł, a chociaż to była niedziela, zabrał się wnet do roboty; wszelaki porządek stolarski znajdował się w chałupie, a suche dębowe deski już z dawna na górze czekały.

Wnet ci wyrzeczył warsztat w sadzie i robił poganiając ostro Pietrka przysłanego mu do pomocy.

Dzień się już był wyniół dawno, słońce świeciło wesole i palące, że gorąc zaraz od śniadania jął przypiekać galancie; jaże wszystkie sady i pola jakby się z wolna pograżały w tym rozbełkotanym, białawym wrzątku rozprażonego powietrza.

Pomdlące drzewiny poruchiwały niekiej listkami, kieby tym skrzydłem ptak tonący w spiekocie, świąteczna cichość objęła całą wieś, jedne jaskółki, co świegoliły zajadłej śmigając nad stawem kiej oszalałe, zaś po drogach w szarych tumanach kurzawy jęły turkotać wozy i ludzie ze wsi pobliskich ściągali ku kościołowi, że co trochę ktosik zwalniał koni lub przystawał przed Borynami, kaj siedziała rozplakana rodzina, pochwalił Boga i westchnął żałośnie, zazierając do środka przez wywarte drzwi a okna.

Jambroż uwijał się i śpieszył aż do potu z obrządzaniem umarłego, już byli łóżko wynieśli do sadu i pościele porozwieszali po płotach, gdy jął wołać na Hankę, aby przyniesła jałowcowych jagód do wykadzenia izby.

Jeno nie dosłyszała i ocierając te jakieś ostatnie łzy, co same skapywały, ciągiem już patrzyła na drogę, spodziewając się leda chwila Antka.

Godziny jednak przechodziły, a jego nie było, w końcu chciała już posyłać do miasta Pietrka na przewiady.

– Konia jeno zmacha i niczego się nie przewie... juści – tłumaczył Bylica, któren był właśnie nadszedł z Weronką.

– Przeciech urzęda cosik wiedzą?

– Juści... wiedzą... ale raz, co dzisia zamknięte, bo niedziela, zaś po drugie, co się przez smarowania nikaj nie dociśnie.

– Dyc już nie wstrzymam – skarżyła się przed siostrą.

– Jeszcze się nim nacieszycie, jeszcze się wama da we znaki – syknął kowal poglądając na Jagusię, siedzącą pod ścianą.

– By ci ten zły ozór skołczał – mruknęła.

– Po dybkach ciężą kulasy, to niełacno pośpieszać – dorzucił urągliwie, zeźlony daremnym poszukiwaniem pieniędzy.

Nie odrzekła, wyglądając znowu na drogę.

Właśnie przedzwanił na sumę i Jambroż zbierał się do kościoła, przykazując Witkowi wysmarowanie sadłem Borynowych butów, gdyż się tak zeschły, co nie sposób było wzuć mu je na nogi.

Kowal wraz z Mateuszem ponieśli się kajś na wieś, a Weronka zabrawszy ojca i Hanczyne dzieci też poszła, w chałupie ostały się jeno same kobiety i Witek, któren ociągliwie smarował buty, sielnie je nagrzewając przed kominem, a co trochę leciał spojrzeć na gospodarza lub na Józkę chlipiącą coraz ciszej.

Na drogach ustał wszelki ruch, ludzie już przeszli do kościoła, zaś u Borynów zrobiło się całkiem cicho, tyle jeno, co przez wywarte drzwi a okna głos Jagaty, odmawiającej litanie za umarłego, roznosił się kiej to ptasie ćwierkanie wraz z kłębamii jałowcowego dymu, jakim Jagustynka wykadzała izby i sienie.

Pokrótce i nabożeństwo snadź się rozpoczęło, gdyż od kościoła jęły się rozkręzać w przypołudniowej cichości śpiewy a organowe granie tym jakimś górnym, dalekim, a słodkim trzepotem.

Hanka, nie mogąc sobie nikaj naleźć miejsca, poszła jaże na przełaz, bych odmówić pacierze.

– I pomarli se ano, pomarli! – rozmyślała żałośnie, przesuwając ziarna różańca, ale pacierz jeno niekiedy przychodził na wargi, boć w głowie i sercu miała jakoby ten kołtun zwity zmyśleń przeróżnych a strachań niemałych.

– Trzydzieści dwie morgi, a paśniki, a las, a budynki, a lewentarze, tylachne gospodarstwo! – westchnęła ogarniając z lubością szerokie pola i ten cały świat Boży.

– Żeby tak pospłacać i ostać na wszystkim! Być, jak ociec byli! – Pycha ją rozparła z nagła, hardo spojrziała w samo słońce, prześmiechnęła się znacząco i z sercem pełnym słodkich nadziei jęła szeptać słowa różańca.

– Ale od półwłóczka nie ustąpię; pół chałupy też moje i tych krów mlecznych nie popuszczę z garści – wyrzekła nieco żalnie.

Zamodliła się znowu na długą chwilę, powłócząc rozelzawionymi oczami po ziemiach, stojących we słońcu kieby w tej złotawej przyodziewie; wykłoszone, bujne żyta gmerały rdzawymi wisiorami, czarniawe jęczmiona polśniewały kiej ta woda głęboka, zaś jasnozielone owsy, gęsto przerosłe żółtą ognicą, pławiły się trzepotliwie w cichym, nagrzanym powietrzu. Jakiś ptak wielgachny ważył się nad rozkwitłą koniczyną, co niby okrwawiona chusta leżała na skłonie wyzni. Kajś niekaj boby tysiącami białych ślepiów stróżowały przy ziemniakach, a tu i owdzie na dołkach lny niebieściły się bledziuskim kwiatem, niby te przymrużone od blasków dziecińskie oczy.

Bardzo cudnie było na świecie, słońce ogrzewało coraz bardziej i ciepło, sycone zapachem kwiatów, co tliły się nieprzeliczone we zbożach i wszędy, zwiewało z pól taką lubą, żywiącą mocą, jaże dusze rozpierało radością i same łzy cisnęły się do oczów.

– Świętaś ty i rodzona! Święta – wyrzekła pochylając głowę.

Sygnaturka zaświergotała w powietrzu kiej ten ptaszek.

– Za Twoją to sprawą wszycko na świecie, mój Jezu kochany! Za Twoją! – szepnęła gorąco biorąc się z powrotem do pacierza.

Kajś w pobliżu cosik zatrzeszczało, obejrzała się uważnie; pod wiśniami o płot pleciony wsparta stała Jagusia, jakoś smutnie wzdychająca.

– Że to ni minuty spokoju! – zabiadała Hanka, gdyż przypominki chlasnęły ją kiej te parzące pokrzywy. – Prawda, dyć ona ma zapis! – przypomniała sobie. – Całe sześć morgów! Złodziejka jedna! – Aż ją w dołku sparło ze złości. Odwróciła się plecami, jeno co już nie poredziła zebrać się na modlitwę, bo dawne urazy i żale opadły ją kiej te złe, rozszechkane psy.

Południe już przechodziło, chude cienie jeły wypełzać spod drzew i domów, a we zbożach, co się ździebko kłoniły za słońcem, zagrały z cicha koniki polne, bąk też kajś niekaj zahuczał i przepiórki odzywały się po swojemu.

Ale upał wzmagał się coraz bardziej i prażył już niemiłosiernie.

Suma się wnet skończyła i nad stawem jeły gęsto przysiądać kobiety do zezuwania trzewików, zaś drogi tak się zamrowiły ludźmi, wozami a gwarem, że Hanka śpiesznie powróciła do chałupy.

Boryna już był całkiem wrychtowany.

Leżał w pośrodku izby, na szerokiej ławie, nakrytej płachtą i obstawionej płonącymi świecami, juści, co wymyty był, wyczesany i ogolony do czysta, jeno na policzku miał długą zadrę od Jambrożowej brzytwy, zalepioną papierem. Ubier też miał wdziany co najlepszy: białą kapotę, którą se był sprawił na ślub z Jagusią, portki pasiate i buty prawie całkiem nowe.

W spracowanych, wyschłych rękach trzymał obrazik Częstochowskiej, pod ławą stała balia z wodą, bych przechładzać powietrze, zaś na glinianych pokrywach dymiły jałowcowe jagody zapełniając izbę kieby tą mgłą modrawą, w której wynosił się straszliwy majestat śmierci.

I leżał se tak paradnie w onej trupiej cichości Maciej Boryna, człek sprawiedliwy i mądry, chrześcijan prawy, gospodarz z dziada pradziada i pierwszy bogacz we wsi.

Pod dachem ojców przyłożył se po raz ostatni głowinę strudzoną; kiej ten ptak na wyraju, nim weźmie lot podniebny, a poniesie się tam, kaj od wiek wieka wszystkie odlatują.

Gotowy ci już był do pożegnań znajomków a powinowatych i gotowy do onej drogi dalekiej.

Już mu się ano dusza korzyła przed sądem Pańskim, a jeno ten jego trup lichy, ta człowiecza zewłoka, prózna żywiącego dechu, leżała jakby prześmiechając się leciuszko wśród światła, dymów i modłów nieustannych.

A ludzie szli już a szli tym ciągiem nieskończonym; kto wzdychał żałością, kto się bił w piersi i modlił gorąco, kto zaś medytował kiwając smutnie głową i obcierając tę ciężką, żalną łzę, że szmer pacierzy, ściszone szlochy i pogwary wzdychliwe trzęsły się kiej te przejmujące siapania deszczów jesiennych. A ludzie wchodzili i wychodzili bez przerwy; szli gospodarze i komornicy, szły kobiety i dzieuchy, szli starzy i młodzi, całe Lipce tłoczyły się w izbie i w sieniach, zaś do okien cisnęło się tyła dzieci i tak swywołyły, jaże Witek nie poredząc ich rozegnać poszczał psem, ale Łapa go nie posłuchał, trzymał się dzisiaj Józki, a niekiedy biegał dokoła chałupy i wył kiej ten głupi.

Nad całą wsią zaciężyła ta śmierć Borynowa; dzień był przeciek śliczny, rozsloneczniony, pachnący zwiesną i luby, że nie wypowiedzieć, a dziwny smutek owiewał chałupy i dziwna cichość zaległa wszystkie drogi. Ludzie chodzili osowiali, markotni a srodze strapieni, każdy jeno wzdychał żałością, rozwodził ręce i zadumywał się nad człowieczą smutną dolą.

Wielu, którzy żyli z nieboszczykiem w przyjacielstwie, ostało przed chałupą, kaj już poniektóre gospodynie pocieszały Hanke, Magdę i Józkę, pocziwie popłakując wraz z nimi, a sielnie się wyżałając, nad sierotami.

Jeno do Jagusi nikto nie przystępował z tym dobrym, pocieszającym słowem, juści, co ta była niegłodna użalań się nad sobą, ale zawdy tak ją zabolalo to opuszczenie, że uciekła do sadu i zaszywszy się w gęstwę, siedziała tam całe godziny nasłuchując jeno Mateuszowej roboty kole trumny.

– Że to się jeszcze śmie pokazywać na oczy! – syknęła za nią wójtowa.

– Poniechajcie! Nie pora na takie wypominki! – wyrzekła któraś.

– I niech ją tam Pan Jezus sędzi – dodała Hanka łagodnie.

– Wójt ta wasze docinki dobrze jej wynadgrodzi!– zaśmiał się kowal. Szczęściem, że przysłali po niego od młynarza, gdyż wójtowa rozczapierzała się kiej indyczka, gotowa zrobić kłótnię.

Kowal jeno gruchnął rechocącym śmiechem i poleciał, a oneostały, pogadując już mało wiele o różnościach, a coraz ciszej i sennie, jakby z tych ciężkich turbacji albo samego gorąca, co już doskwierało zgoła nie do zniesienia. Parno się przy tym robiło i dziwnie duszno, nie powiał wiater bych najlżejszy, że ni jeden listek i ni jedno źdźbło się nie zaruchało, a chociaż przeszło już spory kawał czasu od południa; to jednak słoneczny war łał się jeszcze żywym ogniem i tak przypiekał, jaże ściany płakały żywicą i wędły pomdłałe chwasty i kwiaty.

Ryk się naraz wydarł przeciągły i tęskliwy; jakiś chłop prowadził krowę po drugiej stronie stawu.

– Pewnikiem do księżego byka! – ozwała się Płoszkowa goniąc oczami krowę, szarpiącą się na postronku.

– Młynarz do niego jeszczek lepiej ryczy, jeno co przez złość! – podjęła Jagustynka, ale żadnej już się nie chciało mówić.

Siedziały rozczapierzone kieby te kwoki w piasku, ledwie już dysząc z gorąca. Rozbierał je upał, cichość i ten płakliwy, nieustający głos Jagaty modlącej się przy umarłym.

Dopiero kiej przedzwonili na nieszpory, rozeszły się do domów, a Hanka posłała za kowalem, bych szedł z nią do proboszcza ugodzić się o pogrzeb ojcowy.

Witek rychło powrócił, ale sam.

– Hale, kiej się bojałem przystąpić, bo Michał se siedzą z dziedzi-
cem u młynarza i piją arbate – powiadał zziajany.

– Z dziedzicem?

– A juści, przeciek go znam! Arbate se piją i placek pojadają, dobrze widziałem. A ogiery stoją w cieniu i jeno kulasami przebierają.

Zdziwiła się temu, ale po nieszporach, nie doczekawszy się kowala, ogarnęła się świętecznie i poszła z Magdą na plebanię.

Proboszcza nie było na pokojach, choć wszystkie drzwi i okna stały powywierane; przysiadły czekać, ale po jakimś czasie dziewczka powiedziała, że ksiądz w podwórzu i kazał je zawołać.

Siedział se w cieniu pod płotem, a w pośrodku podwórza, kole niezgorszej krowiny, którą chłop trzymał krótko na postronku, kręcił się z rykiem tęgi, srokaty byk, że ledwie go parob utrzymał na łańcuchu.

– Walek! Poczekaj jeszcze, niech nabierze większej ochoty! – krzyknął proboszcz i wycierając spoconą łysinę, przywołał do siebie

kobiety i jął wypytywać o wszystko, pocieszać i krzepić miłosiernie, a kiej go zagadnęły o pogrzeb i koszty; przerwał im ostro i niecierpliwie:

– O tym potem. Nie zdieram skóry z ludzi. Maciej był pierwszym we wsi gospodarzem, to i pogrzeb musi mieć nie lada jaki. No, mówię, nie lada jaki! – powtórzył groźnie, po swojemu.

Za nogi jeno go obłapiły, nie śmiejąc się już w niczym przeciwić.

– Ja wam tu dam! Widzicie ich, zbereźniki! – krzyknął na organiściaków, zazierających spoza płotów. – Cóż, jak się wam podoba mój byczek, he?

– Śliczności! Lepszy od młynarzowego! – przytakiwała Hanka.

– Tak mu do mojego, jak wołu do karety! Przyjrzyjcie mu się! – podprowadził je bliżej, klepiąc z lubością byka, którego rwał się już do krowy jak wściekły. – Co za kark! A jaki grzbiet, jakie to ma piersi! Smok, nie byk! – wołał, jaże przysapując z radości.

– Juści, jeszczem takiego nie widziała.

– He, prawda! Czysty holender, trzysta rubli kosztuje.

– Tylachna pieniędzy! – dziwowały się zdumione.

– Ani grosza mniej! Walek, puszczaj go... ostrożnie ino, bo krowa nietęga... Od jednego razu pokryje... Pewnie, że drogi, ale biorę tylko po rublu i dwadzieścia groszy postronkowego, żeby się Lipce dochowały porządnych krów. Młynarz się gniewa na mnie, ale już mi obmierzły te koty, jakie macie po jego stadniku. Trzymajże, gapo, krowę przy samym pysku, bo ci się wyrwie! – wrzasnął na chłopca. – No, to idźcie z Bogiem – zwrócił się do kobiet, widząc, że przywstydzone odwracały się ździebko na stronę. – A jutro eksporta do kościoła! – wołał jeszcze za nimi, biorąc się pomagać chłopcu, że to krowy nie mógł utrzymać.

– Podziękujesz ty mi za ciele, będzie, jakiegoś jeszcze nie widział. Walek, a przeprowadź go, niech się przechłodzi, chociaż co tam takiemu smokowi znaczy jedna mucha! – przechwalał.

Kobiety zaś poszły do organisty, boć to i z nim też było trza się gościć z osobna o pogrzeb, ale że organiścina przyjęła je kawą, przy której się nieco zagwarzyły, to było pod sam zachód, i już bydło spędzali z pastwisk, kiej powróciły do chałupy.

Przed gankiem stał pan Jacek z Mateuszem i pykając fajeczkę godził go do rznięcia drzewa na Stachową chałupę.

Mateusz jakoś nie bardzo był rad, bo się wykrecał.

– Drzewo porznę, niewielka obrada, ale czy chałupę postawię, a bo ja wiem?... Może kaj we świat pójde... Cni mi się już we wsi... Bo ja

wiem, co pocznę... – mówił spoglądając na Jagusię, dojącą krowę pod oborą. – Z rana skończę trumnę, to się jeszcze rozmówimy – dokończył prędko i poszedł.

A pan Jacek wszedł do nieboszczyka i mówił długi, serdeczny pacierz obcierając rzęsiste łzy.

– By chociaż synowie wdali się w niego – wyrzekł potem do Hanki. – Dobry to był człowiek i prawy Polak. Był z nami w powstaniu, przystał do partii dobrowolnie i gnatów nie żałował. Widziałem go przy robocie. A zmarnował się przez nas... Przekleństwo ciąży nad nami... – gadał jakby do siebie, a chociaż nie rozumiała wszystkiego, to jednak z wdzięczności za dobre słowa wspominek podjęła go za nogi.

– Dajcie spokój! Takim człowiek jak i wy! – zakrzyczał gniewnie. – Głupia! dziedzic nie święty! – popatrzył jeszcze na Borynę, zapalił od świecy fajeczkę i wyszedł nie odpowiadając na powitanie kowala, który był właśnie wchodził do sieni.

– Coś harny dzisiaj! Dziadak jucha! – rzekł za nim z przekąsem, ale że był jakiś rozradowany, to przysiadł do żony i jął szeptać. – Dobra nasza! Wiesz, Magduś, dziedzic szuka zgody ze wsią. Namawia, co bym mu pomagał. Juści, co musi się nam dobrze okroić. Jeno ani mru-mru, kobieto, o wielgie rzeczy idzie.

Zajrzał do zmarłego, pokręcił się tu i owdzie i na wieś poleciał, wyciągając chłopów do karczmy na naradę.

Zmierzch się już był czynił, zorze ostygły kiej te ordzewiałe blachy przysypywane popiołem, że jeno niekajś co się ta świeciła jakaś chmurka nabrana złocistą światłością zachodu.

A kiej się już do cna zrobił wieczór i pokończyli gospodarskie obrządki, to cała rodzina znowu się zebrała przy zmarłym. U Borynowego wezgłowia było coraz widniej od świec jarzących, Jambroż raz po raz obcinał knoty i śpiewał z książki, a za nim powtarzali wszystkie, popłakując niekiej na przemian i biadoląc.

Drudzy zaś, sąsiedzi, że w izbie było ciasno i zaduch, to przyklękali na dworze, pod oknami i ciągnęli tę długą i żalną nutę litanii, jaże się widziało, co wszystek sad śpiewa.

Noc się z wolna ściągała na świat, więc już do cna przycichło, gdzie spać się kładli, po sadach bieliły się pościele i chałupy gasły jedna po drugiej, jenó co kokoty piały jakoś niespokojnie, a taka parna i duszna cichość stanęła, jakby się miało na odmianę.

Do późna w noc śpiewali przy Borynie, a kiej się rozeszli, ostał jenó Jambroż i Jagata, bych już czuć do rana.

I śpiewali zrazu rozgłośnie, alej kiej ustał wszelki ruch i zwała się niezgłębiona cisza nocy, wnet jał ich morzyć śpik, tego wodząc za łby, że wyciągali coraz ciszej i mamrotliwiej, nie przecykając nawet wtedy, kiej Łapa przychodził i z cicha skamłacy polizywał nasadłone buty nieboszczyka.

Prawie o samym północy gęsta óma przywalała ziemię, pogasty gwiazdy, schmurzyło się całkiem i jakby jeszcze barzej ścichło, że tylko niekiedy zatrzęsło się jakieś drzewo i posypał się cichuśki, lękliwy szmer albo wydarł się skądś głos jakiś dziwny, ni to krzyk, ni to huk, ni to wołanie dalekie, i przepadał też nie wiadomo kaj...

Wieś leżała w głębokim śpiku i jakby na samym dnie ciemnicy, tylko jedna Borynowa izba świeciła blado w tej mrocznej topieli, a przez wywarte okna widniał Maciej leżący wśród żółtych świateł, owiany dymami kadzidel niby tym modrawym obłokiem. Jambroz z Jagatą, wsparłszy się o niego głowami, zadrzemali już na dobre, chrapiąc, jaże się rozlegało.

Zaś ta letnia, krótka noc przechodziła szybko, jakby się jej kajś śpieszyło zdążyć, nim pierwsze kury zapieją, świece też dopalały się posobnie i gasły niby te oczy strudzone patrzeniem w umarłego, iż na świtanu ostała jeno co najgrubsza, migocąc się kiej to złote ostrze.

Aż szary, przemglony świt, zwłókszy się leniwie z pól, zajrzał do izby, prosto w Borynową twarz, która jakby się ździebko ożywiła, jakby się budził z ciężkiego snu i nasłuchując tych pierwszych świergotań po gniazdach, patrzył skroś poczerniałych powiek w dalekie jeszcze zorze wschodów.

Świt już gęstniał roztrząsając się kieby ta zamieć śniegowa.

Niebo zajaśniało jak płótno na bielnikach, gdy je słońce przygrzeje, z pól powiało chłodem, staw westchnął kolebiąc się sennie, a spod mrocznych próchnic nocy jawiły się obrazy borów, kieby te czarne chmury wynoszące się ze ziemi, zaś poniektóre drzewiny, samotnie stojące, puszyły się czubami w rozbielonym powietrzu niby pęki czarnych piór; już nawet przyleciał pierwszy wiater, zatarmosił sadami i jał przedmuchiwać we śpiące pod przyźbami.

Ale jeszcze mało kto przecknął i ozwierał oczy. W słodkim dośpiku leżało wszystko leniąc się ździebko, jak to zwyczajnie bywa po święcie czy jarmarku.

A wrychle i sam dzień się podniósł, jeno co jakiś mgławcy i smutny, słońca jeszcze nie było, ale skowronki już przedzwaniały swoje pacierz, głośniej zabelkotały wody i poruszyły się zboża bijąc chrzęstliwy-

mi kłosami o miedze i drogi, już nigdzie po zagrodach rwały się tęskliwe beki owiec, kajś znowu jazgotliwie zagegały gęsi, to koguty się wydzierają rozgłośnie, gdzie nawet wołania się rozlegały, skrzyppy wrótni, końskie rzenia, ruch i skrzęt wstawań, że cała wieś się budziła imając się z wolna pracy codziennej, jeno u Borynów wciąż było jeszcze cicho i spokojnie.

Zaspali ano z onych smutków i ciężkich turbacji, jaże na dwór roznosiły się chrapania.

Wiatr buchał co trochę w otwarte drzwi a okna i tłukł się po izbach świszcząc przeciągle i na darmo rozwiewał nieboszczykowi włosy i targał światłem ostatniej świecy.

Nie poruszył się juści Boryna, nie przecknął, nie porwał się do roboty ni drugich do niej zapędzał, leżał se martwy, cichy, na kamień już zakrzepły i na wszystko już głuchy.

Wiatr już z niemałą mocą zawiał i rymnął w sad, że wszystko wokół jęło się chwiać, szeleścić, trząchać, kołysać i jakby zaglądać w Borynową siną twarz; patrzył w niego dzień mgławcy, zaglądały rozchwiane drzewa, zaś one wysmukłe, gibkie malwy kiej dzieuchy chyliły się przez okna w pokłonach głębokich, a ze dworu raz po raz wpadała z brzękiem pszczoła, to motyl leciał wprost na światło, to jaskółka zbłądziła świergocąc lekliwie, to niesły się muchy, przypełzały zuczki i wszelaki Boży stwór, a wraz z nimi spływał do izby cichy brzęk i szum, i trzepot, i ćwierkania, kieby ten jeden głos żywej, serdecznej żałości:

– Pomarł! Pomarł! Pomarł!

I co jeno żyło, trzęsło się, łkało i zanosilo, jakby w przytłumionym; srogim lamencie; aż ścichło z nagła i trwożnie, wiatr ustał, wszystko przytało dech i padło na twarz w proch ziemi, bo oto ze świtowych szarości weszło słońce czerwone i ogromne, wyniesło się nad świat, ogarnęło go władnym, żywiącym okiem i skryło się w skołtunione chmurzyska.

Poszarzało na świecie, a nie wyszło i Zdrowaś, jał sypać drobny, ciepły deszcz rześistymi kroplami, że wnet wszystkie pola i sady rozdzwoniły się sypkim, nieustającym szmerem.

Ochłodło znacznie, zapachniały drogi, ptaki zaczęły śpiewać z całej mocy, a w tej szarej, rozdrżanej kurzawie, jaka przysłoniła świat, piły spragnione zboża, piły liście pomdlałe, piły drzewa, piły wyschnięte gardziele strug i ziemie spieczone, piły długo i z lubością, dysząc jakby z dziękczynieniem.

– Bóg zapłać, bracie deszczu! Bóg zapłać, siostró chmuro! Bóg zapłać!

Właśnie ten deszcz zacinający przebudził Hanę śpiącą pod samym oknem, że się pierwsza zerwała na nogi.

Pobiegła z krzykiem do stajni.

– Pietrek! Wstawaj! Deszcz pada! Koniczynę trza lecieć kopić, bo na nic przemieknie! Witek, wałkoniu jeden, krowy wyganiaj! Na wsi już przepędzili! – wołała ostro wypuszczając z chlewów gęsi, które z radosnym gęgotem leciały taplać się w kałużach.

Zajrzała do krów i świnie wypędzała na podwórze, gdy przyleciał kowal; ułożyli, co było potrza kupić na jutrzejszą stypę, wziął pieniądze i miał zaraz jechać do miasteczka, ale już z bryczki przywołał ją i rzekł cicho:

– Hanka, dajcie mi połowę, to ni pary nie puszcze, żeście starego podebrali. Zróbmy po dobremu.

Rozcierwieniła się kiej burak i krzyknęła porywczo:

– A pyskuj sobie choćby przed całym światem; widzisz go, sam gotów do złego, to myśli, co i drugie takie same.

Jeno błysnął ślepiami, poskubał wąsów i zaciął konie.

Hanka zaś wzięła się ostro do roboty, tyła bowiem gospodarka czekała na nią, że trza było dobrze kulasy wyciągnąć i głowić się niemało, bych wszystkiemu wydolić, toteż pokrótce, jak co dnia, rozlegał się po całym obejściu jej głos rozkazujący.

Borynie zapalili dwie nowe świece i przykryli go prześcieradłem. Jagata mamrotała przy nim pacierze, przysypując raz po raz na węgliki jagód jałowcowych.

Jagusia przyszła od matki dopiero po śniadaniu, ale że ją strachem przejmował nieboszczyk, to się jeno błędnie kręciła po obejściu, często gęsto wyglądając na Mateusza; któren przeniósł się z robotą na klepisko; kończył już trumnę i właśnie był malował na niej biały krzyż, kiej Jagna stanęła we wrotkach stodoły.

Milczała spojierając trwożnie na czarne wieko.

– Wdowaś teraz, Jaguś, wdowa! – szepnął ze współczuciem.

– A juści – odparła łzawo i cichuśko.

Patrzył na nią poczciwie, zmizerowana ci była i blada kiej ten opłatek, a tak żałośliwa, jak to pokrzywdzone dzieciątko.

– Taka to już człowiekowa dola – powiedział smutnie.

– A wdowam! wdowam – powtórzyła i łzy napełniły jej modre oczy, a ciężkie wzdychy dziw piersi nie rozerwały, że uciekła za chału-

pę i nie bacząc na deszcz, płakała tam długo i tak rzewliwie, jaże ją sama Hanka sprowadziła do izby próbując uspokoić a pocieszyć.

– Płakaniem nie zaradzisz. Nama też nieletko, ale już tobie, sieroto, pewnikiem, co barzej ciężko – mówiła z dobrością.

– Płacz płaczem, a rok nie przejdzie i zaśpiewam jej takiego chmie-la nowego, co się wścieknie – ozwała się po swojemu Jagustynka.

– Nie pora na przekpinki – skarciła ją Hanka.

– Powiedam szczerą prawdę, abo to nie młoda, nie urodna, nie bo-gata! Kijem się będzie musiała oganiać przed chłopami.

Jagna nie odrzekła, Hanka zaś wyniesła w opłotki żarcie la prosiąt i wyglądała na drogę.

– Co się tam stało? – myślała strapiona. – Mieli go puścić w sobotę, a tu już poniedziałek i ani widu, ani słyhu.

Ale nie było czasu na frasunki, bo musiała pomagać kopiec resztę siana i wszystką koniczynę, gdyż deszcz rozpadał się już na dobre, nie przestając ani na chwilę.

Zaś wkrótce po południu nadszedł proboszcz z organistą, przyszli braccy ze światłem i ludzi zebrało się też coś niecoś, włożyli Borynę do trumny, Mateusz zabił ją kołkami, ksiądz odprawił modlitwy, skropił wodą święconą i powieźli go, z cicha przyśpiewując, do kościoła, kaj już Jambroź bił we dzwon żałobny.

A kiedy wrócili z eksporty, to w chałupie widziało się tak jakoś pu-sto i strasznie cicho, jaże Józka buchnęła płaczem, a Hanka ozwała się do Jagustynki oprzątającej izbę:

– Chociaż od tyła czasu trupem był jeno, a zawdy czuć było gospodarza w chałupie.

– Antek wróci, to i gospodarz będzie – przypochlebiała stara.

– Bych jeno prędko powrócił – westchnęła tęskno.

Ale że szare, wilgotne przesłony obtulały ziemię i deszcz padał nieustannie, to obtarła łzy, westchnęła raz i drugi i dalejże poganiać swoich.

– A chodźcież, ludzie! Żeby pomarł i ten największy, to jak ten kamień w morze, głębokie, już go nikt nie wyłowi, a ziemia nie po-czeka i trza kole niej robić.

I powiedła wszystkim za przełaz do okopywania ziemniaków, jeno Józka ostała pilnować dzieci, a i bez to, co była jakaś chora i nie mogła się jeszcze utulić w żalości, Łapa też przy niej warował nieodstępnie i ten Witkowy bociek, któren stał w ganku na jednej nodze kieby na stróży.

Zaś deszcz nie przestawał ani na chwilę, padał drobny, gęsty i ciepły, że ustały śpiewać ptaki, a wszelaki stwór przyległ w cichości, cały świat z wolna oniemiał i jakby się zasłuchał w ten trzepot rosisty, brzękliwy i nieustanny, a jeno kajś niekaj zawrzęszczały gęsi, taplające się po sinych, spienionych kałużach.

Dopiero o samym zachodzie wyjrzało rozognione słońce i zapaliło czerwone ognie w rosach i kałużach.

- Pogoda na jutro pewna! – powiedali, ściągając, z pól.
- Niechby jeszcze padało, czyste złoto, nie deszcz.
- Ziemniaki były już na ostatnich nogach.
- A bo to owsów nie przypiekło!
- Wszystkiemu pójdzie na zdrowie.
- Żeby se tak popadał chociaż ze trzy dni – wzdychał któryś.

Jakoż i padał tak równo, rześście i spokojnie do samej nocy, że z lubością wystawali pod chałupami, na przechłodzonym, pachnącym powietrzu, zaś Gulbasiaki skrzykiwały dzieuchy i chłopaków, bych lecieć za wieś, na wyżnie, palić sobótkowe ognie, gdyż to była wigilia świętego Jana, ale co ćma była i plucha, to mało kto dał się pociągnąć, że tylko kajś niekaj co tam pod lasem rozbłysnął jakiś słaby ogieniek.

Witek już od zmroku przyniewalał Józkę, aby z nim leciała na Sobótki, ale mu powiedziała żałośnie:

- Nie polete, co mi tam zabawy, co mi tam już wszystko...
- Dyć ino zapalim, przeskoczym ogień i przylecim – prosił gorąco.
- Siedź w chałupie, bo powiem Hance! – zagroziła.

Ale poleciał i powrócił dopiero po kolacji, głodny i utyłany w błocie jak nieboskie stworzenie, gdyż deszcz nie ustawał ani na chwilę i padał przez całą noc, aż dopiero przestał nazajutrz o dużym dniu, właśnie kiedy już ludzie ciągnęli na żałobne nabożeństwo.

Słońce się jednak nie pokazało; świat się był omglił szarawą kurzawą, w której jeszczek barzej rozzieleniły się pola i sady, a wody wlekły się niby te srebrnawe przedziwa. Powietrze było rzeźwe, chłodnawe i pachnące, rosy kapwały obficie za leda powiewem, ptaki darły się kieby oszalałe, psy ujadały wesoło przeganiając się po drogach wraz z dziećmi, a wszelaki głos leciał górnio i radośnie, nawet ziemie, opite wodą i nabrzmiałe mocą, zdały się wrzeć niepowstrzymanym rostem.

Zaś w kościele ksiądz odprawił żałobną wotywę i wraz z proboszczem słupskim i organistą, zasiadłszy naprzeciw siebie w ławach przed wielkim ołtarzem, jęli wyciągać łaćnińskie pieśni.

Boryna leżał wysoko na katafalku, obstawiony w biały las świec płonących, a dokoła klęczała kornie cała wieś, zamodlona i zasłuchana w te długie, lamentliwe pieśni, co nabrzmiewały niekiedy takim strasznym krzykiem, jaże włosy powstawały i bolesna lutość ścisnęła serca; to niekiedy cichły w przejmujących, żalnych jękach, aż dusze mdlały struchlałe i same łzy ciekły z oczów; albo też znowu podnosiły się jakieś cudne i niebosiężne, kieby te głosy śpiewań janielskich i wiecznej szczęśliwości, że naród wzdychał ciężko, obcierał oczy, a często gęsto i poniekąd płaczem buchały serdecznie.

Ciągnęło się to z dobrą godzinę, a kiej skończyli, rumor powstał, podnosili się z klęczek i Jambroż jął brać świece od katafalku i rozdawać je ludziom, ksiądz też jeszcze prześpiewał przy trumnie, okadził ją, aż zrobiło się niebiesko od dymów, skropił wodą święconą, wyciągnął jakąś nutę i ruszył ku drzwiom za krzyżem.

A kościół aż się zatrzęsł od krzyków, płaczów i szlochań, bo trumnę już brali co najpierw gospodarze i zanieśli na wóz, w półkoszki wymoszczone słomą, zaś Jagustynka tajnie, bych księża nie spostrzegli, wraziła pod nią bochen chleba, obwinięty w czyste płótno, Pietrek zebrał krótko lejce, zaciął batem i obzierał się niecierpliwie na księży.

Zajęczały żałobnie dzwony, wynieśli czarne chorągwie, rozbłysnęły światła, Stacho poniósł krzyż, a księża zaśpiewali:

– „Miserere mei Deus”.

I straszna pieśń, pieśń śmierci załkała nad głowami smutkiem bezbrzeżnym i grozą.

Ruszyli z wolna na topolową drogę ku smętarzowi.

Czarna chorągiew z kościotrupem załomotała na wietrze kiej ten ptak straszliwy i poniesła się przodem, a za nią dopiero błyskał srebrzysty krzyż i otwierała się długa ulica brackich z zapalonymi świecami, i szli księża w czarnych kapach.

Trumna jechała w pośrodku, ułożona na słomie wysoko, że ją ciągiem i wszystkie mieli na oczach, a tuż za nią wlekła się rodzina srodze zawodząc płaczem i jękami, zaś pobok i kaj gdzie kto wziął miejsce, ciżbiła się cała wieś, w niemałym smutku a cichości idąca.

Że nawet chore i kalekie nie ostały w chałupach.

Przemglone, szare niebo wisiało nisko, jakby wsparte na tych wielgachnych topolach, pochylonych nade drogą. Wszystko stało bez ruchu, przygięte i kieby zasłuchane w te pieśni żałobne, a kiedy powiał wiatr i rozruchał pola i drzewa, to posypały się rosy niby tym żalnym, cichym płaczem, zaś rozchwiane zboża kolebały się z wolna ciężkimi

kłosami, chyliły się coraz niżej, jakby do nóg przypadając gospodarzowi w tym kornym, ostatnim pokłonie.

Księża pieśń rozplynęła się kajściś w powietrzu, że sroga cichość zwała się na dusze, jeno dzwony jęczały wciąż, biły ponurym głosem, wołały cosik w niebo pochmurne, ku lasom i w dale zamglone, skowronki śpiewały nad polami, wóz niekiedy zaskrzypiał, szarpały się chora-gwie, chlupało błoto pod nogami, a te bólne, sieroce płacze kwiliły nieustannie.

– „Miserere mei Deus” – zaśpiewał znowu proboszcz, przywodził mu słupski wraz z organistą i kowalem, który trzymał parasol nad dobrodziejami, gdyż deszcz z nowa pokrapiał.

I śpiewali tak strasznie, tak rozpacznie i tak jęklawie, jaże łyzy się cisnęły, zamierało serce, a oczy strwożone, oczy pobłąkane w niemocy niesły się we świat i u tego nieba chmurnego zebrały zmiłowania. Twarze bladły, dusze jęły się zwierać w męce i luty dygot przejmował, że wzdychali coraz ciężej, a już poniektóry łyzy obcierał, to szeptał pacierz posiniałymi wargami, w piersi się bił i kajał skruszony, zaś wszystkich omroczył ciężki, beznadziejny smutek i przywalała bezgraniczna żałość, że kiej te dymy gryzące snuły się po nich bolesne medytacje i jęki zakrzepłe w trwodze.

Jezu, bądź nam grzesznym miłościwy! Jezu!

O dolo człowiekowa, dolo nieustępliwa!

A cóże są te wszystkie znojne trudy? Cóż ten żywot człowieczy, co jako śniegi spływa bez śladu, że o nim nawet dzieci rodzone nie przypomną?

Żałością jeno płakaniem jeno, cierpieniem jeno...

– I cóże są one szczęśliwości, dobroście, nadzieje?

Czczym dymem, próchnicą, mamidłem i zgoła niczym...

A cóżeś to ty sam, człowieku, który się puszysz, a dmiesz, a wynosisz hardo ponad wszelkie stworzenie?

Tym wiatrem jeno jesteś, co nie wiada, skąd przychodzi, nie wiada, po co się miecie, i nie wiada, kaj się rozwiewa...

I ty się masz panem wszystkiego świata, człowieku?...

A bych ci kto raje dawał – opuścić je musisz.

Bych ci kto wszystkie moce dawał – śmierć ci je wydrze.

Bych ci kto rozum przyznał największy – próchnem ostaniesz.

I nie przemożesz doli, mizeroto, nie przewyciężysz śmierci, nie...

Boś ano bezbronny, słaby i płony jako ten listeczek, którym wiater żenie po świecie.

Boś ano, człowieku, w pazurach śmierci, jako ten ptaszek z gniazda podebrany, co se piuka radośnie, trzepoce, przyśpiewuje, a nie wie, że go wnet zdradna ręka przydusi za gardziel i lubego żywota zbawi.

O duszo, po cóż dźwigasz człowieczego trupa, po co?

Tak ci ano czuł naród, tak ci medytował i w sobie rozważał, a patrzył smutnie po ziemiach zielonych, włożył tęsknymi oczami po świecie i wzdychał ciężko z onych niewypowiedzianych boleń, aż twarze kamieniały i dusze się trzęsły.

Ale i to zarówno wiedzieli, co jedyna człowiekowa dufność w Panajezusowej łasce, a jedyna ucieczka duszy w Jego świętym miłosierdziu.

– „Secundum magnam misericordiam Tuam...”

Ciężkie, łacińskie słowa padały kiej grudy przemarzłej ziemi, jaże bezwolnie pochylali głowy, jakby pod nieubłaganą kośbą śmierci, ale szli niepowstrzymane; szli kwardzi a zrezygnowani, szarzy i mocni kiej te głazy widne na miedzach, gotowi już na wszystko a nieulekli, ugorom i zarazem tym bujnym, okwieconym polom podobni, i tym drzewom równi w sile i kruchości – drzewom, w które piorun mógł trzasnąć leda chwila i w ręce śmierci podać, a one hardo pną się ku słońcu i śpiewają głęboką, radosną pieśń życia...

Szli wsią całą cizbiąc się i przepychając, ale każdy tak był zatopiony w smutkach, że jakby szedł sam w pustce niezmiernej i opuszczeniu, a każdy zapatrzył się gdziesik i jakby widział przez oczy zaszkłone łzami ojców swoich, dziadów i pradziadów, niesionych tam, na smętarz, już widny przez grube pnie topoli...

Dzwony wciąż były i ponura pieśń huczała coraz jękliwiej, smętarz już był niedaleko, wyrastał ze zbóż kępami drzew, krzyżów i mogił, a zdawał się otwierać, kieby ten straszny, nigdy nie zapełniony dół, w którym z wolna a nie– powstrzymanie sływa cały świat, że już niejednemu się widziało, jako w tym zadeszczonym powietrzu i ze stron wszystkich biją dzwony, jarzą się światła, czernieją rozwiane chorągwie i płyną śpiewania, że z każdej chałupy wynoszą trumny, że wszystkimi drogami ciągną żałobne pochody, a każdy człowiek płacze kogoś, zawodzi, a tak szłocha, jaże wszystkie niebo i ziemia wzbiera żalonym jękiem i sływa szmerem nieustannych, gorzkich jak piołun łez...

Pochód już skręcał na dróżkę ku smętarzowi, kiej go dopędził dziecko, wysiadł z powozu i poszedł pobok trumny w srogiej ciasnocie,

gdyż dróżka była wąska, gęsto brzoźkami obsadzona i zboża stały ze stron obu.

A kiej księża skończyli śpiewać, Dominikowa trzymająca się Jagny, zgarbiona i na wpół ślepa, zawiedła po swojemu: „Kto się w opiekę?”

Juści, co przywtórzyli skwapnie i gorąco, jakby czepiając się ze strachanymi duszami tej pieśni serdecznej.

I już tak rozśpiewani, a pełni jakowejś dufności weszli na smętarz.

Co najpierwsi gospodarze dźwignęli trumnę, a nawet sam dziedzic jął wspierać w pośrodku, i ponieśli ją żółtymi drożynami wskroś okwieconych mogił, traw i krzyżów, za kaplicę, kaj w gąszczach leszczyn i bzów czekał już grób świeżo wybrany.

Straszne płacze i krzyki zatargały powietrzem.

Choraągwie i światła okoliły jamę głęboką, naród się skłębził i cisnął spozierając trwoźnie w ten dół żółtawy i pusty...

A kiedy prześpiewali jeszcze coś niecoś, proboszcz stanął na kupie wywalonego piachu, odwrócił się i rzekł grzmiąco:

– Narodzie chrześcijański! Narodzie!

Przycichło z nagłą, jeno dzwony jęczały z oddali, a Józka, opasawszy rączynami ojcową trumnę zawodziła rzewliwie, na nic nie bacząc.

Zaś proboszcz pociągnął nosem z tabakiery, kichnął raz i drugi, a potoczywszy załzawionymi oczami rzekł donośnie:

– Bracia, a kogóż to chowacie dzisiaj, kogo?

„Macieja Borynę!” – powiadacie.

A ja wam mówię, że i pierwszego gospodarza, i poczciwego człowieka, i prawego katolika chowacie... Znałem go bowiem od lat i zaświadczam,, jako żył przykładnie, Boga chwalił, spowiadał się i komunił, a biedotę wspomagał.

Mówię wam: wspomagał! – powtórzył ciężko dychając.

Płacze jęły kwilić dokoła i wzdychy rwały się coraz gęściej, gdy nabrawszy powietrza ozwał się znowu, jeno co żałośliwiej:

– I pomarł chudziaczek, pomarł!

Śmierć go sobie wybrała, jako wilk wybiera ze stada najtłustszego barana i w biały dzień na wszystkich oczach, a nikt mu nie przeszkodzi.

Jako piorun bije w drzewo wyniosłe, że pada rozłupane, tak on padł pod srogą kosą śmierci.

Ale pomarł nie wszystek! – jak mówi Pismo święte.

Bo oto stanął se ten wędrownik przed wrotami raj, puka i skamle żałośnie, aż święty Piotr zapyta:

– Któżeś to i czego potrzebujesz?
– Borynam z Lipiec i miłosierdzia Pańskiego proszę...
– Tak ci to już braty dopiekły, żeś się zbył żywota, co?
– Wszystko powiem – rzecze Maciej – jeno ozewrzyjcie wrotnie, święty Pietrze, bych mnie ozgrzało choć ździebko Pańskie zmiłowanie, bom przemarzył na lód w onej tułaczce ziemskiej.

Święty Pietr ozwarł nieco, ale nie puszcza go jeszcze i rzecze:

– A jeno nie łyżj, bo tu nikogo nie ocyganisz. Mów, duszo, śmiało, czemuś to uciekła ze ziemie?...

A Maciej rymnął na kolana, że to śpiewania janielskie dosłyszał i dzwonki, jakby na Podniesienie, a odrzecze z płaczem:

– Prawdę powiem kiej na spowiedzi; a to nie poredziłem dłużej wytrzymać na ziemi, bo tam już ludzie jako te wilki nastają na siebie, bo tam już jeno swary, klótnie, a obraza boska... Nie ludzie to, święty Pietrze, nie boskie stworzenia, a jeno te psy wściekłe i te swynie smrodliwe. I tak jest źle na świecie, że i nie wypowiedzieć wszystkiego...

Zaginał wszelki posłuch, zaginęła poczciwość, zaginęło miłosierdzie, brat powstaje na brata, dzieci na ojców, żony na mężów, sługa na pana... nie uszanują już niczego, ni wieku, ni urzędu, ni nawet księdza...

Zły zapanował w sercach, a pod jego przewodem rozpusta a pijaństwo, a złość krzewią się coraz barzej.

Wszędy łajdus na łajdusie, a łajdusem poganania...

Wszędy jeno chytroście, oszukaństwa, srogie uciski a złodziejstwa, że co masz, z garści nie popuść, bo ci wydrą.

Bych najlepszą łakę, a wypasą i stratują.

Bych chociaż tę skibkę, a z cudzego przyorza.

Byś nawet kurę puścił z obejścia, przychwycą kiej te wilki.

Kawałka żelaza nie przepomnij ni postronka, choćby były księżę, bo nie przepuszczą i ukradną.

Gorzałkę jeno piją, rozpustę czynią i w służbie Bożej całkiem się opuszczają, pogany te pieskie i chrystobije, że drugie Żydy, a stokroć poczciwsze i bogobojniejsze.

– I to w lipieckiej parafii tak się dzieje? – przerwał mu święty Pietr.

– Indziej też nie lepiej, ale już w lipieckiej najgorzej.

A święty Pietr jał w palce trzaskać, brwie srożyć, oczami toczyć i rzekł wytrząchając pięścią ku ziemi:

– Takięsta to, Lipczaki? Takie! A zbóje obmierzłe, a poganiny gorsze od Niemców! A to roki macie dobre, ziemie rodzajne, a paśniki, a

łąki, a boru po kawale i tak się to sprawiała!... Chleb was ano roznosi, łajdusy jedne! Powiem ja o tym Panu Jezusowi, powiem, a on już wama cugli przykróci...

Maciej jął swoich pocziwie bronić, ale święty Pietr rozgniewał się jeszcze barzej i kiej nie tupnie nogą a krzyknie:

– Nie broń takich synów! A to ci jeno rzeknę: Niech mi się te judasze poprawią do trzech niedziel i pokutę czynią, a jak nie posłuchają, to tak ich przycisnę głodem, pożogą i choróbskami, że mnie popamiętają łajdusy jedne.

Mocno proboszcz powiadał, do serca i tak napominająco, i takim gniewem Bożym groził, i tak pięściami wytrząchał, że szlochy się podniosły dokoła, naród zapłakał i bił się w piersi a kajał...

Zaś ksiądz, odsapnąwszy nieco, jął znowu mówić o nieboszczyku, jako to padł za wszystkich... I wołał do zgody. Wołał do sprawiedliwości. Wołał do pomiarkowania się w grzechach, bo nie wiada, komu z brzega wybije ta ostatnia godzina i przyjdzie stanąć przed strasznym sądem Pana...

Że nawet sam dziedzic, a obcierał kułakiem oczy.

Pokrótcie jednak księża skończyli swoje i odeszli wraz z dzieziem, a kiej spuścili w dół trumnę i jęli na nią sypać piasek, jaże zadudniało, wrzask ci, mój Jezu, buchnął, a krzyki, a takie lamenty, coby i najkwardszego skruszyło.

Ryczała Józka, ryczała Magda, ryczała Hanka i stryjeczne, płakały bliskie i dalekie, powinowate i zgoła obce, a już może najrzewliwiej zanosila się Jagusia, którą tak cosik sparło pod piersiami, jaże się prosto zapamiętała w krzyku.

– Hale, teraz skowyczy, a co to wyprawiała z nieboszczykiem! – mruknęła któraś z boku, zaś Płoszkowa obcierając oczy dodała:

– Tak se łaskę wypłakuje, bych ją nie wygnali z chałupy.

– Myśli, że kto głupi a uwierzy! – powiedziała głośno organiścina.

Ale Jagna nie wiedziała już o Bożym świecie, padła kajś w piasek i zanosila się takim żalonym płaczem, jakby to na nią sypiały się te ciężkie, sypkie strugi ziemi, jakby to nad nią huczały te posepne głosy dzwonów, jakby to nad nią płakali...

A dzwony wciąż były, jakby skarżąc się niebiosom, zaś znad świeżej mogiły te wszystkie płacze, te szlochy i biadania też się skarżyły na dolę nieubłaganą i na tę wieczną krzywdę człowieczą.

Zacęli się wnet rozchodzić z wolna, kto tam jeszcze gdziesik po drodze przyklekał, kto i ten pacierz mówił za pomarłe, kto zaś jeno się

bląkał wśród mogił i smutnie deliberował, a drugie ruszali ociągliwie ku chałupom obzierając się wyczekująco, gdyż kowal z Hanką spraszali poniekórych na ten chleb żałobny, jak to zwyczajnie bywa po pochowku.

I kiej oklepali mogiłę, a nad nią wkopali czarny krzyż, wzięli pomiędzy siebie sieroty i pociągnęli sporą gromadą poredzając z cicha, a wyżalając się nad nimi, a popłakując niekiedy...

W Borynowej izbie już było wszystko urządzone do potrzeby, wzdłuż ścian ciągnęły się stoły; obstawione długachnymi ławami, że skoro się jeno rozsiedli, zaraz podano gorzałkę i chleby.

Przepili godnie, w cichości a powadze, przegryźli coś niecoś i organista zaczął czytać z książki sposobne modlitwy, a potem zaśpiewali litanie za umarłego; wtórowali mu ochotnie i gorąco, przerywając jeno wtedy, kiej kowal puszczał flachę w nową kolejkę, a Jagustynka chleb roznosiła.

Kobiety zebrały się po drugiej stronie u Hanki; piły herbatę, pojadały słodki placek i pod przewodem organistiny zaśpiewały tak rzewnie i przejmująco, jaże kury zagdakały po sądzie. I tak ano wspominając pocziwie nieboszczyka naród pojadał, popijał, popłakiwał i śpiewał za jego duszę pobożne pieśni, jak przystało w taką porę i za takiego gospodarza...

Stypa była suta, Hanka zapraszała serdecznie nie żałując jadła ni napitku, gdyż w południe, kiej już niejeden jął się oglądać za czapą, podali kluski z mlekiem, a potem prażone mięso z kapustą i groch szczerze omaszczony.

- Drudzy takiego wesela nie wyprawiają! – szepnęła Bolesławowa.
- A mało nieboszczyk ostawił, co?
- Mają się czym pocieszać, mają.
- Gotowych pieniędzy też sporo chapnąć musieli...
- Kowal wyrzeka, co były i pono się kajś podziały.
- Narzeka, a dobrze je musiał schować.

Pogadywały z cicha między sobą kobiety, wyskrzybując miski do czysta i strzegąc się Hanki, która nieustannie baczyła, bych której czego nie zbrakło; zaś po chłopskiej stronie organista, napity już ździebko, dźwignął się nad stołem i z kieliszkiem w garści jął wypominać nieboszczyka tak górnie i z takimi łaćńskimi przepowiedkami, że chocia nie bardzo wyrozumieli, ale płakać się wszystkim chciało kiej na tym kazaniu.

Gwar się już podnosił i gęby czerwieniały, że to flacha często krążyła i szkło galanto brząkało, to już niejeden omackiem szukał kieliszka i drugą ręką kuma obejmował za szyję bełkocząc skołczałym ozorem. Zaś poniektóry jeszcze niekiedy wyciągnął tę żalobną nutę i wypominać próbował, ale już nikto nie wtórował ni słuchał, wszyscy bowiem gwarzyli stowarzyszając się do upodoby, świarcząc sobie przyjaźnielstwa i raz w raz przepijając, a co skorsi do kieliszka wymykali się chyłkiem i wiedli ku karczmie. Tylko jeden Jambroż był dzisiaj zgoła niepodobny do siebie. Juści, co pił tyła co i drugie, a może i więcej, gdyż sam się przymawiał o gorzałkę, ale siedział kajś w kącie srodze zwarzony, oczy ciągiem przecierał i ciężko wzdychał.

Trącił go któryś i na ucieszne powiadki wyciągał.

– Nie ruchaj mę, bom żalosny! – odburknął – pomrę wnet, pomrę... Psi po mnie jeno zawyją i baba w garnek rozbity zadzwoni – mamrotał płaczkliwie. – Jakże, toż przy chrzcie Macieja byłem!... Na jego weselu tańcowałem! Ojców jego chowałem! Dobrze pamiętam! Mój Jezu, i tylachno już różnego narodu oklepałem, tylum już przedzwaniał... A teraz pora na mnie!...

Podniósł się nagle i wyszedł prędko do sadu; Witek potem powiedział, jako stary siedział za chałupą do późna i płakał...

Juści, co się nim nikto nie zaturbował, kaźden bowiem miał dosyć swoich turbacji, a przy tym już na samym zmierzchu przyszedł najnie spodzianie ksiądz wraz z dziedzicem.

Proboszcz pocieszał łaskawie sieroty, głaskał dzieci, a zgwarzając się z gospodyniami chętnie nawet popijał herbatę, którą mu Józka podała, zaś dziedzic pogadawszy z tym i owym o różnościach, wziął od kowala kieliszek, przepił do wszystkich i powiedział do Hanki:

– Jeśli komu żal Macieja, to mnie z pewnością najwięcej, bo żeby teraz żył, to bym się ze wsią ugodził dobrowolnie. Może i dałbym, cze goście pierwszej chcieli!... – ozwał się głośniejsz tocząc dokoła oczami. – Ale mam to z kim pomówić? Przez komisarza nie chcę, a ze wsi nikt pierwszy się nie zgłasza!...

Słuchali w skupieniu, rozważając kaźde jego słowo.

Mówił jeszcze coś niecoś i zagadywał, ale jak do tego muru, żaden bowiem nie dał się za ozór pociągnąć i nawet pyska nie ozwał, jeno przytakiwali skrobiąc się po łbach a spozierając po sobie znacząco, że widząc, jako nie poredzi przełamać tej czujnej ostrożności, wywołał księdza i poszli odprowadzeni całą hurmą aż w opłotki.

Po ich odejściu jęli się dopiero dziwować a głowić wielce.

– No, no, żeby sam dziedzic przyszedł na chłopski pogrzeb.
– Potrzebuje nas, to bakę świeci – powiedział Płoszka.
– A czemu to nie miał przyjść z dobrego serca, co? – bronił Kłęb.
– Lata masz, aleś rozumu nie nabrał. Kiedyż to dziedzic przyszedł do wsi z przyjaciółstwem, kiedy?
– Coś w tym być musi, że tak zgody szuka!
– Ano co, że mu jej potrzeba barzej niżli nam.
– A my możemy se poczekać, możemy! – wołał pijany Sikora.
– Wy możecie, ale drugie nie mogą! – wrzasnął zeźlony Grzela, wójtów brat.

Jęli się już kłócić a przemawiać, bo jeden prawił swoje i drugi też swego dowodził, a trzeci obu się przeciwil zaś insi mamrotali:

– Niech odda bór i ziemię, to zrobim zgodę.
– Nie potrzeba zgody, nowe nadzieły przyjdą, to i tak wszystko będzie nasze. Niech psiachmać z torbami pójdzie za krzywdę naszą.
– Żydy go duszą, to chłopów o pomoc skomle.
– A przódzi to ino wiedział krzyczeć: z drogi, chامية, bo batem!
– Mówię wama, nie wierzta dziedzicowi, bo kaźden z nich jeno zdradę chłopskiemu narodowi gotuje – wołał któryś barzej napity.
– Słuchajta no, gospodarze! – zakrzyknął naraz kowal. – Powiem wam mądre słowo: jak zgody dziedzic chce, to potrzeba z nim tę zgodę zrobić i brać, co się da, nie czekając gruszków na wierzbie.

Na to powstał Grzela, wójtów brat, i zawołał:

– Święta prawda! Chodźta do karczmy, tam się naradzim.
– A ja stawiam la całej kompanii – dodał ochotnie kowal.

Wywiedli się pokrótce całą kupą w opłotki. Zmierzchało się już ździebko, bydło szło z pastwisk i po całej wsi roznosiły się poryki, gęgoty, fujarek piskające przebierania i te dziecińskie śpiewy i wrzaski.

A chłopi mimo kobiecych jazgotań i sprzeciwiań poszli całą gromadą ku karczmie, tylko jeden Sikora, co ostawał nieco za drugimi, chytał się płotów i cosik długo przy nich grdykał.

Długo ich było słyhać, tak się prowadzili szumnie, ile że to już niejeden, bych sobie ulżyć, piosneczką huknął albo i krzykał z gorącości.

Zaś u Borynów, skoro uprzątneły po gościach i przyszedł ciemny wieczór, zrobiło się jakoś dziwnie cicho, pusto i smutnie.

Jagusia tłukła się po swojej izbie kiej ten ptak po klatce i co trocha leciała do Hanki, ale widząc, jako wszyscy chodzą osowiali a strapieni, uciekała bez jednego słowa.

Juści, co w chałupie było jak w grobie, a kiej obrządzili gospodarstwo i zjedli kolację, to chociaż śpik morzył każdego, a nikt się z izby nie kwapił ruszać. Siedzieli przed kominem zapatrzeni w ogień i trwożnie nasłuchujący każdego szmeru.

Wieczór był cichy, tylko niekiedy wiatер przegarnął i zaszumiły drzewa, czasem zatrzeszczały płoty, brzęknęły szyby lub Łapa zawarczał jeżąc się groźnie, a potem wlekły się długie, nieskończone, zgoła grobowe cichoście.

Oni zaś siedzieli rozdygotani coraz barzej, a tak strwożeni, że raz po raz ktoś się żegnał i pacierz zaczynał roztrzęsionymi wargami, bo już wszystkim się widziało, jako cosik się gdzieś rusza, że chodzi po górze, jaże belki trzeszczą, że słucha pode drzwiami, że w okna zagląda i obciera się o ściany, to jakby ktoś klamki zatargał i ciężko stąpający obchodził całą chałupę.

Słuchali bledzi, z zapartym tchem, zgoła nieprzytomni.

Naraz koń zarżał we stajni, Łapa ostro zaszczekał i rzucił się ku drzwiom, Józka nie mogąc już wstrzymać, krzyknęła:

– Ociec! Laboga, ociec! – i zapłakała strachliwie.

– Na to Jagustynka strzepnęła palcami trzy razy i rzekła ważnie:

– Nie bucz, przeszkadzasz duszy odejść w spokoju; płacze ją ano trzymają przy ziemi. Wywrzycie drzwi, niech se ta wędrownica odleci na Jezusowe pola... Niech się poniesie w spokojności.

Otwarli drzwi; w izbie przycichło i jakby zamarło, nikt się nie poruszył, tylko rozpalone oczy latały, Łapa jeno przewąchiwał kąty, skamlał niekiej, kręcił ogonem i jakby się do kogoś przyłaszał, że już teraz wszyscy czuli najgłębiej, jako to gdziesik pomiędzy nimi błąka się dusza zmarłego.

Aż Hanka zaśpiewała rozdygotanym, zduszonym głosem:

Wszystkie nasze dzienne sprawy!

Przywtarzali gorąco i z niezmierną ulgą.

ROZDZIAŁ 2

Dzień był bardzo cudny, prawdziwie letowy.

Może szła dziesiąta rano, bo już słońce wisiało w pół drogi między wschodem a południem i wynosiło się coraz bardziej palące, kiej lipeczkie dzwony, ile ich jeno było, zadzwoniły rozgłośnie i ze wszystkiej mocy.

A ten, co go to przezywali Pietrem, huczał najgłośniej i śpiewał całym gardzielem, jak kiedy to chłop ździebko napity drogą idzie, kolebie się ze strony na stronę i zawodzący całemu światu radoście swoje grubachnym głosem powiada...

Zaś drugi, nieco pomniejszy, o którym Jambroż rozpowiadał, że go ochrztili na Pawła, wydzierał się też nie ciszej, a jeno żarliwiej wtórował, wysoką nutę brał, przeciągał górnje, a czystym głosem zawodził i kieby się zapamiętał, tak dzwonił, jakoby ta dziewczka poniektóra, kiej ją rozeprze kochanie lebo ten dzień zwiesnowy, że w pola leci, skroś zbóż się przebiera i śpiewa ze wszystkiego serca wiatrom, polom, niebu jasnemu i swojej duszy weselnej.

A na trzeciego – sygnaturka jako ten ptaszek świergoła, na darmo chcąc tamte prześpiewać, nie mogła jednak, chocia jazgotała siekającym, prędkim głosem, kieby te dziecińskie sprzeciwy. Że już dzwoniły czyniąc galantą kapele, bo to i bas pobękiwał, i zawodziły skrzypice, i ten bębenek z brzękadłami drygał wesoło, i rznęły wraz od ucha, uroczyście a rozgłośnie.

Na odpust ci one tak radośnie zwoływały, boć to był dzień świętego Piotra i Pawła, zawdy w Lipcach uroczyście obchodzony.

A czas się też był zrobił wybrany, cichy i wielce słoneczny, na galantą spiekę się miało, ale mimo to już od samego świtania na placu przed kościołem handlarze zaczęli stawiać budy przeróżne, a kramy, a stoły, płóciennymi dachami nakryte.

Zaś skoro dzwony zabimbały, skoro ich głos radosny rozlał się po świecie, to i pokrótce na wyschniętych drogach i w tumanach kurzawy jeły coraz częściej turkotać wozy, a i piesi też gęsto ciągnęli, że jak

jeno było sięgnąć okiem, na wszystkie strony, po drogach, ścieżkami, na miedzach, czerwieniły się kobiece przyodziewy i białeły rozwiane kapoty.

Ciągnęli rzędami, podobnie kiej te gęsi, mieniając się jeno w upale i wśród zbóż zielonych.

Słońce niesło się wyżej a wyżej i płynęło kiej ptak złocisty po modrym, czystym niebie, jarząc się coraz barzej i nagrzewając tak szcorderze, że już powietrze trzęsło się nad polami; jeszcze ta niekiej od łąk chłód luby powiał i zakolebał bielejącymi żytami, jeszcze i owsy zachrzęściły cichutko i potrząsły się młode pszeniczne kłosy, zaś rozkwitłe lny spłynęły rozniebieszczoną strugą kiej wody, ale już z wolna grażyło się wszystko w słonecznym wrzątku i cichości.

Hej, radosny ci to był dzień i prawdziwie odpustowy. Dzwony bimbały długo i te głosy jękliwie leciały we świat tak rozgłośnie, aż chwiały się źdźbła, aż płoszyły się ptaki, ale śpiżowe serca były wciąż, były miarowo, mocno i górnio, wynosząc się ku słońcu tą przejmującą pieśnią i wołaniem:

- Zmiłuj się! Zmiłuj! Zmiłuj!
- Matko Przenajświętsza! Matko! Matko!
- I ja proszę! I ja! I ja! I ja!

Śpiewały serdecznie obwołując zarazem uroczyste święto.

Jakoż i czuło się w powietrzu święty dzień odpustowy; święto było po chatach, przystrojonych zielenią, w dalach przebłyskujących kieby zapalonymi świecami, w radosnych głosach i w tym cosik, czego nie wypowiedzieć, a co się unosiło nad polami rozpierając serca lubą cichością i weselem.

A naród śpieszył tłumnie na owe święto i walił ze wszystkich stron. Kłęby kurzawy toczyły się nieustannie nad wszystkimi drogami, turkotały wozy, rżały konie, leciały głosy przeróżne, wiązały się głośne rozmowy, czasem ktosik wychylał się z półkoszków i krzykał do pieszych, gdzie znowu śpieszył zapóźniony dziad jękliwie przyśpiewując, a po wozach niektórych szeptano pacierze, pozierając dokoła z niemym podziwem, gdyż ziemia stała przystrojona kieby na te gody weselne, cała we kwiatach i zieleni i cała w ptasich śpiewaniach, w chrzęstach zbóż i brzęku pszczoł a taka cudna, nieobjęta, weselna i przenajświętsza w onej mocy żywiącej, jaże piersi zapierało.

Drzewa po miedzach stały kieby na stróży, zapatrzone w słońce, a dołem jak okiem sięgnąć leżały pola zielone, szumiące jak wody wzburzone, i jak wody przewalały się niekiedy ze strony na stronę, bi-

jąc o wszystkie drogi, miedze i rowy, co migotały kiej te wstęgi kwietne szcudrze przeplecione puszystą bielą, żółtością i fioletem; kwitnęły już bowiem owe ostróżki przeróżne, kwitnęły powoje patrzące z żytnich gąszczów przytajonymi, pachnącymi oczami, kwitnęły modraki, miejscami, kaj ździebko wymiękło, tak gęsto, jakby tam niebo się kładło, kwitnęły wyczki całymi kępami, a one jaskry, a mlecze i krwawe osty, a ognichy i koniczyny, a stokrotki, a rumianki dzikie, a tysiąc innych, o których jeno sam Jezus pamięta, boć jemu tylko kwitną i tak pachną, że prosto czad bił od pól kieby w kościele, gdy jegomość okaza Sakramenta.

Ten i ów pociągał nosem z lubością, a konia batem okładał i pośpieszał, gdyż słońce prażyło coraz ogniściej, jaże śpik morzył, że już niejeden srodze łbem kiwał.

To i pokrótce Lipce napełniły się narodem po wręby.

Jechali bowiem i jechali bez przestanku, że już wszędy na drogach, dokoła stawu, pod płotami, w podwórzach i kaj jeno było można zachwycić nieco cienia, ustawiały się wozy i wyprzęgano konie, bo na placu przed kościołem była już taka gęstwa i tak wóz stajał przy wozie, że ledwie się przecisnął.

Lipce prosto ginęły w tej nawale ludzi, wozów i koni.

Rwetes też był coraz większy, gwary i krzyki podnosiły się nad całą wsią. Naród szumiał kiej bór rozkolebany. Kobiety obsiadały staw moczyć nogi, wzuwać trzewiki a ogarniać się przystojnie do kościoła, chłopci rajcowali kupami zmawiając się ze somsiady, zaś dziewuchy i chłopaki cisnęły się łakomie do kramów i bud, a głównie do katarynki grającej, na której jakiś zwierz zamorski, czerwono przystrojony i z pyska podobny do starego Miemca, czynił takie pocieszne skoki a figle, jaże się za boki brali ze śmiechu.

Katarynka przygrywała zawzięcie i na taką nutę, jaże niejednemu kulasy drygały, a jakby do wtóru i dziady usadowieni we dwa rzędy, od kruchty do placu, jęły wyciągać swoje pieśni proszalne, zaś w samych wrotniach cmentarza siedział ślepy, tłusty dziad, co go to zawdy pies prowadzał, i śpiewał najzarliwiej i najcieniej wyciągał.

Ale skoro jeno zaszygnowali na sumę, naród porzucił zabawy i kiej wezbrany potok lunął do kościoła i tak go napchał, jaże żebra trzeszczały, a ciągiem jeszcze przybywali nowi gnietąc się, a nawet swarząc, ale większość musiała ostać na dworze tuląc się pod mury i drzewa.

Przyjechało też paru księży z drugich parafii, zasiedli zaraz w konfesjonałach pod drzewami słuchać spowiedzi, nie bacząc zgoła na tłok ni na spiekę.

A wiatery były całkiem ustały i gorąc podnosił się już nie do wytrzymania, żywy ogień lał się prosto na głowy, ale naród cierpliwie gniótł się przy konfesjonałach i roił po smętarzu, na darmo wyszukując cienia lub jakiej bądź osłony.

Proboszcz był właśnie wychodził ze mszą, kiej dopiero Hanka z Józką nadeszły, ale że nie sposób się było docisnąć choćby nawet do drzwi kościelnych, to stanęły na szczerym słońcu pod parkanem, rozglądając się w ciżbie, a Pochwalonym witając znajomków.

Zaraz też huknęły organy i zaczęła się suma, przykłękli wszyscy, poprzysiadali a jęli się żarliwie pacierzy.

Rychtyk i południe stanęło, słońce zawisło prosto nad głowami lejąc waresm straszliwym i wszystko jakby pomdlało z onej spieki, że ni liść nie zadrgał, ni ptak przeleciał, ni jaki bądź głos powiał z pól. Niebo wisiało w martwej cichości kiej ta szklana tafla rozpalona do białego, a roztrzęsione niby wrzątek powietrze ślepiło wyżerając oczy. Parzyła ziemia, parzyły rozgrzane mury, że klęczeli bez ruchu, ledwie już zipiąc i jakby się z wolna gotując w tym ukropie słonecznym.

Naród się modlił w głębokiej cichości, kto na książce, kto na różańcu, a kto jeno tym szczerym słowem Boga chwalił i wzdychem serdecznym. Uroczyste głosy organów lały się brzękliwym, rozmodlonym pacierzem, a niekiedy śpiew buchał od ołtarza, czasem zajazgotały dzwonki, a czasem zahuczał grubachny głos organisty, zaś potem ciągnęły się długie, jakby oniemiałe z żaru chwile i dymy kadzideł płynęły przez wywarte drzwi kościoła oprzędzając w niebieskawą i wonną mgłę pochylone głowy klęczących.

Szmer pacierzów rozdzwaniał się nikłym i sypkim chrzęstem w rozbielałej ciszy gorącego przypołudnia i grały w słońcu barwiste chusty, kapoty i wełniaki, że cały smętarz widział się kieby przytrząśnięty kwiatami, co się chyliły kornie w onej świętej godzinie przed Panem, jakoby utajonym w tym słońcu rozgorzałym i we wszystkiej cichości świata...

Że tylko niekiedy co tam ktoś grzbiet prostował, rozwodził ręce i wzdychał głęboko, to gdziesik zapłakało dziecko albo kwik koński roznosił się od wozów.

Nawet dziady pocichły, tyle jeno, co poniektóry przez śpik wyrwał się niekiej z głośniejszym Zdrowaś i o wspomnienie zaskamlał.

A upał jeszcze się wzmagał i tak prażył, jaże pola i sady zalane pozogą rozżarzyły się kiej ogień migocąc białawymi płomieniami.

Cichość była coraz senniejsza, że już niejeden zachrapał na dobre, niejeden kiwał się klęczący, zaś drudzy wychodzili się rzeźwić, gdyż raz po raz skrzypiały kajś studzienne żurawie:

Dopiero w czas procesji, kiej kościół zatrzęsł się od śpiewań, kiej jęły walić chorągwie, a za nimi wychodził ksiądz pod czerwonym baldachem z monstrancją w rękach, prowadzony przez samych dziedzi-ców, naród przecknął i ruszył wraz z procesją.

Zadzwoniły dzwony, śpiew buchnął ze wszystkich gardzieli i bił jaże kajś ku słońcu, mocny, ogromny, serdeczny, a procesja opływała z wolna białe, rozpalone mury kościoła kiej ta rzeka wezbrana. Czerwony baldach płynął na przedzie, cały w dymach kadzielnich, że jeno chwilami błyskała złota monstrancja, migotały rzędy świateł, rozwinięte chorągwie niby ptactwo łopotało nad mrowiem głów, chwiały się obrazy przystrojone w tiule a wstęgi, i były radośnie dzwony, i grzmiały organy, a naród śpiewał z uniesieniem, całym sercem i wszystką duszą tęskliwą wynosił się kajś jaże w niebiosy, jaże ku temu słońcu przenajświętszemu.

.....

Zaś po procesji, kiej znowu wzięli odprawiać nabożeństwo i kiej znowu głosy organów zahuczały przejmująco, na smętarczy zrobiło się cicho jak przódzi, ale już nikto nie drzemał, wzmogły się jeno szepty pacierzów, rozgłośniały wzdychy, dziady już pobrzękiwały w miseczki, a tu i owdzie jęli z cicha pogwarzać.

Dziedzice powyłazili z kościoła, na darmo szukając cienia i kaj by przysiąść, dopiero Jambroż wygnał ludzi spod jakiegoś drzewa i naznosił im stołków, że zasiedli poredzając między sobą.

Był i ten z Woli, ale nie usiadł w miejscu, a jeno ciągiem się kręcił po smętarczy i co dojrzał znajomego Lipczaka, przystawał do niego i przyjacielsko zagadywał, że nawet Hankę zobaczył i zaraz się do niej przecisnął.

– Wrócił to już wasz?

– Hale, zaśby ta wrócił!

– A podobno jeździliście po niego?

– Juści, zarno po ojcowym pochowku pojechałam, ale powiedzieli w urzędzie, co go puszcza dopiero za tydzień, to niby we środe.

- Jakże tam z kaucją, zapłacicie?
- Dyc tam o to już Rocho zabiega – wyrzekła ostrożnie.
- Jeśli nie macie pieniędzy, to ja za Antka poręcę...
- Bóg zapłać! – schyliła mu się do nóg. – Może Rocho jakoś se porredzi, a jakby nie, to musi się szukać inszego sposobu.
- Pamiętajcie, że jak będzie potrzeba, poręcę za niego.

Poszedł dalej do Jagusi, siedzącej wpodle pod murem wraz z matką i wielce zamodlonej, ale nie nalazłszy sposobnego słowa, to jeno prześmiechnął się do niej i zawrócił do swoich.

Poleciała za nim oczami, pilnie przepatrując dziedziczki, tak wystrojone; jaże dziw brał, a takie bieluśkie na gębie i tak wcięte w pasie, że Jezus! Pachniało też od nich kieby z tego trybularza.

Chłodziły się czymś, co się widziało niby te rozczapierzone ogony indycze. Paru młodych dziedziców zaglądało im w oczy i tak się cosik śmiali, jaże ludzie się tym niemało gorszyli.

Naraz kajś w końcu wsi, jakby na moście przy młynie, zaturkotały ostro wozy i kłęby kurzawy wzbity się ponad drzewa.

- Jakieś spóźnione – szepnął Pietrek do Hanki.
- Świece juchy będą gasili – dorzucił ktosik.

A drudzy jęli się przechylać przez mur ogrodzenia i ciekawie zazierać na drogi obiegające staw.

A pokrótce, wśród wrzaskliwych jazgotów i naszczekiwań, ukazał się cały rząd ogromnych bryk, nakrytych białymi budami.

- To Miemcy! Miemcy z Podlesia! – wykrzyknął ktosik.

Jakoż i prawda to była.

Jechali w kilkanaście bryk, zaprzężonych w tęgie konie; pod płóciennymi budami widniał wszelki sprzęt domowy i siedziały kobiety i dzieci, zaś rude, opasłe Miemce z fajami w zębach szły pieszo. Wielkie psy leciały pobok, szczerząc niekiedy kły i odszczekując lipeckim, które raz w raz zajadłe docierały.

Naród rzucił się patrzeć na nich, a wielu przełaziło ogrodzenie i leciało spojrzeć z bliska.

Miemce przejeżdżały stępa, ledwie się przeciskając przez gęstwą wozów i koni, ale żaden nawet przed kościołem nie zdjął kaszkietu ni kogo pozdrowił. Jeno oczy się im jarzyły i brody trzęsły, jakby ze złości. Poglądali w naród hardo, kiej te zbóje.

- Pludraki ścierwie!
- Kobyle syny!
- Świńskie podogonia!

– Sobacze pociotki!

Posypały się wyzwiska kiej kamienie.

– A co, na czym stanęło, Miemce? – krzyknął ku nim Mateusz.

– Kto kogo przeparł?

– Strach wam chłopskiej pięści, co?

– Poczekajta, dzisiaj odpust, zabawimy się w karczmie!

Nie odzywali się zacinając jeno konie i wielce śpiesząc.

– Wolniej, pludry, bo portki pogubita.

Jakiś chłopak śmignął na nich kamieniem, a drugie też jęły cegły rwać, bych przywtóżyć, ale w porę ich przytrzymali.

– Dajta spokój, chłopaki, niech odejdzie ta zaraza.

– A żeby was mór nie ominął, psy heretyckie.

A któraś z lipceckich wyciągnęła pięście i zakrzyczała za nimi:

– Bych was wytracili co do jednego kiej psy wściekle...

Przejechali wreszcie ginąc na topolowej, że jeno z cieniów i kurzawy szły słabnące naszczekiwania i turkoty wozów.

Wtedy taka radość rozparła Lipczaków, co już nie sposób było się komu brać do pacierzów, bo jeno kupili się coraz gęściej kole dziedzica. A on rad temu wielce, pogadywał wesoło, częstował tabaką i w końcu rzekł przypochlebnie.

– Tęgoście podkurzyli, cały rój się wyniósł.

– A bo im nasze kozuchy śmierziały – zaśmiał się i któryś, a Grzeła, wójtów brat, wyrzekł niby to z frasobliwością:

– Za delikatny naród na chłopskich somsiadów, bo niech jeno kóren wzion przez łeb, to zaraz na ziem leciał...

– Pobił się to kto z nimi? – pytał rozciekawiony dziedzic.

– Zaśby ta pobił, Mateusz ta jednego tknął, że mu nie odrzekł na Pochwalony, to zaraz juchą się oblał i dziw duszy nie zgubił.

– Do cna miętki naród, na oko chłopy kiej dęby, a spuścisz pięść, to jakbyś w pierzynę trafił – objaśniał z cicha Mateusz.

– I nie szczęściło się im na Podlesiu. Krowy im pono padły.

– Prawda, nie wiedli za sobą ani jednej.

– Kobus mogliby powiedzieć! – wyrwał się któryś z chłopaków, ale Kłab krzyknął ostro:

– Głupis kiej but! Na paskudnika pozdychały, wiadomo...

Jaże się pokurczyli z tajonej uciechy, ale nikt już pary nie puścił, dopiero kowal przysunawszy się bliżej rzekł:

– Że się Miemce wyniesły, to już pana dziedzicowa łaska.

– Bo wolę sprzedać swoim, choćby za pół darmo – zapewniał gorąco, prawiąc różności a rozpowiadając, jak to on i jego dziady, i pradziady zawsze jedno trzymali z chłopami, zawsze szli razem...

Na to Sikora prześmiecchnął się i powiedział z cicha:

– Tak mi to stary dziedzic kazali wypisać na plecach batami, że jeszcze dobrze baczę.

Ale dziedzic jakby nie dosłyszał powiedając właśnie, co to zażył kłopotów, aby się jeno Miemców pozbyć; juści, co go słuchali przytakując politycznie, a swoje myśląc o tych jego dobrościach la chłopskiego narodu.

– Dobrodzieje, znaku nie zrobi, choć z jajka uleje! – mamrotał Sikora, jaże go Kłęb trącał, bych zaprzestał.

I tak se społecznie basowali, kiej jakiś księżyk w białej komży i z tacą w rękę jał się ku nim przepychać.

– Cie, widzi mi się, że to Jasio organistów – zawołał któryś.

Juści, co to był Jasio, jeno już ubrany po księżemu, i zbierał na kościół, co łaska. Witał się ze wszystkimi, pozdrawiał i sielnie kwestował; znali go bowiem i nijako było się wykręcać od ochfiary, to kaźden supłał z węzełków ten grosz jakiś, a często gęsto i ta złotówka zabręczała o miedziaki; dziedzic rzucił rubla, zaś dziedziczki sypnęły srebrem, a Jasio, spocony, czerwony ze zmęczenia i radosny wielce, zbierał niestrudzenie po całym smętarczy, nie przepuszczając nikomu i nikomu też nie żałując tego dobrego słowa, a natknąwszy się na Hanke pozdrowił ją tak pocziwie, jaże całe czterdzieści groszy położyła; zaś kiej przystanął przed Jagusią i zabręknął w tacę, podniosła oczy i jakby zdrętwiała ze zdumienia, on też ździebko się pomięszał, rzekł ni to, ni owo i prędko poszedł dalej.

Nawet zapomniała dać ochfiarę, a jeno patrzała za nim i patrzała, boć prosto wydał się jej jako ten świętek, co go wymalowali w bocznym ołtarzu, takusi młody, smukły i śliczny. Jakby ją urzekł tymi jarzącymi ślepiami, że próżno tarła oczy i żegnała się raz po raz, nie pomogło.

– Organiściak jeno, a jak się to wybrał galancie.

– Matka się też puszy kiej ten indor.

– Już od Wielkiej Nocy jest w tych księżych szkołach.

– Proboszcz go sprowadził na odpust do pomocy.

– Stary sknerzy i z ludzi zdziera, ale na niego nie żałuje.

– Juści, bo to nie honor, jak księdzem ostanie?

– Ale i profit miał będzie.

Szeptali dokoła, jeno co Jaguś niczego nie słyszała wodząc za nim oczami, kaj się tylko poruszył.

Właśnie i suma się skończyła, jeszcze ta z ambony ksiądz wygłaszał zapowiedzie i wypominki, ale już naród z wolna odpływał i dziady podniosły jęklive głosy, a całym chórem jęły wyciągać skamłac prośzalne pieśni.

Hanka też ruszyła ku wyjściu, gdy przecisnęła się do niej Balcerkówna z wielką nowiną.

– Wiecie – trzepała zaziajana – a to spadły zapowiedzie Szymka Dominikowej z Nastusią.

– No, no, a cóż na to powiedzą Dominikowa?

– A cóż by, udry na udry pójdzie ze synem.

– Nie poredzi, Szymek w swoim prawie i lata też ma.

– Niezgorsze się tam zrobi piekielko, niezgorsze – wyrzekła Jagustynka.

– Mało to i tak swarów, mało obrazy boskiej – westchnęła Hanka.

– Słyszeliście to już o wójcie? – zagadnęła Płoszkowa niesąc pobok niej swój brzuch spaśny i tłustą, czerwoną gębę.

– Dyc tyle miałam z pochówkiem i tylachna ciągiem nowych turbacji, że ani wiem, co się tam na wsi wyprawia.

– A to starszy mówił mojemu, jako w kasie brakuje dużo. Wójt już lata po ludziach i skamle o pożyczki, aby choć chyła tyła zebrać, bo leda dzień przyjedzie śledztwo...

– Jeszcze ociec mówili, co na tym skończyć się musi.

– Wynosił się, puszył, przewodził, a teraz zapłaci za swoje państwo!

– To mogą mu zabrać gospodarkę?

– A mogą, zaś kiejby nie chwaciło, to se resztę odsiedzi w kreminale – gadała Jagustynka – używał jucha, niechże teraz pokutuje.

– Dziwno mi też było, co nawet na pogrzebie się nie pokazał.

– Cóż mu ta Boryna, kiej on z wdową przyjacielstwo trzyma.

Przycichły, bo tuż przed nimi jawiła się Jaguś prowadząca matkę; stara szła przygarbiona i z przewiazanymi jeszcze oczami, ale Jagustynka nie przepuściła okazji.

– Kiedyż Szymkowe wesele? Ani się kto spodział, co dzisiaj spadną z ambony! Juści, trudno chłopakowi wzbronić, kiej mu już obmierzły dziewczynne roboty. Nastusia go teraz wyręczy... – dojadła z prześmiechem.

Dominikowa sprostowała się nagle i twardo rzekła:

– Prowadź, Jaguś, prędzej prowadź, bo me jeszczek ugryzie ta suka.

I poszła śpiesznie, jakby uciekając, a Płoszkowa zaśmiała się cicho:

– Niby to ślepa, a niezgorzej obaczyła...

– Ślepa, ale jeszcze trafi do Szymkowych kudłów.

– Boże broń, bych się i do drugich nie dorwała...

Jagustynka już nie odrzekła, ścisk przy tym zapanował przed wrótniami, że Hanka się zgubiła ostając kajś za wszystkimi, ale nawet była temu rada, gdyż obrzydły jej te niepocziwe dogryzania, jęła też spokojnie rozdawać dziadom po dwa grosze, nie przepuszczając ani jednego, zaś temu ślepemu z psem wetknęła całą dziesiątkę i rzekła:

– Przyjdźcie do nas na obiad, dziadku! Do Borynów!

Dziad podniósł głowę i wytrzeszczył ślepe oczy.

– Antkowa, widzi mi sie! Bóg zapłać! Przyletę, juści, co przyletę.

Za wrótniami było już nieco luźniej, ale i tam siedziały dziady we dwa rzędy czyniąc szeroką ulicę i wykrzykując na różne sposoby, a na samym końcu klęczał jakiś młody z zielonym daszkiem na oczach, przygrywał na skrzypicy i śpiewał pieśnię o królach i dawnych czasach, że całą kupą stali dokoła niego, a częsty grosz sypał mu się do czapy.

Hanka przystanęła pod smętarzem rozglądając się za Józką i najnie spodziewanej natknęła się oczami na swego ojca.

Siedział se w rządku między dziadami, rękę wyciągał do przechodniów i jękliwie skamlał o wspomnienie.

Jakby ją kto pchnął nożem, ale myślała zrazu, że się jej przywidziało, przetarła oczy raz i drugi; on ci to był jednak, on!...

– Ociec między dziadami! Jezus! – dziw, że się nie spaliła że wstydu.

Nasunęła chustkę barzej na czoło i przebrała się do niego z tyłu od wozów, pod którymi siedział.

– Co wy robicie najlepszego, co? – jęknęła przykucnąwszy za nim, bych się chronić od ludzkich oczów.

– Hanuś... a dyć ja... a dyć...

– Chodźcie mi zaraz do domu! Jezus, taki wstyd! Chodźcie!...

– Nie póde... Już to sobie z dawna umyśliłem... Co wama mam ciężić, kiej dobre ludzie wspomogą... We świat se pociągne z drugimi... święte miejsca obacze... co nowego się przewiem... Jeszczech wama spory grosz przyniese... Naści złotówkę, kup jakiego cudaka la Pietrusia... kup...

Chyciła go ostro za kołnierz i prawie wywlekła między wozy.

– Zaraz mi do domu. Że to wstydu nie macie!

– Puść me, bo się ozgniewam!

– Rzućcie te torbeczki, prędko, żeby kto nie obaczył.

– To zrobię, co mi się jeno spodoba, juści... wstydał się bede... komu głód kumą, temu torba matką – wyrwał się naraz, wpadł pomiędzy wozy a konie i przepadł.

Nie sposób było go szukać i znaleźć w takim tłoku, jaki się uczynił na placu przed kościołem.

Słońce przypiekało, jaże się człowiek łuskał ze skóry, kurz zapierał piersi, a naród, chociaż zmęczony i zgrzany do ostatniej nitki, miętosił się radośnie i kotłował jakoby w tym rozbełkotanym wrzasku.

Katarynka wygrywała rozgłośnie na całą wieś; dziady wyciągały po swojemu, dzieci gwizdały na glinianych kuraskach, naszczekiwały psy i konie gryzły się i kwiczały, że to muchy były dzisiaj barzej naprzykrzone, zaś każdy człowiek gadał z osobna, przekrzykiwał do znajomków, stowarzyszał się i cisnął do kramów, przy których wrzało jak w ulu i podnosiły się dzieuszyne piski.

Budy ze świętościami jaże się chwiały od babiego naporu. Nie mniejszy był tłok, kaj przedawali kielbasy, wiszące na drażkach niby te grubachne postronki. Gdzie znów kupczyli chlebem a kukiełkami. Kajś Żyd nawoływał do cukierków, zaś jeszcze indziej nawet wstęgi wiewały spod płóciennych daszków i bicze przeróżnych paciorków, a wszędy był niepomierny gniot, harmider i wrzaski kieby w jakiej bóżnicy.

Przeszło dobrych parę pacierzów, nim naród jął się nieco spokojić i przycichać; kto pociągał do karczmy kto już zabierał się do domu, a drudzy, zmożeni spiekotą i utrudzeniem, rozkładali się w cieniu wozów, nad stawem, to w sadach i podwórzach, bych se podjeść i odpocząć.

Rozprażone przypołudnie tak już doskwierało, że dychać nie było czym, a pokrótce i gwarzyć nie chciało się nikomu ni nawet ruchać, jako tym drzewom pomdlałym w żarze, a że przy tym i wieś zasiadła do misek, to się już prawie całkiem uspokoiły, jeno co tam dzieci podniosły wrzaski kajś niekaj i konie szarpnęły się przy wozach.

Zaś na plebanii proboszcz wyprawiał obiad la księży i dziedziców, przez wywarte okna widniały głowy, płynął gwar rozmów i roznosiły się brzęki, śmiechy a takie zapachy, jaże niejeden ślinkę łykał z onych smaków.

Jambroż, wystrojony odświętnie, w mentalach na piersiach, kręcił się ciągiem w sieniach, a często gęsto na ganek wybiegał z krzykiem:

– Nie pódziesz, jucho, stąd! A to kijem cię złoję, że popamiętasz.

Ale nie mogąc się ognać zbereźnikom, które jako te wróble obsiadały sztachety, a śmielsze nawet już pod okna się przebierały, to jeno przygrażał księżym cybuchem a wyklinał.

Nadeszła na to Hanka przystając przy furcie.

– Szukacie to kogo? – zapytał kuszykając do niej.

– Nie widzieliście kaj mojego ojca?

– Bylicy! Gorąc, że niech Bóg bron, to pewnikiem śpi se kajś w cieniu... Te! jedrona pałka! – krzyknął znowu i pogonił za chłopakiem.

A Hanka strapiona wielce poszła już prosto do domu i rozpowiedziała o wszystkim siostrze, która przyszła na obiad.

Ale Weronka jeno wzruszyła ramionami.

– Korona mu ze łba nie spadnie, że przystał do dziadów, a co nam będzie lekcziej, to lekcziej. Nie takie ano skończyły pod kościołem.

– Jezus, taki wstyd, żeby rodzony ociec na żebrach! A co Antek na to powie? Dopiero ludzie wezmą nas na ozory i powiedzą, żeśmy go wyгнаły po proszonemu.

– A niechta szczekają, co im się spodoba. Pyskować na drugiego każdy poredzi, ale do pomocy nikto nieskory.

– Ja nie dopuszczę, żeby ociec mieli dziadować.

– To go se sprowadź do chałupy i żyw, kiejs taka honorna.

– A sprowadzę! Już mu tej łyżki strawy żałujesz! Juści, teraz miarkuję, coś go do tego sama przyniewoliła.

– Przelewa się to u mnie czy co? Dzieciom to pewnie odejmę od gęby, a jemu dam?

– Należy mu się wycug od ciebie, nie baczysz?

– Jak nie mam, to z jelit sobie nie wypruję.

– A wypruj i daj, ociec pierwszy. Nieraz mi się skarżył, że go głodem morzysz i o świnię więcej dbasz niżli o niego.

– Prawda była, juści, ojca morzę głodem, a sama to se używam kiej dziedziczka. Tak się ano wypasłam, co mi już kiecka z bieder zlatuje i ledwie kulasami powłóczę. Na borg jeno żyjemy.

– Nie pleć, myślałby kto, że i prawda.

– A prawda, żeby nie Jankiel, to by nawet tych ziemniaków ze solą zabrakło. Juści, syty głodnemu nigdy nie zawierzy! – gadała na wpeł z płaczem, a coraz żałośniej, gdy wtoczył się w opłotki dziad, prowadzony przez pieska.

– Siadajcie se pod chałupą – zwróciła się doń Hanka krzątając się kole obiadu.

Przysiadł na przyźbie, kule odłożył, pieska puścił na wolę i pociągał nochalem, miarkując, zali już jedzą i w której stronie.

Właśnie byli zasiadali do obiadu pod drzewami, Hanka wyłożyła jadło na miski, że szeroko roznieśli się posmaki.

– Kasza ze słoniną, dobra rzecz. Niech wama pójdzie na zdrowie – mruzczał dziad wietrząc zapachy i oblizując się łakomie.

Pojadali z wolna, przedmuchując każdą łyżkę strawy. Łapa kręcił się z cichym skowytom, a dziadoski piesek ziajał z wywieszonym ozorem pod ścianą, spiekota bowiem była straszna, nawet cienie nie ochraniały, dziw się wszystko nie roztopiło; a w tej nagrzaney i sennej cichości jeno łyżki skrzybotały, a niekiedy kajś pod strzechą zaświegotała jaskółka.

– By tak z miseczkę kwaszonego mleka la ochłody! – westchnął dziad.

– Zarno wam przyniesę! – spokoila go Józka.

– Dużoście dzisiaj wykrzyczeli? – zapytał Pietrek ciągnąc ospale łyżkę.

– Zmiłuj się, Panie; nad grzesznymi, a nie pamiętaj im dziadoskiej krzywdy! Bogać ta wiele! któren dziada obaczy, to w niebo pilnie patrzy albo skręca o staje. Zaś inszy wysuple ten grosz jaki, a rad by wziął resztę z dziesiątki! Z głodu przyjdzie zdychać.

La wszystkich latoś ciężki przednowek – szepnęła Weronka.

– Prawda, ale na gorzałkę to nikomu nie zbraknie.

Józka wetknęła mu w garść miche, jął skwapliwie pojadać.

– Powiedali na smętarzu – ozwał się znowu – co Lipce mają się dzisiaj godzić z dziedzicem, prawda to?

– Dostaną, co im się należy, to może się i ugodzą – rzekła Hanka.

– A Miemce się już wyniesły, wiecie? – wyrwał się Witek.

– Żeby ich morówka zdusiła! – zaklął wytrząsając pięścią.

– To i was pokrzywdzili?

– Zaszedłem do nich wczoraj z wieczora, to me psami wyszczuli. Heretyki ścierwy, psie nasienia. Pono Lipczaki tak im dopiekali, że musiały uciekać! Ze skóry bym takich obłupiał, do żywego mięsa – pogadywał, sielnie wygarniając z miski, a skończywszy napasł swojego pieska i jął się dźwigać z przyźby.

– Żniwna pora, to pilno wam do roboty – zaśmiał się Pietrek.

– A pilno; łoni było nas na odpuscie sześciu wszystkiego, a dzisiaj ze trzy mendle się wydziera, jaże uszy puchną.

– A przyjdźcie na noc – zapraszała Józka.

– Niech ci Jezus da zdrowie, co pamiętasz o sierocie.

– Sierota jucha, a kałdun to już ledwie udźwignie – przekpiwał Pietrek patrząc, jak się toczył środkiem drogi, grubachny kiej kłoda, i kijaszkiem macał przeszkody.

Chałupa też wkrótce opustoszała, kto przyległ w cieniu, bych się przespać, to już chrapał, a reszta poszła na odpust.

Przedzwonili na nieszpór. Słońce się już galancie kłoniło ku zachodowi, upał jakby ździebko sfołzał, to chociaż jeszcze sporo wypoczywało pod chałupami, ale już coraz więcej ludzi schodziło się na plac przed kościołem, pomiędzy kramy i budy.

Józka poniesła się z dzieuchami kupować obrazki, a głównie, bych się napatrzeć do syta owym wstępom, paciorkom i drugim cudom odpustowym.

Katarynka znowu zagrała, dziady jeły posobnie wyciągać, brzękając w miseczki, a gwary podnosiły się z wolna, przepelniając całą wieś, że huczalo jakoby w tym ulu przed wyrojem.

Każden bowiem był syty i wypoczęty, to rad się stowarzyszał a cieszył społecznie; kto poredzał z przyjaciół, kto jeno ślepie na wszystko roztwierał szeroko, kto się aby cisnął, kaj się drugie cisnęły, kto i na ten kieliszek pociągał z kumami, któren zaś szedł do kościoła lebo i siedział gdzieś w cieniu deliberując o różnościach, a wszystkich zarówno rozpierała jednaka radosna lubość odpustowania. I nie dziwota, jakże, toć każdy wymodlił się i nawzdychał do woli, napatrzył onym pozłotom, światłom, obrazom i innym świętościom; wypłakał się rzetelnie, nasłuchał organów i śpiewań, a jakby się cały wykapał w onym święcie, duszę oczyścił a skrzepił, narodu różnego zobaczył, wspominków nzbierał i zbył się chociaż na ten dzień jeden wszelakich turbacji!

To i obyczajnie, co gospodarze najpierwsze czy biedota, komorniki czy proste dziadygi, a wszystko się weseliło pospólnie; czyniąc taki rozgwarzony i rozkolebany gąszcz kole kramów, że i precisnąć się tam było niełacno. A juści, co najrozzgłośniej gadały kobiety gnietąc się jedna przez drugą do bud, abych chociaż się dotknąć i napatrzeć onych śliczności.

Szymek był właśnie kupił Nastusi bursztyny, wstępów i chustkę czerwoną, przystroila się zaraz, i chodzili od kramu do kramu trzymając się wpół, radośni wielce i jakoby pijani uciechą.

Łaziła z nimi Józka, targując jeno i oglądając różności porozkładane na stołach, a coraz i z żalonym wzdychnaniem przeliczała tę swoją mizerną złotówczynę.

Jagusia plątała się kajś niedaleko od nich udając, że nie spostrzega brata. Chodziła sama, dziwnie smutna i zgnębiona. Nie cieszyły jej dzisiaj ni te rozwiane wstęgi, ni granie katarynki, ni ten ścisk i wrzaski. Szła z drugimi, porwana tłokiem, i tam stawała, kaj insi stawali, tam dreptała, kaj ją pchali, nie wiedząc całkiem, po co przyszła i dokąd idzie.

Przysunął się do niej Mateusz i szepnął pokornie:

– Dyc mnie nie goń od siebie.

– Hale, odpędzałam cię to kiedy?

– Abo raz! Nie skłęłaś me to, co?

– Niepoczciwie rzekłeś, to i musiałam. Któż me... – przymilkła nagle.

Jasio przeciskał się z wolna przez tłumy w jej stronę.

– I on na odpust! – szepnął Mateusz wskazując księżyka, któren się bronił ze śmiechem, aby go nie całowali po rękach.

– Kiej dziedzicowy syn! Jak się to wybrał! Dobrze baczę, jak to jeszcze niedawno wyrywał za krowimi ogonami.

– A juści, gdzieby zaś taki krowy pasał – przeczyła niemile dotknięta.

– Rzekłem. Pamiętam, jak go to raz organista sprął, że krowy puścił w Pryczkowy owies, a sam se spał kajś pod gruszą...

Jaguś odeszła i chociaż nieśmiało, przepychała się ku niemu, roześmiał się do niej, ale że patrzeli w niego kiej w tęczę, odwrócił oczy i nakupiwszy w kramie obrazików, zaczął je rozdawać dzieuchom i kto chciał.

Staneła naprzeciw kiej wryta, zapatrzona w niego rozgorzałymi oczami, a z warg czerwonych polał się cichy lśniący pośmiech; słodziński niby te miody.

– Naści, Jaguś, swoją patronkę – wyrzekł wtykając jej obrazik, ręce się ich spotkały i rozbiegły kiej sparzone.

Wzdrygnęła się, nie śmiejąc ust otworzyć. Mówił jeszcze cosik, ale jakby utonęła w jego oczach i nic prawie nie pomiarkowała.

Rozdzieliła ich gęstwa, że schowawszy za gors obrazik, długo toczyła oczami po ludziach. Nie było go już nikaj, poszedł do kościoła, gdyż przedzwonili na nieszpór, ale ona ciągiem go miała na oczach.

– Widzi się kiej ten świętek! – szepnęła bezwolnie.

– Toteż dzieuchy dziw ślepiów za nim nie pogubią. Głupie, nie la psa kielbasa.

Obejrzała się prędko, Mateusz stał pobok.

Mruknęła ni to, ni owo, chcąc się od niego odczepić, ale szedł nieodstępnie, długo coś sobie ważył, aż zapytał:

– Jaguś, a co matka rzekli na Szymkowe zapowiedzie?

– A cóż, kiej chce się żenić, to niech się żeni, jego wola.

Skrzywił się i pytał niespokojnie:

– Odpiszą mu to jego morgi, co?

– Ja ta wiem! Nie wyznała mi się. Niech się jej spyta.

Przystąpił do nich Szymek z Nastusią, znalazł się skądś i Jędrzych, że przystanęli całą kupą, a pierwszy Szymek zaczął:

– Jaguś, matki strony nie trzymaj, kiej się mnie krzywda dzieje.

– Juści, co za tobą stoję. Ale odmieniłeś się przez te czasy, no, no... Całkiem kto drugi z ciebie! – dziwiła się, bo stał przed nią sielnie wyelegantowany, prosty, wygolony do czysta, w kapelusie na bakier i w kapocie bieluńskiej kieby mleko.

– A bom się wyrwał z matczynego stojaka.

– I lepiej ci teraz na woli? – prześmiała się z jego hardości.

Wypuść ptaszka z garści, to obaczysz! Zapowiedzie słyszałaś?

– Kiedyż ślub?

Nastusia przygarnęła się tkliwie obejmując go w pół.

– A za trzy niedziele, jeszcze przed żniwami – szeptała sponioną.

– I choćby w karczmie wyprawię, a matki prosił nie będę.

– Masz to już kaj zawieźć kobietę?

– A mam. Jakże, na drugą stronę do matki i się wyprowadzę. Szukał po ludziach komornego nie będę. Niech mi jeno mój gront odpiszą, to radę sobie dam! – przechwalał się sierzniście.

– Pomogę mu, Jaguś, we wszyckim pomogę – przytwardzał Jędrzych.

– Przeciech i my Nastusi we świat gołkiem nie dajemy. Tysiąc złotych dostanie gotowymi pieniędzmi – wyrzekł Mateusz.

Kowal odciągnął go na bok, cosik mu szepnął i poleciał.

Pogadywali jeszcze co niebądź, szczególnie Jędrzych roził se, jak to gospodarzem ostanie, jak se to grontu przykupi, jak się to chyci ziemi, że pokrótce obaczą, kto on taki, jaże Nastusia patrzyła w niego z podziwem. Jędrzych przytwardzał, jeno Jagusia chodziła oczami po świecie, słysząc piąte przez dziesiąte. Zarówno jej tam było jedno.

– Jaguś, przyjdź do karczmy, będzie dzisiaj muzyka – prosił Mateusz.

– I karczma la mnie już nie zabawa – odparła smutnie.

Zajrzał w jej oczy przemglone, zacisnął kaszkiet i poleciał roztrącając ludzi. Przed plebanią natknął się na Tereskę.

– Kaj cię to niesie? – zagadnęła lękliwie.

– Do karczmy! kował zwołuje na narady.

– Poszłabym z tobą.

– Nie odganiam cię, miejsca nie zbraknie, zważ jeno, by cię nie wzieni na ozory, że tak cięgiem za mną uważasz.

– I tak me już noszą kiej psy tę zdechłą owcę.

– To czemu się im dajesz! – zły już był i zniecierpliwiony.

– Czemu? nie wiesz to bez co? – zaskarżyła się cichuśko.

Szarpnął się i poszedł przodem, że ledwie za nim zdążyła.

– Już buczysz kiej to ciele! – rzucił odwracając się nagle.

– Nie, nie... jeno mi proch wleciał do oka.

– Jak widzę płkanie, to jakby me kto nożem żgnął!

Zrównał się z nią i rzekł dziwnie serdecznie:

– Naści parę groszy, kup se co na odpuscie, a potem przyjdź do karczmy, to potańcujemy.

Spojrzała oczami, co to jakby mu do nóg leciały z podzięką.

– Co mi ta pieniądze, takiś dobry... takiś... – szeptała rozplómienna.

– A z wieczora przychodź, przódzi czasu miał nie będę.

Obejrzał się na nią jeszcze z proga, uśmiechnął i wszedł do sieni.

W karczmie już była ciasnota i gorąc nie do wytrzymania. W głównej izbie tłoczyło się wiele różnego narodu, przepijając a gwarząc, zaś w alkierzu zebrali się co młodszy z lipeckich, z kowalem i Grzelą, wójtowym bratem, na czele. Przyszli też i poniektórzy gospodarze, jak Płoszka, sołtys, Kłab i Adam, stryjeczny Borynów, a nawet się wcisnął Kobus, choć go nikt nie zapraszał.

Kiedy Mateusz wszedł, właśnie był Grzela prawil gorąco i kredą cosik pisał po stole.

Szło o zgodę z dziedzicem, któren obiecywał za morgę lasu dać chłopom po cztery na podleskich polach, a drugie tyle ziemi puścić na słaty; chciał nawet borgować drzewo na chałupy.

Grzela wykladał wszystko podobnie i kredą znaczył, jak by się to podzielili ziemią i co by wypadło na każdego.

– Dobrze rozważcie, co mówię! – wołał – sprawa czysta jak złoto.

– Obiecanka cacanka, a głupiemu radość! – mruknął Płoszka.

– Szczera prawda, nie obiecanki. U rejenta wszyćko nam odpisze. Weźta ino sobie dobrze do głowy! Tylachna ziemi la narodu. A toć każdemu w Lipcach wykroi się nowa gospodarka. Miarkujta ino sobie...

Kowal raz jeszcze powtórzył, co mu był kazał dziedzic powiedzieć.

Wysłuchali uważnie, ale niktó się nie ozwał, patrzeli jeno w te białe krychy na stole i głęboko deliberowali.

– Prawda, sprawa kiej złoto, ale czy na to komisarz pozwoli? – ozwał się pierwszy sołtys orząc frasobliwie pazurami po kudłach.

– Musi! Jak gromada uchwali, to się urzędów o przyzwolenstwo pytała nie będzie! Zehcemy, to i on musi! – zagrzmiał Grzela.

– Musi, nie musi, a ty się nie wydzieraj. Obacz no który, czy aby starszy nie wacha kaj pod ścianą?

– Dopierom go widział przed szynkwasem! – objaśniał Mateusz.

– A kiedy to dziedzic obiecuje nam odpisać? – zagadnął któryś.

– Mówił, co gotów choćby jutro. Zgodzimy się na jedno, to zaraz odpisze, zaś potem omentra rozmierzy, co komu.

– To już po żniwach można by chycić się tej ziemi:

– A na jesieni obrobić, jak się patrzy.

– Mój Jezus, dopiero to pójdzie robota, no!

Pogadywali gwarnie, wesoło, jeden przez drugiego. Radość już ponosiła wszystkich, oczy strzelały mocą, hardość prostowała grzbiety i same ręce się wyciągały do brania tej ziemi upragnionej.

Niejeden już podśpiewywał z uciechy i krzykał na Żyda o gorzałkę, niejeden plótl trzy po trzy o działach, a każdemu roily się nowe gospodarki, bogactwa i radoście. Bajdurzyli też kiej pijani, śmiejąc się, bijąc pięściami w stoły a przytupując ogniście.

– Dopiero to w Lipcach nastanie święto!

– Hej, a jakie zabawy pójdą, a jakie muzyki!

– I wiela to weselisk odprawi się w zapusty!

– Dzieuch we wsi zabraknie!

– To se miesckich przykupiemy, nie stać to nas?!

– Psiachmać, w same ogiery jeździł będę.

– Cichota no – zawołał stary Płoszka bijąc pięścią w stół – a to krzyczą kiej Żydy w szabas! Chciałem jeno pedzieć, czy aby w tej dziedzicowej obietnicy nie ma jakowego podejścia? Miarkujeta, co?

Przycichli, jakby ich kto z nagła oblał zimną wodą, dopiero po chwili ozwał się sołtys:

– Ja też nie mogę wyrozumieć, laczego taki hojny?

– Juści, w tym musi być jakieś podejście, bo żeby dawać tyłachna ziemi prawie za darmo – ciągnął któryś ze starych.

Ale na to porwał się Grzela i zakrzyczał:

– To wam powiem, żeśta głupie barany i tyła!

I znowu jął tłumaczyć i przekładać zapalczywie, jaże się spocił kiej mysz, kowal też sielnie mełł ozorem i każdemu z osobna rychtował, ale stary Płoszka nie dał się przekabacić, głową jeno kiwał i prześmiechał tak kąśliwie, aż Grzela przyskoczył do niego z pięściami, ledwie już powstrzymując złość.

– Rzeknijcie swoją prawdę, kiej nasza widzi się wam cygaństwem.

– A rzekę! Znam dobrze to pieskie nasienie, znam i mówię waju: nie wierzta dziedzicowi, póki nie bedzie czarno na białym. Zawždy się naszą krzywdą pasły, to i tera chcą się na nas pożywić!

– Tak miarkujecie, no to się nie gódźcie, ale drugim nie przeszkadzajcie! – krzyknął na niego Kłęb.

– Chodziłeś z nimi do boru, to ich stronę i tera trzymasz!

– A chodziłem, a jak będzie potrza, to i jesczek pódę! A trzymam nie za nim, jeno za zgodą, za sprawiedliwością, za całą wsią. Bo jeno głupi nie widzi w tym dobrego la Lipiec. Jeno głupi nie bierze, jak dają.

– Wyśta wszystkie głupie, bo pilno wama sprzedać za obertelek całe portki. Głupie, skoro dziedzic tyle daje, to może i więcej.

Zaczęli się przemawiać coraz zapalczywiej, a że i drugie wspomagały Kłęba, to zrobił się taki gwar, jaże przyleciał Jankiel i sielną flachę gorzały postawił na stole.

– Sza, sza, gospodarze! Niech będzie zgoda! Żeby Podlesie były nowe Lipce! żeby każdy był pan! – wołał puszczając kieliszek kolejką.

Juści, co wzięli pić, a jeszcze barzej się ugwarzać, wszyscy już bowiem skłaniali się do zgody oprócz starego Płoszki.

Kowal, któren musiał w tym mieć jakiś gruby profit, najgłośniej rozmawiał rozwodząc się o dziedzicowej poczciwości, a raz po raz stawiał la całej kompanii to gorzałę, to piwo, to nawet arak z esencją.

Cieszyli się tak galancie, co już niejednen jeno oczy bałuszyl i ozorem ledwo ruchał, zaś Kobus, któren cały czas pary z gęby nie puścił, jął naraz chybać ludzi za orzydła i krzyzczeć:

– A komorniki to co? Psi pazur? I nam się należy ziemia! Nie dopuścim do zgody! Po sprawiedliwości być musi! Jakże, to jeden ledwie już spaśny kałdun udźwignie, a drugi ma zdychać z głodu? Po równo musi być ziemi la wszystkich! Dziedzice ścierwy! Niejednen gołym za-

dem łyska, a nos drze do góry, jakby ciągiem kichał! Kołtuniarze zapowietrzone! – krzyczał coraz głośniej i tak nieprzystojnie wszystkim przymawiał, jaże go wyciepnęli za drzwi, ale jeszcze przed karczmą kłął i wygrażał.

Kompania też niezadługo zaczęła się rozchodzić do domów, jeno co łąpczywsi na uciechę ostali w karczmie, kaj już pobrzękiwała muzyka.

Właśnie i wieczór się był robił, słońce zapadło za bory i całe niebo stanęło w zorzach, aż czuby zbóż i sadów jakby się pławiły w czerwieni a złocie. Zawiewał wilgotny, pieściwy wiater, żaby jeły rechotać, odzywały się przeciw piórki, a granie koników roztrząsało się po polach kiej ten nieustający chrzest dojrzałych kłosów, rozjeżdżali się już z odpustu, że jeno wozy turkotały, a kaj niekaj ktosik dobrze napity wyśpiewywał rozgłośnie.

Przycichły Lipce, pusto się zrobiło przed kościołem, ale jeszcze pod chałupami siedzieli gęsto ludzie zażywając chłodu i wczasów

Cichy zmierzch stawał się na świecie, mroczniały pola, dale stapiały się już z niebem, wszystko się spokoilo, śpik z wolna morzył ziemię i obtulał ją ciepłą rosą, zaś ze sadów tryskały kiej niekiej ptasie głosy, jakoby tym wieczornym pacierzem.

Bydło wracało z pastwisk, raz po raz buchały długie, tęskliwe ryki, a rogate łby pokazywały się nad stawem, rozgorzałym ogniami zachodu jakoby krwawym zarzewiem. Kajś pod młynem baraszkowały z wrzaskiem kąpiące się chłopaki, zaś po obejściach trzęsły się dzieuszynne piesneczki, to beki owiec, to gęsie gęgoty.

Jeno u Borynów było cicho i pusto. Hanka poniesła się z dziećmi do którejś z kum, Pietrek się też kajś zapodział, a Jagusia nie pokazała się jeszcze od nieszporów, że tylko Józka zwijała się kole wieczornych obrządków.

Ślepy dziad siedział w ganku, nastawiał gęby na chłodnawy wiater, mrucał pacierz, a pilnie nasłuchiwał Witkowego boćka; któren kręcił się wpodłe rychtując przyczajonym dziobem w jego nogi.

– Cie... Żebyś skisł, zbóju jeden! A to me kujnał! – mrucał zbierając pod siebie kulasy i machał wielkim różańcem, bociek odleciał parę kroków i znowu zachodził przemyślnie z boku z wyciągniętym dziobem.

– Słyszę cię dobrze! Już ci się nie dam. Jaka to jucha zmyślna! – szeptął, ale że w podwórzu rozległo się granie, to oganiając się kiej niekiej różańcem zaszłuchał się w, muzyce z lubością.

– Józia, a kto tak szczerze rzepoli?

– A Witek! Wyuczył się od Pietrka i teraz cięgiem i dudli, jaże uszy puchną! Witek, przestań, a załóż koniczyny żrebakom! – wrzasnęła.

Skrzypki umilkły, zaś dziad cosik se umyślił, bo skoro Witek przyleciał pod chałupę, rzekł do niego wielce dobrotliwie:

– Weź tę dziesiątkę, kiej tak galancie wyciągasz nutę.

Chłopak uradował się ogromnie.

– A zagrałbyś to i pobożne pieśni, co?

– Co ino posłyszę, to wygram.

– Hale, każda liszka swój ogon chwali. A taką nutę wygrasz, co? – i beknął po swojemu piskliwie a zawodzący.

Ale Witek nawet nie dosłuchał, skrzypki przyniósł, zasiadł pobok i przegrał rychtyk to samo, a potem rznał insze, jakie tylko słyszał w kościele, i tak sprawnie, jaże się dziad zdumiał.

– Cie, na organistę byłbyś zdatny!

– Wszystko wygram, wszystko, nawet i takie dworskie, i takie, co je śpiewają po karczmach – przechwalał się rozradowany, wycinając od ucha, jaże kury zagdakały na grzędach, gdy Hanka nadeszła i zaraz go przepędziła, bych Józce pomagał.

Do cna już ściemniało na świecie, ostatnie zorze gasły, a wysokie, ciemne niebo rosilo się gwiazdami, wieś już kładła się spać, jeno od karczmy zalatywały dalekie pokrzyki i brzękliwe głosy muzyki.

Hanka siedziała przed gankiem karmiąc dziecko i pogadując z dziadkiem o tym i owym; cyganił jucha, jaże się kurzyło, ale nie przeciwiała mu się, myśląc swoje i tęsknie w noc poglądając.

Jagna nie wróciła jeszcze, nie siedziała również i u matki, bo zaraz z wieczora poszła na wieś do dzieuch, jeno co nikiej nie wysiedziała, tak ją cosik ponosiło. Jakby ją kto za włosy wyciągał, że w końcu już sama jedna łąziła po wsi. Długo patrzyła we wody pogasłe i drżące od powiewów, w rozruchane ździebko cienie, we światła, co leciały z okien na gładź stawu i marły nie wiada kaj i przez co! Rwało ją gdzieś, że poleciała za młyn, aż na łąki, kaj już leżały ciepłe kożuchy białych mgieł i czajki śmigały nad nią z krzykiem.

Słuchała wód padających z upustu w czarną gardzie! rzeki, pod olchy wyniosłe i jakby śpiące, ale ten szum zdał się jej jakimś żalonym wołaniem i skargą nabrzmiałą płaczem.

Uciekła i patrzała w młynarzowe okna, buchające światłem, gwarami a brzękiem talerzy.

Thukła się od brzegu wsi do brzegu jak ta woda obłądna, co ujścia na darmo szuka i w nieprzebyte wręby bije żałośnie.

Żarło ją cosik, czego by i wypowiedzieć nie sposób, ni to był żal, ni to tęsknica, ni to kochanie, a czy miała pełne suchego żaru i w sercu wzbierał wrzący, straszny szloch.

Nie wiada, laczego znalazła się przed plebanią, jakieś konie pod gankiem były niecierpliwie kopytami, świeciło się tylko w jednym pokoju, grali w karty.

Napatrzyła się do syta i poszła opłotkami, które dzieliły Kłębową gospodarkę od proboszczowskich ogrodów. Przesuwała się lękliwie pod żywopłotem, obwisłe gałęzie wisien muskały ją po twarzy zrosiałymi listeczkami. Szła bezwolnie, nie wiedząc, kaj ją niesie, aż niski dom organistów zastąpił jej drogę.

Wszystkie cztery okna świeciły i stały otwarte.

Przytuliła się w cień pod płot i zajrzała do środka.

Organistowie wraz z dziećmi siedzieli pod wiszącą lampą popijając herbatę, zaś Jasio chodził po pokoju i cosik rozповідаł.

Słyszała każde jego słowo, każdy skrzyp podłogi, nieustanne cykanie zegaru i nawet ciężkie przysapki organisty.

A Jasio takie cudeńka prawił, że niczego nie rozumiała.

Patrzyła jeno w niego niby w ten obraz święty, pijąc kiej miody najśłodsze każdy dźwięk jego głosu. Chodził wciąż i co trochę ginął w głębi mieszkania, i co trochę jawił się znów w kręgu światła; czasem przystawał przy oknie, że wciskała się w płot strwożona, bych jej nie dojrzał, ale on jeno w niebo patrzył pokryte gwiazdami, to cosik rzekł la uciechy, że śmiali się, a radość błyskała w twarzach kiej to słońce. Przysiadł wreszcie pobok matki, a małe siostry jęły mu się drapać na kolana i wieszać na szyi, tulił ci je pocziwie, huštał i łaskotał, jaże izba zatrzęsła się dziecińskimi śmiechami.

Zegar wybił jakąś godzinę i organiścina rzekła powstając:

– Gadu, gadu, a tobie czas spać! Musisz do dnia wyjechać.

– A muszę, mamusiu! Boże, jaki ten dzień był krótki! – westchnął żałośnie.

A Jagusine serce jakby kto ścisnął i tak boleśnie, jaże same łyzy pociekły po twarzy.

– Ale niedługo wakacje! – ozwał się znowu – ksiądz regens obiecał, że mnie na jakiś czas zwolni, jeśli nasz proboszcz napisze o to do niego.

– Nie bój się, napisze, już ja go uproszę! – powiedziała matka zacierając się do słania mu na kanapie wprost okna. Pomagali jej wszy-

scy, a nawet sam organista przyniósł sporą doinkę i wsunął ją ze śmiechem pod kanapę.

Długo się z nim żegnali na odchodnym, a już najdłużej matka, która go z płaczem tuliła do piersi a całowała.

– Śpij, synu, smacznie, śpij, dzieciątko.

– Pacierze zmówię i zaraz się kładę, mamusiu.

Rozeszli się wreszcie.

Jaguś widziała, jak w sąsiedniej izbie chodzili na palcach, ściszcili głosy, przymykali okna i pokrótce cały dom oniemiał i migiem pogrążył się w cichości, aby jeno nie przeszkadzać Jasiowi.

Chciała i ona do domu, już się była nawet nieco uniesła, ale ją cosik jakby przytrzymało za nogi, że nie poredziła oderwać się z miejsca, więc jeno mocniej przywarła plecami do płota, barzej się skuliła i ostała kieby urzeczona wpatrując się w to ostatnie wywarte i jaśniejące okno.

Jasio poczytał nieco na grubej książce, zaś potem przykleknął pod oknem, przeżegnał się, złożył ręce do pacierza, podniósł oczy ku niebu i zamodlił się przejmującym szeptem.

Noc była głęboka, niezgłębiona cichość obtulała świat, gwiazdy mżyły się na wysokościach, nagrany, pachnący zwiew pociągał z pól, a niekiedy zaszemrały liście i ptak jakiś zaśpiewał.

A Jagusię zaczęło cosik rozbierać, serce się tłukło kiej oszalałe, paliły ją oczy, paliły usta nabrane i same ręce wyciągały się ku niemu, a chociaż się kurczyła w sobie, roztrząsał nią taki dziwny, niezmożony dygot, że wpierała się w płot bezwolnie i z taką mocą, jaże trzasnęła żerdka. Jasio wychylił głowę, popatrzył dokoła i znowu się zamodlił.

Zaś z nią działo się już coś niepojętego; takie ognie chodziły jej po kościach i oblewały warem, że dziw nie krzyczała z tej lubej męki. Zabczyła, kaj jest, i ledwie już zipała, tak się w niej wszystko trzęsło i płonęło. Była cała w dreszczach, kiej błyskawice kłębiły się w niej jakieś nabrzmiałe, szalone krzyki, jakieś wichry palące ją ponosiły, jakieś straszne pragnienia rozprężały i wyginały... Już chciała się czołgać tam, bliżej niego, bych chociaż tknąć ustami tych jego białych rączków, bych jeno klęczeć przed nim a patrzeć z bliska w te gębusie i modlić się kiej do tego cudownego obrazu. Nie poruszyła się jednak, bo obleciał ją jakiś dziwny strach i zarazem zgroza.

– Jezu mój, Jezu miłosierny! – wyrwał się jej z piersi cichy jęk.

Jasio powstał, wychylił się cały i jakby patrząc na nią zawołał:

– Kto tam?

Zamarła na chwilę, przytała dech, serce przestało bić i jakby zdrewniała w jakimś świętym strachu, dusza uwięzła kajś w gardle i pełna szczęsnego niepokoju chwiała się w oczekiwaniu.

Ale Jasio jeno popatrzyl w opłotki, a nie dojrzawszy zamknął okno, rozebrał się prędko i światło zgasło...

Noc padła na jej duszę, ale jeszcze długo siedziała wpatrzona w czarne i nieme okno. Przejął ją chłód i jakby operlił srebrną rosą jej duszę wniebowziętą, gdyż wszystko, co w niej wrzało z krwie pożądliwej, przygasło rozlewając się po niej nieopowiedzianą błogością. Spłynęła na nią uroczysta, święta cichość, jakby to zadumanie kwiatów przed wschodem słońca, że rozmodliła się pacierzem szczęścia, któren nie miał słów, a jeno dziwną słodkość zachwyków, przenajświętsze zdumienie duszy, niepojętą radość budzącego się dnia zwiesnowego i przeplatał się grubymi ziarnami błogich łez niby tym różańcem łaski Pańskiej i dziękczynienia.

ROZDZIAŁ 3

– Pójdę już, Hanuś! – prosiła Józka pokładając głowę na ławkę.
– A zadrzyj ogona kiej cielak i leć! – zgromiła ją odrywając oczy od różańca.

– Kiej me tak cosik spiera w dołku i tak me mgli...

– Nie przeszkadzaj, zaraz się skończy.

Jakoż proboszcz już kończył cichą, żalobną mszę za duszę Boryny, zamówioną przez rodzinę w oktawę jego śmierci.

Wszyscy też co najbliżsi siedzieli w bocznych ławkach, a tylko Jagusia z matką klęczały przed samym ołtarzem; z obcych nie było nikogo, tyła co kajś pod chórem Jagata głośno trzepała pacierze.

Kościół był cichy, chłodny i mroczny, jeno na środku mrowiła się wielgachna struga jarzącego światła, bo słońce biło przez wywarte drzwi rozlewając się jaże po ambone.

Michał organistów służył do mszy i jak zawdy, tak trząchał dzwonicami, że w uszach brzęczało, wykrzykiwał ministranturę, a latał ślepiami za jaskółkami, której kiej niekiej śmigwały po kościele zbłąkane i trwożnie świegolące.

Kajś od stawu rozlegały się klapiące trzaski kijanek, wróble ćwierkały za oknami, zaś ze smętarza raz po raz jakaś rozgdakana kokosz wwozowała do kruchty całe stado piukających kurczątek, aż Jambroż musiał wyganiać.

A skoro ksiądz skończył, wyszli zaraz wszyscy na smętarz.

Już byli kole dzwonnicy, gdy zawołał za nimi Jambroży:

– A to poczekajcie! Dobrodziej chce wam cosik powiedzieć.

Nie wyszło i Zdrowaś, kiej przyleciał zadyszany z brewiarzem pod pachą i obcierając łysinę przywitał dobrym słowem i rzekł:

– Moiście, a to wam chciałem powiedzieć, że zrobiliście po chrześcijańsku zamawiając mszę świętą za nieboszczyka. Ulży to jego duszy i do wiecznego zbawienia pomoże. No, mówię wam, pomoże!

Zażył tabaki, pokichał siarczyście i wycierając nos zapytał:

– Dzisiaj pewnie będziecie radzili o działach, co?

– Juści, tak je niby we zwyczaju, co dopiero w oktawę – przytwierdzili.

– Otóż to! Właśnie o tym chciałem z wami pomówić!

Dzielcie się, ale pamiętajcie: zgodnie i sprawiedliwie. Żeby mi nie było swarów ni kłótni, bo z ambony wypomnę! Nieboszczyk w grobie się przewróci, jeśli zobaczy, że jego krwawicę rozrywacie jak wilki barana! I broń Boże. krzywdzić sieroty! Grzela daleko, a Józka jeszcze głupi skrzat! A co się komu należy, oddać święcie, co do grosza. Jak rozrządził majątkiem, tak rozrządził, ale trzeba spełnić jego wolę. Może on tam chudziaszek w tej chwili patrzy a was i myśli sobie: na ludzim ich wywiódł, gospodarkę-m niezgorszą ostawił, to się przecież nie pogryzą kiej psy przy podziale. Mawiam ciągle z ambony: zgoda stoi wszystko na świecie, kłótnią jeszcze nikt niczego nie zbudował. No, mówię, niczego, kromie grzechu i obrazy boskiej. A o kościele pamiętajcie. Nieboszczyk był szczodrym i czy na światło, czy na mszę, czy na inne potrzeby grosza nie żałował i dlatego Pan Bóg mu błogosławił...

Długo przemawiał, jaże się kobiety spłakały i jęły mu w podzięcie obłapiać kolana, zaś Józka przypadła mu nawet z bekiem do rąk, to ją przygarnął do piersi, a pocałowawszy w głowę rzekł z dobrością:

– Nie bucz, głupia, Pan Bóg ma sieroty w szczególnej opiece.

– Że i rodzony nie powiedziałby barzej do duszy – szepnęła rozrzewniona Hanka. Snadź i dobrodziej był wzruszony, bo wytarłszy ukradkiem oczy; częstował kowala tabaką i prędko zagadał o innym.

– A cóż, będzie zgoda z dziedzicem?

– Będzie, już dzisiaj pojechało do niego pięciu...

-To chwała Bogu! Już za darmo mszę świętą odprawię na intencję tej zgody!

– Widzi mi się, co wieś powinna się złożyć na wotywę z wystawieniem! Jakże, to jakby nowe nadziei i całkiem darmo!

– Masz rozum, Michał, mówiłem o tobie dziedzicowi. No, idźcie z Bogiem, a pamiętajcie: zgodą i sprawiedliwością! Ale, Michał! – zawołał za odchodzącym – a zajrzyj ta później do mojego wolanta, prawy resor przyciera się nieco do osi...

– To pod łaznowskim dobrodziejem tak się zmagłował.

Ksiądz już nie odrzekł, a oni poszli prosto ku domowi. Jagusia wiedła matkę na ostatku, gdyż stara wlekła się z trudem odpoczywając co chwila.

Dzień był powszedni, robotny, to i pusto było na drogach dokoła stawu, jeno dzieci bawiły się kaj niekaj w piasku i kury grzebały w porzrzucanych łąnach. Było jeszcze wcześniej, ale już słońce niezgorzej przypiekało, szczęściem, co wiatr nieco przechładzał, zawiewał bujny, iż kolebały się sady, pełne już czerwieniejących wiśni, a zboża były o płoty kiej wody wzburzone.

Chałupy stały wywarte, wrótnie wszędy porozwierane, na płotach kajś niekaj wietrzyły się pościele, a wszystko, co się jeno ruchało, pracowało w polach. Jeszcze ktosik zwoził ostatnie zapóźnione pokosy siana, że zapach jaże wiercił w nozdrzach, a na obwisłych nad drogą gałęziach, pod którymi przejeżdżały kopiaste wozy, trzęsły się przygarście ździebeł kiej te powyrywane brody żydowskie.

Szli z wolna i w cichości, deliberując o działach.

Skądciś, jakby z pól, kaj ludzie osypywali ziemniaki, zrywała się niekiedy piosneczka i szła z wiatrem niewiada kaj, zaś pod młynem jakaś baba tak prała kijanką, jaże się rozlegało i szumnie huczały wody spadające na koła.

– Młyn teraz ciągiem robi! – ozwała się pierwsza Magda.

– Przednowek to żniwa la młynarza!

– Cięższy on latoś niżli łoni. Wszędzie bieda aż piszczy, zaś u komorników to już prosto głód – westchnęła Hanka.

– Kozły też penetrują po wsi, jeno czekać, jak komu co grubszego ukradną – rzucił kowal.

– Nie bajcie! Ratują się, biedoty, jak mogą, wczoraj Kozłowa sprzedała organiścinie kaczetą, to się ździebko wspomogła...

– Rychło przechlają. Nie powiadam na nich nic złego, ale mi dziwno, że piórka mojego kacзора, co mi zginął w ojcowy pochówek, nalazł mój Maciuś za ich obórką – wyrzekła Magda.

– A któż to wtenczas wzion nasze pościele? – wtrąciła Józka.

– Kiejże to ich sprawa z wójtami?

– Nieprędko, ale Płoszka ich wspiera, to już wójtom dobrze zaleją sadła za skórę.

– Że to Płoszka lubi zawdy nos wrazać w cudze sprawy.

– Jakże, przyjaciół se kaptuje, bo mu pachnie wójtostwo!

Przeszedł im drogę Jankiel ciągnący za grzywę spętanego konia, któren bił zadem i opierał się ze wszystkich sił.

– Załóżcie mu pieprzu pod ogon, to rypnie z miejsca kiej ogier.

– Śmiejecie się na zdrowie! Co ja już mam z tym koniem!

– Wypchajcie go słomą, przyprawcie mu nowy ogon i powiedźcie na jarmark, to może go kto kupi za krowę, bo na konia już niezdatny! – żartował Michał i naraz wszyscy gruchnęli śmiechem, gdyż koń się wyrwał, skoczył do stawu i nie zważając na Jankłowe prośby i groźby, najspokojniej począł się tarzać.

– Mądrała jucha, musi być od Cyganów!

– Postawcie mu wiadro gorzałki, to może wyjdzie! – zaśmiała się organiścina, siedząca nad stawem przy stadzie kacząt pływających kiej te żółciuskie pępuszki; rozczapierzona kokosz gdakała na brzegu.

– Śliczne stadko, to pewnie od Kozłowej? – pytała Hanka.

– Tak, i ciągle mi jeszcze uciekają na staw. Tasiuchny! taś, taś, taś, taś! – zwoływała rzucając na przynętę przygarściami jagły.

Ale kaczkki szorowały na drugi brzeg, że poleciała za nimi.

– Chodźcie prędzej, kobiety – przynaglał kowal i gdy weszli do chałupy, a Hanka zakrzętnęła się kole śniadania, jął znowu penetrować w izbach i w obejściu, nawet nie przepomniał ziemniaczanym dołom, aż Hanka powiedziała:

– Oglądacie, jakby co ubyło!

– Nie kupuję kota we worku!

– Lepiej wy znacie wszystko niżli ja sama! – wyrzekła z przekąsem, rozlewając kawę w garnuszki.

– Dominikowa, Jaguś, a chodźcież do kupy! – zawołała na drugą stronę, kaj się obie zawarły.

Obsiedli ławę i popijali przegryzając chlebem.

Nikto się nie odzywał, nijako było zaczynać, każdy się wagał oglądając na drugich. Hanka też była dziwnie powściągliwa, juści, co niewoliła do jadła przylewając każdemu, ale prawie nie spuszczała oczów z kowala, któren się wiercił na miejscu, śmigał ślepiami po izbie i chrząkał raz po raz. Jagusia siedziała czegoś chmurna i wzdychliwa, oczy miała połyskliwe jakby od niedawnego płaczu, a Dominikowa czapirzyła się kiej kwoka i cosik poszeptywała do niej, tylko jedna Józka, co ta po swojemu pletła trzy po trzy zwijając się kole garów, pełnych perkoczących ziemniaków.

Dłużyło się już wszystkim, aż pierwszy kowal zaczął:

– Więc jakże zrobimy z działami?

Hanka drgnęła i prostując się powiedziała spokojnie, snadź po dobrym namyśle:

– A cóż ma być! Ja tu jeno stróżuję mężowego dobra i stanowić o niczym prawa nie mam. Antek wróci, to się podzielita.

- Kiej tam on wróci, a tak przeciech ostać nie może.
 - Ale ostanie! Mogło tak być przez cały czas ojcowej choroby, to może być, póki Antek nie powróci.
 - Nie on jeden jest do podziału.
 - Aleć on najstarszy, to jemu się po ojcu należy objąć gospodarę.
 - Hale, takie ma prawo jak i drugie dzieci.
 - Może weźmiecie i wy, jak się tak z Antkiem ułożyta.
- Kłóciła się przeciech z wami nie będę, nie moja w tym wola stanowi.
- Jaguś! – podniosła głos Dominikowa – przypomnijże o swoim.
 - A po co, przeciech dobrze pamiętają...
- Hanka poczerwieniała gwałtownie i kopiąc Łapę, któren się nawinał pod nogi, wyrzekła przez zęby:
- Juści, co krzywdę dobrze pamiętamy.
 - Rzekliście! Tu idzie o sześć morgów, jakie nieboszczyk zapisał Jagusi, a nie o głupie słowa!
 - Jak macie zapis, to wama nikt nie wydrze! – mruknęła gniewnie Magda, siedząca cały czas cicho z dzieckiem u piersi.
 - A mamy, w urzędzie zrobiony i przy świadkach.
 - Wszyscy czekają, to i Jagusia może.
 - Pewnie, że musi, ale co ma swojego, to zaraz zabierze, a ma przeciek krowę z cielęciem, a świnię, a gąski...
 - To wspólne i pójdzie do działów – powstał twardo kowal.
 - Do działów! Chcielibyście! Co dostała we wianie, tego jej nikt mocen odebrać! A może chcecie i kiecki a pierzyny też podzielić między siebie, co? – podnosiła głos coraz silniej.
 - La śmiechu rzekłem, a wy zaraz z pazurami...
 - Juści... przeglądam ja was dobrze, juści...
 - Bo i co tu będziem po próżnicy klektać. Prawdę rzekliście. Hanka, że trza poczekać na Antka. Mnie się śpieszy do dziedzica, bo tam już na mnie czekają – wstał, a dojrzawszy ojcowy kozuch rozwieszony w kącie na drażku jął go ściągać.
 - W sam raz zdałby się na mnie.
 - Nie ruchajcie, niech się suszy – broniła Hanka.
 - A już te buciary oddacie. Cholewy jeno całe, a i to już raz podszywane – tłumaczył, chytrze ściągając je z drażka.
 - Niczego tknąć nie pozwolę! Weźmiecie co niebądź, a potem powiedzą, żem pół gospodarki zatraciła. Niech przódzi spis zrobią. Nawet kołka z płotu ruszyć nie dam, póki wszystkiego urząd nie opisze!

- Spisu nie było, a już się kajś zadziały ojcowe pościele...
- Mówiłam ci, co się stało! Zaraz po śmierci rozwiesili na płocie i ktosik w nocy ukradł. Nie było głowy baczyć na wszystko.
- Dziwne, co tak zaraz znalazł się złodziej...
- To niby jak? Ja wzienam, a teraz cyganie, co?
- Cichota, kobiety! Tylko przez kłótni, poniechaj, Magduś! Kto ukradł, niech miał będzie na śmiertelną koszulę.
- Sama pierzyna ważyła bez mała ze trzydzieści funtów.
- Mówię ci, stul pysk! – wrzasnął na żonę i wywiódł Hankę w podwórze, niby to la obejrzenia prosiąt.
- Poszła za nim, ale dobrze się miała na baczości.
- Chciałem wam cosik poredzić.
- Nastawiła ciekawie uszów, miarkując nieco, kole czego kręci.
- Wiecie, a to trzeba, abyście jeszcze przed spisem którego wieczora przepędzili do mnie ze dwie krowy. Maciorę można zawierzyć stryjecznemu, a co się jeno da, pochować u ludzi... Już wam powiem kaj... O zbożu powiecie przy spisie, że dawno przedane Jankłowi, on przytwierdzi ochotnie, da mu się za to jaki korczyk. Żrebkę weźmie młynarz, podpasie się na jego paśnikach. A co z porządków można by schować w dołach, to po żytach. Ze szczerzej przyjaźni wam radzę! Wszystkie tak robią, które jeno rozum mają. Wyście harowali kiej wół, to sprawiedliwie należy się wama więcej. Mnie ta z tego dacie co niebądź, jakąś kruszynę. I nie bojaćcie się niczego, pomagał wam będę we wszystkim. A już w tym moja głowa, byście ostali przy gruncie. Jeno mnie posłuchajcie, nikto jeszcze nie dołożył do mojej rady... Sam dziedzić a rad me słucha. No, cóż powiecie?...
- A jeno to, co swojego nie popuszczę, ale cudzego niełakomam! – odrzekła z wolna, wpierając w niego wzdardliwe oczy. Zakręcił się, jakby kijem dostał przez ciemność, polatał po niej ślepiami i syknął:
- Już bym nawet nie wspomniał, żeście niezgorzej podebrali ojca...
- A wspominajcie! powiem Antkowi, niech z wami pogada o tej radzie.
- Ledwie się wstrzymał od klątw, plunął jeno, a odchodząc prędko, krzyknął przez wywarte okno do izby:
- Magda, miej ta oko na wszystko, bych znowu czego nie wynieśli złodzieje.
- Hanka patrzyła na niego ze szydlwym prześmiechem. Poleciał kiej oparzony i natknąwszy się na wójtową, wchodzącą między opłotki, długo jej cosik prawił wytrząchając pięściami.

Wójtowa przyniesła jakiś urzędowy papier.

– To la was, Hanka, stójka przyniósł z kancelarii.

– Może o Antku! – szepnęła z trwogą, biorąc papier przez zapaskę.

– Pono o Grzeli. Mojego nie ma, pojechał do powiatu, a stójka jeno powiadał, że tam stoi napisane, jakoby Grzela pomarł czy coś...

– Jezus Maria! – krzyknęła Józka.

Magda też się zerwała na nogi.

Wszyscy patrzyli na ten papier ze zgrozą i strachem, obracając nim bezradnie w roztrzęsionych rękach.

– Może ty, Jaguś, poredzisz rozebrać – prosiła Hanka.

Stanęły nad nią pełne niepokoju i trwogi, ale Jagna po długiej chwili sylabizowania odparła zniechęcona:

– Hale, kiej to nie po naszymu pisane i nie poradzę wymiarkować.

– Nie przy niej pisane! Za to co inszego potrafi najlepiej – syknęła wójtowa wyzywająco.

– Idźcie no swoją stroną i ludzi nie zaczepiajcie, kaj was obchodzą z daleka jak to śmierdzące – warknęła stara.

Ale wójtowa, jakby rada z okazji, ciepnęła ją na odlew:

– Przykarcać drugich to poredzicie, a czemu to nie wzbraniacie córusi, bych cudzych chłopów nie zwodziła, co!

– Dajcie no spokój, Pietrowa! – wtrąciła się Hanka miarkując już, na co się tutaj zanosí, ale wójtową ponosiło coraz barzej.

– Choć raz muszę se dać folgę! Tylam się przez nią natruła, tylam przecierpiała, że swojej krzywdy nie daruję, pókim żywa!

– A pyskuj! Pies cie ta przeschczeka! – mruknęła stara dosyć spokojnie, zaś Jaguś rozczzerwieniła się kiej burak i chociaż palił ją wstyd, ale i jakaś mściwa zawziętość nabierała w sercu, że coraz bardziej podnosiła głowę i jakby na przekór, z rozmysłem wpierała w nią szydliwe oczy, a judzący prześmiech wił się na wargach.

Wójtowa wywarła już gębę kiej wrótnię i zjatrzona do żywego jej ślepiami, pomstowała wywodząc zajadle jej przewiny.

– Pyskujesz bele co; boś sie opíła złością! – przerwała jej stara – ale twój ciężko odpowie przed Bogiem za Jagusine nieszczęście.

– Juści, odpowie, bo ano zwiódl niewinowate dzieciátko! Juści, dzieciátko, co z każdym rade szuka krzaków!

– Zawrzyjcie gębę, bo chociem ślepa, ale jeszczech zmacam drogę do waszych kudłów – groziła zaciskając kij w garści.

– Spróbujcie! Tknij me jeno, tknij! – wrzeszczała wyzywająco.

– Hale, spasała się na cudzej krzywdzie i będzie się tera czepiała ludzi kiej rzep psiego ogona.

– W czym cię to ukrzywdziłam, w czym?

– Jak twójego wsadzą do kreminatu, to się dowiesz!

Wójtowa skoczyła z pięściami, szczęściem, co Hanka zdążyła ją odciągnąć i ostro powstała na obie:

– Loboga, kobiety, a toć karczmę robicie z mojej chałupy.

Przymilkły na to oczymgnienie, sapiąc jeno a dysząc, Dominikowej jaże łzy pociekły spod szmat, jakimi miała przewiązane oczy, i lały się ciurkiem po wynędzniałej twarzy, jeno co pierwsza się opamiętała i przysiadłszy westchnęła, rozwodząc ręce:

– Jezu, bądź miłościw mnie grzesznej!

Wójtowa wyleciała z chałupy kiej oszalała, ale zawróciwszy już z drogi wraziła głowę przez okno i zaczęła wołać do Hanki:

– Mówię ci, wypędź z chałupy te lakudre! Wygoń ją, póki jeszcze pora, abys potem nie pożałowała! Ani godziny nie ostawiaj pod swoim dachem, bo cię stąd wygryzie ta zaraza piekielna! Radzę ci, broń się, Hanka! Przez litości bądź la niej i przez miłosierdzia! Ona jeno czeka na twójego, obaczysz, co ci ona wystroi! – przechyliła się barzej na izbę i grożąc pięściami Jagusi wrzeszczała ze wszystkiej złości:

– Poczekaj, ty piekielnico jedna, poczekaj! Nie zamrę spokojnie, do świętej spowiedzi nie pójdę, póki się nie doczekam, że cię ze wsi kijami wyświecę! A do żołdatów, suko jedna! Tam twoje miejsce, świński pomioce, tam!

I poleciała, w izbie zrobiło się cicho jakby w grobie.

Dominikowa jaże się trzęsła od tajonego płaczu, Magda huštała dziecko, Hanka zapatrzyła się w komin srodze zamedytowana, zaś Jaguś, chociaż jeszcze miała w twarzy hardość i zły prześmiejch na wargach, ale pobielala na płótno, bo ją te ostatnie słowa ugryzły w samo serce; poczuła, jakby ją naraz sto nożów przebiło i wszystkie rany spłynęły krwią serdeczną i wszystką mocą, ostawiając jeno nieopowiedziany żal, jakiś zgoła nieczłowiekowy żal, że chciała bić głową o ścianę i krzyczeć wniebogłosy, jeno co się przemogła i szarpiąc matkę za rękaw zaszepotała gorączkowo:

– Chodźmy stąd, matko! Chodźmy pędko! Uciekajmy!

– A dobrze! całkiem już osłabłam, ale ty musisz tu wrócić i przy swoim warować do ostatka.

– Nie ostanę tutaj. Tak mi to wszystko obmierzło, że już dłużej nie ścierpię! Bodajem była nogi połamała, nim weszłam tutaj!

- Tak ci to źle z nami było, co? – szepnęła Hanka.
- Gorzej niżli temu psu na łańcuchu, że i w piekle musi być lepiej.
- Dziwne, coś wytrzymała tak długo, przeciek cię nie przywiązywali za kulasy. Mogłaś se iść! Nie bój się, za nogi cię nie ułapię i prosiła nie będę, byś ostała!...
- A pójdę i niech was ta zaraza wytraci, kiejśta takie!
- Nie pomstuj, bym ci swoich krzywd nie ciepnęła we ślepie!
- Bo już wszystkie przeciwko mnie, cała wieś, wszystkie!..
- Żyj pocziwie, a nikto ci nie rzuci i marnego słowa!
- Cichoj, Jaguś, dyć Hanka ci nie przeciwna. Cichoj!
- A niechta i ona pyskuje! A niechta! Mam gdzieś te szczekania. Cóżem to takiego zrobiła? Ukradłam? Zabiłam kogo, co?
- Masz to jeszcze śmiałość pytać, co? – wyrzekła zdumiona Hanka stając przed nią. – Nie ciągnij mnie za język, bym ci czego nie rzekła!
- A mówcie! A pyskujcie! zarówno mi jedno! – wrzeszczała coraz zapalczywiej, złość się w niej rozroszyła kiej pożar, już była gotowa na wszystko, nawet na najgorsze.

Hance naraz łzy zalały oczy, pamięć zdrad Antkowych tak boleśnie wgryzła się w serce, że ledwie już zabelkotała:

– A coś to z moim wyprawiała, co? Jeszcze cię Pan Bóg za mnie pokarze, obaczysz!... Spokoju mu nie dawałaś... goniłaś za nim kiej ta rozciekana suka... kiej ta... – tchu jej zbrakło, tak się zanieśła szlochem.

A Jaguś spięła się niby wilk napadnięty w barłogu, gotowy już drzeć kłami, co mu się jeno nawinie, nienawiść buchnęła jej do głowy, a mściwość sprężyła pazury, aż skoczyła na izbę i, rozwścieklona do ostatka, jęła chlastać przyduszonymi słowami kiejby tym biczem świszczającym:

– To ja za nim latałam, ja! Cyganisz kiej ten pies! Wszyscy ano wiedzą, jak się przed nim oganiałam! Dyć kiej piesek skamlał pode drzwiami, abym mu chocia trep swój pokazała! To on me niewolił! To on me otumanił i robił z głupią, co chciał! A tera powiem ci prawdę, jeno byś jej nie pożałowała. A to me miłował, że już nie wypowiedzieć! A tyś mu obmierzyła kiej ten stary, utyłany łań, że miał już chudziak po grdykę twojego kochania, jaże mu się odbijało kiej po starym sadle, że jeno pluł wspominając o tobie. Nawet gotów był sobie zrobić co złego, abych cie jeno nie widzieć więcej na oczy. Chciałaś, to masz prawdę. A zapamiętaj, co ci jeszczek dołożę: jak zechcę, to żebyś mu całowała nogi, kopnie cię, a za mną poleci w cały świat! Wymiarkuj to sobie i ze mną się nie równaj, rozumiesz, co?

Wołała zjadliwie, władna już sobą i bez lęku, a tak urodna jak nigdy. Nawet matka słuchała jej z podziwem i strachem, tak wynosiła się inna jakaś, zgoła obca i zarazem tak jakoś straszna, zła i groźna kiej ta chmura trzaskająca piorunami.

Zaś Hanke słowa te poraziły jakby na śmierć; biły ją do krwi, smagały bez litości ni miłosierdzia i rozgniatały kiej tego mizernego robaka; waliła się, kiej drzewo podarte piorunami, bez sił już i bez pamięci. Ledwie już poredziła nabrać powietrza zbielełymi wargami, opadła na ławę, a od tego bólu to wszystko się w niej rozsypywało w miałki a płony piasek, że nawet łzy przestały cieknąć po twarzy, spopielalej od męki, chociaż ciężki, wzburzony szloch rozrywał jej piersi. Z lękiem patrzyła przed siebie, kieby w jakąś głąb nagle rozwartą, i drżała niby to źdźbło, które wiać żenie na zatrąte...

Jagus już dawno przestała i poszła z matką na swoją stronę, Magda się też wyniesła nie mogąc się z nią dogadać, nawet Józka poleciała nad staw za kaczetami, a ona wciąż siedziała na jednym miejscu kiej ta zmartwiała ptaszka, której wybiera pisklęta, że ni krzyżeć, ni bronić, ni uciekać już nie poredzi, a jeno czasem zabije skrzydłem i żałośnie zapiuka...

Aż Pan Jezus zlitował się nad nią, dając folgę umęczonej duszy, że przecknąwszy padła przed obrazami, buchnęła rześnistym płaczem i ochfiarowała się iść do Częstochowy, byle to wszystko, co usłyszała, było nieprawdą!

A do Jagusi nie czuła nawet złości, tylko brał ją strach przed nią i żegnała się niby przed złym, dosłyszawszy jej głos...

Wreszcie zabrała się do roboty i wezwyczajone ręce robiły prawie same, gdyż myślami była kajś daleko, nawet nie wiedząc, że dzieci wyprowadziła do sadu, że uprzątneła izbę i nałożywszy jadłem dwojaki pędziła Józkę, bych je prędzej poniesła w pole.

A kiej ostała sama i uspokoiła się nieco, jęła rozważać i medytować nad każdym słowem. Mądra była kobieta i dobra, to łącno przepuściła wszystkie swoje obrazy i krzywdy, ale zadraśniętego ambitu nie poredziła zapomnieć, że raz po raz biły na nią ognie i serce się kurczyło od męki, a po głowie latały zamysły krwawej odemsty, aż w końcu i to przemogła, bo szepnęła:

– Juści, że mi się z nią nie równać w urodzie, trudno. Alem mu ślubna i matka jego dzieci! – duma ją rozparła i pewność siebie. – A poleci za nią, to i powróci! Przeciech się z nią nie ożeni! – pocieszała się gorzko, wyglądając na świat.

Południe się już podnosiło, słońce zawisło nad stawem, upał się tak wzmógł, że już parzyła ziemia i rozpalone powietrze zawiewało kieby z pieca, ludzie już wracali z pól, a od topolowej niesły się wraz z tumanami kurzawy porykiwania spędzanego bydła, gdy naraz Hankę jakby tknęło jakieś postanowienie, wsparła się o ścianę i pomyślałszy jeszcze jakieś Zdrowaś obtarła oczy, przeszła sień, otworzyła drzwi do Jagusinej izby i powiedziała mocno, a całkiem spokojnie:

– Wynoś mi się zaraz z chałupy!

Jagna uniesła się z ławy i stanęły naprzeciw mierząc się ślepiami przez długą chwilę, jaże Hanka cofnęła się nieco od proga i powtórzyła przychrzypniętym głosem:

– Wynoś mi się w ten mig, a nie, to cię każę parobkowi wyrzucić... W ten mig! – dodała nieustępliwie.

Stara rzuciła się do niej przekładać i tłumaczyć, ale Jaguś jeno wzruszyła ramionami:

– Nie gadajcie do tego pomietła! Wiadomo, o co jej idzie.

Wyjęła ze spodu skrzynki jakiś papier.

– O zapis ci chodzi, o te morgi, a to je weź sobie i nachlaj się nimi!

Rzekła wzgardliwie, rzucając jej w twarz papierem:

– Udław się nimi choćby na śmierć!

I nie bacząc na matczyne sprzeciwy jęła śpiesznie wiązać toboły i wynosić je w opłotki.

Hankę zemgliło, jakby ją kto trzasnął między oczy, ale papier podniosła i zagadała z pogrozą:

– A prędzej, bo cię psami wyszczuję! – dławilo ją zdumienie, nie mogło się jej pomieścić w głowie, że to prawda. Jakże, całe sześć morgów pola rzuciła kiej ten pęknięty garnek! Jakże! Musi być, co ma źle w głowie! – myślała wodząc za nią oczami.

Jagna zaś, nie zważając na nią, już się wzięła do zdejmowania swoich obrazów, gdy Józka przyleciała z wrzaskiem:

– A korale mi oddajcie, moje są po matce, moje...

Jagna zaczęła je odwiązywać ze szyi, ale się nagle powstrzymała.

– Nie, nie oddam! Maciej mi dali, to już są moje!

Józka poczęła piekłować, jaże Hanka musiała ją skrzyczeć, bych dała spokój, bo Jaguś jakby ogłuchła na zaczepki, a wyniósłszy wszystko swoje poleciała po Jędrzycha.

Dominikowa nie przeciwiała się już niczemu, lecz i nie odpowiadała na zagadywania Hanki ni na Józczyne jazgoty, dopiero kiej zabrali rzeczy na wóz, podniosła się i wyrzekła grożąc pięścią:

– Bych cię nie minęło co najgorsze!

Hanka jaże ścierpła, ale puszczając te słowa mimo uszów zawołała:

– A przypędzi było Witek, to ci twoją krowę zagna do chałupy, a po resztę niech kto przyleci wieczorem, to się pozgania.

Odeszły milcząco, skręciły na drogę i szły, z wolna okrążając staw samym jego brzegiem, jaże się odbijając w wodzie.

Hanka długo patrzyła za nimi z jakąś dziwną zgryzotą i markotnością, a że nie miała czasu na rozważania, bo najemnicy ściągali z pola, to schowała zapis do skrzynki pod klucz, zawarła ojcową stronę i zabrała się do obiadu całe jednak przypołudnie chodziła struta i milcząca nawet niechętnie dając ucho przyepochlebnym słówkom Jagustynki.

– Dobrzeście zrobili! Już dawno trza ją było wygonić. Rozpuściła się kiej dziadowski bicz, bo ktoż jej co zrobi kiej stara z proboszczem za pan brat! Drugą to by już dawno wyklął z ambony!

– Pewnie, juści! – przytwardzała odsuwając się, aby już więcej nie słuchać, a gdy wszyscy rozeszli się znowu do roboty, zabrała Józkę i poszły pleć len, bo się miejscami tak często puszczała złotucha, jaże niektóre zagony żółciły się już z daleka.

Skwapnie się wzięła do pielenia, lecz mimo tego męczyły ją pogrozy Dominikowej i przejmowały niemałym lękiem, a głównie jednak rozmyślała, co Antek powie na to wszystko.

– Jak mu pokażę zapis, to się rozchmurzy. Głupia! sześć morgów, toć prawie gospodarka! – myślała spoglądając po polach.

– Wiecie, a do cna przepomniałyśmy o tym papierze o Grzeli.

– Prawda! Przerywaj, Józia, a ja poletę do księdza, on przeczyta.

Nawet rada była, że pójdzie między ludzi, a przewie się, co na to wszystko powiadają.

Przyogarnęła się nieco w chałupie, a wyjąwszy papier z za obraza poszła z nim na plebanię. Nie zastała jednak księdza, był w polu przy swoich najemnikach przerywających marchew; dojrzała go już z dala, bo stał prawie całkiem rozdziany, w portkach jeno a w słomianym kapelusie, ale bliżej nie śmiała podejść obawiając się, że musi już wiedzieć i jeszcze gotów ją wykrzyzczyć przy ludziach. Zawróciła więc do młynarza, któren właśnie był wraz z Mateuszem puszczał na próbę tartak.

– Przed chwilą żona mi opowiadała, jakżeście to wykurzyli macochę! Ho, ho, pliszka się widzi, a ma jastrzębie pazury! – zaśmiał się bierąc się do czytania owego papieru, ale jeno rzucił okiem, zawołał: –

Zła nowina! Grzela wasz się utopił! Jeszcze na Wielkanoc! Piszą, że rzeczy po nim możecie odebrać u naczelnika w powiecie...

– Grzela nie żyje! Laboga! Taki młody i zdrow! A to mu było dopiero na dwudziesty szósty. Miał już wrócić we żniwa. Utopił się, we wodzie! Jezu miłosierny! – jęknęła załamując ręce, srodze bowiem strapiła ją ta wiadomość.

– Coś letko wama idą schedy, letko! – ozwał się drwiąco Mateusz. – Teraz jeno wygońcie Józkę, a już wszystko będzie wasze a kowalowe...

– Skończyłeś to z Tereską, co już o Jagusi zamyślasz? – odcięła się, jaże młynarz gruchnął śmiechem, a on coś pilnie jął majdrować kole piły.

– Nie da się zjeść w kaszy, chwata baba – powiedział za nią młynarz.

Wstąpiła po drodze do Magdy, która usłyszawszy nowinę rozplakała się i chlipiąc rzewliwie, mówiła przez łzy:

– Wola boska, moi drodzy. Juści, chłop jak dąb, jak mało któren w Lipcach, o dolo człowiekowa, dolo nieszczęsna! Dziś żyjesz, a jutro gnijesz. To już Michał pojedzie po te rzeczy po nim, co mają przepaść. Chudziaszek, a tak się darł do domu!...

– Wszystko w boskim ręku. A do wody to zawdy szczęścia nie miał, baczycie to, jak się topił we stawie co go to ledwie Kłęb wyratował? Snadź już mu było pisane zginąć od niej!

Wyżaliły się, spłakały i rozeszły, boć każda miała dosyć swoich codziennych turbacji a zabiegów, zwłaszcza Hanka.

A po wsi w mig się roznieśli te nowiny, że schodząc z pól o zmierzchu, już sobie o tym rozpowiadali; juści, że Grzeli sielnie żalowano, co zaś do Jagusi, wieś się rozpołowiła, wszystkie bowiem kobiety, zwłaszcza starsze, wzięły stronę Hanki, zajadle powstając na Jagusię, za którą, chociaż nieśmiało, opowiadali się chłopci, że już z tego miejscami przychodziło do swarów...

A nim wieczór zapadł, już na wsi huczało kiej w ulu kumy leciały do kum na porość, poniektóre krzykały do się przez płoty i sady, to dojąc krowy w opłotkach rały z przechodzącymi. Zmierzch się czynił luby, pachnący bowiem a chłodnawy, niebo wisiało jeszcze całe w bladym złocie zachodu, z pól niesły się strzykania koników i głosy przepiórek, a po rowach i bagnach sennie nukały żaby. Dziecińskie wrzawy, śpiewki, to poryki bydła, rżenia, beki, gęgoty i turkotania wozów trzęsły się nad wsią, zaś po drogach, nad stawem i kaj się kto z kim

zetknął, rajcowano zawzięcie o wypadkach, to o tym, z czym chłopci powrócą od dziedzica.

Mateusz wracający z tartaku nasłuchiwał tu i owdzie ale jeno spluwał, kłął z cicha i wymijał rozgadane kумы, dopiero pyskujące przed Płoszkami tak go rozeźliły, że się już wstrzymać nie poredził i powiedział wzburzony:

– Hanka nie miała prawa jej wyganiać, na swoim siedziała. Antkowska może za taką sztukę dobrze posiedzieć i zapłacić!

Zakrzyczała go gruba, rozczzerwieniona Płoszkowa:

– Hanka grontu jej nie zapiera, wiadomo! Ale że Antek leda dzień wróci, to czego inszego się bojała! Hale, upilnuje to domowego złodzieja! A może miała patrzeć przez sitko, co?

– I... grał, a trawy się dzierżał, wiecie! Gadacie, co wama ślina przyniesie, ale nie ze sprawiedliwości, a jeno przez czystą zazdrość!

Jakby wraził kij między osy, tak się wszystkie rzuciły na niego.

– A czegoż to mamy jej zazdrościć, co? Czego? Że latawica i tłuć, że ganiacie za nią kiej te psy, że każdy by do niej rad pod pierzynę, że wstyd i obraza boska przez nią idzie na całą wieś, co?

– Może i tego wam żal, pies ta was wyrozumie! Pomietły juchy, strach im słońca. A bych była kiej Magda z karczmy i robiła co najgorsze, to byście jej przepuścili, ale że urodniejsza nad wszystkie, to każda by ją z osobna utopiła w łyżce wody.

Rozjazgotały się nad nim, jaże musiał uciekać.

– Żeby wam, psiekrwie, poodpadały jęzory! – kłął i przechodząc mimo domu Dominikowej zajrzał w otwarte okna. W izbie się świeciło, Jagusi jednak dojrzeć nie mógł, a wejść się wagował, więc westchnął jeno, zawracając ku swojej chałupie, ale jakoś pokrótce natknął się na Weronkę, idącą do siostry.

– Dopiero co byłam u was. Stacho drzewo obrobił i dół wykopał, można by rznąć, kiedy przyjdziecie?

– Kiedy? A może na święty nigdy. Tak mi już wieś mierznie, że cheba prasnę wszystko o ziem i pójdę, kaj mnie oczy poniesą – zakrzyczał gniewnie i poleciał.

– Dobrze go cosik ugryzło, kiej się tak bzdycy! – myślała zwracając się do Borynów.

Hanka sprzątała już po kolacji, ale zaraz ją wzięła na bok, opowiadając wszystko, jak było. Weronka z rozmysłem pominęła Jagusina sprawę, a tylko rzekła o Grzeli:

– Kiej pomarł, to wam jego część przychodzi do działu.

– Prawda, jeszcze o tym nie pomyślałam.

– A z tym, co dziedzic musi dać za las, to po jakie półwłóczku wypadnie na każdego, troje was jeno! Mój Boże, bogatym to i cudza śmierć na profit się obraca – westchnęła żałośnie.

– Co mi tam bogactwo! – broniła się Hanka, lecz skoro się porozchodzili spać, wzięła rachować po swojemu i skrycie się cieszyć.

Zaś potem klękając do pacierzów szepnęła z rezygnacją:

– A skoro już pomarł, to już taka była wola boska. – I szczerze westchnęła za jego duszę.

Nazajutrz kole południa wszedł do izby Jambroży.

– Kajżeście to chodzili? – spytała rozpalając ogień na kominie.

– U Kozłów byłem, dziecko się im oparzyło na śmierć. Wołała mnie, ale tam już jeno trumny potrza i pochowku.

– Któreż to?

– A to mniejsze, co je na zwieszę przywiezła z Warsiawy. Wpadło do grapy z ukropem i prawie się ugotowało.

– Cosik nie wiecie się jej z tymi znajdami.

– A nie wiecie. Nie traci ona na tym, dają na pochówek! Ale nie z tym do was przyszedłem.

Podniosła na niego niespokojne oczy.

– Wiecie, Dominikowa pojechała z Jagusią do sądu, pono skarżyć was będzie o wygnanie córki...

– A niech skarży, co mi ta zrobi!

– Były z rana u spowiedzi, a potem długo radziły z dobrodziejem, nie podsłuchiwałem juści, a mówię, co me jeno doszło piąte przez dziesiąte; tak się na was skarżyły, jaże proboszcz pięścią wygrażał.

– Książdz, a wsadza nos w cudze sprawy! – wyrzekła porywczo, tak jednak zgryziona tą wiadomością, że cały dzień chodziła kiej błędna, pełna trwóg i najgorszych przypuszczeń.

O samym mroku jakiś wóz przystanął przed opłotkami.

Wyleciała z chałupy zestrachana i dygocąca, wójt siedział na bryce.

– O Grzeli już wiecie! – zaczął. – No, nieszczęście i tyła! Ale mam la was i dobrą nowinę: oto dzisiaj abo najdalej jutro powróci Antek!

– Nie zwodziecie mnie aby? – nie śmiała już zawierzyć.

– Wójt wama mówi, to wiercie! w urzędzie mi powiedzieli...

– To i dobrze, kiej wraca, największa pora! – mówiła chłodno, jakby całkiem bez radości, a wójt pomedytował cosik i pomówił wielce przyjacielsko:

ROZDZIAŁ 4

Ale przez takie przeróżne a ciężkie przejścia Hanka całkiem nie mogła zasnąć tej nocy, a przy tym ciągiem się jej widziało, że słyszy czyjeś kroki w opłotkach, to na drodze, to nawet jakby pod samą chałupą. Nasłuchiwała z bijącym sercem, ale cały dom spał głęboko, nawet dzieci nie matyjasily, noc była głucha, chociaż widnawa, gwiazdy zaglądały w okna i niekiedy poszumiały drzewa, gdyż jakoś od samego północks podniósł się wiatier przedmuchując kiej niekiej.

W izbie było duszno i gorąco, zły fetor zalatywał od kacząt nocujących pod łózkami, ale Hance nie chciało się otworzyć okna, śpik już ją całkiem odszedł, parzyła ją pierzyna i poduszki zdały się rozpalone kiej blachy, że jeno przewracała się z boku na bok, coraz barzej niespokojna, boć te przeróżne pomyslunki roily się we głowie kieby mrowisko, oblażąc ją całą gorącymi potami, a przejmując takim dygotem, że już nie mogąc zapanować nad strachem porwała się nagle z łózka i boso, w koszuli, a ze siekierą w garści, która się jakoś sama nawinęła, poszła w podwórze.

Wszycko tam stojało na rozcież wywarte, ale wszędy leżała niezgłębiona cichość śpiku. Pietrek chrapał rozciągnięty pod stajnią, konie gryzły obroki pobrzękując łańcuchami uździenic, zaś krowy nie powiązane na noc w oborze porozłaziły się w podwórze, leżały przeżuwając i głamiąc oślinionymi gębulami, podnosząc ku niej ciężkie, rogate łby i czarne, niepojęte gały ślepiów.

Powróciła do łózka i leżąc z otwartymi oczami, znowu trwożnie nasłuchiwała, gdyż przychodziły takie chwile, w których byłaby dała głowę, jako wyraźnie roznoszą się jakieś głosy i głuche, dalekie kroki.

– A może w którejś chałupie nie śpią i poredzają! – próbowała sobie wyrozumieć, lecz skoro jeno chyla tyła poszarzały okna, podniosła się i narzuciwszy Antkowy kozuch wyszła przed dom.

W ganku Witkowy bociek spał na jednej nodze i ze łbem podwiniętym pod skrzydło, zaś w opłotkach bielily się pokulone stadka gęsi.

Czuby drzew już się wypinały z nocy, rosa kapiała obficie z wierzchołków, trzepiąc o liście i trawy, zawiewał rzeźwy, krzepiący chłód.

Niskie, sinawe opary obtulały pola, z których jeno kajś niekaj rwały się co wyższe drzewa buchając w górę niby te czarne, gęste dymy.

Staw polśniewał jak to ślepe, wielgachne oko zasute pomroką, olszowe wysady gwarzyły nad nim cichuśko i trwożnie, gdyż wszystko jeszcze dokoła spało, zatopione w szarym, nieprzejrzanym mącie i cichości.

Hanka przysiadła na przyźbie i przytuliwszy się do ściany zadrze-mała, ani się tego spodziewając, na jakie dobre parę pacierzów, bo kiej przecknęła, noc już była zbielała do cna i na wschodzie rozpałały się czerwone zorze jako te łuny dalekie.

– Jak wyszli o chłodzie, to ani chybi, co ino ich patrzeć! – myślała wyzierając na drogę, tak się czuła skrzepioną tym krótkim śpikiem, że nie wróciła już do łóżka i aby łacniej doczekać się słońca, wyniesła dziecińskie szmaty i poszła je przeprać we stawie.

A dzień podnosił się coraz chybciej, że pokrótce zapiał kajś pierwszy kogut, a wnet po nim jęły trzepotać skrzydłami drugie i przekrzykiwać się rozgłośniej na całą wieś, zaś potem zaśpiewały skowronki, ale jeszcze z rzadka, i z przyziemnych mroków wyłaniały się z wolna bielone ściany, płoty a puste, orosiałe drogi.

Hanka prała zawzięcie, gdy naraz kajś niedaleko rozległy się ciche stapania, przywarła w miejscu kiej trusia, pilnie przezierając dokoła, jakiś cień przedzierał się z obejścia Balcerkowej i sunął czająco pod drzewami.

– Juści, co od Marysi, ale kto? – ważyła nie mogąc rozpoznać, gdyż cień przepadł nagle i bez śladu. – Taka harna, taka zadufana w swoją urodę, a puszcza na noc chłopaków! kto by się to spodział!

Myślała zgorszona, spostrzegając znowu, że młynarczyk przemyka się z drugiego końca wsi.

– Pewnikiem z karczmy, od Magdy! A to jak wilki tłuką się po nocy. Co się to wyprawia! – westchnęła, lecz ją samą przejęły jakieś ciągotki, gdyż raz po raz przeciągała się z lubością, ale że woda była chłodnawa, to prędko przeszło, i wzięła nucić ściszoną, a tęsknością nabranym głosem:

Kiedy ranne wstają zorze!

Pieśń leciała nisko po rosie, wsiąkając w zróżowione świtania.

Pora już była wstawać, po wsi zaczęły się rozlegać brzęki otwieranych okien, klekoty trepów i przeróżne głosy.

Hanka, jeno rozwiesiwszy przeprane szmaty na płocie, poleciała budzić swoich, ale tak byli jeszcze śpikiem zmorzeni, że co która głowa się uniesła, to zaraz padała ciężko, niczego nie miarkując.

Zeźliła się niemało, gdyż Pietrek krzyknął na nią z góry:

– Psiachmać! Pora jeszcze, do słońca spał będę! – i ani się ruszył.

Dzieci też jęły się mazać, a Józka skarżyła się żałośnie:

– Jeszcze ździebko, Hanuś! Dyc dopiero co się przyłożyłam...

Przyciszyła dzieci, powypędzała drób z chlewów, a przeczekawszy jeszcze z pacierz, już przed samym wschodem, kiej wyniesione niebo całkiem rozgorzało, a staw szcerwienił się od zórz, narobiła takiego piekła, jaże musieli się pozwlekać z barłogów. Wsiadła też z miejsca na Witka, któren łąził zaspany cochając się jeno o węgły i drapiąc.

– Jak cię czym twardym zleję, to przeckniesz! Czemuś to, pokrako jedna, krów nie powiązał do żłobów! Chcesz aby se w nocy kałduny popruły rogami?

Odszczeknął cosik, aż skoczyła do niego, szczęściem, co nie czekał, więc zajrzawszy do stajni czepiła się Pietrka.

– Konie dzwonią zębami o pusty żłób, a ty się wylegujesz do wschodu!

– Wydzieracie się kiej sroka na deszcz. Cała wieś słyszy! – mruknął.

– A niech słyszy! Niech wiedzą; jakiś to wałkoń i próżniak! Czekaj, wróci gospodarz, to ci da radę, obaczysz! Józka – zakrzyczała znów w drugiej stronie podwórza – krasula ma twarde wymiona, ciągnij mocno, byś znowu pół mleka nie ostawiła! A śpiesz z udojem, na wsi już wyganiają krowy! Witek! bierz śniadanie i wypędzaj, a pogub mi owce, jak wczoraj, to się z tobą rozprawię! – rozrządzała zwijając się sama jak fryga; kurom podrzuciła przygarście ziarna, świniom kwiczącym pod chałupą wyniesła cebratkę z żarciem, cielęciu odsadzonemu od matki sporządziła picie, sypnęła kaszy gotowanej kaczętom i wyгнаła je na staw. Witek dostał pięścią za plecy i śniadanie do torby, nie zapomniała nawet boćka, stawiając mu w ganku żeleźniak z wczorajszymi ziemniakami, że przyczajał się, klekotał, a kuł w niego i wyjadał. Była wszędy, o wszystkim pamiętała i na wszystko miała sposobną radę.

A skoro Witek pognał krowy i owce, zabrała się do Pietrka, nie mogąc ścierpieć, iż się wałęsa bez roboty.

– Wyrzuć gnój z obory! krowom w nocy gorąco i tytłają się kiej świnie.

Słońce właśnie co jeno wyjrzało z dalekości, ogarniając świat czerwonym, gorącym okiem, gdy zaczęły się schodzić komornice, robiące w odrobku za ziemię pod len i ziemniaki.

Zapędziła Józkę do obierania ziemniaków, dała piersi dziecku i okrywszy się w zapaskę rzekła:

– Miej ta baczenie na wszystko! A jakby Antek wrócił, daj znać na kapuśniki. Chodźta, kobiety, póki rosa a chłodniej, okopiemy nieco kapusty, a od śniadania wrócim do wczorajszej roboty.

Powiedła je poza młyn, na niskie łąki i mokradła siwe jesczek od rosy i mgieł opadających. Torfiaste ziemie uginały się pod nogami kiej rzemieńne pasy, zaś gdzieniegdzie tak było grząsko, że musiały obchodzić, w bruzdach głębokich niby rowy stały spleśniałe wody, pokryte zieloną rzęsą.

Na kapuśniskach nie było jeszcze nikogo, jeno czajki kołowały nad zagonami, a boćki chodziły kiwający, pilnie bobrując. Pachniało bagnem i surowizną tataraków a trzcina, co poobsiadały kępami stare, zapadłe doły torfowe.

– Piękny czas, ale widzi mi się, na spiekę idzie – ozwała się któraś.

– Dobrze, co wiatr przechładza.

– Bo rano, barzej on suszy niżli słońce.

– Dawno nie pamiętają tak suchego lata! – pogadywały stając do roboty na wyniesionych zagonach kapusty.

– Jak to wyrosła, już się poniektóre skłębiają na główki.

– Żeby jeno nie objadły robaczyska. Susza, to mogą się jeszcze rzucić.

– A mogą. Na Woli obzarły już ze szczętem.

– W Modlicy zaś wyschła do cna, musiały sadzić na nowo.

Poredzały dziabiać motyczkami ziemię i kopiasto obsypując grzędę, galancie wyrosłe, ale i sielnie zachwaszczone, mleczce bowiem szły w kolano, a kacze ziela i nawet osty puszczały się gęsto kiej las.

– Czego człowiek nie sieje ni potrzebuje, to się bujnie rodzi – zauważyła któraś otrzepując ze ziemi jakiś chwast wyrwany.

– Jak każde złe! Grzechu ano nikt nie posiewa, a pełno go na świecie.

– Bo plenny! Mościewy! póki grzechu, póty i człowieka. Przeciech powiadają: bez grzechu nie byłoby śmiechu, albo to: kiejby nie grzech,

to by człowiek dawno zdechł! Potrzebny musi być na coś, jako i ten chwast, bo oba stworzył Pan Jezus! – prawiała po swojemu Jagustynka.

– Pan Jezus by ta stworzył złe! Juści! Człowiek to jak ta świnia, wszystko musi swoim ryjem pomarać! – rzekła surowo Hanka, iż pomilkły.

Słońce już się było wyniosło galancie i mgły opadły do znaku, kiej dopiero ode wsi zaczęły nadchodzić kobiety.

– Robotnice! Czekają, aż im rosa przeschnie, żeby se nie zamoczyć kulasów – szydziła Hanka.

– Nie każdy tak łasy na robotę jako wy!

– Bo nie każdy tak musi harować, nie każdy! – westchnęła ciężko.

– Wasz wróci, to se odpoczniecie.

– Już się do Częstochowskiej ochfiarowałam na Janielską, bych jeno powrócił. Wójt obiecał go na dzisiaj.

– Z urzędu wie, to musi być, co i prawda. Ale latoś sporo narodu wybiera się do Częstochowy. Organiścina pono idzie i powiadała, co sam proboszcz oprowadzi kompanię!

– A któż mu to poniesie brzuch! – zaśmiała się Jagustynka. – Sam go nie udźwignie bez tylachny karwas drogi. Obiecuje, jak zawdy.

– Byłam już parę razy z kompanią, alebym co roku chodziła – westchnęła Filipka zza wody.

– Na próżniaczkę kuźden łakomy.

– Jezu! – ciągnęła gorąco, nie bacząc na przycinki. – A dyć to człowiek jakby szedł do nieba, tak mu jest w tej drodze lekko i dobrze. A co się napatrzy świata, a co się nasłucha, co się namodli! Jeno parę niedziel, a widzi się człowiekowi, jakoby na całe roki zbył się bied a turbacji. Jakby się potem na nowo narodził!

– Prawda, to łaska boska tak krzepi! Juści – przytwierdzały niektóre.

Od wsi, ścieżką nad rzeką, między szuwarami a gęstą, młodą olszyną, przemykała się ku nim jakaś dziewczyna. Hanka przysłoniła oczy od słońca, ale nie mogła rozeznąć, dopiero z bliska poznała Józkę, która leciała, jak jeno mogła, już z dala krzycząc i wytrząchając rękami:

– Hanuś! Antek wrócili! Hanuś!

Hanka prasnęła motyczką i porwała się kiej ptak do lotu, ale się w mig opamiętała, opuściła podkasany welniak i chocia ją ponosiło, chocia serce się tłukło, że tchu brakowało i ledwie poredziła przemówić, rzekła spokojnie jakby nigdy nic:

– Róbcie tu same, a na śniadanie przychodzi do chałupy.

Odeszła z wolna, bez pośpiechu, przepytując Józkę o wszystko.

Kobiety poglądały na się, do cna stropione jej spokojnością.

– Jeno la oczów ludzkich taka spokojna. Żeby się nie prześmiewali, co jej pilno do chłopca. Ja bym ta nie wytrzymała! – mówiła Jagustynka.

– Ani ja! Bych się jeno Antkowi nie zachciało nowych jamorów...

– Nie ma już na podorędziu Jagusi, to może mu się odechce.

– Moiście! Jak chłopu zapachnie kiecka, to za nią w cały świat gotów.

– Oj prawda, bydlę się nie tak łatwo narowi do szkody jak chłop niektóry...

Plotły, ledwie się już ruchając przy robocie, a Hanka szła wciąż jednak i jakby z rozmysłu pogadując z napotkanymi, chocia i nie wiedziała, co mówi ni co odpowiadają, bo w głowie miała to jedno, że Antek wrócił i na nią czeka.

– I z Rochem przyszedł? – pytała jedno w kółko.

– A z Rochem! Dyć już wam mówiłam!

– A jaki, co? Jaki?

– Wiem to jaki? Przyszedł i zaraz z progu pyta: kaj Hanka? Powiedziałam i zarno w te pędy po was, no i tyła!

– Pytał o mnie! Niech ci Pan Jezus... Niech ci... – zaniesła się radością.

Dojrzała go już z daleka, siedział z Rochem w ganku, a увидziawszy ją wyszedł naprzeciw w opłotki.

Szła ku niemu coraz wolniej i coraz ciężej, chytając się po drodze płota, gdyż nogi się pod nią gięły, brakowało tchu, dusiły łyzy i w głowie miała taki męt, co ledwie zdoliła wyjąkać:

– Tyżeś to! Tyżeś! – łyzy zalały resztę słów nabranych radością.

– A ja, Hanuś! Ja! – przygarnął ją mocno do piersi, a przytulał z dobrością i z całego serca. Cisnęła się też do niego zgoła już bez pamięci, a jeno te szczęsne łyzy spływały ciurkiem po twarzy zbladłej i wargi się trzęsły, dawała mu się w ramiona wszystka, kiej to utęsknione dzieciątko.

Długo nie poredziła przemówić, ale cóż to mogła rzec i jak wypowiedzieć, co się w niej działo! Dyć byłaby klękała przed nim, dyć byłaby prochy zmiatała, więc jeno niekiedy rwało się jej z piersi jakieś słowo, padając kiej to ważne ziarno i kiej ten kwiat pachnący weselem i oroszony krwią serdeczną, a oczy wierne i oddane, oczy pełne bez-

granicznego miłowania kładły mu się pod stopy kiej psy, zdając się na wolę jego i na jego łaskę.

– Zmizerowałaś się, Hanuś! – szepnął gładząc ją pieściwie po twarzy.

– Jakże... tylam przeniesła, tylam się wyczekała...

– Zapracowała się kobieta – ozwał się Rocho.

– To i wy jesteście! Całkiem o was przepomniałam! – jęła go witać i całować po rękach, on zaś rzekł żartobliwie:

– Nie dziwota. Obiecałem go wam przywieść, to go sobie macie...

– A mam! Mam! – zawołała stając w nagłym podziwieniu przed Antkiem, wybielał bowiem, wydelikatniał i taki się widział urodny, mocarny, pański, jakby zgoła kto drugi, pojąć tego nie mogła.

– Przemieniłem się to, co tak po mnie ślepiasz?

– Niby nie, ale całkiem jesteś jakiś zgoła inakszy.

– Poczekaj, pójdę w pole do roboty, to zarno będę jak przódzi.

Skoczyła naraz do izby po najmłodsze dziecko.

– Jeszcze go nie widziałeś! – wołała wynosząc rozkrzyczanego chłopaka – popatrz jeno, podobny do ciebie jak dwie krople.

– Sielny parob! – zawinął go w róg kapoty i pohuśtywał.

– Rocho mu na imię! Pietras, a chodźże i ty do ojca – podsadziła starszego, że jął się gramolić na ojcowe kolana bełkocząc cosik. Antek objął obydwóch z dziwną czułością.

– Robaki kochane, kruszyny najmilejsze! Jak to już Pietras wyrósł, no, i po swojemu coś rajcuje.

– Przecie, a taki sprzeciwny, a taki zmyślny, dorwie się jeno bata, to zara trzaska i gęsi wygania – przykucnęła przy nich. – Pietras, powiedz: tata! powiedz.

Juści, co zamamrotał i nawet jeszcze więcej cosik gwarzył po swojemu, ciągnąc ojca za włosy.

– Józka, czemu się to na mnie boczysz? Chodźże – zauważył.

– A bo to śmieć – pisknęła wstydliwie.

– Chodźże, głupia, chodź! – przygarnął ją tkliwie, po bratersku. – Tera już me we wszystkim słuchaj kiej ojca. Nie bój się, srogi la ciebie nie będę i krzywdy od mnie nie zaznasz.

Rozplakała się dziewczynina żalnie, wypominając ojca i brata.

– Jak mi wójt pedział o jego śmierci, to jakby me kto kłonicą zdzielił, jaże me zamroczyło. Taki parob kochany, taki brat najmilejszy. I kto by się to spodział. Jużem sobie układał w głowie, jak się to grontem podzielim, nawet już o kobiecie la niego myślałem – wyrzekał cicho, z

głęboką boleścią, jaże Rocho, aby odwrócić smutne myśle od wszystkich, zawołał podnosząc się z miejsca:

– Dobrze wam gadać, a mnie już kiszki marsza grają.

– Laboga, do cna przepomniałam. Józka, łap no te żółte kogutki. Cipuchny! cip, cip, cip! A może jajków przódzi, co? A może chleba? świeży i masło wczorajsze! Urznij łby i sparz wrzątkiem! Wnet je wam sprawię. To gapa ze mnie, żeby zabaczyć!

– Ostaw, Hanuś, kogutki na potem, a sporządź cosik po naszemu. Tak mi się już przejadło to miesckie jedzenie, co ochotnie siędę przed miską ziemniaków z barszczem – śmiał się wesoło. – Jeno la Rocha zgotuj co inszego.

– Bóg zapłać! Właśnie na to samo mam smaki!

Hanka rzuciła się szykować, ale że ziemniaki już parkotały w garnku, to jeno wyniesła z komory kiełbasę do barszczu.

– La ciebiem ostawiła, Jantoś. To z tej maciory, coś to ją kazał zaszlachtować przed Wielkanocą.

– No, no, niezgorsze pęto, ale da Bóg, że je zmożemy. Hale, Rochu, a kajże to nasze gościńce?

Stary podsunął spory toból, z którego Antek jał wyjmować różności, a podawać każdej z osobna.

– Naści, Hanuś, to la ciebie, jak ci kaj droga wypadnie – podał jej wełnianą chustę, takusieńką, jaką miała organiścina, całkiem czarna i w czerwone i zielone kraty.

– La mnie. Żeś to pamiętał, Jantoś – jęknęła z niezgłębioną wdzięcznością.

– Ba, żeby nie Rocho, to bym był zabaczył, ale przypomnieli i poszlim razem wybierać i kupować.

A sporo nakupił, gdyż dodał żonie jeszcze trzewiki i chusteczkę na głowę jedwabną, modrą w żółte kwiatuszki. Józce dał taką samą, jeno co zieloną, oraz fryzkę i parę sznurków paciorków z długachną wstęgą do zawiązywania, zaś la dzieci przywiózł pierników i organki, nawet miał la kowalowej, bo cosik odłożył obwiniętego w papier, a nie zapomniał Witka ni też o parobku.

Jaże krzyknęły z podziwu na coraz nowe cudności, oglądając je i przymierzając z taką radością, że Hance łzy kapały po zrumienionej twarzy, a Józka za głowę chytała się w podziwie.

Rocho się uśmiechał zacierając ręce, Antek zaś jeno pogwizdywał.

– Zarobiliście sobie na gościniec. Rocho powiadał, jak to wszystko szło składnie w gospodarce. Dajcie no spokój, nie la dziękowań przywiezłem – wołał broniąc się, bo rzuciły się go ścisnąć i całować.

– Ani mi się kiej śniły takie cudności – szepnęła łzawo Hanka siadając przymierzać trzewiki. – Ciasne ździebko, nogi mi nabrzmiały od bosaka, ale na zimę będą w sam raz.

Rocho jął się rozpytywać o wieś i różne sprawy, opowiadała jeno piątę przez dziesiątę krzątając się tak pilnie kole jadła, że pokrótce zastawiła przed nimi ziemniaków szczerze omaszczonych tęgą micę i nie mniejszą barszczu, w którym kieby koło pływała kielbasa.

Skwapnie się przypięli do śniadania.

– To mi dopiero jadło – pokrzykiwał wesolo – kielbasa galancie czujna. Po tym to człowiek poczuje jakąś wagę w żywocie. A to me paśli w tym kreminale, żeby ich wciorności.

– Dopieroś to się, chudziaku, namorzył głodem.

– Jakże, toć w końcu już nic jeść nie mogłem.

– Powiadali chłopcy, jak tam żywią, że pono pies jeno z głodu chyliłby się takiego jadła, prawda to?

– Juści, co prawda, ale najgorsze, że trza było siedzieć zawarty. Póki było zimno, to jeszcze, ale skoro dogrzało słońce i zaleciało mi ziemią, to myślałem, co się już wścieknę. Pachniała mi wola lepiej niżli ta kielbasa. Jużem kraty próbował rwać, jeno co przeszkodziły.

– Prawda, co tam biją? – spytała lękliwie.

– A biją! Są tam bowiem i takie zbóje, które już z czystej sprawiedliwości powinny co dnia brać kije. Mnie się ta nie ważono tknąć ni palcem. Niechby jucha spróbował który, dałbym mu tabaki, no!

– Juści, kto by cię ta przemógł, moczaru, kto? – przyświadczała radośnie, wpatrzona w niego i czuwająca na najłżejsze skinienie.

Rychło się jednak uwinęli z jadłem i zaraz poszli spać do stodoły, kaj już nanieśla im Hanka do sąsiek pierzyn i poduszek.

– Bójcie się Boga, toć stopimy się na skwarki – zaśmiał się Rocho.

Już nie odrzekła, ale zawarłszy za nimi wrota, wtedy dopiero całkiem osłabła i uciekła na ogród do pielenia pietruszki. Rozglądała się chwilę dokoła i buchnęła płaczem. Płakała z radości, płakała, że słońce przygrzewało ją w plecy, że zielone drzewa chwiały się nad głową, że ptaki śpiewały, że pachniało wszystko i kwitnęło i że jej było tak dobrze, tak cicho i tak błogo na duszy, jakby po tej świętej spowiedzi albo i jeszcze lepiej.

– Żeś to wszystko sprawił, mój Jezu! – jęknęła podnosząc łzawe oczy ku niebu, w najszczerzej, zgoła niewypowiedzianej podzięce za tyle dobra, jakie ją spotkało.

– I że się to już przemieniło! – wdychała zdumiona, szczęśna, prawie wniebowzięta, że już cały czas, dopóki spali, chodziła ledwie przytomna ze szczęścia. Czuwała nad nimi kiej kokosz nad piskletami. Wyniesła dzieci daleko w sad, bych czasem nie zakrzyczały. Przepędziła z podwórza wszelką gadzinę nie bacząc nawet, że świnię pyskają wczesne ziemniaki, a kury rozgrzebują wschodzące ogórki. Już o całym świecie przepomniała, ciągiem zazierając do śpiących.

– A dzień tak się przykro dłużył, co już nie mogła sobie poredzić. Przeszło bowiem śniadanie, przeszedł obiad, a oni wciąż spali. Porzędziła wszystkich do roboty, ani dbając, co się tam bez niej wyrabia, stróżując jeno, a ciągiem drepcząc od stodoły do chałupy.

Sto razy wyjmowała gościniec przymierzać, oglądać i wołać.

– A kaj to drugi taki dobry i pamiętliwy, kaj?

Aż w końcu poleciała na wieś do kobiet, a kogo jeno dostrzegła, to mu już z dala krzyczała:

– Wiecie, a to mój powrócił. Śpi se tera w stodole.

I śmiały się jej oczy i twarz i tak wszystka tchnęła rozradowaniem i weselem, jaże kobiety się dziwowały.

– Urzekł ją ten wisielec czy co? Do cna zgłupiała.

– Zarno się ona pocznie wynosić a nos zadzierać, obaczycie!

– Niech jeno Antek wróci do dawnego, to jej rura zmięknie – porędziły.

Juści, co nie słyszała tych pogadek, ale przyleciawszy do chałupy wzięła się na ostro do sporządzania sutego obiadu, lecz dosłyszawszy gęsi krzyczące na stawie wypadła je przyciszać kamieniami, że ledwie z tego klótnia nie wyszła z młynarzową.

Właśnie co ino była podwieczorek posłała ludziom na pole, gdy chłopcy przyszły ze stodoły. Narządziła im obiad pod domem w cieniu i na chłodzie, podając nawet gorzałkę i piwo, zaś na dojadkę postawiła z pół sitka dobrze żrałych wisien, które była przyniesła od księżej gospodyni.

– Obiad suty jakby na weselu – żartował Rocho.

– Gospodarz wrócił, małe to jeszcze wesele? – odparła zwijając się kole nich i mało wiele sama pojedając.

Po skończeniu Rocho zaraz poszedł na wieś obiecując się na wieczór, zaś ona spytała nieśmieie męża:

– Chcesz to obejrzyć gospodarke?

– A dobrze! Święto się już skończyło, trza się będzie brać do roboty! Mój Boże, anim się spodział, co mi tak rychło przyjdzie ojcowizna!

Westchnął i poszedł za nią; powiodła go najpierwej do stajni, kaj parskały trzy konie, a w zagrodzie kręcił się źrebak; potem do pustej obory, zaś jeszcze potem do stodoły do tegorocznego siana; zaglądał nawet do chlewów i pod szopę, gdzie stały różne narzędzia i porządki.

– Bryczkę trza będzie przetoczyć na klepisko, bo się do cna rozeschnie.

– A bo to raz przykazywałam Pietrkowi? Cóż, kiej me nie słuchał.

Zaczeła zwoływać prosięta i drób, sielnie się przechwalając dużym przychowkiem, a kiej i to obejrzał, odpowiedziała szeroko o polnych robotach, gdzie co posiane i wiela każdego z osobna, pilnie przy tym naglądając mu w oczy i wyczekując, ale on sobie wszystko poukładał w głowie po porządku, przepytując jeno o to i owo, a dopiero w końcu rzekł:

– Jaże uwierzyć trudno, żeś to wszystkiemu sama uredziła!

– La ciebie to bym i więcej zmogła – szepnęła gorąco, strasznie rada z pochwały.

– Chwat z ciebie, Hanuś, chwat! anim się spodział, coś taka.

– Było potrza, to juści, co człowiek kulasów nie pożałował.

Obejrzał nawet sad, pełen wiśni już przez pół czerwonych, i grędy, kaj rosły cebule, pietruszka i kapuściane wysadki.

Wracali już z powrotem, gdy przechodząc kole ojcowej strony zajrzał do środka przez wywarte okno.

– A kajże to Jagna? – latał zdumionymi oczami po pustej izbie.

– A kaj! u matki! Wygnałam ją! – rzekła twardo, podnosząc na niego oczy.

Ściągnął brwie, przedeliberował czas jakiś i zapalając papierosa rzucił spokojnie, jakby od niechcienia:

– Dominikowa zły pies, nie przepuści nam bez precesu.

– Już pono wczoraj latały ze skargą do sądu.

– Od skargi do wyroku droga szeroka. Ale trza to będzie wziąć dobrze na rozum, bych nam nie wystroiła jakiego figla.

Opowiadała, z czego to wszystko poszło i jak się stało, wiela juści pomijając, nie przerywał ni pytał, brwie jeno marszcząc i łyskając oczami, dopiero kiej mu zapis podała, ośmiał się kaśliwie:

– Tyle wart, co możesz z nim bieżyc za ścianę.

– A juści, przeciek to ten sam, co go jej dali ociec.

– I stoi właśnie złamany patyk! Jakby się odpisała u rejenta, to by co znaczyło. La śmiechu go rzuciła!

Cisnął ramionami, zabrał Pietrusia na ręce i ruszył do przełazu.

– Obaczę pola i wrócę! – rzucił za siebie, iż ostała, chociaż dziwnie pragnęła z nim poleżeć, on zaś mijając bróg, już odnowiony i pełen siana, przyglądał mu się spod oka.

– Mateusz go wyporządził. Samej słomy na dach wykręcili ze trzy kopy – wołała za nim stojąc na przełazie.

– A dobrze, dobrze – mruknął, nie był ta ciekaw bele czego. Przeszedł ziemniakami i puścił się miedzą.

Latoś na polach z tej strony wsi były prawie same oziminy i bez to niewiela ludzi spotykał po drodze, a z kim się zszedł, tego witał krótko i prędko przechodził. Zwalniał jednak coraz bardziej, gdyż Pietruś mu ciążył i jakoś dziwnie rozbierało go nagrzane, ciche powietrze. Przystawał, to siadał, nie przestając oglądać prawie każdego zagona z osobna.

– Ho, ho! żółtocha dusi len! – wykrzyknął stając przy zagonach niebieskich od kwiatów, ale gęsto poprzerabianych żółciznami – kupiła siemię zapaskudzone i nie przewiała!

Wstrzymał się potem przy jęczmieniu, który był mizerny i już przypalony, a ledwo widny spod ostów, rumianków i szczawiów.

– Na mokro siali! Spyskał rolę kiej świnia! A żeby cię, jucho; pokręciło za taką uprawę! A jak to ścierwo zbronował! sam perz i kotyry!

Splunął rozeźlony i wszedł na ogromny łąn żyta, co niby wody spławione we słońcu kolebały mu się do nóg bijąc chrzęstliwymi, ciężkimi kłosami. Rozradował się głęboko, gdyż było pięknie wyrosnięte, słomę miało grubą i kłosy niby baty.

– Kiej bór idzie! Ojcowego to jeszcze siania! We dworze nie lepsze! – wykruszył kłos, ziarno było dorodne i pełne, ale jeszcze miętkie – za dwa tygodnie czas mu będzie pod kosę! Byle jeno grady nie zbiły.

Ale nad pszenicą najdłużej się cieszył i napasał oczy, bo chociaż szła nierówno, kłębami a zatokami, lecz z czarniawych, lśniących piór już się łuskały gęste i wielkie kłosy.

– Sypnie niezgorzej. Trzeba jeszcze miejscami przysiec, za bujna. Na górze, a nic ją nie przypaliło! Czyste złoto idzie!

Był coraz dalej, wspinając się z wolna pod łagodne wzgórze, na którym wyrastała czarna ściana boru. Wieś ostała za nim jakby na samym dnie, pławiła się w sadach, a przez przerwy między chałupami polśniewał staw lub jakieś okno zagrało w słońcu.

Kajś pod smętarzem cięli koniczynę i kosy migotały nad ziemią niby te sine błyskawice, gdzie znów czerwieniały kobiece przyodziewy i stada białych gęsi pasły się na wąskich ugorach, a za wsią, w zielonych polach ziemniaków ruchali się ludzie kiej mrówki, zaś jeszcze wyżej, w nieprzejrzanym dalekościach majaczyły jakieś wsie, domy samotne, drzewa pogarbione nad drogami, wielgachne pola i widziały się jakoby potopione w modrawej i wrzącej wodzie.

Głęboka cichość szła górą nad ziemiami, rozpalone powietrze jaże ślepiło migotem, ziejąc takim skwarem, że skroś tych białawych, roztrzęsionych płomi jeno niekiej przeleciał bociek ważąc się ciężko na omdlałych skrzydłach i zazajane wrony przefrunęły.

Skowronki śpiewały kajś niedojrzane, niebo wisiało wysokie, rozpalone i czyste, że tylko gdzieniegdzie warowała na tych niebieskich polach jakaś biała chmurka, kieby ta owca zbląkana.

Zaś po ziemiach baraszkował suchy i gorący wiater przewalając się jak pijany, czasem podrywał się z prześwistem, jaże płoszyły się ptaki, albo gdziesik przyczajony buchał z nagła we zboża i skłębiał je, mącił, wzburzał do dna i przepadał znowu nie wiada kaj, a rozkolebane zagony długo jeszcze gędziły i cichuśko, jakby się skarżąc na wisusa.

Antek przystanął pod lasem na ugorze i znowu się ozgniewał.

– Jeszczek nie podorany! Konie stoją przez roboty, gnój spala się na kupie, a ten ani się zatroszczy! A żeby cię! – zaklął ruszając pod borem ku krzyżowi na topolowej drodze.

Zmęczony się czuł, w głowie mu szumiało i kurz zapierał gardziel, przysiadł pod krzyżem w cieniu brzózek, ułożył na kapocie śpiącego Pietrusia i obcierając rześisty pot zapatrzył się we świat i zamedytował.

Słońce skłoniło się nad bory i pierwsze lekliwe cienie wyłoniły spod drzew, czołgając się ku zbożom. Bór cosik gwarzył z cicha czubkami płonącymi w słońcu, a gęste podszycia leszczyn i osik trzęsły się jakby w zimnicy. Dziecioły kuły zawzięcie i kajś daleko skrzeczały sroki. Czasem między omszałymi dębami zamigotała żońna, jakby kto cisnął kłębkim zwiniętą tęczy.

Chłód zawiewał z omoczonych, cichych głębin, tylko kajś niekaj podartych słonecznymi pazurami.

Zalatywało grzybami, żywicą i rozprażonym bajorem.

Naraz jastrząb wyprysnął nad las, zatoczył krzyżem nad polami, ważył się chwilę i spadł kiej piorun we zboża...

Antek porwał się bronić, ale już było za późno, posypała się kurzawa piór, zbój uciekł, jękliwie zakrzyczały kuropatki, a jakiś zajaczek zestrachany gnał na oślep, jeno mu bielalo podogonie.

– Jak se to wypatrzył! Rabuś jucha! – szepnął siadając z powrotem – cóż, kiej i jastrząb musi się pożywić i choćby ta glista najmarniejsza. Takie już urządzenie na świecie! – medytował okrywając Pietrusiową gębusię, gdyż pszczoły brzęczały nad nią zawzięcie, a jakiś kosmaty trzmiel buczał nieustannie.

Spomniał sobie, jak to jeszcze niedawno wydzierał się na wolę, do tych pól, jak mu to dusza dziw nie uschła z tęsknicy!

– Wymęczyły me, ścierwy! – zaklął nie ruchając się już z miejsca, bo tuż przed nim z żyta wyściubiały lęklive głowy przepiórki nawołując się po swojemu, ale w mig się pokryły, gdyż cała banda wróblego narodu spadła na brzozy, stoczyła się w piach jazgocząc zapamiętałe, tłukąc się a bijąc i swarząc, aż ścichły nagle przywierając do miejsc, jastrząb znowu zakołował i tak nisko, jaże cień leciał po zagonach.

– Dał wam radę, pyskacze! Akuratnie bywa takusienko z ludźmi! Więcej zrobi z niejednym pogrozą niżli skamłaniem – rozważał.

Pliszki się pokazały pobok na drodze, trzęsły ogonami szwendając się tak z bliska, iż skoro poruszył ręką, odleciały za rów.

– Głupie! Mało co, a byłbym którą chycił la Pietrusia!

Wrony wylazły z lasu, maszerowały koleinami wydziobując, co się dało, ale poczuwszy człowieka, jęły ostrożnie, z przekrzywionymi łbami zazierać w niego i obchodzić, podskakując coraz bliżej, a stopercząc obmierzłe, zbójceckie dzioby.

– Nie pożywita się mną – rzucił grudkę, uciekły cicho jak złodzieje.

Zaś potem, że siedział jakby w odrętwieniu, zapatrzony we świat i całą duszą zasłuchany w jego głosy, to wszelaki stwór jał zuchwale ciągnąć na niego; mrówki łąziły mu po plecach, motyle raz po raz przysiadły we włosach, boże krówki szukały czegoś po twarzy, a zielone, spasłe liszki pięły się skwapnie na buty, to leśne ptaszki cosik mu zaświergoliły nad głową i wiewiórka przewijając się od boru zadarła rudy ogon, wążąc się przez mgnienie, czyby nie chycnąć na niego, ale on ani już o czym wiedział, grążył się bowiem w czymś, co buchało z tych ziem nieobjętych, sycąc mu duszę upojną i zgoła niewypowiedzianą słodkością.

Zdało mu się, jakoby z tym wiatrem przewalał się po zbożach; jakby polsniewał mięciušką, wilgotną runią traw; jakby toczył się strumieniem po wygrzanych piachach skroś łąk przejętych zapachem sianoko-

sów; to jakby z ptakami leciał kajś wysoko, górnje nad światem i krzykał z mocą niepojętą do słońca; to znowu jakby się stawał szumem pól, kolebaniem się borów, siłą i pędem wszelakiego rostu i wszystką potęgą tej ziemi świętej, rodzącej w śpiewaniach i weselu. I sobą się wiedział, wszyckim się wiedząc zarazem, bo i tym, co się obaczy i poczuje, czego się dotknie i co się wyrozumie, ale i tym, czego nie sposób nawet pomiarkować, a co jeno poniektóra dusza w godzinę śmierci przejrzy i co się w człowiekowym sercu tylko kłębi, wzbiera i ponosi ją w jakąś niewiadomą stronę, i łyzy słodkie wyciska, i nieukojoną tęsknicą kieby kamieniem przywala.

Szło to przez niego niby chmury, że nim co pojał, już inne następowały, już nowe i barzej jeszcze niepojęte.

Był na jawie, a śpik sypał mu w oczy makiem i wodził kajś ponad dole i stronami zachwyceń prowadził, że już w końcu poczuł się niby w czas Podniesienia, kiej dusza gđziesik się wzniesie i płynie kłęczący na jakieś janielskie ogrody, na jakieś nieba i raje pełne szczęśliwości.

Kwardy był przeciek i do tkliwości nieskory, ale w tych dziwnych minutach gotów był paść na ziem, przywrzeć do niej gorącymi ustami i obejmować cały ten świat kochany.

– Nic, jeno me tak powietrze rozbiera! – bronił się trąc oczy kułakiem i sroząc brwie, ale bo to poredził się przemóc, bo to mógł zdusić w sobie kumentność, która go przepalała?

Na ziemi się bowiem znowu poczuł, na ojcowej i praojcovej gruđzi, między swoimi, to i nie dziwota, co radowała mu się dusza i każde bicie serca zdało się wołać na świat cały mocno i radośnie:

– Dyć znowu jestem! Jestem i ostanę!

Prężył się w sobie, gotów dźwignąć się na to nowe życie, którym już szedł ociec, jakim przeszły dziady i pradziady, i tak samo jak oni pochylał bary, by wziąć ciężki trud i ponieść go nieulekłe i niestrudzenie, aż póki Pietruś nie zastąpi go z kolei...

– Tak już być musi! Młody po starym, syn po ojcu, a posobnie, a cięgiem, dopóki Twoja woła, Jezu miłosierny – dumiał surowo.

Wsparł głowę na rękach i pochylał nisko ociężałą głowę, gđyż nawiedziły go całą ciżbą przeróżne myśle i spominania, zaś jakiś głos kwardy i karcący, jak gđyby głos sumienia, jał mu prawić swoje gorzkie i bolesne prawdy, przygiął się przed nim i ukorzył wyznając się ze wszystkich przewin i grzechów...

Ciężką mu była ta spowiedź i zgoła niełacnym pokajanie, ale przemógł hardość, zdusił w sobie ambit i pychę patrząc w całe swoje życie

nieubłaganymi oczami opamiętania; każdą sprawę swoją przezierał tera do dna, biorąc ją na rozum i na srogi sąd.

– Głupi byłem i tyła! Na świecie musi iść swoim porządkiem! Juści, mądrze powiedzieli ociec: jak wszystkie jada w jedną stronę, źle takiemu, któren z woza spadnie, pod koła zleci! Koni na piechotę się nie zgoni! Że to kuźden człowiek musi wszycko dochodzić swoim rozumem! Drogo niejednemu wychodzi! – myślał smutnie i cierpki prześmiejch okolił mu wargi.

Z boru zaczęły klekotać kołatki a porykiwania ciągnących stad.

Podniósł Pietrusia i ruszył bokiem topolowej przepuszczając stada, idące z leśnych pastwisk.

Kurz się wznosił spod kopyt i bił ponad topole kiej chmura, w zacierwienionych od, zachodu tumanach chwiały się rogate, ciężkie łby i raz po raz skłębiały się owce, obganiane przez pieski, gdyż ciągiem się rwały w przydrożne zboża, pokwikiwały świnię prażone batami, cielaki z bekiem szukały pogubionych matek; paru pastuchów jechało na koniach, a reszta szła ze stadami trzaskając z batów, gwarząc a pokrzykując, któryś zawodził, jaże się rozlegało.

Antek ostawał już za wszystkimi, kiej go dojrzał Witek i przyleciał całować w rękę na powitanie.

– Niezgorzej, widzę, podrosłeś! – ozwał się łaskawie do chłopca.

– Prawda, bo już te portki, com dostał jesienią, są mi po kolana.

– Nie bój się, da ci nowe gospodyni, da! Mają to krowy co jeść?

– Bogać ta mają, do cna już trawę wypaliło, żeby im gospodyni nie podtykała w oborze, to by całkiem zgubiły mleko. Dajcie mi Pietrusia przewieźć go ździebko na koniu – prosił.

– Hale, jeszcze się nie utrzyma i zleci!

– A mało go to już wozilem na żróbce! Przeciek trzymał go będą, chłopak jaże piszczy do konia. – Zabrał go i usadził na jakiejś starej szkapie, wlekącej się ze łbem opuszczonym, Pietruś chycił się rączykami grzywy, zabił gołymi piętami końskie boki a krzykał radośnie.

– Jaki to chwata! parobek mój kochany! – szepnęła Antek, skręcił zaraz w pole i miedzami dobierał się drogi biegnącej za stodołami.

Słońce tylko co zaszło i całe niebo stanęło we złocie i bledziuskich zieleniach, wiatery ustał, zboża zwiesiły ociążałe kłosa, a po rosach leciały wsiowe wrzawy i jakieś dalekie przyśpiewki.

Szedł z wolna, jakby ociążony spominkami, gdyż Jagusia przychodziła mu na pamięć, raz po raz widział przed sobą jej modre oczy i lśniące zęby, i te czerwone nabrane wargi, tchnące tak jakoś z bliska,

jaże się wzdrygał i przystawał. Jak żywa mu stawała, przecierał oczy odganiając ją z pamięci, ale kieby na przekór szła pobok, biedro w biedro jak niegdyś i jak niegdyś zdało się od niej buchać lubym żarem, aże krew uderzała mu do głowy.

– A może i dobrze, co ją wypędziła z chałupy! Kiej ta zadra mi uwięzła, kiej ta boląca zadra: Ale co było, to i nie wróci – westchnął z dziwnie ściśniętym sercem. – Nie sposób. – I prostując się rzucił ostro sam sobie:

– Skończyło się psie wesele! – wszedł już w obejście.

W podwórzu gwarno było i ludnie, krzatali się kole wieczornych obrządków, Józka krowy doiła pod oborą wydzierając się piskliwą nutą, zaś Hanka kluski zagniała na ganku.

Antek przerzekł cosik do Pietrka, pojącego konie, i wszedł oglądać ojcową stronę, przyleciała za nim Hanka.

– Trza będzie wyporządzić i przeniesiemy się tutaj. Jest to wapno?

– Kupiłam jeszcze w jarmarek, zaraz jutro zawołam Stacha, to wybieli. Juści, co na tej stronie będzie nam sposobniej.

Medytował cosik obchodząc wszystkie kąty.

– Byłeś w polu? – spytała nieśmiało.

– Byłem, wszystko dobrze, Hanuś, że i sam bym lepiej nie zarządził.

Pokraśniała strasznie, rada pochwale.

– Jeno Pietrkowi świnie pasać, a nie robić w groncie! Paparuch!

– Abo to nie wiem! Jużem się nawet przewiadywała o nowego parobka.

– Wezmę ja go w garście, a nie posłucha, to wygonię na cztery wiatry!

Chciała jeszcze coś pedzieć, ale dzieci zakrzyczały i poleciała do nich, zaś Antek ruszył w podwórze przepatrując wszystko baczenie, a tak surowo, że choć tylko niekiedy rzucił jakie słowo, a Pietrkowi jaże skóra cierpła i Witek bojąc mu się nawijać na oczy przemykał się jeno z dała, stronami.

Józka doiła już trzecią krowę śpiewając coraz rozgłośniej:

Stój, siwulo, stój!

Skopkę mleka dój!

– A to się drzesz, jakby cię kto ze skóry obłupiał! – krzyknął na nią.

Urwała z nagła, ale że była harda i nieustępliwa, to zaśpiewała dalej, jeno co już ciszej i jakby lękliej:

Kazała cię matka prosić,

Żebyś mleka dała dosyc,

Stój, siwulo, stój!

– Zawarłabyś ano gębę, gospodarz w chałupie! – skarciła ją Hanka dźwigając picie la ostatniej krowy – zaraz tu będzie posłuch – dodała.

Odebrał jej cebratkę i stawiając ją krowie powiedział ze śmiechem:

– Drzyj się, Józia, drzyj, a to szczury prędzej uciekną z chałupy...

– A zrobię, co mi się spodoba! – warknęła harno i zaczepnie, ale skoro odeszli, przycichła zaraz, bocząc się jeno na brata i pyrchając nosem.

Hanka zwijała się teraz kole świń, tak skwapnie dygując ciężkie cebrzyki z żarciem, jaże jej pożałował, bo rzekł:

– Niech chłopaki zaniesą, za ciężko, widzę, na ciebie! Poczekaj, zgodzę ci dziewczkę, bo Jagustynka tyła, ci pomaga, co ten pies napłacze. Kajże to ona dzisiaj?

– Do dzieci poleciała, na zgodę idzie z niemi! Dziewka juści, coby się zdała, jeno co tylachny koszt. Poredziłabym sama, ale jak każesz... twoja wola... – dziw go w rękę nie pocałowała z wdzięczności, ale jeno dorzuciła radośnie: – I gąsków można by więcej przychować, a i drugiego karmika mieć na przedanie!

– Na gospodarce siedlim, to i po gospodarsku trza nam poczynać, jak to przódzi bywało, za ojców! – powiedział po długim deliberowaniu.

A po kolacji wyniósł się pod chałupę, gdyż zaczęli się schodzić znajomkowie a przyjacióły, witając i ciesząc się jego powrotem.

Przyszedł Mateusz z Grzelą, wójtowym bratem, przyszedł Stacho Płoszka, Kłab ze synem, stryjeczny Adam i drugie.

– Wyglądaliśmy jak kania deszczu! – rzekł Grzela.

– A cóż, trzymały me i trzymały kiej wilki! Ani sposób było się wydrzeć! Zasiadli na przyźbie w cieniu, jeden Rocho siedział pod oknem we świetle, lejącym się szeroką smugą aż w sad.

Wieczór był cichy, nagrзany i sielnie rozgwieżdżony, skroś drzew błyskały światelka chałup, staw mrucał niekiedy jakby wzdychając, a wszędy pod ścianami przechładzali się ludzie.

Antek rozpytywał się o różność, gdy Rocho mu przerwał:

– Wiecie, naczelnik zapowiedział, że za dwa tygodnie mają się zebrać Lipce i uchwalić na szkołę!

– Co nam do tego, niech se ojcowie radzą? – wyrwał się Płoszka, ale Grzela wsiadł na niego:

– Łacno zwać na ojców, a samemu wylegiwać się do góry pępem! Bez to, co żadnemu z młodych nie chce się głowy niczym poturbować, to się tak dobrze we wsi dzieje.

– Odpiszą mi gront, to się kłopotał będę.

Zaczęli się o to mocno sprzeczać, aż wtrącił się Antek:

– Nie ma co, szkoła w Lipcach potrzebna, jeno na taką naczelnikową nie powinno się uchwalać ani grosika.

Poparł go Rocho, strasząc ich a podmawiając do oporu.

– Uchwalicie po złotówce, a potem każą wam dodać po rublu... A jak to było z uchwałą na dom la sądu, co? Dobrze się podpaśli za wasze pieniądze. Niezgorsze kałduny im porosły!

– Już ja w tym, aby gromada nie uchwaliła – szepnął Grzela przysiadając się do Rocha, którego wzięto na stronę i dając jakoweś pisma i książeczki cosik z cicha i ważnie nauczał.

Tamci zaś pogadywali jeszcze o tym i owym, jeno co jakoś ospale i bez wielkiej chęci, nawet Mateusz był dzisiaj smutny, mało się odzywał, a tylko bacznie chodził oczami za Antkiem.

Mieli się już rozchodzić, boć trza było wraz ze dniem dźwignąć się do roboty, kiej przyleciał kowal skarżąc, że dopiero przyjechał ze dwora, i kłął na wieś i na wszystkich.

– Co to was znowu ukąsiło? – spytała Hanka wyzierając oknem.

– A co? wstyd powiedzieć, ale trąby są nasze chłopcy, i tyła! Dziezdzic z nimi jak z ludźmi, jak z gospodarzami, a te kiej pastuchy od gęsi! Już się ugodzili z dziedzicem, już wszyscy byli za jednym, a kiej przyszło się podpisywać, to jeden drapie się po łbie i mruczy: – a ja wiem! drugi powie: baby się jeszcze poredzę; zaś trzeci zaczyna skamlać, abych mu jeszcze dołożył tę przyległą łączkę. I zrób co z takimi. Dziedzic tak się zagniewał, że ani już chce słuchać o zgodzie, a nawet przykazał nie dopuszczać lipeckiego bydła na leśne paśniki, a kto wpędzi, fantować.

Strwożyli się tą niespodzianą nowiną klnąc winnych a swarząc się między sobą coraz zawzięciej, gdy Mateusz ozwał się smutnie:

– Wszystko bez to, co naród pobłąkany i zgłupiały kiej barany, a nie ma go komu przywieść do rozumu!

– Mało to jeszcze Michał się natłumaczy każdemu?

– Co tam Michał! Za swoim profitem gania i z dworem trzyma, to juści, co mu naród nie zawiera. Słuchają, ale za nim nie pódą...

Porwał się kowal, gorąco przedstawiając, jako tylko chodzi mu o dobro wsi, jako jeszcze dokłada swojego, bych jeno tę zgodę przeprowadzić.

– Żebyś w kościele przysięgał, a też ci nie uwierzą mruknął Mateusz.

– No, to niech kto drugi spróbuje, obaczymy, czy poredzi! – wołał.

– Pewnie, że kto drugi musi się zabrać do tego.

– Ale kto? Może ksiądz albo młynarz? – rozlegały się szydliwe głosy.

– Kto? Antek Boryna! A jakby i on nie przywiódł wsi do rozumu, to już trza wypiąć plecy na cały jenteres...

– Cóż ja? Któż to me posłucha, co? – jękał zmieszany.

– Masz rozum, pierwszyś teraz we wsi, to cię wszystkie posłuchają.

– Prawda! Juści! Ty jeden! My pójdziem za tobą! – mówili skwapliwie, ale kowalowi było to cosik nie na rękę, bo zakręcił się niespokojnie, skubał wąsy i zaśmiał się zjadliwie, skoro Antek powiedział:

– Przeciek nie święci garnki lepia, mogę i ja poprobować, poredzimy se o tym którego dnia.

Zaczęli się rozchodzić, ale jeszcze każdy z osobna brał go na stronę namawiać, przyobiecując pójść za nim, zaś Kłab mu rzekł:

– Nad narodem zawdy musi ktoś górować, co ma rozum i moc, i pocziwe baczenie.

– A poredzi, jak potrza, i kijem ziobra zmacać! – zaśmiał się Mateusz.

Rozeszli się, ostał jeno pod oknem Antek z kowalem, bo Rocho klęczał na ganku zatopiony w pacierzach.

Długo deliberowali w głębokiej cichości. Że słyhać było jeno Hanke krzątającą się po izbie; strzepywała pościele, obłócząc w czyste poszewki, to myła się długo jakby na jakie wielkie święto, a potem rozczesując włosy pod oknem wyzierała na nich coraz niecierpliwiej, pilnie nadstawiając uszów, gdy kowal zaczął mu cicho odradzać, aby sprawy poniechał, gdyż z chłopami nie trafi do ładu, a dziedzic jest mu przeciwny.

– Nieprawda! poręczył za nim w sądzie! – rzuciła przez okno.

– Kiej lepiej wiecie, to mówmy o czym drugim... – zły był jak pies.

Antek powstał przeciągając się sennie.

– To ci jeno rzeknę na ostatku: puścili cię jeno do sprawy, prawda? związesz się w cudze jenteresa, a wiesz to, jak cię zasądzą?...

Antek przysiadł z powrotem i tak się srodze zamedytował, że kowal nie doczekawszy się odpowiedzi poszedł do domu.

Hanka kręciła się kole okna, raz po raz wyglądając na niego, nie dosłyszał, że ozwała się w końcu lękliwie a prosząco:

– Pódzi, Jantoś, pora spać... Utrudziłeś się dzisiaj niemało...

– Idę, Hanuś, idę... – podnosił się ociężale.

Jęła się prędko rozdziewać szepcąc pacierz roztrzęsionymi wargami.

– A jak me zasądzą na Syberię, to co? – myślał frasobliwie, wchodząc do izby.

ROZDZIAŁ 5

– Pietrek, przynieś no drewek – krzyknęła sprzed domu Hanka, rozmamłana była całkiem i omączona przy wyrabianiu chleba.

W szabaśniku huczał już tęgi ogień, przegarniała go raz po raz i leciała obtaczać bochny i wynosić je w ganek, na deskę ździebko wystawioną w słońcu, bych prędzej rosły. Zwijała się siarczyście, gdyż ciasto prawie już kipiało z wielkiej dzieży, przyokrytej pierzyną.

– Józka, dorzuć do pieca, bo trzon jeszczek czarniawy!

Ale Józki nie było, a Pietrek też się nie kwapił z posłuchem, nakładał w podwórzu gnój, oklepując czubaty wóz, bych się nie roztrząsał po drodze, i spokojnie poredzał ze ślepym dziadem, któren pod stodołą wykrczał powrósła.

Popołudniowe słońce tak jeszcze przypiekało, że ściany popuszczaly żywica, parzyła ziemia i powietrze prażyło kiej żywym ogniem, że już ruchać się było ciężko. Muchy jeno kręciły się z brzękiem nad wozem i konie dziw nie porwały postronków i nóg nie połamały szarpiąc się i oganiając od ukąszeń.

Nad podwórzem wisiała senna, przygniatająca spieka, przejęta ostrym zapachem gnoju, że nawet ptaki w sadzie pocichły, kury leżały pod płotami kieby nieżywe, a prosiaki z pojękiwaniem rozwalały się w błocie pod studnią, gdy naraz dziad zaczął srogo kichać, bowiem z obory zawiało jeszcze barzej.

– Na zdrowie wama, dziadku!

– Nie z trybularza wieje, nie, a chociem i tego zwyczajny, ale zawierciło w nosie gorzej tabaki.

– Kto czego zwyczajny, to mu smakuje!

– Głupiś, cóż to, łajno jeno wywachuje po świecie!...

– Rzekłem, bo mi się przybaczyło, co tak mi pedział mój dziadźka we wojsku, kiej me przy uczeniu pierwszy raz sprął po pysku...

– I wzwyczaileś się do tego, co? Hi! hi! hi!...

– Hale, bogać ta, kiej rychło sprzykrzyła mi się taka nauka, że przycapiłem ścierwę w jakimś kącie i tak mu pysk wyrychtowałem, jaże spuchnął niby bania. Już me potem nie bijał...

– Długość to służył?

– A całe pięć roków! Nie było się czym wykupić, to i musiałem rużie dźwigać. Jenó zrazu, pókim był głupi, to potyrał mną, kto chciał, i biedym się najadł, ale kamraty me nauczyły, że jak czego brakowało, tośwa zworowali abo dała jedna dzieucha, służanka, bom obiecał się z nią ożenić! A jak me przeżywały od kartoszków, jak się śmiały z mojej mowy i naszego pacierza...

– A poganiny zapowietrzone, śmiały się z pacierza.

– Tom każdemu z osobna pomacał żebra i poniechały!

– Cie, takiś to mocarz!

– Mocarz, nie mocarz; ale trzem radę dam! – przechwalał się z uśmiechem.

– Byłeś to na wojnie, co?

– Jaże, przeciém z Turkami wojował. Pokorzylim ich do cna!

– Pietrek, kajże to drzewo? – zawołała znowu Hanka.

– A tam, kaj było przódzi! – odburknął pod nosem.

– Dyc gospodyni cię woła – upominał nasłuchujący dziad.

– Niech woła, a juści, może jeszczek statki mył będę!

– Głuchyś czy co? – wrzasnęła wybiegając przed dom.

– W piecu palił nie będę, nie do tegom się godził! – odkrzyknął.

Wywarła na niego gębę po swojemu.

Ale parob bardzo hardo odszczekiwał, ani myśląc posłuchać, a kiej go jakimś słowem barzej dojena, wraził widły w gnój i zawołał ze złością:

– Nie z Jagusią macie sprawę, nie wygonicie me krzykiem.

– Obaczysz, co ci zrobię! Popamiętasz! – groziła dotknięta do żywego i już rozeźlona tak zwijała się kole chleba, jaże tuman mąki zappełnił izbę i buchał przez okna. Mamrotała jeno na zuchwalca wynosząc chleby w ganek, to dorzucając drewek do pieca albo i wyzierając za dziećmi. Strudzona już była z pracy i spieki, bo w izbie gorąc jaże dusił, a w sieniach, kaj się buzowało w szabaśniku, też ledwie odzipnął, że przy tym i muchy, od których roily się ściany, brzęczały nieustannie i cięły wielce dokuczliwie, to prawie z płaczem oganiała się gałęzią i tak już była spocona i rozdrażniona, że robiła coraz wolniej i niecierpliwiej.

Właśnie ostatni nabier ciasta wygniatała, gdy Pietrek wyjechał z podwórza.

– Poczekaj, dam ci podwieczorek!

– Prrr! A zjem, niezgorzej już mi kruczy w brzuchu po obiedzie.

– Mało to ci było?

– I... płone jadło, to przelatuje przez żywot kiej bez sito.

– Płone! widzisz go! Cóż to, mięso będę ci dawała? Sama po kątach też nie chlam kielbasy. Drugie na przednówku i tego nie mają. Obacz no, jak to żyją komornicy.

Postawiła w ganku dzieżkę zsiadłego mleka i bochen.

Przysiadł łakomie do jada i z wolna się nadziewał podrzucając niekiej glonki chleba boćkowi, któren przygrajdał się ze sadu i warował przy nim kiej pies.

– Chude, sama serwatka – mrucał podjadłszy już nieco.

– A może byś chciał samej śmietany, poczekaj.

Zaś kiej się nałożył do syta i brał za lejce, dorzuciła uszczypliwie:

– Zgódź się do Jagusi, ona ci tłuściej będzie dawała. – Pewnie, bo póki tu ona była gospodynią, nikto głodem nie przymierał – zaciął konie batem, wóz wsparł ramieniem i ruszył.

Utrafił ją w słabiznę, ale nim się zebrała odpowiedzieć, odjechał.

Jaskółki zaświegotały pod strzechą i stado gołębi opadło z gruchaniem na ganek, a kiej je spędzała, doszedł ją ze sadu jakiś kwik, zlekła się, że świnię pyszcza po cebuli, ale na szczęście to jeno sąsiedzka maciora ryła się pod płot.

– Wsadź jeno ryj, a spyszcz, to już ja cię przyrychtuję.

A ledwie wzięła się znowu do roboty, kiej bociek hycnął na ganek, przyczał się ździebko i popatrzywszy to jednym, to drugim okiem, jał kuć w bochny łykając ciasto wielkimi kawałami.

Wypadła na niego z wrzaskiem.

Uciekał z wyciągniętym dziobem robiąc gwałtownie gardzielem, a kiej go już doganiała, bych zdzielić drewnem, poderwał się i frunął na stodołę i długo tam stał klekocąc a wycierając dziób o kalenicę.

– Czekał, złodzieju, jeszcze ja ci kulasy poprzetracam – groziła obtaczając na nowo podziurawione bochenki.

Przyleciała Józka, więc na niej wszystko się skrupiło.

– Kaj się to nosisz? Cięgiem ganiasz jak kot z pęcherzem! Powiem Antkowi, jakaś to robotna! Wygarniaj z pieca, a żywo!

– Byłam jeno u Płoszkowej Kasi. Wszystkie w polu, a chudzinie nawet wody nie ma kto podać.

– Cóż to jej, chora?
– Pewnikiem ośpica, bo czerwona i rozpalona kiej ogień.
– A przynieś ze sobą chorobę, to cię dam do szpitala.
– Juści, bom to już przy jednej chorej siadywała! Nie baczycie, jakem to przy was dulczyła, kiejście leżeli w połogu. – I już trajkotała dalej po swojemu, spędzając muchy z ciasta i biorąc się do wygarniania węgla z pieca.

– Trza będzie ludziom ponieść podwieczorek – przerwała Hanka.

– Zaraz poletę. Usmażyć to jajków Antkowi?

– A usmaż, jeno słoniną nie szafuj.

– Żałujecie to?

– Zaśby. Ale co za tłusto, to może być i Antkowi niezdrowo.

Dziewsze chciało się lecieć, to w mig uwinęła się z robotą i nim Hanka zalepiła piec, zabrała troje dwojaków z mlekiem, chleby we fartuszek i poleciała.

– Spójrzyj ta na płótno, czy wyschło, a z powrotem pomocz, jeszcze do zachodu przeschnie – zawołała oknem, ale Józka już była za przełazem, jeno piesneczka leciała za nią i ze żyta mignęła kiej niekiej konopiasta głowina.

Na podorówce pod lasem komornice rozrzucali gnój, jaki Pietrek dowoził, a przyorywał Antek.

Że zaś ziemia gliniasta, mimo niedawnego zbronowania, była spieczona i twarda, to skiby łupały się niby skały, a konie ciągnęły pług z takim wysiłkiem, jaże rwały się postronki.

Antek, jakby wrośnięty w imadła, orał zawzięcie zapomniawszy o całym świecie, czasem chlastał biczem po końskich portkach, a częściej jeno cmokaniem je przynaglał, gdyż do cna ustawały, robota bowiem była ciężka i znojna, ale kwardą i czujną ręką prowadził pług i rznął skibę za skibą, kładąc posobnie szerokie, proste zagony, boć rola szła pod pszenicę.

Wrony łąziły bruzdami wydziobując glisty, zaś gniady źrebiec, szczypiący trawę po między, rwał się raz po raz do kłaczy łakomie, sięgając matczynych wymion.

– Co mu się to przypomina, cycoń jeden – mruknął Antek śmigając go po kulasach, że zadarł ogona i skoczył w bok, on zaś orał dalej cierpliwie, tyle jeno przerywając skwarną cichość, co się ta niekaj ozwał do kobiet, ale tak już był umęczony pracą i spiekotą, że skoro Pietrek nadjechał, krzyknął w złości:

– Kobiety czekają, a ty wleciesz się kieby szmaciarz!

- A juści, droga ciężka i koń ledwie już kulasami rucha.
- A po cóżeś tyła czasu stojał pod lasem? Widziałem.
- Możecie obaczyć, piaskiem kiej kot nie zagarniam.
- Pyskacz ścierwa. Wio, stare, wio!

Ale konie ustawały coraz barzej, całe już okryte pianą, a i jemu, chocia był rozdiany do białych portek i koszuli, pot też zalewał twarz i ręce mdlały od pracy, że dojrzawszy Józkę zawołał radośnie:

- W sam czas przyszaś, a to ostatnią parą dygujemy.

Dociągnął skibę pod bór, konie wyłożył i rozkiełznawszy je puścił na trawiastą, podleśną drogę, a sam rzucił się w cień na kraju lasu i kiej wilk zgłodniały wyjadał z dwojaków, a Józka jęła mu trajkotać nad uszami.

– Ostaw me, nie ciekawym twoich nowinek – warknął gniewnie, że odszczeknęła gniewnie i poleciała w las na jagody.

Bór stojał cichy, rozprażony, pachnący i kieby ździebko przymglały w słonecznej ulewie, że jeno niekiedy zaruchały się cichuśko zielone podszycia i z głębin buchał ciąg przejęty żywicą abo i jakieś pobląkane głosy i ptasie śpiewania.

Antek rozciągnął się na trawie i kurzył papierosa, ale jakby przez coraz głębszą mgłę widział dziedzica skaczącego na koniu po podleśkich polach i jakichś ludzi z tykami.

Wielgachne chojary; kieby z miedzi wykute, wynosiły się nad nim rzucając po oczach chwiejny i morzący śpikiem cień. Już się był całkiem zapadł w cichość, gdy zaturkotał jakiś wóz.

– Organistów parobek na tartak wozi, juści – pomyślał unosząc ciężką głowę i opadł z powrotem, ale już nie zasnął, gdyż ktosik wyrzekł: – Pochwalony!

Komornice wychodziły posobnie z lasu z brzemionami drzewa na plecach, zaś w końcu wlekła się Jagustynka, zgarbiona pod ciężarem prawie do ziemi.

- Odpocznijcie, a to wama już oczy na wierzch wyłażą.

Przysiadła wpodłe, wspierając brzemień o drzewo i ledwie zipiąc.

- Nie la was taka robota – szepnął ze współczuciem.

– Juści, co już całkiem opadłam ze sił.

– Pietrek, a gęściej kupki, gęściej! – krzyknął do parobka. – Czemuż to waju nie wyręczą?

Jeno się skrzywiła odwracając zaczerwienione, bólnie oczy.

- Takeście jakoś zmiękli, że ani was tera poznać.

– I krzemień puści pod młotem – jęknęła zwieszając głowę – bieda chybciej przeżre człowieka niżli rdza żelazo.

– Ciężki latoś przednówek nawet la gospodarzy.

– Kto ma jeno lebiodę z otrębami, temu nie potrza mówić o biedzie.

– Bójcie się Boga, dyć przyjdzieciez wieczorem, a znajdzie się jeszcze w chałupie jaki korczyk ziemniaków. Odrobicie we żniwa.

Zapłakała rzewliwie, nie mogąc wykrztusić tego słowa podziękii.

– A może ta i co więcej najdzie Hanka – dodał z dobrością.

– Żeby nie Hanka, to byśwa już byli pozdychali – zaszeptala łzawo.

– Juści, co odrobie, kiedy jeno będzie potrza. I nie za siebie mówię. Bóg ci zapłać! Cóż ta ja, ten śmieć jeno, co się go trepem następuje, ani wiedząc o tym, i do głodu niezgorzej wzwyczajonam, ale jak te moje robaki kochane zapiskają: babulu, jeść! a nie ma czym zatkać głodnych brzuchów, to powiedam, cobym se te kulasy odrąbała abo i z tego ołtarza zdarła i poniesła do Żyda, bych się jeno najadły.

– To znowuj siedzicie z dziećmi?

– Matkam przeciek. Ostawię to samych w takiej biedzie! A latoś jakby wszystko złe zważyło się na nich. Krowa im padła, ziemniaki zgniły, że trza było kupować do sadzenia, wiater obalił stodołę, a do tego synowa po rodach ostatnich ciągiem chorzeje i wszystko ostało na tej boskiej Opatrzności.

– Juści, bo Wojtkowi jeno gorzałka pachnie i pilno do karczmy.

– Z biedy się niekiej napijał, z czystej biedy, ale jak dostał w boru robotę, to ani już zajrzy do Żyda, niech drugie zaświadczą – broniła syna gorąco. – Biedocie to kuźden kieliszek policzą! Pofolgował se Jezusiczek we złości pofolgował, no, żeby się tak zawziąć na jednego głupiego chłopca. I za co? Cóż to złego zrobił? – mamrotala podnosząc w niebo groźne, pytające oczy.

– Małości to na nich pomstowali? – rzekł z naciskiem.

– Hale, wysłuchałby to Jezus głupiego szczekania! Juści – ale dodała jakby trwoźniej i niespokojniej – kiej matka nawet wyklina dzieci, to i tak w sercu nie pragnie im krzywdy. We złości to i ozór nie pości. Jakże...

– Wypuścił to już Wojtek łąkę, co?

– Młynarz przynosił na nią całe tysiąc złotych, ale ja wzbroniłam, bo jak temu wilkowi wpadnie co w pazury, to mu już sam zły nie wyrwie. A może się jeszcze trafi kto drugi z pieniędzmi?

– Śliczna łąka, jak amen tak pewne dwa pokosy w rok żebym tak miał grosz zapaśny! – westchnął oblizując się kiej kot do mleka.

– Już i Maciej chcieli ją kupować, że to rychtyk przylega do Jagusinego pola.

Drgnął na to imię, lecz dopiero w jakimś Zdrowaś zapytał niby niechęcący, wlekąc oczami po polach, daleko.

– Co się to wyrabia u Dominikowej?

Ale przejrzała go w lot, prześmiejch jeno wionął po zwiedłych war-gach, rozjarzyły się oczy i przysunawszy się jęła mówić bolejąco:

– A co! Piekło tam i tyła. W chałupie kiej po pochowku, jaże mrozi od smutku, a pociechy znikąd ni poratunku! Jeno oczy wypłakują i boskiego zmiłowania czekają! A już najbarzej Jagusia...

I kieby przedzę rozsnuwała różnoście o Jagusinych smutkach, żalach i opuszczeniu. Mówiła gorąco, przypochlebiając mu się i jakby ciągnąc za język, ale milczał uparcie, gdyż z nagła rozparła go taka żrąca tęsknica, jaże się cały rozdygotał.

Szczęściem, co powróciła Józka niosąc z pół zapaski czernic, nasy-pała mu jagód w kapeluszu i zebrawszy dwojaki pobiegła w dyrdy ku chałupie.

A Jagustynka nie doczekawszy się od niego ani słowa odpowiedzi jęła się dźwigać stękający.

– Poniechajcie! Pietrek, zabierz ich na wóz! – rozkazał krótko.

Chycił się znowu pługa i jakiś czas cierpliwie krajał spieczoną, twardą ziemię, przyginał się w jarzmie kiej wół, dawał się wszystkim tej pracy, ale i tak nie zdusił tęsknicy.

Już mu się dłużył dzień, że raz po raz spozierał na słońce i niecierpliwymi oczami mierzył pole, spory kawał leżał jeszcze do zaorania. Jurzył się też w sobie coraz barzej i nie wiada laczego prał konie, a ostro krzykał na kobiety, bych się prędzej ruchały! Tak go już cosik ponosiło, że ledwie ścierpiał, i takie myśle kłębiły się po głowie i przy-ćmiewały oczy, że coraz częściej pług mu się w rękach chygotał zadzierając o kamienie, zaś pod lasem tak się był zarył pod jakiś korzeń, aż krój się oberwał.

Nie było sposobu dalej orać, zabrał więc pług na sanice i założywszy wałacha pojechał do dom po nowy.

W chałupie było pusto i wszystko leżało rozbabrane i zamączzone, a Hanka klóciła się z kimś w sadzie.

– Paparuch! Na sprzeczki to czas ma! – mrucał idąc w podwórze, ale tam zeźlił się barzej, gdyż i ten drugi pług, którego wyciągnął spod szopy, zarówno był do niczego. Długo koło niego majstrował coraz

niecierpliwiej, nasłuchując kłótni, bo Hanka już wykrzykiwała rozwścieklona:

– Zapłać szkody, to ci maciorę wypuszczę, a nie, to podam do sądu! Zapłać za płótno, co mi je zwiesną podarła na bielniku, i za te spyskane ziemniaki. Mam świadków na wszystko! Widzisz ją, jaka mądra, będzie se świnie wypasała na moim! Nie daruję swojego! A na drugi raz to twojej maciorze i tobie kulasy poprzetrącam! – jazgotała zajadle, że zaś i sąsiadka dłużną nie ostawiała, to już kłóciły się na zabój, wytrząchając do się przez płoty zaciśniętymi pięściami.

– Hanka! – krzyknął zakładając se pług na ramiona. Przyleciała rozwrzeszczana i rozczapierzona kiej kokosz.

– A to wydzierasz się, jaże na całą wieś słyhać!

– Swojego bronie! Jakże, pozwolę to, bych mi cudze świnie pyskały po zagonach! Tyla szkody robią, to mam być cicho? Niedoczekanie, nie daruję! – wykrzykiwała, jaże przerwał jej ostro:

– Ogarnij się, a to wyglądasz kiej nieboskie stworzenie!

– Hale, do roboty będę się przybierała kiej do kościoła, juści.

Popatrzył na nią wzgardliwie, boć wyglądała, jakby ją kto wyciągnął spod łóżka, i rzuciwszy ramionami poszedł.

Kowal był przy robocie; już z dała szczękały brzękliwe, mocne głosy młotów, a w kuźni huczał ogień i było gorąco kiej w piekle. Michał właśnie był odkuwał z pomocnikiem jakieś grubachne sztaby, pot mu zalewał twarz umorusaną, ale kuł niestrudzenie i jakby z zajadłością.

– Komuż to takie sielne osie?

– Do Płoszkowego woza! Będzie woził na tartak!

Antek przysiadł na progu skręcając sobie papierosa.

Młoty wciąż były zajadle, trzaskając nieustannie raz, dwa, raz, dwa, i czerwone żelazo bite ze wszystkiej mocy robiło się powolne kieby ciasto, ugniatali go też na swoją potrzebę, jaże cała kuźnia dygotała.

– Nie chciałbyś to wozić? – rzekł Michał wsadzając żelazo w ogni-sko i poruchując miechem.

– A bo to me młynarz dopuści, ponoć wzion wożenie na spółkę z organistą i ze Żydami jest za pan brat.

– Konie masz, porządek wszystek gotowy, a parob jeno się wałęsa kole chałupy. Niezgorzej płacą – szepnął zachętliwie.

– Juści, co przydałby się jakiś grosz na żniwo, ale cóż, młynarza przeciech o pomoc prosił nie będę.

– Trza by ci pomówić z kupcami.

– Abo to je znam! Byś to chciał wstawić się za mną!

– Kiej prosisz, to pomówię, jeszcze dzisiaj do nich poletę.

Antek cofnął się prędko przed kuźnię, gdyż znowuj zagrały młoty i iskry sypnęły się deszczem ognistym i parzącym.

– Zaraz przyjdę, obaczę jeno, jakie to drzewo zwożą.

I na tartaku robota wrzała kiej w ulu, traczka już szła bez przerwy, piły z głuchym zgrzytem przeżerały długachne kłocze, a woda z krzykiem waliła się z kół w rzekę i spieniona, zmordowana, gotowała się bełkotliwie w ciasnych brzegach. Z wozów zwalali chojary, ledwie okrzeseane z gałęzi, aż ziemia jęczała, zaś sześciu chłopca obciesywało je do kantu, a drugie wnosiły deski na słońce.

Mateusz prowadził całą fabrykę, że co trochę widać go było w innej stronie, dzielnie zwijał się rządząc i bacznie wszystkiego doglądając.

Przywitali się przyjacielsko.

– A kajże to Bartek? – pytał Antek rozglądając się po ludziach.

– Zmierzyły mu się Lipce i pociągnął za wiatrem.

– Że to poniektórych tak cięgiem telepie po świecie! Roboty widać masz na długo, tylachna drzewa!

– A chwaci na jaki rok abo i dłużej. Jak dziedzic ugodzi się ze wszystkimi, to z pół boru wytnie i przeda.

– Na Podlesiu znowuj dzisiaj rozmierzają ziemię.

– Bo już co dnia zgłasza się ktosik do zgody! Barany juchy, nie chciały cię słuchać, żeby gromadą się ugodzić, to dziedzic da więcej, a tera robią w pojedynkę, cichaczem, byle prędeej.

– Niektóren człowiek to jak ten osieł: chcesz, bych ruszył naprzód, to ciągnij go za ogon! Pewnie co barany, dziedzic obrywa każdemu coś niecoś, bo z osobna się godzą.

– Odebrałeś to już swoje gronta?

– Jeszczek nie wyszedł czas po śmierci ojcowej i nie można robić działów, alem se już upatrzył pole.

Za rzeką pomiędzy olchami mignęła jakaś twarz, zdało mu się, że to Jagusia, więc chociaż pogadywał, ale już coraz niespokojniej latał oczami po gąszczach nadrzecznych.

– Taki gorąc, trza się iść wykapać – rzekł wreszcie i poszedł w dół rzeki, niby to wybierając sposobne miejsce, ale skoro go skryły drzewa, puścił się pędem.

Juści, że ona to była. Szła z motyczką do kapusty.

– Jagusia! – zawołał zrównawszy się z nią.

Obejrzała się bacznie i rozeznawszy głos i jego twarz, wychylając się ze szuwarów, przystanęła trwożnie, nie wiedząc zgoła, co począć, bezradna całkiem i spłoszona.

– Nie poznajesz me to? – szepnął gorąco, próbując przejść do niej na drugą stronę. Ale rzeka w tym miejscu była głęboka, choć wąska zaledwie na jakieś parę kroków.

– Jakże, nie poznałabym cię to? – oglądała się lekliwie za siebie na kapuśnisko, kaj czerwieniały jakieś kobiety.

– Kajże się to kryjesz, że ani sposobu cię uwidzieć?

– Kaj? Wygnała me twoja z chałupy, to siedzę u matki...

– Dyc i o tym rad bym z tobą pomówił. Wyjdz, Jagno, wieczorkiem za smętarz. Powiem ci cosik, przyjdz! – prosił gorąco.

– Hale, żeby me kto jeszcze obaczył! Dosyc mam juz za dawne... – odrzekła twardo. Ale tak molestował, tak skamlał, że skruszało jej serce, zaczynało jej być żal.

– A cóż mi to nowego powiesz? po cóż to me wołasz?

– Czym ci to już taki całkiem cudzy, Jaguś?

– Nie cudzy, ale i nie swój! Nie w głowie mi takie rzeczy...

– Jeno przyjdz, a nie pożałujesz. Bojasz się za smętarz, to przyjdz za księży sad, nie baczysz to kaj? Nie baczysz, Jaguś?...

Jaże odwróciła głowę, takie pasy na nią uderzyły.

– Nie pleć, dyc mi wstydno... – zesromała się wielce.

– Przyjdz, Jaguś, choćby do północka czekał będę...

– To poczekaj... – odwróciła się nagle i poleciała na kapuśnisko.

Patrzył za nią łakomie i przejęły go takie luboście i takie płomia wzburzyły krew, że gotów był lecieć za nią i brać ją choćby na oczach wszystkich... Ledwie się już pohamował.

– Nic, jeno ta spieka tak me rozebrała! – pomyślał rozdzielając się spieszenie do kąpieli.

Przechłodził się galancie i jał deliberować nad sobą.

– Że to człowiek słaby kiej ten paździerz, bele co go poniesie...

Wstyd mu się zrobiło, rozejrzał się, czy aby go kto z nią nie widział, i usilnie rozważał wszystko, co mu o niej powiadali.

– Takaś to ty, jagódko, taka! – myślał ze wzgardą i jakby z żalem, ale naraz przystanął pod jakimś drzewem i stał z przywartymi powiekami, bo jawiła mu się na oczach w całej swojej cudności.

– Cheba takiej drugiej nie ma na wszystkim świecie! – jęknął i strasznie zapragnął jeszcze raz ją widzieć, jeszcze raz ogarnąć ramio-

nami, przycisnąć do serca i napić się z tych warg czerwonych, pić na umór ten miód słodki, pić do dna...

– Jeno ten ostatni razik, Jagusiu! ten ostatni! – szeptał błagalnie, jakby do niej. Długo potem przecierał oczy wodząc nimi po drzewach, nim się pomiarkował i poszedł do kuźni. Michał był sam i właśnie już się zabierał do pługa.

– A strzyma twój wóz takie ciężary? – spytał.

– Bylem jeno miał co kłaść...

– Kiej obiecuję, to jakbyś już miał na wozie.

Antek jął pisać kredą na drzwiach i rachować.

– Jeszczek do żniw zarobiłbym ze trzysta złotych! – rzekł radośnie.

– Akuratnie miałbyś na sprawę – ozwał się kowal od niechcenia.

Antek schmurzył się nagle i oczy zaświeciły mu ponuro.

– Zmora ta moja sprawa, co ją wspomnę, to mi wszycko z rąk leci, że nawet żyć się odechciewa...

– Nie dziwota, jeno to me zastanawia, że się za nijakim poratunkiem jeszcze nie rozglądasz.

– A cóż to poredzę?

– Trzeba by jednak coś zrobić! Jakże, dać się to pod nóż, kiej ten cielak rzezakowi?

– Głową muru nie przebiję! – westchnął boleśnie.

Michał kuł znowu z zajądłością, zaś Antek pogrzyżył się w niepokojące i strachliwe dumania i takie myśle go nawiedzały, jaże mienił się na twarzy i zrywał się z miejsca, bezradnie latając oczami po świecie, ale szwagierek dał mu się długo trapić szpiegując go jeno chytrymi ślepiami, aż w końcu rzekł cicho:

– Kaźmirz z Modlicy umiał se poredzić...

– Ten, co to uciekł do Hameryki?

– A ten sam! Mądrała, jucha, przewąchał pismo nosem.

– A bo mu to dowiedły, że zabił tego strażnika?

– Nie czekał, jaże mu dowieda! Nie głupi zgnić w kreminale...

– Łacno mu było, kawaler.

– Ratuje się, któren musi. Ja cię ta do niczegój nie namawiam, abys nie pomyślał, że mam w tym cosik swojego na widoku, a jeno powiedam, jak to w przypadku robiły drugie. Jak ci się żywnie podoba, tak zrób. Wojtek Gajda z Wolicy też ano wrócił z kreminatu w same świątki. Cóż, dziesięć roków toć jeszczek nie życie, można przetrzymać...

– Dziesięć roków, Jezus kochany! – jęknął chytając się za głowę.

– A tyle odsiedział w ciężkich robotach, juści, co karwas czasu.
– Wszystko gotówem przenieść, bele jeno nie siedzenie. Jezus! siedziałem te parę miesięcy, a już me się dur chytał...
– A za trzy niedziele byłbyś już za morzami, niech Jankiel powie...
– Strasznie daleko! Jak to iść, wszystko ciepnać, ostawić dom, dzieci, ziemię, wieś i w tyli świat, na zawdy! – Zgroza go przejęła.
– Tyla poszło dobrowolnie i ani komu w głowie wracać do tych rajów.

– A mnie nawet pomyśleć o tym straszno!
– Juści ale obacz Wojtka i posłuchaj, co rozpowiada o tym kreminalu, to cię jesczek barzej zafrasuje! Jakże, chłop ma niespełna czterdzieści roków, a do cna już posiwiiał i zgarbaciał, żywą krwią pluje i kulasami ledwie powłóczy. Jeno patrzyć, jak pójdzie na księżą oborę. Ale po co ci gadać, masz swój rozum, to się jego posłuchaj.

Przycichł w porę, zmiarkowawszy, że już w nim posiał niepokój, więc resztę zostawił czasowi, skrycie się jeno ciesząc z plonów, jakie spodziewał się zebrać. Ale skończywszy pług ozwał się wesoło:

– Poletę tera do kupców, a wóz gotuj na jutro, bo woził będziesz. O sprawie nie myśl, nie warto se psuć głowy, to ano będzie, co będzie i co Bóg miłosierny pozwoli. Przyjdę do cię wieczorem.

Ale Antek nie zapomniał tak zaraz; połknął te jego przyjacielskie powiadki kiej ryba przynętę i dławił się nią, darło mu ano wątrobę, jaże ledwie się ruchał pod grozą męczących pomyślunków.

– Dziesięć roków! Dziesięć roków – szeptał niekiedy, drętwiejąc w strachu:

Mrok już zapadał, ludzie ściągali z pól, w obejściu podniósł się niemały rejwach, gdyż Witek przygnał stado, a kobiety kręciły się kole udojów i obrządków, zaś na wsi jaże się trzęsło od przedwieczornych pogwarów i wrzasków dzieci, kąpiących się we stawie.

Antek wyciągnął wóz za stodołę, aby go przyrychtować i opatrzeć na jutro, ale wnet odechciało mu się wszystkiego, że jeno krzyknął na Pietrka, pojącego konie pod studnią:

– Nasmaruj wóz i wyporzadź, będziesz od jutra woził na tartak.

Parob zaklął siarczyście. Nie szła mu w smak taka robota.

– Zawrzyj gębę i rób, co ci każą! Hanuś, daj trzy miarki owsa na obrok, a koniczyny przynieś im z pola, Pietrek, niech se podjedzą...

Hanka próbowała go rozpytywać, ale cosik jeno mruknął i pokręciwszy się po obejściu poszedł do Mateusza, z którym teraz żył w wielkim przyjacielstwie.

Mateusz tyle co jeno był wrócił z roboty i właśnie chlupał pod chałupą zsiadłe mleko la ochłody.

Skądciś, jakby ze sadu, sączyło się ciche, żalosne płkanie.

– Któż to tam tak skwierczy?

– A Nastusia. Urwanie głowy mam z tymi jamorami zapowiedzie już wyszły, ślub ma być w niedzielę, a Dominikowa wczoraj zapowiedziała przez sołtysa, jako gospodarka na nią zapisana i Szymkowi nie udzieli ani zagona, i do chałupy go nie puści. I święcie to robi, znam ja dobrze to sobacze nasienie.

– Cóż na to Szymek?

– A co, jak usiadł w sadzie rano, tak i dotąd tam siedzi kiej ten słupek, że nawet Nastusi nie odpowiada. Już się nawet bojam, żeby mu się rozum nie popsuł.

– Szymek! – krzyknął w sad – a pódzi no do nas przyszedł Boryna, to może ci co poredzi...

Zjawił się po jakiejś minucie i usiadł na przyźbie nie witając się z nikim. Juści, co chłopak do cna był zmizerowany i wyschnięty kieby ta osinowa deska; jedne oczy mu gorzały, zaś w wychudzonej twarzy tało się jakieś twarde postanowienie.

– I cóżeś umyślił? – pytał łagodnie Mateusz.

– A co, że wezmę siekierę i zakatrupię ją kiej psa.

– Głupiś! bajanie ostaw do karczmy.

– Jak Bóg na niebie, tak ją zakatrupię. Cóż mi to ostaje, co? Grontu mi po ojcach zapiera, z chałupy me goni, spłaty nie daje, to cóż pocznę? Kaj się, sierota, podzieję, kaj? I żeby to me rodzona matka tak krzywdziła! – jęknął ocierając rękawem łzy, ale naraz porwał się i zakrzyczał: – Nie daruję, psiachmać, swojego, żeby miał za to zgnić w kreminalu, a nie daruję!

Uspokoili go na tyła, co przymilkł i siedział chmurny, a tak nasrożony, że nawet nie odpowiadał na Nastusine łzawe szepty. Oni zaś deliberowali, jak by mu pomóc, ale cóż, kiej nic z tego nie wychodziło, nie było bowiem sposobu na Dominikową. Aż dopiero Nastka odciągnawszy na stronę brata cosik mu przełożyła.

– Kobieta i nalazła mądrą radę! – zawołał radośnie wracając pod chałupę. – A to powieda, bych kupić od dziedzica na Podlesiu ze sześć morgów na spłaty! Co, dobra rada? A matce można będzie pokazać starą panią, niech się wścieknie ze złości...

– Rada juści dobra jak każda rada, jeno gdzie pieniądze?...

– Nastusia ma swoje tysiąc złotych, na zadatek chwaci...

– A kajże to jeszcze chałupa, lewentarz, porządki, zasiewy?
– Kaj? A tu! A tu! – wrzasnął naraz Szymek wyskakując przed nich a trzających zaciśniętymi garściami...

– Tak się to mówi, ale czy uredzisz? – mruknął Antek niedowierzająco.

– Dajcie mi jeno ziemię, a obaczycie, dajcie! – zakrzyczał z mocą.

– To nie ma się co głowić, a jeno iść do dziedzica i kupować!

– Poczekaj, Antek, zaraz, niech no se wszystko w myślach ułożę...

– Obaczycie, jak sobie radę dawał będę! – gadał prędko Szymek. – A kto u matki orał? Kto siał? Kto zbierał? Dyć jeno ja sam! A źle to w roli robiłem, co? Wałkoń to jestem, co? Niech cała wieś powie, niech matka zaświarczy! Dajcie mi jeno grunt, spomóżcie, braty rodzone, a to już wama za to do śmierci się nie od służę. Pomóżcie, ludzie kochane, pomóżcie! – wołał śmiejąc się i płacząc na przemian, zgoła jakby pijany radosną nadzieją.

A kiej się ździebko uspokoił, zaczęli już wspólnie rozważać i deliberować nad tymi zamysłami.

– Bych się jeno dziedzic zgodził na spłaty! – westchnęła Nastka.

– Poręczymy z Mateuszem, to widzi mi się, co i da.

Nastusia jaże go chciała całować po rękach za tyła dobrości.

– Zażywałem niezgorszej biedy, to wiem, jak drugim smakuje! – rzekł cicho, powstając do odejścia, bo się już było całkiem zmrozczało nad ziemiami, jeno co niebo było jeszcze jasne i zorze dopalały się na zachodzie.

Antek stał czas jakiś nad stawem wając się w sobie, w którą stronę pójdzie, lecz po chwili ruszył ku domowi.

Szedł jednak z wolna kieby pod przymusem, przystając co trocha ze znajomymi, na drogach bowiem było pełno ludzi, wałęsających się gadzin i dzieci. Przyśpiewki trzęsły się po opłotkach, kajś zakrzyczały przepłoszone gęsi, pod młynem wrzeszczały kąpiące się chłopaki, jakieś kumy kłóciły się po drugiej stronie stawu, jakby przed Balcerkami, a przenikliwy głos piszczałki przewiercał uszy.

Chociaż Antkowi nie było pilno i rad przystawał na drodze a z belem pogadywał, to w końcu stanął przed swoją chałupą. Okna stały wywarte i oświetlone, dziecko płakało pod ścianą, zaś z podwórza rozlegał się wrzaskliwy głos Hanki, a kiej niekiedy jazgotliwe odszczekiwanie Józki.

Zawahał się znowu, ale kiej Łapa zaskomlał przy nim i jał wyskakiwać z radości, kopnął go w nagłym gniewie i zawrócił z powrotem na

wieś. Dopadł dróżki proboszczowskiej, przemknął się kole organistów tak cicho, że go nawet psy nie poczuły, i wsunął się pod księży sad, zaraz przy szerokiej miedzy, dzielącej Kłębową ziemię od księżych.

Nakrył go głęboki cień drzew galancie rozrośniętych.

Księżycowy sierp zawisł już był na pociemniałym niebie i gwiazdy jeły się rozjarzać coraz migotliwiej; wieczór czynił się rosisty a silnie nagrany, prawdziwie letowy. Przepiórki wołały ze zbóż, od łąk dalekich leciały grubaskie pohukiwania bąków, zaś nad polami wisiała taka rozpachniona cichość, jaże w głowie się mąciło.

Ale Jagusia jakoś nie przychodziła.

Natomiast o jakieś pół stajania od Antka po miedzy spacerował proboszcz w białym obleczeniu i z gołą głową, tak pogrążony w odmawianiu pacierzy, iż jakby nie widział, co jego konie, pasące się na chudym, wytartym ugorze, przeszły miedzę i łakomie wżerały się w Kłębową koniczynę, która niby bór czerniała spaniale wyrośnięta i pokryta kwiatem.

Ksiądz ciągiem chodził mamrocąc pacierze, po gwiazdach włączył oczami, a niekiedy przystawał, pilnie nasłuchując, i gdy się jeno ruszyło co niebądź kajś pod wsią, zawracał spiesźnie, gderząc niby gniewnie na konie.

– A gdzieżeś to polazł, siwy? W Kłębową koniczynę, co? Widzicie ich, jakie to łajdusy! Smakuje wam cudze, co? A batem chceta po portkach? No, mówię, batem! – pograżał wielce srogo.

Ale koniska tak smacznie chrupały, jaże księdzu zbrakło serca na wypędzenie ze szkody, więc jeno rozglądał się a prawił z cicha:

– No żrej jeden drugi, żrej... już się za to zmówi jaki paciorek za Kłębową duszę albo i wynagrodzi czym szkodę! Nygusy, jak się to przypinają do świeżej koniczyny!

I znowu chodził tam i z nawrotem, pacierze mówił i stróżował ani się spodziewając, jako Antek patrzy w niego, słucha i z coraz większą niespokojnością wyczekuje na Jagusię.

Przeszło tak z parę dobrych pacierzów, gdy naraz Antkowi przyszło na myśl podejść do niego a wyznać się ze swoich frasunków.

– Taki nauczony, to może prędzej najdzie jaką radę! – rozważał cofając się cieniami pod stodołę i dopiero za węglem śmiało wyszedł na miedzę i głośno zachrzakał.

A ksiądz posłyszawszy, że ktoś nadchodzi, zakrzyczał na konie:

– Szkodniki paskudne! To ani z oczów spuścić, zaraz w cudze jak te świnię! Więta kasztan! – I uniesłszy ubieru wypędzał je z pośpiechem.

– Boryna! Jak się masz? – wołał rozpoznawszy go z bliska.

– Dyc szukam dobrodziejka, byłem już na plebanii.

– A wyszedłem zmówić pacierze i przypilnować konisków, bo Walek poleciał do dworu. Ale takie znarowione szkodniki, że niech Bóg broni, rady nie mogę sobie dać z nimi. Patrz, jak się Kłębowi wysypało koniczyny, jak bór! Z mojego nasienia... Za to moją tak wymroziło, że został się tylko rumianek i osty! – westchnął żałośnie przysiadając na kamieniu – Siadajże, to sobie pogadamy! Śliczna pora! Za jakie trzy tygodnie zadzwonią kosy! No, mówię ci!...

Antek przysiadł wpodłe i zaczął z wolna rozpowiadać, z czym był przyszedł. Proboszcz słuchał uważnie, tabakę zażywał i na konie krzyczał raz po raz, kichając przy tym siarczyście

– A gdzie! Ślepyś, że cudze? Widzisz je, świętuchy znarowione!...

Antkowi szło jakoś niesporo, zająkiwał się i płątał.

– Widzę, że ci coś ciężkiego dolega. Wyznaj się szczerze, to ci ulży, wyznaj! Przed kimże duszę wyżalisz, jak nie przed księdzem? – Poglądził go po głowie i uczęstował tabaką, że Antek nabrawszy śmiałości odpowiedział mu wszystkie swoje frasunki.

Ksiądz długo ważył jego słowa, wzdychał i w końcu rzekł:

– Ja bym ci za borowego naznaczył pokutę kościelną: stawałeś w ojcowej obronie, a że był łajdus i luter, to niewielka stała się szkoda! Ale sądy ci nie darują. Najmniej posiedzisz ze cztery lata! I co ci tu radzić? Mój Boże, i w Ameryce ludzie żyją, i z kryminału też wracają. Ale jedno złe i drugie też nie lepsze.

Był za tym, żeby Antek uciekał choćby jutro, to znowu radził pozostać i odsiedzieć karę, a na ostatku powiedział:

– Jedno, co pewna: zdać się na Opatrzność i czekać zmiłowania Bożego.

– Hale, i wezmą me w dybki, w Sybir pognają...

– Wielu jednak powraca, sam znałem niejednego...

– Juści, jeno co to po latach zastanę w chałupie, co? A bo to kobieta da sama radę? Zmarnuje się wszystko! – szeptał bezradnie.

– Z duszy serca rad bym ci pomógł, ale cóż ja mogę... Czekać, mszę świętą odprawię do Przemienienia Pańskiego na twoją intencję. Zapędź mi konie do stajni, późno! No, mówię – ci, późno, czas spać!

Antek tak był przejęty turbacjami, że wyszedłszy z księzego podwórza dopiero przypomniał sobie Jagusię i spiesznie do niej poleciał.

Juści, co już czekała skulona pod stodołą.

– Czekałam i czekałam!

Głos miała jakby schrypnięty od rosy.

– Mogłem się to księdzu wymówić? – Chciał ją objąć, odepchnęła go.

– Nie figle mi ta w głowie, nie ceckania!

– Dyc cię całkiem nie poznaję! – Czuł się dotknięty.

– Jakaś me ostawił, takusieńką i jestem...

– A niepodobna do się... – Przysunął się bliżej.

– Nie zafrasowałeś się o mnie bez tyła czasu, a teraz się dziwujesz?

– Że już i barzej nie sposób, ale mogłem to przylecieć do cię, co?

– A ja ostałam jeno z trupem a ze zgryzotami! – Zatrzęsła się z zimna.

– I ani ci w głowie postać zająrzeć do mnie, co inszego miałaś w myślach!...

– Czekałeś to me, Jantoś, czekałeś? – wyjąkała niedowierzająco.

– I jak jeszcze! A to kiej ten głupi co dnia wisiałem u kraty i oczy wypatrywałem za tobą, i co dnia cię czekałem! – Nagły żal nim zatrząsł.

– Jezu kochany! A tak me skłąłeś tam za brogiem! A takiś przódzi był zły! A kiej cię brali, to aniś spojrział na mnie, aniś przemówił... Dobrze baczę, miałaś to dobre słowo la wszystkich, nawet la psa, jeno nie la mnie! To już myślałam, że się wścieknę!

– Nie miałem złości do cię, Jaguś, nie. Ale jak się dusza człowiekowi zapiecze w zgryzocie, to by i siebie, i wszystek świat wytracił...

Milczeli stojąc tuż przy sobie, biedro w biedro. Księżyć świecił im prosto w twarze. Dyszeli ciężko, szarpani gryzącymi spominkami, oczy im pływały w zakrzepłych łzach żalów i udręki.

– Nie tak to me kiedyś witałaś! – rzekł smutnie.

Rozpląkała się nagle i rzewliwie kiej dzieciątko.

– Jakże cię to mam witać, jak? Małoś to me już pokrzywdził i sponiewierał, że tera ludzie patrzą na mnie kiej na tego psa...

– Ja cię sponiewierałem? To przeze mnie? – Gniew go przejął.

– A przez ciebie! Przez ciebie wyгнаła me z chałupy ta flądra, to świńskie pomietło! Przez ciebie poszłam na pośmiech całej wsi...

– A wójta to już nie baczysz? a drugich, co? – buchnął groźnie. – Wszystko bez ciebie! Wszystko! – szeptała coraz bardziej rozżalona. –

A czemuś me do się zniewolił jak tego psa? Miałeś przecież swoją kobietę. Głupia byłam, a tyś me tak opętał, co już świata Bożego za tobą nie widziałam! I czemuś me potem ostawił samą, na pastwę?

Ale i on porwany żalami zasyczał przez zaciśnięte zęby:

– To ja ci kazałem ostać moją macochą? Ja cię też pewnie niewoliłem, byś się tłukła z każdym, kto jeno chciał, co?

– To po coś mi nie wzbronił? Byś me miłował, to byś me nie dał na wolę, nie ostawiłbyś me samej, a jeno strzegł przed złą przygodą, jak to, drugie robią! – skarżyła się boleśnie i tak pełna niezgłębionego żalu, że już nie poredził się bronić. Odpadły go wszystkie złości, a serce się rozdygotało kochaniem.

– Cichoj, Jaguś, cichoj, dzieciątko! – szeptał z tkliwością.

– I taka krzywda mi się stała, to i ty powstajesz na mnie jak wszystkie, i ty, i ty! – szlochała wspierając głowę o stodołę.

Usadził ją przy sobie na miedzy i jął przygarniać do serca a tulić, a głaskać po włosach i obcierając jej twarz zapłakaną, całował jej wargi roztrzęsione i te oczy zalane gorzkimi łzami, te kochane a tak przesmucone oczy. Pieścił ją, przyhołubiał i spokoił, jak jeno poredził, że już płakała coraz ciszej przywierając doń i z taką dufnością uwiesiła mu się na szyi a kładła głowę na jego piersiach jakby na tym matczynym sercu, kaj tak lubo jest wypłakiwać wszystkie boleście a smutki...

Ale Antkowi już się mąciło w głowie, bo takie luboście były od niej i tak go rozprzażało jej ciepło, że coraz zajadlej całował i coraz mocniej ogarniał ją sobą...

Zrazu ani miarkowała, do czego idzie i co się z nią wyrabia. Dopiero kiej się już całkiem poczuła w jego mocy i kiej jął rozgniatać jej wargi rozpalonymi całunkami, zaczęła się szarpać a prosić lękliwie, prawie z płaczem:

– Puść me, Jantós! Puść! Loboga, bo bede krzyczeć!

Ale mogła się to już wydrzeć smokowi, kiej ścisnął, jaże tchu brakowało i całą przejmował war i dygotania.

– Ostatni raz pozwól, ostatni! – skamlał ledwie już zipiąc.

Aż świat się z nią zakręcił i poleciała jakby na dno jakowegoś raj, a on ją wzion, jak to kiedyś brał, zapamiętane, przez lubą moc kochania, i dawała mu się też jak kiedyś, w słodkiej udreće niemocy, na niezmiernie szczęście, na śmierć samą...

Jak kiedyś, mój Jezu! Jak dawniej! Jak zawdy!

Noc stała rozgwiażdżona, księżyc wisiał wysoko w pół nieba; nagrzane, rozpachnione powietrze obtulało pola pośpione w niezgłębionej

cichości; cały świat leżał bez tchu w upojnym zapomnieniu i w słodkiej pieszczocie niepamięci.

A i w nich nie było już pomiarkowania o niczym, nic, kromie ognia i burzy, i nic, kromie wiecznie żądnej i wiecznie nienasyconej tęsknicy. Jak kiedy uschnięta drzewina ożeni się z pierunem i buchnie w niebo płomieniami, że już wraz giną hucząc weselną pieśń zatrąty, tak i oni przepadali w jakichś nienasyconych żarach. Ożyły w nich dawne miłości i zwały się strzelając bujnym, radosnym ogniem na to jedno mgnienie zapamiętania, na tę jedną tylko minutę ostatniej radości.

Bo kiej znowu siedli przy sobie, już im tak cosik omroczyło dusze, że spozierali na się trwożnie, ukradkiem, rozbiegając się oczami kieby ze wstydem i żalem.

Na darmo szukał wargami jej warg głodnych całunków, jak kiedyś: odwracała się z niechęcią.

Na darmo szeptał przewiska co najśłodsze; nie odpowiadała, pilnie zapatrzona w księżyc; więc burzył się w sobie i chłódł, przejęty dziwną markotnością i żalami.

Siedzieli, nie wiedząc już, co mówić, niecierpliwiąc się jeno a wyczekując, które się pierwej ruszy i pójdzie sobie precz.

A w Jagusi jakby już wszystko wygasło ze szczeniem i rozsypało się w popiół, bo ozwała się z przytąjoną złością:

– Aleś me zniewolił, kiej ten zbój, no!

– Nie mojaś to, Jaguś, nie moja? – Chciał ją przygarnąć, odepchnęła go gwałtownie.

– Anim twoja, anim niczyja, rozumiesz? Niczyja!

Rozpłakała się znowu, ale już jej nie spokoził ni utulał, lecz po jakim czasie powiedział ważnym głosem:

– Jaguś, poszłabyś ze mną we świat?

– Kajże to? – podniosła na niego zapłakane oczy.

– A choćby do samej Hameryki! Poszłabyś za mną, Jaguś?

– A cóż to poczniesz ze swoją kobietą?

Zerwał się, kieby go kto biczem trzasnął.

– Prawdę pytam! Trutkę to jej zadasz czy co?

Pochwycił ją wpół, przygarnął krzepko i całując namiętnie po całej twarzy jął prosić a molestować, bych z nim jechała we świat, kaj by już ostali razem i na zawsze. Sporo czasu mówił o swoich zamysłach i nadziejach, czepił się bowiem nagle tej myśli uciekania z nią kiej pijany płota i kiej pijany też plótl, ogarnięty gorączkowym wzburzeniem. Wyśłuchała wszystkiego do końca i odrzekła z przekazem:

– Zniewoliłeś me do grzechu, to rozumiesz, com już do cna zgłupiała i uwierzę ci w bele bzdury...

Przysięgał na wszystko, jako świętą prawdę powieść; nie chciała już nawet słuchać i wyrwawszy się z jego rąk szepnęła:

– Ani mi się śni uciekać z tobą. Po co? Abo mi to źle samej? – Obtuliła się zapaską rozglądając się uważnie. – Późno, muszę już bieżyć!

– Kajże ci pilno, nikto przeciek z chałupy za tobą nie patrzy?

– Ale na ciebie pora. Już tam Hanka pierzynę wietrzy a wzdycha...

Rozżarł się na te słowa kiej pies i syknął urągłiwie:

– Ja ci nie wypominam, kto tam na ciebie po karczmach wyczekuje...

– A jakbyś wiedział, co niejeden gotów czekać choćby do słońca, jakbyś wiedział! Sielnieś zadufany w siebie i rozumiesz, co jeno ty jeden jesteś! – gadała prześmiechając się zjadliwie.

– A to leć, choćby nawet do Żyda, leć! – wykrztusił.

Ale się nie ruszyła z miejsca; jeszcze stali przy sobie dysząc jeno ciężko a poglądając na się rozsrożonymi ślepiami, a kieby szukając w sobie tych jakichś słów najbarzej bolących.

– Miałeś coś pedzieć, to mi rzeknij, bo więcej już do cię nie wyjdę...

– Nie bój się, nie będę się wywoływał, nie...

– Bo choćbyś mi nawet u nóg skamlał, to nie wyjdę.

– Juści, czasu ci nie starczy, do tyłu musisz co noc wychodzić...

– A żebyś skapiał kiej ten pies! – skoczyła w pola na przełaj.

Nie pogonił jednak ni nawet zawołał za nią, widząc, jak leciała przez zagony kiej cień i przepadła pod sadami; przecierał tylko oczy kieby ze śpiku a wzdychał markotnie.

– Zgłupiałem już do cna! Jezu, dokąd to baba może zaprowadzić.

Było mu czegoś dziwnie wstyd, gdy wracał do chałupy; nie mógł sobie darować tego, co się stało, i srodze się tym gryzł i męczył.

Pościel gotowa już czekała na niego w sadzie, w półkoszkach, gdyż w izbie nie sposób było wyspać z powodu gorąca i much.

Ale nie zasnął; leżał wpatrzony w dalekie migoty gwiazd i nasłuchując cichych stapań nocy rozważał se o Jagusi.

– Ni z nią, ni przez niej! A żebyś! – zaklął z cicha i wzdychał żalownie, i przewracał się z boku na bok, i odrzucał pierzynę stawiając nogi na chłodnej, orosiałej trawie, ale śpik nie przychodził i myśle o niej nie ustawały ni na to oczymgnienie.

Któreś dziecko zapłakało w chałupie i zamamrotała cosik Hanka; uniósł głowę, ale po chwili przycichło i znowu opadły go deliberacje i szły przez niego kiej te wiośniane, pachnące zwiewy kolebiące duszę słodkimi spominkami; ale już się im nie dał w niewolę, a na sprzeciw, rozglądał się w nich trzeźwo, że w końcu przyszedł do tego, co sobie rzekł uroczyście, jakby na świętej spowiedzi:

– Raz temu musi być koniec! Wstyd to i grzech! Co by to znowu ludzie pedzieli! Dyc ociec dzieciom jestem i gospodarz! Musi być koniec.

Postanawiał, ale było mu jej żal, nieopowiedzianie żal.

– Niech se jeno człowiek raz jeden pofolguje, a już się tak pokuma ze złem, co go i śmierć nie rozdzieli! – medytował gorzko i górnie.

Świt się już robił, całe niebo przyodziewało się kieby w te zgrzebne gzło, ale Antek jeszcze nie spał, zaś kiej biały dzień jął mu zazierać w oczy, przyleciała go budzić Hanka. Podniósł na nią schmurzoną twarz, lecz taki dziwnie był la niej dobry, że skoro mu opowiedziała, z czym to wczoraj przychodził kowal późnym wieczorem, pogłaskał ją po nie uczesanych włosach.

– Kiej się udało ze zwózką, to ci już cosik kupię na jarmarku.

Rozradowała się taką łaską i dalejże molestować, aby też kupić oszkloną szafę na talerze, jaką miały organisty.

– Pokróćce to se zamyślisz o dworskiej kanapie! – zaśmiał się, przyobiecując jednak, co jeno prosiła, i wstał prędko, robota bowiem czekała i trza było kark podać w jarzmo i ciągnąć jak co dnia.

Rozmówił się jeszcze z kowalem i zaraz po śniadaniu Pietrka wyprawiał do wożenia gnoju, a sam pojechał w parę koni do lasu.

W porębie jaże huczało od roboty; sporo narodu kręciło się przy obróbce drzewa naciętego zimą, że kieby to nieustanne kucie dzieciółów, tak rozlegało się bicie siekier i trzeszczenie pił; zaś w bujnych trawach poręby pasły się lipeckie stada i dymiły ogniska.

Spomniał, co się tu kiedyś wyrabiało, i pokiwał głową widząc, jak to już zgodnie robią razem Lipczaki z rzepecką szlachtą i drugimi.

– Bieda ich doprowadziła do rozumu. I potrza to było wszystkiego, co? – wyrzekł do Filipa, syna Jagustynki, okrzesującego chojary.

– A kto temu był winowaty, jak nie dziedzic a gospodarze! – mruknął ponuro chłop, nie przestając obrąbywać gałęzi.

– Ale może już najbarzej złości i głupie podjudzania.

Przystanął w miejscu, kaj był zakatrupił borowego, i tak go cosik złego sparło pod piersiami, jaże zaklął:

– Ścierwa, przez niego cała moja marnacyja! Bym poredził, to bym ci jeszczek dołożył! – splunął i wziął się do roboty.

I już całe dnie woził na tartak, przypinając się do pracy z taką zapamiętałością, jakby się chciał zarobić na śmierć, lecz mimo tego nie zabił pamięci o Jagusi ani o tej sprawie nieszczęsnej

Któregoś dnia powiedział mu Mateusz, że kupili grunt na Podlesiu, dziedzic dał na spłatę i jeszcze przyobiecał zrzynów i łat, zaś ślub Nastusi odłożyli, póki Szymek jako tako się nie zagospodaruje.

Co go ta obchodziło cudze, mało to jeszcze miał swoich turbacji? A do tego kował już prawie codziennie i na różne sposoby straszył go sprawą i z wolna, ostrożnie, a wielce chytrze napomykał, że gdyby mu było pilno potrza, to ten i ów dałby pieniędzy...

Antek już sto razy gotów był prasnąć wszystko i uciekać, ale co spojrzal na wieś i co sobie wziął w myśle, jako pójdzie stąd na zawsze, to go taki strach ogarniał, iż wołałby kryminał, wołałby wszystko najgorsze, bele nie to.

Ale i o kryminale myślał z rozpaczą w duszy.

Więc z tego bojowania ze sobą zmizerował się, zgorzkniał i stał się w chałupie srogi a niewyrozumiały. Hanka w głowę zachodziła, na darmo próbując się wywiedzieć, co mu się stało. Nawet zrazu podejrzewała, jako znowu spiknął się z Jagusią; ale co oko miała bystre, a odpasiona Jagustynka też za nimi patrzała i drugie potwierdzali, że wyraźnie stronią od siebie i nikaj się nie schodzą, to się już uspokoiła z tej strony. Cóż z tego, że mu służyła jak mogła najwierniej, że już jadło miał wybrane i na porę, w chałupie ochędożny porządek, że gospodarka szła jak najlepiej, kiej ciągiem był zły, chmurny, o bele co poniewierał i dobrego słowa jej nie dawał.

A już było najciężej, kiedy chodził cichy, strapiony, smutny kiej noc jesienna i ani się gniewał, ani uprzykrzał, a jeno ciężko wzdychał i na całe wieczory szedł do karczmy pić ze znajomkami.

Pytać otwarcie nie miała śmiałości, a Rocho kłął się, że też nie wie o niczym, co mogło być prawdą, gdyż stary przychodził teraz jeno na noc, a całe dnie wędrował po okolicy ze swoimi książeczkami, a nauczając pobożne nabożeństwa do Serca Jezusowego, którego urzędy wzbraniały odprawować po kościołach.

Aż któregoś wieczora, kiedy siedzieli jeszcze w izbie przy miskach, bo wiater się był zerwał po zachodzie, psy całą hurmą zaszczekały nad stawem. Rocho położył łyżkę pilnie nasłuchując.

– Ktoś obcy! Trza wyjrzeć.

A tyła co jeno wyszedł, powrócił blady i rzekł prędko:

– Pałasze brzęczą na drodze! Jakby pytały, na wsi jestem!

Skoczył w sad i zginął.

Antek zbladł śmiertelnie i skoczył na równe nogi. Psy już docierały w opłotkach, na ganku rozległy się ciężkie stapania.

– A może to już po mnie? – jęknął w trwodze.

Wszyscy jakby zmartwieli ujrawszy na progu strażników.

Antek nie mógł się poruszyć, a jeno latał oczyma po wywartych oknach i drzwiach. Szczęściem, co Hanka całkiem przytomnie zapraszała ich siedzieć podsuwając ławę.

Grzecznie się przywitani, tak się zarazem przymawiając o kolację, że musiała im nasmażyć jajecznicy.

– Kajże tak późno? – zapytał wreszcie Antek.

– Po służbie! Dzieło u nas niemałe! – odrzekł starszy wodząc oczami po zebranych w izbie.

– Pewnie za złodziejami? – dorzucił Antek śmieiej, wynosząc flachę z komory.

– I za złodziejami, i za drugim! Przepijcie do nas, gospodarzu!

Napił się z nimi. Przypięli się do jajecznicy, jaże łyżki dzwoniły.

Wszyscy siedzieli cichuśko kiej te przytrwożone trusie.

Strażnicy wymietli miskę do czysta, przepili jeszcze gorzałką i starszy obcierając wąsy rzekł uroczyście:

– Dawno was wypuścili z turmy, a?

– Niby to pan starszy nie wiedzą!

Rozdygotał się ździebko.

– A gdzież to Rocho? – spytał nagle starszy.

– Któren Rocho? – zrozumiał w mig i znacznie się uspokoił.

– Podobno u was żyje kakoj to Rocho?

– A może pan starszy mówią o tym dziadku, co to chodzi po wsi? Prawda, dyć go Rochem wołają!

Strażnik rzucił się niecierpliwie i rzekł groźnie:

– Nie róbcie szutek, przecież mieszka u was, wiadomo!

– Pewnie, co nieraz siedział u nas, ale siedział i u drugih. Proszalny dziadek, to kaj mu popadnie, tam i na noc głowę przytuli. Dziś w chałupie, indziej w obórce, a niekiedy i prosto pode płotem. Cóż to pan starszy upatrzył se na niego?

– Tak cóż by, nic, po znajomości pytam...

– Poczciwy człowiek, wody nikomu nie zamąci – wtrąciła Hanka.

– Nu, my znamy, kto on taki, znamy! – mruknął znacząco, próbując różnymi sposobami wypytywać o niego. Nawet już tabaką częstował, ale wszyscy tak gadali ciągiem jedno w kółko, że nie mogąc niczego przewąchać podniósł się z ławy ze złością: – A ja mówię, że mieszka u was w chałupie!

– Przeciek go w kieszeń nie schowałem! – odburknął Antek.

– Ja tu po służbie, ponimajcie, Boryna! – cisnął się groźnie starszy, ale jakoś się udobruchał dostawszy na drogę mendel jajków i sporą osełkę świeżego masła.

Witek poszedł za nimi trop w trop, rozповідаjąc potem, jako wstępowali do sołtysa i próbowali zazierać do poniekórych okien jeszcze oświetlonych, jeno co pieski tak naszczekiwały, że nie poredziwszy nikaj zajrzeć kryjomo, z niczym odeszli.

Ale to zdarzenie tak jakoś dziwnie rozebrało Antka, że skoro jeno został sam na sam z żoną, zaczął się wyznawać z utrapień.

Słuchała z bijącym sercem, uważnie, nie przepuszczając ani jednego słowa, dopiero kiej w końcu zapowiedział, jako im już nic nie pozostaje, jeno sprzedać wszystko i uciekać we świat, choćby do Hameryki, stanęła przed nim pobladła kieby ściana.

– Nie póde i dzieci na ztratę nie pozwolę! – wyrzekła groźnie – nie póde! A jak mnie przyniewolisz, to siekierą łby dzieciom porozbijam, a sama choćby do studni! Prawdę mówię, tak mi Panie Boże, dopomóż! Zapamiętaj to sobie! – krzyczała klękając przed obrazami jakby do uroczystej przysięgi.

– Cichoj! Dyć jeno tak mówię!

Wytchnęła nieco i rzekła ciszej, ledwie już łzy powstrzymując:

– Odsiedzisz swoje i wrócisz! Nie bój się, dam se radę... nie uronię ci ni zagona, jeszcze me nie znasz... nie popuszczę z pazurów. Pan Jezus pomoże, to i taki dopust udźwignę – płakała cicho.

Medytował długo i w końcu powiedział:

– To bedzie, co Bóg da! Trza poczekać na sprawę.

Że na nic się zdały chytre kowalowe zabiegi.

ROZDZIAŁ 6

– Uwal się już raz i nie przeszkadzaj! – mruknął zgniewany Mateusz przewracając się na drugi bok.

Szymek przywarł na chwilę, a skoro tamten znowu zachrapał, jął się cicho przebierać ze sąsiedka, gdyż mu się przywidziało, jako do stodoły, kaj spali, już się wdzierają maty pierwszych świtań.

Omackiem zbierał po klepisku narzędzia, jeszcze wczoraj nagotowane, i tak się śpieszył, że mu raz po raz cosik leciało z rąk z przeraźliwym brzękiem, jaże Mateusz klął przez śpik.

Ale nad ziemią leżały jeszcze ciemnice, jeno gwiazdy były już bladawe, na wschodniej stronie ździebko się przezierało i pierwsze kury były skrzydłami krzykając zachryple.

Szymek zebrał w taczki, co jeno miał, i skradając się cichuśko kole chałupy wy dostał się nad staw.

Wieś spała kiej zabita, nawet pies nie zaszcze kał, a w cichości sły chać było jeno bulgotanie wody przeciskającej się przez zapuszczone stawidła młyna.

Na drogach, przycienionych sadami, było jeszcze tak ciemno, że ledwie kajś niekaj zamajaczyła bielona ściana, zaś staw tyła jeno przezierał z nocy, co tym lśnieniem odbijających się gwiazd.

Ale dochodząc matczynej chałupy zwolnił kroku, pilnie nasłuchując, gdyż w opłotkach jakby ktosik chodził z cichym a nieustającym mamrotem.

– Kto tam? – posłyszał naraz głos matki.

Zdrętwiał i stał z zapartym oddechem, nie śmiejąc się poruszyć, zaś stara nie doczekawszy się odpowiedzi znowu jęła chodzić.

Widział ją kieby cień snującą się pod drzewami; macała sobie drogę kijaszkiem i chodziła odmawiając półgłosem litanie.

– Tłuką się po nocy kiej Marek po piekle – pomyślał, ale westchnął jakoś żałośnie i cichuśko, strachliwie przemknął się dalej. – Gryzie ich moja krzywda! Gryzie! – powtórzył z głęboką uciechą, wychodząc na

szeroką, wyboistą drogę za młynem i naraz pognał, jakby go cosik po-
pędzało, nie bacząc już na doły ni kamienie.

Wstrzymał się dopiero pod krzyżem, na rozstajach dróg podleskich.
Za ciemno było jeszcze stawać do roboty, więc se przysiadł pod figurą
odzipnąć nieco i poczekać.

– Złodziejska godzina, nie sposób rozeznąć zagona od boru – mru-
czał brodząc oczyma po świecie. Pola stały jeszcze potopione w rozmrowionych
ciemnościach, ale na niebie już się coraz bardziej jarzyły
złociste smugi świtania.

Dłużył mu się czas, że jął się pacierza, ale co jeno tknął ręką orosia-
łej ziemi, to gubił słowa i spominał se z lubością, jako już idzie na swo-
je, na gospodarke.

– Mam cię i nie popuszczę – myślał hardo, radośnie i z niezmierną
zapamiętałością kochania wżerał się rozgorzałymi ślepiami w skołtu-
nione pod lasem ciemności, kaj już czekały na niego te sześć morgów
kupione od dziedzica.

– Przygarnę ja was, sieroty kochane, i nie opuszczę, póki życia! –
mamrotał ściągając kozuch na rozmamlane piersi, bo go był chłód
ździebko przejmował, i wsparłszy się w krzyż plecami, zapatrzony w
świtania zachrapał rychło zmorzony śpikiem.

Już pola szarzały kiej wody szeroko rozlane, a siwe od rosy zboża
trącały go rozruchanymi kłosami, gdy zerwał się na nogi.

– Dzień kiej wół, pora na robotę – szepnął przeciągając koście i
klęknął pod krzyżem do pacierza, ale nie trzepał na pytel, jak to zawdy
robił, bele jeno zbyć, a dużo nawzdychać, a w piersi się nagrzmocić i
tyła się nażegnać, jaże kulas zdrętwieje: dzisiaj było inaczej, a wspo-
możenie bowiem Pańskie zabłągał rzewliwie i tak ze wszystkiej duszy,
jaże mu łzy pociekły, i obejmując Jezusowe nóżki zaskamlał wpatrzony
wiernymi ślepiami w Jego twarz umęczoną i świętą:

– Dopomóż, Jezu miłosierny! Rodzona mać me ukrzywdziła, Tobie
się jeno oddawam, sierota! pomóż! Dyc, kiej ten ostatni, na ciężki wy-
robek staję! Juści, com grzeszny, ale me spomóż, Panie miłosierny, to
już na mszę dam abo i na dwie! Świec nakupię, a jak się dorobię, to
nawet baldach sprawię! – prosił i przyobiecował, serdecznie przywierają-
jąc wargami do krzyża, obszedł go na kolanach, ucałował pokornie
ziemię i wstał wielce skrzepiony i dufny w siebie.

I mocnym się poczuł, i gotowym już na wszystko, i tak dobrej my-
śle, że ująwszy ciężkie taczki pchał je kiej piórko, hardo tocząc oczami

po Lipcach leżących niżej, a całych jeszcze we mgłach, z których jeno kościelna wieża biła wysoko, grając w zorzach pozłocistym krzyżem.

– Obaczycie! Hej! obaczycie! – krzykał radośnie, wchodząc na swoje gronta. Leżały tuż pod lasem, jednym bokiem przywarłe do pól lipeckich, ale Boże się zmiłuj, co to były za gronta! Kawał dzikiego ugoru, pełen dołów po cegielni, szutrowisk i kamionek obrosłych cierńiami. Dziewanny, psi rumianek i końskie szczawie bujnie się pleniły po wzgórkach, a kaj niekaj z trudem wynosiła się pokręcona sosenka, to kępa olch lub jałowców, zaś po dołkach i młakach sitowia i trzciny burzyły się kiej młode bory. Słowem, ziemia była taka, co pies by nad nią zapłakał, że nawet sam dziedzic odradzał, ale chłopak się uparł:

– W sam raz la mnie! Uredzę i takiej!

I Mateusz go odwodził, ze strachem spoglądając na to dzikie wywieisko, kaj jeno pieski folwarczne odprawiały swoje wesela, ale Szymek ciągiem prawił swoje, a w końcu twardo powiedział:

– Rzekłem! Każda ziemia dobra, jak się jej człowiek dołoży!

I wziął ją, bo dziedzic sprzedał tanio, po sześćdziesiąt rubli morgę, i jeszcze przybiecał pomoc w drzewie i różnościach.

– Hale, co bym ta nie miał poredzić! – wykrzyknął oblatując ją rozgorzałymi oczyma i złożywszy taczki na miedzy jął obchodzić swoje granice, znaczone nawtykanymi gałęziami.

Chodził z wolna i w takiej cichej a głębokiej radości, jaże serce biło mu kiej młotem i gardziel zatykało. Chodził układając sobie w głowie po porządku, co robić i od czego zaczynać. Przecież to miał robić la siebie, la Nastusi, la przvszłego rodu Paczesiów, to się tak był sprężył w mocy i srogiej ochocie, jako ten głodny wilk, gdy przychwyci barana i dorwie się żywego mięsa.

I obszedłszy całe pole jął rozważnie wybierać miejsce pod chałupę.

– Rychtyk najlepsze, wieś naprzeciw i bór pod bokiem, łacniej będzie o drzewo i ciszej na zimę – rozważał i oznaczywszy kamieniami cztery węgły ściepnął kozuch, przeżegnał się i splunawszy w garście wziął się do równania ziemi a karczunków.

Dzień się już był podniósł złocisty, od wsi leciały porykiwania stad wypędzanych na paszę, skrzypiały żurawie, ludzie wychodzili do roboty, turkotały po drogach wozy i niesły się przeróżne głosy wraz z leciuskim wiaterkiem, któren zaswywolił we zbożach, wszystko szło jak co dnia, tylko Szymek, nie bacząc na nic, jakby się zapamiętał w pracy, niekiedy jeno prostował grzbiet, odzipiał, przecierał oczy zalane potem i znowu przypinał się do ziemi kieby ta pijawka nienasycona, mamro-

cząc ciągiem wedle swego zwyczaju do każdej rzeczy, jakby do czegoś żywego.

Jał się był właśnie wyważania wielgachnego kamienia i prawil:

– Wyleżałeś się, odpocząłeś, to mi teraz możesz chałupę podeprzeć.

A wycinając krze tarniny, mówił ze szydlwym prześmiechem:

– Nie broń się, głupie! myśli, co mi się oprze! Hale! ostawie cię to, byś portki ozdierało, co?

Zaś do kamionek odwiecznych rzekł:

– I was ruszę, ciężko gnieść się na kupie! Bruk z waju wyrychtuję kole obory, jak u Borynów!

A niekiedy nabierając oddechu ogarniał swoją ziemię miłującymi oczami a szeptał gorąco:

– Mojaś ty! Moja! Nikto mi cię nie wydrze!

I współczując tej biedocie zachwaszczonej, płonej, nieurodzajnej i opuszczonej, dodawał pieśczośliwie kieby do dzieciątka:

– Poczekaj ździebko, sieroto, uprawię cię, napasę, wyceckam, że rodzić będziesz jak i drugie. Nie bój się, dogodzę ci, dogodzę.

Słońce się podniosło na pola i zaświeciło mu prosto w oczy.

– Panie Boże zapłać! – wyrzekł przymrużając oczy. – Na gorąc znowu idzie i susze – dodał, bo wynosiło się srodze rozczzerwienione.

Pokrótcie ozwała się i sygnaturka na kościele, a nad lipeckimi kominami podnosiły się z wolna modrawe słupy dymów.

– Podjadłbyś se tera, gospodarzu, co? – przyciągnął pasa – jeno ci już matka dwojaków nie przyniesą, nie – westchnął smutnie.

I na podleskich rolach zaroilo się od ludzi, stawali, jak i on, do roboty na co dopiero nabytych ziemiach; dojrzał Stacha Płoszkę, orzącego w parę tęgich koni.

– Mój Jezu, kiedy to dasz choćby jednego – pomyślał.

Wachnik Józef zwoził kamienie na fundamenta chałupy, Kłab ze synami okopywał rowem swoją ziemię, a Grzela, wójtów brat, przy samym krzyzie nade drogą coś długo rozmierzał tyką.

– Miejsce jakby wybrane pod karczmę – zauważył Szymek.

Grzela oznaczywszy kołkami wymierzony plac przyszedł z pozdrowieniem.

– Ho, ho! robisz, widzę, za dziesięciu! – podziw miał w oczach.

– A bo mi to nie potrza? Cóż to mam? Jedne portki a te gołe pazury! – mruknął nie odrywając rąk od roboty.

Grzela poradził mu to i owo i wrócił do swojego, a po nim zachodziły i drugie, kto z dobrym słowem, kto na pogwarę, a kto jeno wyku-

rzyć papierosa i zębów naszczerzyć, ale Szymek, odpowiadał coraz niecierpliwiej, że już w końcu ostro krzyknął na Pryczka:

– Robiłbyś swoje i drugim nie przeszkadzał! Świątki se juchy robią!

I ostał sam, bo go już omijali.

Słońce podnosiło się coraz wyżej, wisiało już nad kościołem, niesło się niepowstrzymanie zalewając świat ślepiącą jasnością i żarem, wia-ter się był kajś zadział, że już gorąc bez przeszkody ogarniał ziemię rozmigotaną przysłoną, w której zboża pławiły się kieby w tym rozbeł-tanym, cichuśkim wrzątku.

– Mnie ta rychło nie spędzisz – rzekł jakby przeciw słońcu i doj-rzawszy Nastusię ze śniadaniem wyszedł naprzeciw, łapczywie zabie-rając się do dwojaków.

Nastusia jakoś markotnie spojierała po polach.

– A bo się to co urodzi na takich zdiarach i mokradłach!

– Wszystko się urodzi, obaczysz, co i pszenicę miała będziesz na placki.

– Czekaj tatka latka, jak kobyłę wilcy zjedzą.

– Nie zjedzą, Nastuś! Gront jest, to i łacniej przeczekać, dyć całe sześć morgów nasze – prawil pojedając z pośpiechem.

– Juści, to ziemi pewnie ugryzie! A jak to przezimujemy?

– Moja w tym głowa, nie turbuj się! O wszyćkim deliberowałem i wszyćkiemu najdę zaradę! – Odsunął puste dwojaki, przeciągnął koście i powiódł ją pokazując i tłumacząc.

– W tym miejscu stanie chałupa! – zawołał radośnie.

– Stanie! Z błota ją pewnie ulepisz kiej jaskółka!

– A z drzewa i gałęzi, i z gliny, i z piasku, i z czego się jeno da, be-le tylko w niej przetrzymać z jakiś roczek, póki się nie wspomozemy.

– Sielny dwór, widzę, zamyślasz! – warknęła niechętnie.

– Wolę w budzie niżli u kogo na komornym.

– Mówiła Płoszkowa, żeby się do nich sprowadzić na przezimowa-nie, i sama się ochfiarowała dać nam izbę, z dobrego serca.

– Z dobrego serca. A juści, pewnikiem chce zrobić na złość matce, dyć się żrą ze sobą kiej te psy. Torba zapowietrzona, nie potrzebują jej dobrości. Nie bój się, Nastuś, wyrychtuję ci taką chałupę, że i okno będzie, i komin, i wszyćko, co ino potrza. Obaczysz, że jak ament w pacierzu, tak za trzy niedziele stanie gotowa, żebyś se miał kulasy urobić, a stanie.

– Hale, sam to pewnie postawisz!

– Mateusz mi pomoże, przyobiecwał!

– Nie dałaby to matka jakiego wspomnienia? – powiedziała lekliwie.

– Żebym skąpiał, a prosił ich nie będę! – wykrzyknął, ale widząc, co jeszcze barzej posmutniała, wielce się sfrasował i kiej przysiedli pod żytem, jął jękliwie tłumaczyć:

– A mogę to, Nastuś? Jakże, wygnała me i na ciebie pomstuje.

– Mój Boże, żeby choć jaką krowinę dali, a to jak te najgorsze dziadaki, przez niczego, jaże strach pomyśleć.

– Będzie i krowa, Nastuś, będzie, jużem se jedną upatrzył.

– Bo to ani chałupy, ani bydłatka, ani nic! – zapłakała przytulając się do niego, obcierał jej oczy, głąskał po głowinie, ale że i jemu robiło się żałośnie, co dziw sam nie beknął, to porwał się na nogi, chycił za łopatę i krzyknął jakby srodze zgniewany.

– Bój się Boga, kobieto, tylachna roboty, a ty jeno wyrzekasz?

Podniosła się, pełna ciężkich turbacji a trosk niemałych.

– Bo jeśli z głodu nie pomrzem, to nas wilki zjedzą na tym wywieisku.

Rozgniewał się na dobre i biorąc się do roboty rzekł twardo:

– Masz buczeć i pleść bele co, to lepiej ostań se w chałupie.

Chciała się przygarnąć do niego i udobruchać, ale ją odepchnął.

– Hale, pora tera na jamory, juści! – dał się jednak ugłaskać, choć się ta jeszcze sierdził na babie gadanie, że odeszła spokojna i nawet wesola.

– Loboga! Dyć i kobieta człowiek, a po człowieczemu nie wyrozumie. Płacze jeno a lamenty, samo z nieba nie spadnie, jak się kulasami nie wyrobi. Kieby te dzieci, to śmiech, to płacz, to złość i wyrzekania! Loboga!

Mamrotał przypinając się do roboty, że wnet zapomniał o całym świecie.

I już tak pracował dzień w dzień, o pierwszym świecie się zrywał i wracał późnym wieczorem, że często gęby nie ozwał do nikogo przez cały dzień, jadło przynosiła mu Tereska albo kto drugi, gdyż Nastusia odrabiała przy księżych ziemniakach.

Zrazu zaglądał do niego ten i ów, ale że nierad był pogwarom, to jeno z dala poglądali dziwując się jego niestrudzonej pracy.

– Kwarda jucha! Kto by się to był spodział – mruknął Kłęb.

– A bo to nie Dominikowe nasienie! – wykrzyknął ze śmiechem ktosik drugi, ale Grzela, którego go od samego początku pilnie obserwował, rzekł:

– Prawda, że haruje kiej wół, ale trza by mu ździebko ulżyć.

– Juści, sam nie uradzi, trza by, wart tego! – przytwierdzali, jeno co nikto się nie pokwapił na pierwszego, wyczekując, jaże sam poprosi.

Ale Szymek nie prosił, ani mu to w głowie postało, więc też któregoś dnia srodze się zdumiał dojrawszy jakiś wóz jadący ku niemu.

Jędrzych powoził i już z dala krzyczał wesoło:

– Pokaż, kaj mam podorywać! Dyc to ja!

Szymek dopiero po długiej chwili uwierzył oczom.

– Żeś się to ważył, no, spierą cię, chudziaku, obaczysz.

– A niechta! a jak me spierą, to już całkiem do ciebie przystanę.

– I sameś to umyślił mi pomagać?

– A sam! Dawno chciałem, jenom się bojał, pilnowali me i zrazu Jagusia też odradzała – rozpowiadał szeroko, biorąc się do roboty, że już razem orali cały dzień, a odjeżdżając obiecał przyjechać jeszcze i nazajutrz.

I przyjechał równo ze słońcem, a Szymek zaraz obaczył jego poliki ździebko posinione, ale spytał się dopiero przed wieczorem:

– Silne piekło ci zrobili?

– I... ślepi, to im niełacno me zmacać, a sam przeciek pod pazury nie wleżę – powiadał jakoś markotnie.

– A Jagna cię nie wydała?

– Jagusia przeciek nie stoi nam na zdradzie.

– Póki jej cosik do łba nie strzeli, kto to wyrozumie kobiety! – westchnął żałośnie i wzbronił mu więcej przyjeżdżać.

– Sam se już dam radę, pomożesz mi później przy siewach.

I znowu został sam, i robił niestrudzenie kiej ten koń w kieracie, nie bacząc na utrudzenie ni na żar, dnie bowiem szły takie gorące, rozprażone a duszne, że ziemia pękała, wody wysychały, trawy żółkły, a zboża stały ledwie już żywe w owej piekielnej pożodze, pola robiły się puste i głuche, gdyż nie sposób było wytrzymać przy robocie, prosto żywy ogień lał się z nieba i słońce wyżerało ślepie. Zbielałe, mętne niebo wisiało kieby ta ognista, rozdrzana płachta, obtulająca wszystką ziemię taką spieką, że ni wiater się poruszył, ni zaruchały się drzewa, ni ptak zaśpiewał lebo głos ludzki się kaj zerwał, a co dnia jednako ze wschodu na zachód wędrowało słońce siejąc nieubłaganie ogień i posuchę.

A i Szymek co dnia jednakowo stawał do roboty, nie dając się spędzić upałom, że nawet już noce przesypiał na polu, bele jeno czasu nie mi-trężyć, aż go Mateusz hamował w onej zajadłości, ale mu rzekł krótko:

– W niedzielę se odpoczne!

Jakoż w sobotę wieczorem przyszedł do chałupy, ale tak przemordowany, iż zasnął przy misce, a nazajutrz spał prawie cały dzień, bo dopiero na odwieczeru zwlókl się był z barłogu i przybrawszy się odświeżnie zasiadł przed kopiastymi michami; chodziły też kole niego kobiety kieby kole tej ważnej osoby, często dokładając i bacząc na każde skinienie, on zaś, nałożywszy się do syta, pasa popuścił, kości rozprostował i huknął wesoło:

– Bóg zapłać, matko! A tera chodźma się ździebko poweselić!

I ruszył z Nastusią do karczmy, a za nimi Mateusz z Tereską.

Żyd kłaniał mu się w pas, gorzałkę stawiał bez wołania i gospodarzem przezywał, z czego Szymek niemało się puszył i podpiwszy se galancie, darł się między najpierwsze i swoje o wszystkim powiedział.

W karczmie było ludno i muzyka przygrywała la większej ochoty, ale nikt się jeszcze nie brał do tańców, a jeno przepijali do się, biadoląc na gorąc, to na przednówek, jak to zwyczajnie w karczmie.

Przyszły nawet Boryny z kowalami, ale powiedli się do alkierza i musi co se niezgorzej używali, bo Żyd raz po raz nosił im gorzałkę a piwo.

– Antek patrzy dzisia w swoją kobietę kieby gapa w gnat, że nawet człowieka nie poznaje – wyrzekał markotnie Jambroż, na darmo zazierając do alkierza, skąd się roznosiły brzękliwe, lube głosy.

– Bo mu lepszy swój trep niżli buciary, co na każdy kulas idą – rzekła z prześmiechem Jagustynka.

– Ale w takich nóg se człowiek nie urazi! – dorzucił ktosik, a cała karczma gruchnęła śmiechem rozumiejąc, co Jagusię mają na myślach.

Jeno Szymek się nie śmiał, bo ułapiwszy Jędrzycha za szyję całował go, a prawil dobrze już napiłym głosem:

– Słuchać me powinieneś, pomiarkuj jeno, kto do cię mówi.

– Dyc wiem, juści... jeno matula przykazali – jąkał płaczliwie.

– Co tam matula! mnie się posłuch należy, gospodarz jestem.

Muzykanty wyrznęły chodzonego, podniósł się wrzask, rypnęły obcasy, zaskowyczały dyle, zaśpiewały piosneczki, zakręciły się pary, to i Szymek ułapił wpół Nastusię, kapotę rozpuścił, czapę zbakierował, da dana gruchnęła, wysforował się na pierwszego i najgłośniej krzykał,

najzapamiętalej bił w podłogę, najostrzej zawracał i toczył się bujnie, wesoło, rozgłośnie, kiej ten potok nabrany zwiesnową mocą.

Ale kiej przetańcował raz i drugi, dał się kobietom wywieść z karczmy i już galancie przetrzeźwiony siedział z nimi pod chałupą, przylazła też Jagustynka i tak se wraz pogadywali, bo chociaż późno było i Szymek zbierał się do powrotu, ale było mu jakoś niesporo, ociągał się, zwłóczył; do Nastki się przygarniał i czegoś wzdychał, jaże matka rzekła:

- Ostań w stodole, kaj ta będziesz się tłukł po nocy.
- Kiedy pościele ma już tam, w budzie – tłumaczyła Nastusia.
- A to go puść pod swoją pierzynę, Nastuś – ozwała się Jagustynka.
- Co wam też w głowie! Hale, jeszcze czego! – broniła się zesromana.

– Dyc to twój chłop! Że ta ździebko przódzi, nim ksiądz poświęci, nie grzech, a chłopak haruje kieby wół, to mu się należy nadgroda.

– Święta prawda! Nastuś! Nastuś! – skoczył kiej wilk do dziewczyny, przycapił ją kajś w sady i nie popuszczając z garści, całował i skamlał:

- Wygonisz me to, Nastuś? wygonisz, najmilsza, w taką noc?

Matka nalazła se jakąś sprawę w sieni, a Jagustynka rzekła na odchodnym:

– Nie broń mu, Nastuś! Mało dobrego na świecie, a zdarzy się kieby to ziarno ślepej kurze, to je z pazurów nie popuszczajta.

Rozminęła się w opłotkach z Mateuszem, któren, dojrzwawszy przez okno, co się w izbie święci, krzyknął do Szymka:

- Na twoim miejscu już bym to dawno zrobił!

I pogwizdując leciał na wieś szukać uciechy.

Ale nazajutrz o świtanu Szymek stanął na robotę jak zawdy i pracował niestrudzenie, tylko kiedy mu Nastuś przyniesła śniadanie, to łakomiej sięgał jej warg czerwonych niżli dwojaków.

– A zdradz me ino, to ci łeb wrzątkiem obleję – groziła wpierając się w niego.

– Mojaś, Nastuś... samaś mi się dała... już cię nie popuszczę – bełkotał gorąco i zazierając jej w oczy dodał ciszej: – Chłopak musi być pierwszy.

– Głupis! Hale, jakie mu to zberezienstwa we łbie! – odepchnęła go i zapłoniona uciekła, gdyż niedaleczko ukazał się pan Jacek, fajeczkę se kurzył, skrzyпки ściszał pod pachą i pochwaliwszy Boga rozpytywał o różności. Szymek rad przechwalał się z tego, co to już dokonał, i z

nagła oniemiał i ślepie wybałuszył, bo pan Jacek skrzypki odłożył, kapotę ściepnął i zabrał się do przerabiania gliny.

Szymek jaże łopatę wypuścił i głębę rozdziawił.

– Czegóż się dziwujesz, hę?

– Jakże? to pan Jacek będą ze mną robili?

– A będę, pomogę ci przy chałupie, myślisz, że nie poradzę? Zobaczysz.

I robili już we dwóch, wprawdzie stary wielkiej mocy nie miał i chłopskiej robocie był niezwykajny, ale miał takie przemyślne sposoby, że praca szła znacznie prędzej i składniej. Juści, co Szymek skwapliwie słuchał go we wszystkim, mrużąc jeno kiej niekiej:

– Loboga, tego jeszcze nie bywało na świecie... Żeby dziedzic...

Pan Jacek jeno się prześmiechał i jął pogadywać o takich różnościach i takie cudenka prawil o świecie, jaże Szymek dziw mu do nóg nie padł w podzięce a zdumieniu, jeno co nie miał śmiałości, ale wieczorem poleciał rozpowiedzieć o wszystkim Nastusi.

– Mówili, co głupawy, a on ci kiej ten ksiądz najmądrzejszy! – zakończył.

– Drugi mądrze powieda i głupio robi! Juści, żeby miał dobry rozum, to by ci może pomagał, co? Albo pasałby Weronczyne krowy?

– Prawda, że tego ani sposób wymiarkować!

– Nic, jeno mu się w głowie popsulo.

– Ale też lepszego człowieka nie należć na świecie.

I był mu niezmiernie wdzięczny za tę dobroć, ale chociaż razem pracowali, z jednych dwojaków jedli, a pod jednym kożuchem sypiali, to jednak nijakoś mu się było z nim podufalej stowarzyszać.

– Zawdyć to dziedzicowy gatunek – myślał z głębokim uważaniem i wdzięcznością, bo przy jego pomocy chałupina rosła kieby na drożdżach, zaś kiedy Mateusz przyszedł z pomocą, a Kłębowy Adam nawiózł z boru, co było jeno potrza; to buda stanęła taka galanta, jaże ją było widać z Lipiec. Mateusz prawie cały tydzień harował sielnie, drugich poganiając, i kiej skończyli w sobotę po południu, zieloną wiechę zatknął na kominie i poleciał do swojej roboty.

Szymek jeszcze wybielał izbę a uprzętał wióry i śmiecie, zaś pan Jacek przybrał się, skrzypki wziął pod pachę i rzekł ze śmiechem:

– Gniazdko gotowe, nasadźże sobie kokosz...

– Dyć jutro ślub po nieszporach – rzucił mu się dziękować.

– Nie robiłem za darmo! Jak mnie ze wsi wypędzą, to przyjdę do ciebie na komorne – fajeczkę zapalił i polazł w stronę lasu.

A Szymek, chociaż wszystko pokończył, łąził jeszcze czegoś, przeciągał strudzone koście i patrzył na chałupę z niespodziewaną uciechą.

– Moja! Juści, co moja! – gadał i jakby nie wierząc oczom dotykał ścian, obchodził dokoła i zaglądał przez okno wciągając z lubością skisły zapach wapna i surowej gliny, że dopiero o zmierzchu ruszył do wsi szykować się na jutro.

Juści, co już wszystkie wiedziały o ślubie, więc i Dominikowej donieśla któraś z sąsiadek, ale stara udała, iż nie miarkuje, o czym powiadają.

Zaś nazajutrz w niedzielę już od wczesnego rana Jagusia raz po raz wymykała się z chałupy ze sporymi tobołami, cichaczem, przez ogrody, dygując je do Nastusi, lecz stara, chociaż dobrze czuła, co się wyrabia, nie przeciwiała się niczemu, łąziła jeno milcząca i tak chmurna, co Jędrzych dopiero po sumie ośmielił się do niej przystąpić.

– A to już póde, matulu! – szepnął trzymając się z daleka, ostrożnie.

– Konie byś lepiej wygnał na koniczysko...

– Dzisia Szymkowe wesele, nie wiecie to...

– Chwała Bogu, co nie twoje! – zaśmiała się urągliwie. – A spij się, to obaczysz, co ci zrobię! – pogroziła ze złością i kiej chłopak wziął się przybierać odświętnie; powlekła się kajś na wieś.

– A spiję się, na złość się spiję! – mamrotał biegnąc przez wieś do Mateuszowej chałupy, rychtyk już wychodzili do kościoła, jeno że cicho, bez śpiewań, bez krzyków i bez muzyki. Ślub się też odbył całkiem biednie przy dwóch jeno świecach, że Nastusia rozplakała się rzewliwie, a Szymek bzdyczył się czegoś i hardo, zacepliwie patrzył w ludzi i po pustym kościele. Szczęściem, co na wychodnym organista zagrał tak skocznie, jaże nogi zadrygały, i stało się jakoś raźniej i weselej na duszach.

Jaguś zaraz po ślubie wróciła do matki, a jeno później zaglądała niekiedy do weselników, bo Mateusz zagrał na skrzypicy, Pietrek Borynów przywtórzył na fleciku, a ktosik srodze przybębniał, że zatańcowali w ciasnej izbie, a poniektóre, co ochotniejsze, to prosto przed chałupą między stołami, kaj się porozsadzali godownicy jedząc, przepijając a gwarząc z cicha, że to nijako było się wydzierać za dnia i po trzeźwemu.

Szymek ciągiem łąził za żoną, w kąty ją ciągał, a tak siarczyście całował, jaże przekpiwali z niego, a Jambroź rzekł posepnie:

– Ciesz się, człowieku, dzisiaj, bo jutro zapłaczesz! – i gonił ślepiami kieliszek.

Co prawda, to i ochoty wielkiej nie było, i na większą zabawę się nie zanosilo, gdyż niejedni, podjadłszy ździebko i posiedziawszy obyczajnie czas jakiś, gdy słońce zaszło i niebo stanęło w ogniach zórz, jęli się już zbierać do domów. Tylko jeden Mateusz srodze się rozochocił, grał, przyśpiewywał, dzieuchy do tańców niewolił, gorzałką częstował, a skoro się pokazała Jagusia, sielnie się z nią stowarzyszał, w oczy zacieriał i z cicha, gorąco cosik prawił, nie bacząc na rozjarzone łzami oczy Tereski stróżujące nieodstępnie.

Jaguś nie stroniła od niego, bo ni ją ziębił, ni parzył, słuchała cierpliwie, zważając jeno pilnie, czy nie nadchodzą Antkowie, z którymi za nic spotkać się nie chciała. Na szczęście, nie przyszli, nie było też żadnego z większych gospodarzy, chociaż zaprosinom nie odmówili, a wspomogę na wesele, jak to było zwyczajnie, przysłali, więc skoro ktosik o tym wspomniął, Jagustynka wykrzyknęła po swojemu:

– Żeby ta smaków nagotowali, a zapachniała kufa okowitki, to by się kijem nie opędził od najpierwszych, ale na darmo nie lubią brzuchów trząchać i suchymi ozorami mleć.

Że zaś już była ździebko napita, to dojrzawszy Jaśka Przewrotnego, jak kajś w kącie wzdychał żałośliwie, nos ucierał i ogłupiałymi oczami spozierał w Nastusię, pociągnęła go do niej la prześmiechów.

– Potańcuj z nią, użyj se choć tyła, kiej ci matka wzbronili żeniaczki, a zabiegaj kole niej, może ci co z łaski udzieli, ma chłopca, to już jej zarówno, jeden czy więcej.

I wygadywała takie trefności, jaże uszy wędły, zaś kiedy i Jambroż dorwał się kieliszka i jął po swojemu gębę rozpuszczać, to już oboje rej wiedli pyskując do śmiechu, aże się trzęsły wszystkie kałduny ani się spostrzegając w onej zabawie, jak im przeszła ta krótka noc.

Że w mig ostał z obcych jeno Jambroż sączący flachy do sucha, zaś młodzi postanowili zaraz przenieść się na swoje, Mateusz przyniewalał do pozostania w chałupie na jakiś czas, ale Szymek się uparł, konia pożyczył od Kłęba, skrzynie a pościele i statki upakował na wozie, Nastusię z paradą usadził, matce padł do nóg, szwagra ucałował, famieliantorn pokłonił się w pas, przeżegnał się, konia śmignął i ruszył, a pobok szli odprowadzający.

I wiedli się w milczeniu, właśnie słońce co jeno było się pokazało, pola stanęły w roziskrzanych rosach i ptasich śpiewaniach, zaruchały się ciężkie kłosa i wszystkim światem buchnęła weselna radość dnia,

co jak ten święty pacierz wionął z każdego źdźbła i unosił się wraz ku niebu jasnemu.

Dopiero za młynem, gdy dwa boćki jęły kołować wysoko nad nimi, ozwała się matka strzepując palcami:

– Na psa urok! Dobra wróżba, będą się wama dzieci darzyć.

Nastusia ździebko poczerwieniła się, a Szymek, wspierając wóz na wybojach, zagwizdał zuchwale i hardo potoczył ślepiami.

Zaś kiej już sami ostali, Nastusia rozejrzawszy się po swoim nowym gospodarstwie rozplakała się żałośnie, aż Szymek krzyknął:

– Nie bucz, głupia! Drugie i tyła nie mają! Jeszcze ci będą zazdrościły – dodał, a że był wielce strudzony i nieco napity, uwalił się w kącie na słomie i wnet zachrapał, a ona zasiadła pod ścianą i popłakiwała spozierając na białe ściany Lipiec, widne ze sadów.

I nieraz jeszcze płakała na swoją biedę, jeno co już coraz rzadziej, gdyż wieś jakby się zmówiła na ich wspomóżenie. Najpierwej przyszła Kłębowa z kokoszką pod pachą i stadem kurczątek w koszyku i snadź dobry zrobiła początek, bo prawie każdego dnia zaglądała do niej któraś z gospodyń, a nie z próżnymi rękami.

– Ludzie kochane, a czymże się ja wam od służę – szeptała wzruszona.

– A choćby dobrym słowem – odparła Sikorzyna dając jej kawał płótna.

Jak się dorobisz, to oddasz biedniejszemu – dodała rozsapana Płoszkowa wyciągając spod zapaski niezgorszy kawał słoniny.

I nanieśli jej tyła, że mogło starczyć na długo, a któregoś zmierzchu Jasiek przywiódł im swojego Kruczka i uwiązawszy go pod chałupą uciekał jakby oparzony.

Śmiali się niemało rozpowiadając o tym Jagustynce wracającej z boru, stara skrzywiła się wzgardliwie i rzekła:

– W przypołudnie zbierał la cię, Nastuś, jagódki, ale matka mu odebrała.

ROZDZIAŁ 7

Pociągnęła do Borynów niesąc czerwonych jagód la Józki, a że właśnie Hanka doiła krowy przed chałupą, przysiadła pobok na przyźbie, rozpowiadając szeroko, jak to Nastusie obdarzają.

– Hale, na złość Dominikowej to robią – zakończyła.

– Nastce to zarówno, ale trza by i mnie co ponieść – szepnęła Hanka.

– Narychtujcie, to zanięse – nastęczała się skwapnie, gdy z izby rozległ się słaby, proszący głos Józki:

– Hanuś, dajcie jej moją maciorkę! Zamrę pewnikiem, to Nastuś za to zmówi za mnie jaki pacierz.

Trafiło to Hance do myśli, bo zaraz kazała Witkowi wziąć prosię na postronek i pognać do Nastusi, gdyż iść samej czegoś się wagowała.

– Witek, powiedz ino, co ta maciorka ode mnie! A niech przyleci rychło, bo ja się już ruchać nie poredzę! – zaskarżyła się boleśnie, chorzało bowiem biedactwo od tygodnia, leżała po drugiej stronie chałupy spuchnięta, w gorączce i cała obwalona krostami, zrazu wynosili ją na dzień do sadu pod drzewa, bo skamlała o to żałośnie.

Ale cóż, kiej się tak pogarszało, że Jagustynka wzbronila ją wynosić na powietrze.

– Musisz leżeć po ciemku, bo w słońcu wszystkie krosty padną na wątpia.

I leżała samotnie w przyćmionej izbie pojękując jeno i skarżąc się cichuśko, że nie dopuszczają do niej dzieci ni żadnej z przyjaciółek, gdyż Jagustynka, mająca ją w opiece, kijaszkiem odganiała każdego.

A teraz, skoro ugwarzyła się z Hanką, podetknęła chorej jagód i wzięła się do wygniatania maści z czystej gryczanej mąki zarobionej obficie świeżym niesolonym masłem i samymi żółtkami, obwalila nią grubo twarz i szyję Józki, a na to nakładła mokrych szmat, dziewczyna cierpliwie poddawała się lekom, jeno trwożnie rozpytujac:

– A nie będzie dziobów na polikach?

– Nie zdrapuj, to przejdzie ci bez znaku, jak Nastusi.

– Kiej tak swędzi, mój Jezu! To mi już lepiej przywiążcie ręce, bo nie wytrzymam! – prosiła łzawo, ledwie wstrzymując się od darcia skóry, stara wymruczała nad nią jakąś zamowę, okadziła wysuszonym rozchodnikiem i przywiązawszy jej ręce do boków odeszła do roboty.

Józka leżała cicho, zasłuchana w brzęki much i w ten dziwny szum, co się jej ciągiem przewalał po głowie, słyszała jak przez sen, że niekiedy ktosik z domowych zaglądał do niej i odchodził bez słowa, to się jej widziało, że ciężkie od rumianych jabłuszek gałęzie zwisają nad nią tak nisko, a ona próżno się zrywa i dosięgnąć ich nie poredzi, to znowu, że owieczki cisną się dokoła z jakimś żalonym bekiem, ale skoro Witek wsunął się do izby, zaraz go rozeznała.

– Zapędziłaś maciorkę? Cóż pedziała Nastusia?

– Taka była rada prosiakowi, że dziw go w ogon nie całowała.

– Widzisz go, będzie się z Nastusi prześmiewał!

– Prawdę mówię! I kazała pedzieć, co jutro do cię przyleci.

Zaczęła się nagle rzucać na łóżku i trwożnie wołać:

– Odpędź je, bo me zatratują, odpędź! Basiuchny! Baś! Baś!

I jakby zasnęła, tak leżała spokojnie, Witek odszedł, ale zaglądał do niej co trochę. Spytała go niespokojnie:

– Czy to już południe?

– Kole północka być musi, wszystkie śpią.

– Prawda, ciemno! Wybierz wróble spod kalenicy, piszcza jak wypierzone!

Jął cosik rozpowiadać o gniazdach, gdy zakrzyczała usiłując się podnieść.

– A gdzie siwula! Witek, nie puszczaj w szkodę, bo cię ociec spiera!

Któregoś razu kazała mu bliżej przysiąc i szeptem rozpowiadała:

– Hanka mi wzbrania na wesele Nastusi, ale na złość póde i przybierę się w modry gorset i w tę kieckę, com to w niej była na odpuscie. Oczy za mną wypatrzą, zobaczysz! Witek, narwij mi jabłek, niech cię ino Hanka nie przychwyci! Juści, że jeno z parobkami będę tańcowała!

– przymilkła nagle i zasnęła, zaś Witek już całymi godzinami przy niej siadywał, gałęzią bronił od much i wody podawał, czuwając nad nią kiej kokosz, bo Hanka ostawiła go w chałupie do pomocy, a bydło pasał za niego wraz ze swoim Kłębów Maciuś.

Zrazu przykrzyło się chłopakowi za lasem i swawolą, ale tak go strasznie rozżaliła Józina choroba, że rad był jej nieba przychylić i ciągiem jeno przemyślał, czym by ją zabawić i przywieść do śmiechu.

Któregoś dnia przyniósł całe stadko młodych kuropatek.

Józia, pogładź ptaszki, to ci zapiukają, pogładź.

– Jakże, mam to czym – jęknęła unosząc głowę.

I gdy odwiązał jej ręce, wzięła trzepoczące się ptaszki w zdrtwiałe, bezsilne dłonie cisnąc je do twarzy i oczów.

– Tak się w nich dusza tłucze, tak się boją, biedoty! Puść je, Witek!

– Sam wytropiłem i będę to puszczał – bronił się, ale je wypuścił.

A znowu kiedyś przyniósł młodego zajączka i trzymając go za uszy posadził przed nią na pierzynie.

– Trusia kochana, trusiuchna, od matuli cię wzieni, sieroto, od matuli.

Szeptala cisnąc go do piersi kiej dzieciątko, a głaszcząc i, upieszczając, ale zając beknał jakby rozdzierany i wyrwał się z rąk, skoczył do sieni w całe stado kur, że rozpierzchły się ze srogim wrzaskiem, buchnął na ganek i przez Łapę drzemiącego w sieni rymnął do sadu, pies pognał, a za nimi Witek z krzykiem niemałym, z czego uczynił się taki harmider, jaże Hanka przyleciała z podwórza, zaś Józka śmiała się do rozpuku.

– Może go pies złapał, co? – pytała potem ździebko niespokojnie.

– A juści, obaczył mu jeno podogonie, zając wpadł we zboże, jak kamień we wodę, tęgi wywijacz! Nie markoć się, Józia, przyniesę ci co drugiego.

I znosił, co jeno mógł: to przepiórki jakby złotem oprószone, to jeża, to oswojoną wiewiórkę, która strasznie do śmiechu skakała po izbie, to młode jaskółki, tak żałośnie piukające, że stare z krzykiem wdzierały się do izby, aż mu Józka kazała oddać, to insze różności, nie spominając już, co jabłek i gruszek nanosił tyła, ile mogli zjeść kryjomo przed starszymi, ale już ją to nie bawiło, bo często patrzyła, jakby nie miarkując, i odwracała się znużona i niechętna.

– Nie chcę, przynies co nowego! – matyjasiała odwracając oczy i nawet nie patrząc na boćka, któren się grajdał po izbie, kuł po wszystkich garnkach i na darmo przyczajał się pod drzwiami na Łapę, dopiero kiej pewnego razu przyniósł jej żywą żołą, rozchmurzyła się nieco.

– Jezu kochany, a to śliczności, kieby malowanie!

– A pilnuj się, bych cię w nos nie dziobnęła, zła kiej pies.

– Cie, nawet się nie rwie uciekać, oswojona czy co?

– Skrzydła ma i kulasy spętane, a ślepie zalałem jej smołą.

Bawili się ptakiem czas jakiś, ale żoła wciąż była nieruchoma i smutna, nie chciała jeść i zdechła ku wielkiemu strapieniu całego domu.

I tak im schodziły dni.

A na świecie ciągiem prażyło, zaś czym bliżej ku zniwom, tym jeszcze bardziej wzmagala się spiekota, że już w dzień nie sposób się było pokazać w polu, a nocie też nie przynosiły ochłody, szły bowiem duszne i nagrzone, że nawet w sadach nie można było wypaść z gorąca, prosto klęska waliła się na wieś, trawy już tak wypaliło, że bydło głodne wracało z paśników i ryczało w oborach, ziemniaki więdły, zawiązały się kieby orzeszki i tak ostały, przypalone owsy ledwie odrosły od ziemi, jęczmiona pożółkły, zaś żyta schły przed czasem, bielejąc płonnymi kłosami. Trapili się tym niemało, ze smutną nadzieją spozierając w każdy zachód, czy nie idzie na odmianę, ale niebo wciąż było bez chmur i całe jakby w szklanej, białawej połodze, a słońce zachodziło czyste i by najlżejszym obłoczkiem nie przyćmione.

Niejeden już skamlał serdecznie przed obrazami do Przemienienia Pańskiego, nic jednak nie pomagało, pola mglały coraz bardziej, uwiedły, a niedojrzały owoc opadał z drzew, studnie wysychały, a nawet w stawie ubyłoby tyle wody, co tartak nie mógł już robić i młyn również stał zawarty na głucho, więc naród przywiedziony do rozpaczycy złożył się na wotywę z wystawieniem, na którą zebrała się cała wieś.

A modlili się tak gorąco i ze wszystkiego serca, co i kamień by się ulitował.

I snadź Pan Jezus pofolgował swemu miłosierdziu, chociaż bowiem nazajutrz zrobiło się tak gorąco, znojnio, duszno i parno, jaże ptactwo padało zemglone, krowy żałośnie ryczały po paśnikach, konie nie chciały wychodzić na świat, a ludzie, przemęczeni do ostatka, bez sił, tułali się po spiekłych sadach bojąc się wyrzeć choćby do ogrodu, ale jakoś w samo przypołudnie, gdy wszystko zdało się już puszczać ostatnią parę w tym białym, rozmigotanym wrzątku, przyćmiło się nagle słońce i zmętniało, kieby weń kto rzucił przygarścią popiołu, a pokrótce zahuczało kajś wysoko, jakoby stado ptactwa wielgachnymi skrzydłami, a napęczniałe sinością chmury nadciągały ze wszystkich stron, opuszczając się coraz niżej i groźniej.

Strach wionął, wszystko przycichło i stanęło w przytającym dygocie.

Zahurkotały dalekie grzmoty, zerwał się krótki wiatr, po drogach wzniosły się skłębione tumany, słońce rozlało się kieby żółtko w pia-

sku, ściemniało raptem i na niebie zaroily się roje błyskawic, jakby kto zamigotał ognistymi postronkami; i pierwszy piorun trzasnął kajś blisko, jaże ludzie powybiegali przed chałupy.

Naraz skotłowało się wszystko do dna, słońce zgasło, uczynił się dziki mąt i rozszalała się taka zawierucha, że w skołtunionych mrokach lały się jeno strugi oślepiających jasności, były pioruny, grzmoty prze-walały się po niebie, szumiała ulewa i jęczały wichry i drzewa.

Pioruny już były jeden za drugim, jaże oczy ślepilo, i spadała ulewa, że świata nie można było dojrzeć, zaś stronami poszły grady.

Burza trwała może z godzinę, aż zboża się pokładły i drogami po-ciekły całe rzeki spienionej wody, a co przestało na chwilę i zaczynało się wyjaśniać, to znowu grzmiało, jakby tysiące wozów pędziło po zmarzłej grudzi, i nowy deszcz lał jak z cebra.

Z trwogą wyzierano na świat, tu i owdzie już pozapalano lampki śpiewając: „Pod Twoją obronę”, gdzie znów powynoszono na przyźby obrazy la obrony przed nieszczęściem, ale dzięki Bogu burza przechodziła nie wyrządziwszy większych szkód, dopiero kiej się już prawie do cna uspokoiło i padał deszcz coraz drobniejszy, z jakiejś ostatniej chmury zwieszającej się nad wsią trzasnął piorun w stodołę wójtową.

Buchnęły płomienie a dymy i w mig cała stodoła stanęła w ogniu, na wsi zerwał się strachliwy wrzask i kto jeno mógł, leciał do pożaru, ale ani mowy było o ratowaniu, paliła się od góry do dołu kieby ta kupa zwalonych szczap, to Antek z Mateuszem i drugie bronili jeno zawzię-cie Kozłowej chałupy i inszych budynków; szczęściem, co nie brako-wało wody i błota na drodze, bo już poniektóre dachy zaczynały się kurzyć i gęsto leciały skry na najbliższe obejścia.

Wójtą doma nie było, pojechał był jeszcze rano do gminy, zaś wój-towa srodze lamentowała biegając dokoła kiej ta rozgdakana kokosz; więc kiedy już minęło niebezpieczeństwo i zaczynali się rozchodzić, przysunęła się do niej Kozłowa i ujawszy się pod boki zakrzyczała urą-gliwie:

– Widzisz, dał ci Pan Jezus radę, pani wójtowa, dał! Za moją krzywdę!

I byłoby doszło do bitki, gdyż wójtowa skoczyła do niej z pazura-mi, ledwie Antek zdążył je rozdzielić i tak przy tym skrzyczał Kozło-wą, że kiej pies kopnięty wróciła pod swoją chałupę warcząc jeno a doszczekując:

– Dmij się, pani wójtowo, dmij, odbiję ja ci swoje z precentem.

Ale nikt jej nie słuchał, stodoła się dopaliła, przywalili błotem dymiące się zgliszcza i porozchodzili się do domów, została jeno wójtowa biadoląc przed Antkiem, który wysłuchał cierpliwie, co mógł, na resztę machnął ręką i poszedł.

Burza się już przetoczyła na bory i lasy, pokazało się słońce, po modrym niebie przeciągały stada białych chmur, zaśpiewały ptaki, powietrze było rzeźwe i chłodnawe, ludzie zaś wychodzili spuszczać wody i równać wyrwy.

Antek prawie przed samą chałupą natknął się niespodzianie na Jagusię, szła z koszykiem i motyczką, pozdrowił ją skwapnie, ale spojrzała wilczymi ślepiami i przeszła bez słowa.

– Cie, jaka harna! – mruknął rozgniewany i spostrzegłszy Józkę w opłotkach powstał na nią srogo, że łązi po wilgoci.

Dziewczynie bowiem było o tyle lepiej, że mogła całe dni leżeć w sadzie, krosty się już podgoiły galancie i przyschły, nie ostawiając żadnych śladów, toteż jeno ukradkiem Jagustynka smarowała ją maścią, gdyż Hanusia krzywiła się na wielki rozchód masła i jajek.

I leżała se tak dobrzejąc z wolna i prawie samiutka dni całe, Witek bowiem wrócił do krów, czasem jeno przyleciała która przyjaciółka na krótką pogwarę, to Rocho posiedział jaką chwilę, to stara Jagata rozpowiedziała jedno i to samo: jako z pewnością zamrze we żniwa w Kłębowej izbie i po gospodarsku; a głównie przestawała z Łapą nieodstępnie warującym i z boćkiem, któren przychodził na wołanie, i z ptakami, co się były zlatywały do kruszyn chleba.

Któregoś dnia, gdy w chałupie nie było nikogo, zajrzała do niej Jagusia przynosząc całą garść karmelków, ale nim Józka zdążyła dziękować, rozległ się kajś głos Hanki, a Jagna pierzchnęła spłoszona.

– Niech ci j będzie na zdrowie! – zawołała przez płot i zniknęła.

Leciała do brata niosąc mu cosik w zanadru.

Zastała Nastusię przy krowie chlipającej z cebratki, Szymon stawił jakąś przybudówkę i sielnie gwizdał.

– Macie już krowę? – zdumiała się niezmiernie.

– A mamy! Co, nie śliczna? – mówiła z pychą Nastusia.

– Sielna krowa, musi być z dworskich, kiedy kupiliśta?

– Juści, co krowa nasza, choć nie kupowalim! Jak ci wszystko rozpowie, to się złapiesz za głowę i nie dasz wiary! A to wczoraj jakoś na świtaniu poczułam, że cosik tak się cocha o węgieł, jaże się buda zatrzęsła, myślę sobie, pędzą na paśniki i świnia jakaś podeszła wytrzeć się z błota. Przyłożyłam się i jeszczek nie usnęłam, a tu znowu cosik

porykuje z cicha. Wychodzę, patrzę, krowa stoi przywiązana do drzwi, kłak koniczyny leży przed nią, wymiona ma wezbrane i wyciąga do mnie gębule. Przetarłam oczy, bo mi się zdało, że mnie jeszcze śpiak mroczy, ale nie, żywa krowa stoi, porykuje i liże me po palcach. Juści, byłam pewna, że się odbiła od stada, Szymek też powiada: zaraz tu po nią przylecą! To mnie jeno korciło, że była przywiązana. Jakże, sama się przeciek na postronek nie wzięła. Ale przeszło południe i nikt po nią nie przyszedł, wydołam, żeby jej ulżyć, bo już mleko gubiła z cyczków. Przeszedł wieczór, przeszła i noc, rozpytywałam się na wsi, pytałam nawet dworskiego pasterza, nikt nie słyszał, żeby komu krowa zginęła. Stary Kłęb powiedział, że to może być jakaś złodziejska sprawa i lepiej krowę zaprowadzić do kancelarii! Żal mi juści było, ale trudno, w przypołudnie przychodzi Rocho i mówi:

– Poczciwaś i potrzebnicka, to cię Pan Jezus krową pobłogosławił.

– Juści, krowy pewnie z nieba spadają, nawet głupi nie uwierzy.

Ośmiał się na to i na odchodnym powie:

– Krowa wasza, nie bójcie się, nikt jej wam nie odbierze!

Zrozumiałam, co od niego, padłam mu do nóg dziękować, ale się wyrwał.

– A jak spotkacie pana Jacka – powie z prześmiechem – to mu za krowę nie dziękujcie, bo was jeszcze kijem przeleje, nie lubi dziękowań!

– To niby pan Jacek dał wam krowę!

– Zaśby się znalazł kto drugi taki poczciwy la biednego narodu!

– Prawda, dał przeciek Stachowi drzewa na chałupę i tyła wspomaga!

– Święty prosto człowiek, że już co dnia pacierz za niego mówię!

– Byle ci jeno kto nie wyprowadził bydłątką.

– Co mieliby mi ukraść krowę! Jezu, ady bym ślepie wydarła, ady bym w cały świat poszła za nią! Pan Jezus nie pozwoli na taką krzywdę! Do izby wprowadzę ją na noc, póki Szymek nie wystroi obórki. Jaśkowy Kruczek też dopilnuje bydłątką! Moja pociecha kochana, moja najmilejsza! – szeptała obejmując ją za szyję i całując po gębule, jaże krowa zajęczała, pies jął naszczekiwać radośnie, kury się rozgdały zestraszona, a Szymek gwizdał coraz głośniej.

– Widno z tego, co wam Pan Jezus błogosławi! – westchnęła Jagusia, jakby z cichym żalem, przyglądając się uważniej obojgu. Wydali się jej nie do poznania przemienieni, zwłaszcza Szymek najbarzej ją zastanawiał, dyć go znała kiej niedojdę, którego trzech zliczyć nie pore-

dził, w chałupie był popychadłem i pomiatał nim, kto jeno chciał, zaś teraz jawił cię całkiem drugim, poczynął sobie przemyślnie, nosił się godnie i prawil kieby mądrała.

– Któreż to wasze pole? – spytała po długich rozważaniach.

Nastusia jęła pokazywać powiedając; gdzie będą co sieli.

– A skądże to weźmie nasienia?

– Szymek powiedział, co będzie, to musi być, na darmo słowa nie puści.

– Brat mój, a słucham kieby zgoła o obcym.

– A taki poczciwy, taki zmyślny i taki robotny, że chyba drugiego takiego nie ma na świecie – wyznawała z gorącością Nastusia.

– Pewnie – powtórzyła smutnie – czyjeż te okopcowane role?

– Antka Boryny! Nie robią na nich, bo pono czekają działów po Macieju.

– Będzie tego z półwłóczek, no! Wiedzie się im niezgorzej.

– A niech im Pan Jezus da z dziesięć razy szcudrzej, toć Antek zaręczył u dziedzica za nasz grunt, a i w niejednym nas wspomógł.

– Antek wziął się za Szymkiem! – aż przystanęła ze zdumienia.

– Hanka też nie gorsza od niego, dała mi maciorkę, prosię to jeszczek, ale będzie z niego pociecha, bo idzie z plennego gatunku.

– Cudeńka prawisz, Hanka dała ci maciorkę, prosto nie do wiary.

Wróciły pod chałupę i Jagusia wysupławszy z chusteczki dziesięć rubli wetknęła je w rękę Nastusi.

– Weź te parę groszy, nie mogłam przódzi, bo mi Żyd za gąski nie oddał.

Dziękowali jej ze wszystkiego serca, więc im powiedziała na odchodnym:

– Poczekajta, udobrucha się matka, to wam jeszcze coś niecoś udzieli.

– Nie potrzebuję, niech se moją krzywdą trumnę wyścieli! – wybuchnął Szymek tak nagle i z taką zapamiętałością, że już odeszła bez słowa.

Wracała do domu srodze zadumana, smutna i jakaś rozteśkniona.

– A ja co? ten badył suchy, o kóren nikto nie stoi – westchnęła sieroco.

Kajs w pół drogi spotkała Mateusza, leciał do siostry, ale zawrócił z nią i uważnie słuchał rozpowiadania o Szymkach.

– Nie wszystkim tak dobrze – powiedział jeno chmurnie.

Nie szła im rozmowa, on czegoś wzdychał drapiąc się frasośliwie po głowie, a Jagusia zapatrzyła się na Lipce, całe w łunach zachodu.

– Hej, duszno też na tym świecie i ciasno – rzekł jakby do siebie.

Zajrzała mu pytająco w oczy.

– Cóż ci to? krzywisz się kieby po occie.

Jął wyrzekać, jako mu się mierzi życie i wieś, i wszystko, i że pewnikiem pójdzie we świat, gdzie go oczy poniosą.

– To się ożeń, a miał będziesz odmianę – żartowała.

– Żeby to me chciała, którą mam w myślach – zajrzał jej w oczy natarczywie, odwróciła głowę niechętna jakoś i wraz pomieszana.

– Spytaj się jej! Każda za cie pójdzie, a niejedna już wygląda swatów.

– A jak odmówi! Wstyd będzie i zgryzota.

– To pošlesz z wódką do inszej.

– Ja nie z takich, upatrzyłem se jedną, to me do drugiej nie bierze.

– Chłopu to każda jednako pachnie i z każdą rad by przyjść do pufałości.

Nie bronił się, a jeno zaczął z innej beczki.

– Wiesz, Jaguś, a to chłopaki czekają jeno pory, żeby do cię słać z wódką.

– Niech se sami wychlają, nie pódę za żadnego! – wyrzekła z mocą, jaże się zastanowił, a szczerze powiedziała, gdyż żaden nie widział się jej miłszym nad drugiego, juści kromie Jasia, ale Jasio...

Westchnęła ciężko, z lubością oddając się spominkom o nim, że Mateusz, nie mogąc się dogadać, zawrócił z powrotem do siostry.

Ona zaś wlekąc lęklivymi oczami po świecie pomyślała:

– Co on tam teraz porabia, co?

Zatargała się gwałtownie, ktosik ją objął znienacka i przyciskał.

– Nie ucieczesz mi teraz – szeptał namiętnie wójt.

Wyrwała mu się z pazurów rozzłoszczona.

– Jeszczek raz me tkniecie, to wam ślepie wydrapię i takiego narobię piekła, jaże się cała wieś zleci.

– Cicho, Jaguś, dyć gościńca ci przywiozłem – i wtykał jej w ręce korale.

– Wsadźcie je sobie gdzieś, stoję o wasze podarunki co o ten patyk złamany!

– Jagusiu, co ty wyrabiasz, co – jąkał zdumiony.

– A to, żeście świntuch i tyła! I ani ważcie się mnie czepiać.

Odbiegła go rozszreżona i kiej burza wpadła do chałupy, matka obierała ziemniaki, a Jędrzych doił krowy w opłotkach, zabrała się więc żwawo do wieczornych obrządków, ale trzęsa się ze złości i nie mogąc się uspokoić, skoro się jeno ściemniało, zebrała się znowu bieżyć.

– Zajrzę do organistów – powiedziała matce.

Często tam teraz chodziła, wysługując się im na różne sposoby, aby choć niekiedy posłyszeć jakie słowa o Jasiu.

Leciała też spragniona o nim wieści, a z jakąś cichą nadzieją usłyszenia dzisiaj czegoś nowego.

I pokrótce zajarzyły się w mrokach oświelone okna Jasiowego pokoju, kaj teraz Michał pisał cosik pod wiszącą lampą, zaś organisty siedziały przed domem na chłodzie.

– Jasio przyjeżdża jutro po południu! – przywitała ją organiścina nowiną, od której dziw trupem nie padła, nogi się pod nią ugięły, serce zakotłowało aż do utraty tchu, cała stanęła w ognjach i dygocie, że posiedziawszy la nieznaki jakąś chwilę, uciekła jakby goniona, aż kajś na topolową, pod las...

– Jezus mój kochany! – buchnęła dziękczynnie, wyciągając ręce, łzy pociekły jej z oczów i tak się w niej rozśpiewała radość, że chciało się jej śmiać i krzyczeć, i kajś lecieć, i całować te drzewa, i tulić się do tych pól pośpionych w księżycowej poświacie.

– Jasio przyjeżdża, przyjeżdża – szeptała niekiedy, porywając się nagle jak ptak i leciała, porwana wszystką mocą oczekiwania i tęsknic, jakoby naprzeciw doli swojej i nieopowiedzianemu szczęściu.

Był już późny wieczór, kiej się znalazła z powrotem, w oknach było już ciemno, świeciło się tylko u Borynów, kaj się zebrało sporo narodu, i poszła do domu czekać tego jutra i śnić o Jasiowym powrocie.

Ale na darmo się przewracała z boku na bok, więc skoro matka zachrapała, podniosła się cichuśko i przyokrywszy się w zapaskę siadła pod domem czekać snu albo świtania.

W chałupie Borynów, za stawem, świeciło się jeszcze po jednej stronie i niekiedy szły stamtąd ściśzone odgłosy rozmów.

Wpatrzyła się zrazu w drżące na wodzie odbłaski światła i zapomniała o wszystkim grząc się w mgławych i rozmigotanych dumanjach, co ją oprzędły kiej pajęczyny i wraz ponieśły w jakiś cichy podwieczór, szcerwieniony od zórz, we wszystek świat nieukojojonej tęsknicy.

Księżyc już był zaszedł, płowy mrok obtulał pola, gwiazdy świeciły wysoko i niekiedy spadała któraś z taką chyżością i tak gdzieś strasznie daleko, jaże dech w piersiach zapierało i mróz przechodził kości; niekiedy nagrzanym leciutki powiew muskał pieściwie kieby te umiłowane ręce, a czasem z pól podnosił się upalny, rozpachniony wzdych i przejmował serce, jaże się przeżyła rozwierając ramiona. To siedziała w dumaniu jeno wszystka i w czuciu niewypowiedzianej słodkości, jak pęd, którego się przeży i wzbiera w sobie... a noc stąpała przez nią cicho i ostrożnie, jakby nie chcąc płoszyć człowieczego szczęścia.

U Borynów ciągiem się świeciło i na drodze stróżował czujnie Wittek, by ktoś nieproszony nie podsłuchał, gdyż zeszli się na cichą, przyjacielską naradę przed jutrzejszym zebraniem w kancelarii, na które wzywał wójt wszystkich gospodarzy lipceckich.

W izbie było ciemnowo, jakiś ogarek słabo się ćmił na okapie, że jeno niektóre głowy można było rozeznąć w gęstwie, zeszło się bowiem ze dwadzieścia chłopów, wszyscy, którzy trzymali z Antkiem i Grzelą:

– Rocho, siedzący kajś w mroku, tłumaczył szeroko, co by to wyszło la wsi, jeżeli się zgodzą na postawienie szkoły w Lipcach; a potem Grzela nauczał każdego z osobna, co ma powiedzieć naczelnikowi i jak głosować.

Długo w noc radzili, boć nie obeszło się bez kłótni a sprzeciwieństw, ale w końcu zgodzili się na jedno i nim zaświtało, rozeszli się śpiesznie, gdyż nazajutrz trza było dość wczesnie wyruszać.

Tylko Jagusia została jeszcze na przyźbie, jakby już do cna zagubiona w dumaniach i nocy, siedziała ślepa i głucha na wszystko, szepcąc jeno niekiedy niby te gorące słowa nieskończonego pacierza:

– Przyjedzie, przyjedzie!

I kłoniła się bezwolnie, jakby nad jutrem, jakby chcąc dojrzeć, co la niej niesie ten świt szarzejący nad ziemią, z lękiem a radością dając się temu, co miało się stać.

ROZDZIAŁ 8

Przypołudnie dochodziło, skwar czynił się coraz większy i naród już się wszystek zgromadził przed kancelarią, a naczelnika jeszcze nie było. Pisarz raz po raz wychodził na próg i przysłoniwszy dłonią oczy wyzierał na szeroką drogę, obsadzoną pokrzywionymi wierzbami, ale tam się jeno lśniły kałuże, ostałe po wczorajszej ulewie, toczył się z wolna jakiś zapóźniony wóz i kajś niekaj między drzewami zabielała chłopska kapota.

Gromada czekała cierpliwie, a tylko jeden wójt latał kiej oparzony, wyglądał na drogę i coraz głośniej przynaglał chłopów zasypujących wyrwy i doły na placu przed kancelarią.

– Prędej, chłopcy! Laboga, żeby jeno zdażyć, nim nadjedzie.
– A nie popuście jeno ze strachu – ozwał się z kupy jakiś głos.
– Ruchajta się, ludzie! Ja tu po urzędzie, nie pora na przekpinki.
– Wójcie, a to jeno Boga się bójcie – zaśmiał się któryś z rzepekich.

– A któren jeszcze pysk wyrze, do kozy każę wsadzić – zakrzyczał srogo wójt i poleciał wyrzeć ze smętarza, że to leżał na wzgórk, do którego szczytem była przywarta kancelaria.

Wielgachne, prawieczne drzewa wynosiły się nad nią, kościelna wieża szarzała skroś gałęzi, zaś czarne ramiona krzyżów wychylały się spoza kamiennego ogrodzenia na dachy i drogę wiodącą przez wieś.

Wójt nie wypatrzywszy niczego postawił przy ludziach jednego ze sołtysów, a sam wszedł do kancelarii, kaj ciągiem ktoś wchodził i wychodził, że to pisarz co trochę wywoływał któregoś z gospodarzy, z cicha przypominając zaległe podatki, nie zapłaconą składkę na sąd albo jeszcze i coś lepszego Juści, co ta nikomu nie szły w smak takie wypominki, ale słuchali wzdychający, bo cóż było robić teraz na ciężkim przednówku? Mogli to płacić, kiej niejednemu już i na sól nie starczyło, to mu się jeno w pas kłaniali, jaki taki nawet go w rękę całował, zaś poniektóry i tę ostatnią złotówczynę w nadstawioną garść wtykał, a

wszystkie jednak o skamlały o poczekanie do żniw lub do najbliższego jarmarku.

Z pisarza chytra była sztuka i przemądrzała, łupił też naród ze skóry, jaże trzeszczało, niby to wszystko obiecywał, a kogo strachał strażnikami, komu bakę w oczy świecił, z kim był za pan brat, a od każdego cosik wycygał, to owsa mu zbrakło, to potrza było młodych gąsek la naczelnika, to przymawiał się o słomę na powrósła, że radzi nieradzi przyobiecali, co jeno chciał, on zaś na odchodnym brał co znajomszych na stronę i radził im niby to z przyjacielstwa:

– A uchwalcie na szkołę, bo jak się będziecie sprzeczały, to naczelnik może się rozgniewać i gotów wam jeszcze popsuć zgodę z dziedziem o las – przestrzegaj lipeckich ludzi.

– Jakże to, zgodę robim z dobrej woli! – zdumiał się Płoszka.

– Prawda, ale nie wiecie to: pan z panem zna się, a chłopu zasię.

Płoszka odszedł wielce sfrasowany, pisarz zaś dalej wywoływał ludzi, a coraz to z drugich wsi, każdego strasząc czym innym, a do jednego niewołąc, że w mig się o tym rozniesło między gromadą.

A niemała kupa żebrała się narodu, zeszło się bowiem przeszło dwieście chłopów, którzy zrazu stojali wsiami, swojaki przy swojakach, że łącznie rozeznali, które są z Lipiec, które z Modlicy, a które z Przyłęka lub z Rzepek, bo każda wieś znaczyła się jenszymi ubierami, ale skoro się jeno rozeszło, jako trzeba głosować na szkołę, gdyż tak chce sam naczelnik, jęli się mieszać, przechodzić z kupy do kupy i stowarzyszać wedle upodoby, że tylko jedna rzepecka szlachta trzymała się z osobna, zadzierzyście a hardo spojierając na chłopów, choć to biedota była taka, że jak się z nich prześmiewali, trzech wypadło na jeden krowi ogon reszta zaś narodu, splątana kiej grochownicy, poroztrząsała się po placu, sporo chroniło się w cieniu smętarza i przywozach.

Głównie cisnęli się pod wielką karczmę, stojącą naprzeciw kancelarowi w kępie drzew jakoby w tym gaju cienistym, tam się najskwapniej ciżbiąc, bo chociaż chłodnawy wiaterek niezgorzej kolebał polami, spieka jednak podnosiła się okrutna, dogrzewało, że już niejeden ledwie zipiał i w piwie szedł szukać ochłody. Bez to i karczma była przepełniona, i pod drzewami stali kupami gwarząc z cicha i deliberując nad ową nowiną, wraz leż dając pilne baczenie na kancelarię i na pisarzowe mieszkanie po drugiej stronie domu, kaj rwetes i krętanina były coraz większe.

Od czasu do czasu pisarzowa wytykała oknem spaśną gębę i krzyczała:

– Śpiesz się, Magda! A żebyś kulasy połamała, tłumoku jeden!

Dziewka przelatowała co trochę przez pokoje, jaże dudniało i brzęczały szyby, jakieś dziecko jęło się wydzierać wniebogłosy, kajś za domem gdakały wystraszone kury, a zziązany stójka jał ganiać kurczątką rozpierzchające po zbożach i drodze.

– Widzi mi się, co będą ugaszczali naczelnika – rzekł któryś.

– Pono wczoraj pisarz przywiózł cały półkoszek napitków.

– Schlają się jak łoni.

– Abo to nie mogą, mało to im naród składa podatków, a przeciech nikto im na ręce nie patrzy – wyrzekł Mateusz, ale ktosik zakrzyczał:

– Cichojsza, strażniki ano przyszły.

– Jak wilki się włóczą, że ni pomiarkować, kiedy i któredy.

Przycichli jednak trwożnie, gdyż strażnicy zasiedli pod kancelarią, otoczeni przez kupę ludzi, między którymi był wójt, młynarz, a nieco z dala kręcił się kowal pilnie nasłuchujący.

– Młynarz się łasi kieby ten głodny pies!

– Bo go się boją, ten mu najmilejszy!

– Kiej są strażniki, to naczelnika ino patrzeć! – zawołał Grzela, wójtów brat, i odszedł na stronę, kaj stał Antek, Mateusz, Kłęb i Stacho Płoszka, poredziwszy ze sobą, rozeszli się między ludzi prawiać im cosik a przekładając coś ważnego, że słuchali w wielkiej cichości, tylko niekiedy co tam ktoś westchnął, podrapał się frasobliwie albo strzygnął ślepiami, ku strażnikom kupiać się zarazem coraz ciałniej.

Antek, wsparty plecami o węgieł karczmy, gadał krótko, mocno i jakoby przykazująco, zaś w drugiej kupie pod drzewami Mateusz prawił z przekpinkami, jaże ośmiał się niejeden, a w trzeciej gromadzie przy smętarzu Grzela przemawiał tak mądrze jakoby z otwartej książki czytał, że ciężko było wyrozumieć.

A wszyscy trzej przyniewalali do jednego: aby nie słuchać naczelnika ni tych, które z urzędami zawdy trzymają, i szkoły nie uchwalać.

Naród przysłuchiwał się w skupieniu kolebiąc się to w tę, to w drugą stronę, właśnie jako ten bór, kiej zamietliwy wiatер powieje.

Nikto głosu nie zabierał, kiwali jeno przytakująco głowami, gdyż najgłupszy rozumiał, jako z nowej szkoły tyla jeno będzie pociechy; co każą na nią płacić nowe podatki, a do tego nikomu się nie śpieszyło.

Niepokój jednak ogarniał gromadę, przestępowali z nogi na nogę, jęli chrząkać a pokasływać, a nikt jeszcze nie wiedział, co począć.

Prawda, mądrze prawił Grzela, prosto do serca trafiał Antek, ale i strach było się przeciw naczelnikowi a zadzierać z urzędami.

Jeden oglądał się na drugiego, każdy się głowił z osobna, zaś wszystkie obzierały się na bogatszych, ale młynarz i co najpierwsi z drugich wsi trzymali się jakoś na uboczu, stojąc jakby z rozmysłem na oczach strażników i pisarza.

Podszedł do nich Antek z przełożeniem, ale młynarz odburknął:

– Kto ma rozum, ten sam wie, jak ma głosować – i odwrócił się do kowala, którego przyświarczał wszystkim, ale kręcił się niespokojnie między gromadą przewąchując, co się święci, a do pisarza zachodził, z młynarzem pogadywał; Grzełę częstował tytuniem i tak się taił ze swoimi zamysłami, że do końca nie było wiadomo, za kim trzyma.

Ale większość już się skłaniała głosować przeciw szkole, rozsypali się po placu i nie bacząc na przypołudniowy skwar poredzali coraz gwarniej i hardziej, gdy pisarz zawołał przez okno:

– A pójdź no tu który!

Nikt się jednak nie poruszył, jakby nie dosłyszeli.

– Niech no który skoczy do dworu po ryby, mieli rano jeszcze przysłać, a jakoś nie przysyłają! Tylko prędzej! – grzmiał rozkazująco.

– Nie przyszłim tu na posługi – ozwał się jakiś hardy głos.

– Niech sam leci, żal mu przetrząsnąć kałduna – zaśmiał się któryś, że to pisarz miał brzuchoch kiej bęben.

Pisarz jeno zaklął, a po chwili wyszedł wójt od podwórza, przebrał się za karczmę i pognał tyłami wsi ku dworowi.

– Dzieci pani pisarzowej przewinały i obtarły, to się ździebko przewietrzy.

– Juści, pani pisarzowa nie lubi takich fetorów na pokojach.

– Pokróćce to i porcenele wynosić mu każę – przekpiwali.

– Hale, że to dziedzica jeszcze nie widać – dziwował się któryś, ale na to rzekł kowal z chytrym prześmiechem:

– Niegłupi się pokazywać!

Spojrzeli na niego pytająco.

– Juści, kto mu każe zadzierać z naczelnikiem, a przecież za szkołą głosować nie będzie, mało by to musiał płacie na nią! Mądrała!

– Ale ty, Michał, z nami trzymasz, co? – przytarł go natarczywie Mateusz.

Kowal skrzył się kiej przydeptana glista i odmruknawszy cosik jął się przeciskać do młynarza, którego przystąpił do chłopów i mówił do starego Płoszki głośno, by i drugie słyszały:

– A ja wam radzę, głosujcie, jak chcą urzędy. Szkoła potrzebna i żeby była najgorsza, to będzie lepsza od żadnej. A o jakiej zamyślacie,

nie dadzą. Trudno, głową muru nie przebodzie. Nie zechcecie uchwalić, to i bez waszego przyzwolenstwa postawią.

– Jak nie damy pieniędzy, to za cóż postawią? – ozwał się któryś z kupy.

– Głupiś! Sami wezmą, a nie dasz z dobrej woli, to ci ostatnią krowę sprzedadzą i jeszcze do kozy pójdziesz za opór! Rozumiesz! To nie z dziedzicem sprawa – zwrócił się do Lipczaków – z naczelnikiem nie ma żartów. Mówię wam, róbcie, co każą, i dziękujcie Bogu, że nie jest gorzej

Przytwardzali mu tak samo myślące, zaś stary Płoszka po długim rozważaniu wyrzekł niespodzianie:

– Prawdę mówicie, a Rocho naród zbałamucił i do zguby popycha.

A na to wystąpił jakiś gospodarz z Przyłęka i powiedział głośno:

– Bo Rocho z panami trzyma i latego podjudza przeciw urzędom!

Zakrzyczeli go ze wszystkich stron, ale chłop się nie ulęknął i skoro się jeno przyciszyło, znowu głos podniósł.

– A głupie mu pomagają! rzekłem! – potoczył mądrymi oczami – a komu to nie w smak, niech stanie, to mu w oczy przywtórzę, głupie! Bo nie wiedzą, iż zawdy tak było, że panowie się buntują, naród judzą, do nieszczęścia prowadzą, ale jak przyjdzie za to płacić, to kto płaci? chłopci! A jak wam kozaków po wsiach zakwaterują, to kto będzie brał baty? kto będzie cierpiał? kogo do kreminалу powleką? A jeno was, chłopów! Panowie się za wami nie upomną, nie, wyprą się wszystkiego kiej judasze i jeszcze starszyznę będą ugaszczali po dworach.

– Bo co im ta naród znaczy, tyła, żeby za nich gnaty wyciągał.

– A żeby mogli, to by jutro wrócili pańszczyznę! – podniosły się wołania.

– Grzela powie – zaczął znowu – niech uczą po naszymu, a nie chcą, to nie uchwałać szkoły, nie dawać ani grosza, przeciwie się, a juści, tylko parobkowi łącno krzyknąć na gospodarza: robił nie będę, całuj me gdzieś, i uciec przed skarceniem. Ale naród nie ucieknie i za bunt kije wziąć weźmie, bo nikt drugi pleców za niego nie podstawi... To wama mówię, taniej wam wypadnie postawić szkołę niżli przeciwie się urzędom. A że po naszymu nie nauczają, prawda, ale i tak na Rusków nas nie przerobią, boć żaden pacierza ni między sobą nie będzie mówił inaczej, a jeno jak go matka nauczyła! Zaś na ostatku to wam jeszcze rzeknę: swoją ano stronę trzymajmy! A drą się między sobą panowie, nie nasza sprawa, niech się ta kłyżnią i zagryzają, takie nam braty jedne i drugie, że niechta ich morówka nie minie.

Zwarli się kole niego gęstwą i zakrzyczeli kiej na wściekłego psa, na próżno młynarz brał go w obronę, na próżno i poniektóre za nim się ujmowały. Grzelowe stronniki już mu zaczęły pięściami wytrząchać, że może by i do czego gorszego doszło, ale stary Pryczek zakrzyczał:

– Strażniki słuchają!

Przycichło nagle, a stary wystąpił i jął prawie gniewnie:

– Świętą prawdę powiedział, swojego dobra patrzmy! Cichojsa, ha-le, powiedziałaś swoje, to daj i drugiemu rzec swoje! Wydzierają się i myślą, co największe głowacze! Juści, żeby jeno w krzyku był rozum, to bele pyskacz miałby go więcej niżli sam proboszcz! Prześmiewajta się, juchy, a ja wam rzeknę, jak bywało pod te roki, kiej się to panowie buntowały; dobrze baczę, jak nas tumanily a przysięgały, że jak Polska będzie, to i wolę nam dadzą, i gronta z lasami, i wszystko! Obiecywały, mówiły, a kto drugi dał, co tera mamy, i jeszczek musiał ich pokarać, co nie chciały w niczym ulżyć narodowi! Słuchajta panów, kiedyśta głupie, ale mnie na plewy nie weźmie, wiem ja, co znaczy ta ich Polska: że to jeno bat na nasze plecy, pańszczyzna i uciemienie! Jeszcze me...

– A dajże mu ta który w pysk, niech przestanie – wyrwał się jakiś głos.

– A tera – ciągnął dalej – ja taki sam pan jak inni, prawo swoje mam i nikt me palcem tknąć nie śmie! Tam mi Polska, kaj mi dobrze, kaj mam...

Przerwały mu szydliwe głosy, bijące ze wszystkich stron niby gradem:

– Świnia też pokwikuje z kumentności, a chwali se chliw i pełne koryto!

– I za to przykarmianie dostanie pałą w łeb i nożem po gardzieli!

– W jarmarek sprął go strażnik, to powieda, że nikto go tknąć nie śmie.

– Plecie, a tyle miarkuje, co ten koński ogon!

– Sielny pan, ma wolę, juści, wszy go same niesą powolności!

– Rychtyk i wiechcie z butów tak samo by nauczały!

– Kury zmacać nie poredzi, a będzie tu występował! Gnojek jucha!

Baran!

Stary zeźlił się srodze, ale jeno powiedział:

– Ścierwy! Już nawet siwych włosów nie poszanują!

– A to i każdą siwą kobyłę trza by uważać jeno za to, co siwa, hę?

Gruchnęły śmiechy i wraz zaczęli się odwracać podnosząc oczy na dach kancelarii, kaj wlaź stójka i chyciwszy się komina patrzył w dal.

– Józek, a zamknij gębę, bo ci jeszcze co wleci! – krzyczeli z prześmiechem, gdyż całe stado gołębi kołowało nad nim, ale on naraz zawrzeszczał:

– Jedzie! Jedzie! Już na skrócie z Przyłęku!

Gromada jęła się ściągać pod dom i zwierać coraz gęściej, cierpliwie spozierając na pustą jeszcze drogę.

Rychtyk i słońce przetoczyło się ździebko na bok, za kalenicę, że spod okapu wysuwał się coraz większy cień, w którym ustawili stół nakryty zielono, z krzyżem w pośrodku. Rudy, puciołowaty pomocnik wynosił papiery na stół i ciągiem cosik w nosie majstrował.

Pisarz jął się na gwałt przebierać w świąteczny ubier, a w całym domu znowu podniosły się wrzaski pisarzowej, brzęk talerzów, rumor przesuwanym sprzętów i bieranina, zaś w jakieś Zdrowaś zjawił się i wójt. Stanął w progu czerwony jak burak i spocony, ledwie zipiący, ale już w łańcuchu, i powłókszy ślepiami po gromadzie zakrzyczał srogo:

– Cicho tam, ludzie, dyć to nie karczma!

– Pietrze, a chodźcie ino, cosik wama rzeknę! – zawołał do niego Kłab.

– Hale, nie ma tu żadnego Pietra, a jeno urzędnik! – odburknął wyniośle.

Wzięli na ozory to powiedzenie, jaze się kałduny zatrzęsły z uciechy, gdy naraz wójt zakrzyczał uroczyście:

– Rozstąpta się, ludzie! Naczelnik!

Jakoż powóz ukazał się na drodze i podskakując na wybojach zakręcił przed kancelarią.

Naczelnik podniósł rękę do czoła, chłopci pozdejmowali kapelusze, zaległo milczenie, wójt z pisarzem przypadli wysadzać go z powozu, a strażnicy stanęli przy drzwiach wyprostowani kieby kije.

Naczelnik dał się wysadzić i rozebrać z białego obleczenia i odwróciwszy się powłókł oczami po gromadzie, przyglądził żółtawą bródkę, nasrożył się, kiwnął głową i wszedł do mieszkania, kaj go zapraszał pisarz w pałak przygięty.

Powóz odjechał, chłopci znowu się zwarli dokoła stołu rozumiejąc, iż zaraz rozpocznie się zebranie, ale przeszło dobre Zdrowaś, przeszedł może i cały pacierz, a naczelnik się nie pokazywał, jeno z pisarzowych pokojów roznosiły się brzęki szkła, śmiechy i jakieś smaki wierzące w nozdrzach.

A że mierziło się już czekanie i słońce przypiekało coraz barzej, to jaki taki jał się chyłkiem przebierać ku karczmie, aż wójt zakrzyczał:

– Nie rozłazić się! A którego zbraknie, ten się zapisze do sztrafu...

Juści, co się jeszczek wstrzymali klnąc jeno coraz siarczyściej a niecierpliwie spojierając na pisarzowe okna, bo ktoś je przymknął ze środka i zasłonił.

– Wstydzą się chlać na oczach!

– Lepiej, bo kaźden jeno grdyką robi, a po próznicy ślinkę łyka! – pogadywali.

Z aresztu, stojącego w rząd z kancelarią, wyrwał się żalorny i długi bek, a po chwili wylazł stójka ciągnąc na postronku sporego ciołka, któren się opierał ze wszystkiej mocy, ale naraz grzmotnął go łbem, jaże chłop rymnął na ziemię, zadarł ogona i pognał, ino się za nim zakurzyło.

– Łapaj złodzieja! Łapaj!

– A posyp mu soli na ogon, to się wróci!

– Jaki to zuchwały, uciekł z kozy i jeszczek ogon zadarł na pana wójta!

Dogadywali przekpiwając się ze stójki, któren ganiał za ciołkiem i dopiero przy pomocy sołtysów napędził go w podwórze. A jeszcze nie odzipnęli, kiej wójt przykazał wziąć się do wymiatania aresztu i sam doglądał, pił i niemało pomagał bojąc się, bych się czasem nie zachciało tam zajrzeć naczelnikowi.

– Wójcie, a trza wykadzić, bych nie zwąchał, co to był za aresztant.

– Nie bójcie się, po gorzałce do cna straci wiater.

Rzucal kto niekto jakie słowo kolące, jaże wójt błyskał ślepiami a zęby zacinał, ale w końcu zbrzydły im nawet przekpinki, a tak dokuczyło czekanie na słońcu i głód, że całą hurmą ruszyli pod drzewa, nie bacząc na wójtowe zakazy, któremu jeno Grzela powiedział:

– Hale, naród to pewnie pies, nie przyjdzie ci do nogi, choćbyś krzyczał do wieczora! – i rad, iż zesзли ze strażnikowych oczów, jał znowu kręcić się wśród ludzi przypominając kaźdemu z osobna, jak ma głosować.

– Jeno się nie bójta! – dodawał – prawo za nami! Co uchwalimy, będzie, a czego nie chce gromada, nikto ją do tego nie przymusi.

Ale nie zdążyli się jeszcze ludzie porozkładać w cieniach ni przegryźć co niebądź, gdy sołtysi jęli nawoływać, a wójt przyleciał z krzykiem:

– Naczelnik wychodzi! Chodźta prędzej! zaczynamy!

– Nawąchał się dobrego jądła, to go ponosi! Nama nie pilno! Niech poczeka!

Mamrotali gniewnie, zbierając się ociężale przed kancelarią.

Softysi stanęli na czele swoich wsi, zaś wójt zasiadł za stołem, mając pobok pisarzowego pomocnika, którego przedlubując w nosie gwizdał na gołębie, co zestrachane gwarem porwały się z dachu krążąc roztrzepotaną białą chmurą.

– Mołczat! – zakrzyknął naraz jeden ze strażników prężących się u proga.

Wszystkie oczy zwróciły się na drzwi, ale wyszedł z nich jeno pisarz z papierem w ręku i wcisnął się za stół.

Wójt zatrzęsł dzwonkiem i rzekł uroczyście:

– Zaczynamy, ludzie kochane! Cicho tam, Modliczaki! Pan sekretarz przeczyta niby o tej szkole! A słuchajta pilnie, bych każdy wyrozumiał, o co idzie!

Pisarz założył okulary i zaczął czytać z wolna i wyraźnie.

Czytał już może z pacierz wśród zupełnej cichości, gdy ktosik wrzasnął:

– Kiej nie rozumiemy!

– Czytać po naszemu! Nie rozumiemy! – zerwały się mnogie głosy. Strażnicy jęli się pilnie rozglądać w gromadzie.

Pisarz się skrzywił, ale już czytał przekładając na polskie.

Zrobiło się cicho, słuchali w skupieniu, rozważając każde słowo i patrząc się w niego kieby w obraz.

Pisarz ciągnął powoli:

-...jako przykazano postawić szkołę w Lipcach, któraby była i dla Modlicy, Przyłęka, Rzeppek i drugich pomniejszych wsi:

Potem długo wywodził, jaki to z tego będzie profit, jakie to dobrodziejstwo oświata, jak to urzędy jeno myślą dzień i noc, bych tylko narodowi przyjść z pomocą, bych go wspierać, oświecać i bronić przed złem. Zaś w końcu wyliczał, ile potrza na plac z polem, ile na sam budynek i na całe utrzymanie szkoły wraz z nauczycielem, i że na to wszystko trzeba będzie uchwalić dodatkowy podatek po dwadzieścia kopiejek z morgi. Umilkł, przetaił okulary i rzekł jakby do siebie:

– Pan naczelnik powiedział, że jak dzisiaj uchwalicie, to pozwoli zacząć budowę jeszcze w tym roku, a na przyszłą jesień dzieci już pójdą do szkoły.

Skończył, ale nikt się nie odezwał, każdy coś ważył w sobie, kuląc się jeno, jakby pod ciężarem nowego podatku, aż dopiero wójt się ozwał:

– Słyszeliście dobrze, co pan sekretarz przeczytał?

– Słyszeliśmy! Juścik, przeciek nie głusim! – ozwali się tu i owdzie.

– A kóten ma przeciw temu, niech wystąpi, a swoje rzeknie.

Jęli się trącać łokciami, wypychać naprzód, drapać, spozierać na się i na starszych, lecz nikt nie miał śmiałości wyrwać się pierwszy.

– Kiej tak, uchwalmy prędko podatek i do domu! – zaproponował wójt.

– Więc cóż, wszyscy jednogłośnie zgadzacie się? – zapytał uroczyście pisarz.

– Nie! Nie chcemy! Nie! – wrzasnął Grzela i za nim kilkudziesięciu.

– Nie potrza nam takiej szkoły! Nie chcemy! Dostyc już mamy podatków! Nie! – wołano już ze wszystkich stron, a coraz śmieiej, głośnieij i hardziej.

Na ten wrzask wyszedł naczelnik i stanął w progu, przycichli na jego widok, a on poskubał bródkę i rzekł wielce łaskawie:

– Jak się macie, gospodarze?

– Bóg zapłać! – odparli pierwsi z brzegu kolebiąc się pod naporem gromady pchającej się naprzód, aby posłuchać naczelnika, kóten wsparty o futrynę jął cosik mówić po swojemu, ale mu się ciągiem odbekiwało.

Strażnicy skoczyli w naród i dalejże wołać:

– Szapki dołoj! szapki!

– Poszedł ścierwo i nie płącz się pod nogami! – zaklął ktoś na nich.

A naczelnik, choć prawil słodziusko, skończył nakazująco i po polsku:

– Uchwalcie zaraz podatek, bo nie mam czasu.

I srogo patrzył w twarze, strach przejął niejednego, tłum się zakółysał, poszły trwożne i ściszone szepty.

– No co, głosujemy na szkołę? Mówcie, Płoszka! Jakże zrobim?... Kajże to Grzela? Przykazuje głosować: Głosujmy, ludzie, głosujmy!

Wrzało coraz głośnieij; gdy Grzela wystąpił i powiedział śmiało:

– Na taką szkołę nie uchwalimy ani grosza.

– Nie uchwalimy! Nie chcemy! – wsparło go ze sto krzyków.

Naczelnik zmarszczył się groźnie.

Wójt struchłał, a pisarzowi jaże spadły z nosa okulary, jeno Grzela się nie strwożył, wparł w niego harde ślepie chcąc jeszcze cosik dodać, gdy stary Płoszka wystąpił i skłoniwszy się nisko zaczął pokornie:

– Dopraszam się łaski wielmożnego naczelnika, co rzeknę, jako to po swojemu miarkuję: szkołę juścić uchwalić uchwalim, ale widzi się nama, co za dużo złoty i groszy dziesięć z morgi. Czasy teraz ciężkie i o grosz trudno! To jeno chciałem rzec.

Naczelnik nie odpowiedział zatopiony w jakowychś dumaniach, że jeno kiej niekiej kiwnął głową jakby przytakująco i oczy przecierał, więc ośmielony tym wójt siarczyście przemawiał za szkołą; po nim i jego kamraty parły do tego samego, młynarz zaś pyskował najżarliwiej, nie zważając na ostre przycinki Grzelowych stronników, aż wreszcie zgniewany Grzela zawołał:

– Przelewamy jeno z pustego w próżne – i upatrzywszy sposobną porę przystąpił i śmiało spytał:

– A niby jaka to ma być ta nowa szkoła?

– Jak i wszystkie! – wyrzekł otwierając oczy.

– To my akuratnie takiej nie potrzebujemy!

– Na swoją uchwalim i pół rubla z morgi, a na inszą ni szeląga.

– Co nam taka szkoła, moje uczyły się bez trzy roki, a też ni be, ni me.

– Ciszej, ludzie, ciszej!

– Rozbrykały się barany, a wilk jeno patrzeć, jak skoczy na stado.

– Pyskacze juchy, nową biedę wypyskują la wszystkich.

Pokrzykiwali jeden przez drugiego, że uczynił się srogi gwar, każdy bowiem dowodził swojego i przepierał drugich, rozgrzewali się coraz barzej, rozbili się na kupy i wszędy zawrzały spory a kłótnie, zwłaszcza Grzelowe stronniki pyskowały najgłośniej i najzawzięciej, powstając przeciw szkole. Na próżno wójt, młynarz i gospodarze z drugich wsi przekładali, prosili, a nawet i strachali Bóg wie czym, większość srożyła się coraz zuchwalej, wygadując, co jeno komu ślina przyniesła.

Zaś naczelnik siedział, jakby nie słysząc niczego, szeptał cosik z pisarzem, dając się im wygadać do woli, a kiej mu się widziało, co mają już dosyć płonego szczekania, kazał zadzwonić wójtowi.

– Cicho tam! cicho! słuchać! – spokoili sołtysi.

A nim się do cna przyciszyło, rozległ się jego głos rozkazujący:

– Szkoła być musi, rozumiecie! Słuchać i robić, co wam każą!

Srogo przemówił, jeno co się nie ulękli, a Kłęb chlasnął na odlew:

– Nie przykazujem nikomu chodzić na łbie, to niechże i nama pozwolą się ruchać, jak komu wyrosły kulasy.

– Zawrzyjcie gębę! Cicho, psiekrwie! – kłął wójt, na darmo dzwoniąc.

– Co rzekłem, to przywtórzę, że w naszej szkole muszą się uczyć po naszemu.

– Karpienko! Iwanow! – ryknął na strażników, stojących w pośrodku cizby, ale chłopci w mig ich ścisnęli między sobą, a ktosik im szepnął:

– Niech jeno któren tknie kogo... nas tu ze trzystu... miarkujcie...

I wraz się rozstąpili czyniąc wolne przejście, a tłocząc się za nimi przed naczelnika z głuchą, rozjuszoną wrzawą, przysapując jeno, a klnąc i wytrząchając pięściami, zaś raz po raz ktoś wyrывał się z kupy z ozorem:

– Każde stworzenie ma swój głos, a jeno nam przykazują mieć cudzy.

– I cięgiem przykazy, a ty, chłopie, słuchaj, płac i czapką ziemię zamiataj.

– Pokrótcie to bez pozwolenstwa nie puszczą i za stodołę.

– Kiej takie wielmożne, to niech przykażą świniom, bych zaśpiewały kiej skowronki! – huknął Antek, zatrzęsły się śmiechy, a on wołał rozjuszony:

– Albo niech im gęś zaryczy. Jak to zrobią, to uchwalim szkołę.

– Każą podatki, płacim; każą rekruta, dajem, ale wara od...

– Cichocie, Kłebie. Sam Najjaśniejszy Cysarz nadał ustawę i tam stoi kiej wół, co szkoły i sądy mają być po polsku! Tak przykazał sam Cysarz, to jego słuchać będziemy! wrzeszczał Antek.

– Ty kto takoj? – spytał naczelnik wpierając w niego oczy.

Zadrzał, ale rzekł śmiało wskazując papiery, leżące na stole:

– Tam stoi napisane. Nie sroka me zgubiła – dodał zuchwale.

Naczelnik pogadał cosik z pisarzem, a ten pokrótce ogłosił: jako Antoni Boryna, pozostający pod śledztwem karnym, nie ma prawa brać udziału w zebraniu gminnym.

Antek poczerwieniał z gniewu, lecz nim się zebrał na słowo, naczelnik wrzasnął:

– Poszoł won! – i wskazał go oczami strażnikom.

– Nie uchwalajta, chłopcy! prawo za nami! nie bójta się niczego! – krzyknął zuchwale Antek.

I odszedł wolno ku wsi, spojierając na strażników kiej wilk na kondle, że ostawali coraz dalej.

Ale w gromadzie zagotowało się z nagła kieby w tym kotle, wszyscy naraz zaczęli prawić, krzyczeć i sprzeczać się zajadle, że już nie dosłyszał nikogo, a jeno pojedyncze słowa klątw, pogróż i przekpiwań latały nad głowami kiej kamienie. Jakby ich zły opętał, tak się wydzielali zapalczywie, a nikt nie poredził wyrozumieć, skąd to przyszło i laczego?

Spierali się o szkołę, o Antka, o wczorajszy deszcz, kto zesłoroczne szkody przypominał sąsiadowi, kto folgę jeno dawał wątrobie, kto zaś la samego sprzeciwu się kłyźnił, że powstał taki męt, taki wrzask i zamieszanie, co się już widziało, jako leda chwila wezmą się za łby i orzydla. Próbował spokoić Grzela, próbowali drugie, nie przemogli jednak opętania. Wójt dzwonił, jaże mu drętwiąły kulasy, przywołując do porządku, i takż na darmo. Kiej te rozjuszone indory skakały sobie do oczów, ślepe już i głuche na wszystko.

Dopiero któryś ze sołtysów jał walić kijem w pustą beczkę, stojącą pod okapem, jaże zahuczała kiej bęben, wtedy ludzie oprzytomnieli nieco, ścisząc się nawzajem.

Naczelnik nie mogąc się doczekać cichości, zakrzyczał zgniewany:

– Cicho tam! Dosyć tej narady! Milczeć, kiedy ja mówię, i słuchać.

Szkołę uchwalcie.

Ścichło, jakby makiem posiał, strach padł na wszystkie, mróz przeszedł kości, że stali jakby podrętwieli spojierając po sobie niemo i bezradnie, ani w myślach powstały sprzeciwy, gdyż on stał groźnie, tocząc oczami po wylękłych twarzach.

Przysiadł znowu, a wójt, młynarz i drugie rzucili się między ludzi przyniewalać do posłuszeństwa i strachać.

– Głosować za szkołą, głosować.

– Może być źle. Słyszeliście?

Pisarz tymczasem sprawdzał obecnych, że ci trochę ktoś odkrzykiwał:

– Jest! Jest!

Zaś po sprawdzeniu wójt wlażł na stołek i zakomenderował:

– Kto za szkołą, niech przejdzie na prawą stronę i podniesie rękę.

Sporo przeszło, ale dużo więcej narodu ostało na miejscu, naczelnik się zmarszczył i przykazał, aby la sprawiedliwości głosowali imiennie.

Strapił się tym Grzela, dobrze rozumiejąc, że skoro każden z osobna pójdzie głosować; to nie będzie śmiał się przeciwieć.

Ale już nie było nijakiej zarady. Pomocnik zaczął wywoływać i każdy szedł kolejną, posobnie, a pisarz przy nazwisku znaczył kreskę, jeśli był za szkołą, lub robił krzyżyk, gdy się jej przeciwiał.

Długo się wlekło, gdyż ludzi było chmara, lecz w końcu ogłosili:

– Dwieście głosów za szkołą, osiemdziesiąt przeciw.

Grzelowi podnieśli wrzask.

– Na nowo głosować! oszukali!

– Ja mówiłem: nie, a postawił mi kreskę! – wydierał się któryś, a za nim wielu świarczyło to samo; zaś gorętsi jęli się skrzykiwać.

– Nie dać, podrzeć papiery, podrzeć!

Szczęściem, co dworski powóz zajeżdżał przed kancelarię, więc ludzie, chcąc nie chcąc, musieli się poodsuwać na boki, zaś naczelnik przeczytawszy list, jaki mu podał lokaj, oznajmił uroczyście:

– Tak, bardzo dobrze, szkoła w Lipcach będzie.

Juści, co nikto i pary z gęby nie puścił, stali kiej mur patrząc w niego spokojnie.

Podpisał jakieś papiery, wsiadł do powozu i ruszył.

Kłaniali mu się pokornie, ani spojrzął na kogo, ni kiwnął głową, a pogadawszy jeszcze ze strażnikami, skręcił na boczną drogę ku modlickiemu dworowi.

Patrzyli za nim czas jakiś w milczeniu, aż któryś z Grzelowych rzekł:

– Jagniątko, do rany go przyłóż, a nie spodziewiesz się, jak udrze cię kłami gorzej wilka i weźmie pod kopyta.

– A czymże by to głupich trzymali, jak nie pogrozą?

Grzela jeno westchnął, spojrzął po gromadzie i szepnął cicho:

– Przegralim dzisiaj, trudno, naród jeszcze nie wezwyczajony do oporu.

– Boja się bele czego, to i niełatwo się wezwyczai.

– Moiściewy, a jaki to człowiek, nawet prawo ma se za nic.

– Juści, przeciek prawo pisali la nas, a nie la siebie.

Jakiś chłop z Przyłęka podszedł skarżąc się przed Grzelą:

– Chciałem z wami, ale jak me prześwidrował ślepiami, tom języka zapomniał i pisarz zapisał, jak mu się spodobało.

– Tyla było oszukaństwa, że można by zaskarżyć uchwałę.

– Chodźta do karczmy. Niechta siarczyste zatłuką – zaklął Mateusz i odwróciwszy się do gromady zakrzyczał: – Wiecie, ludzie, czego wama naczelnik zapomniał powiedzieć? A tego, żešta kundle i barany.

I dobrze zapłacita za posłuch, ale niech was łupią ze skóry, kiejśta głupie.

Zaczęli się odcinać, ktoś nawet pysk wywarł na niego, lecz zmilkli, bo jakaś żydowska bryka przejeżdżała, w której siedział Jasio organiztów.

Otoczyli go Lipczaki, a Grzela rozpowiedział o wszystkim. Jasio wysłuchał, pogadał o tym i owym i kazał jechać.

Wszyscy zaś poszli do karczmy i po drugim kieliszku Mateusz huknął:

– A ja wam powiem, że wszystkiemu winien wójt i młynarz.

– Prawda, najwięcej namawiali a straszili – przyświarczył Stacho Płoszka.

– A że naczelnik groził, to jakby wiedział już o Rochu – ktoś szep-
tał.

– Jak nie wie, to mu powiedzą. Znajdą się takie!

– Kaj strażniki? – zapytał Grzela niespokojnie.

– Poszli jakby w stronę Lipiec.

Grzela zakręcił się po karczmie i ani spostrzegli, jak się wyniół i szedł ku wsi miedzami rozglądając się pilnie dokoła.

ROZDZIAŁ 9

Antek obzierał się za gromadą kieby ten kot odpędzony od miski, a rozważał, czyby nie zawrócić, lecz widząc następujących strażników powziął nagle jakąś myśl, bo wyłamał po drodze sporą gałąź i wsparłszy się o płot obstrugiwał, pasując do ręki a zważając na burków, którzy chociaż szli jak mogli najpowolniej, zrównali się z nim pokrótce.

– Kajże to pan starszy, na prześpiegi? – zagadał urągliwie.

– Po służbie, panie gospodarzu, a może nam w jedną stronę, co?

– Rad bym z duszy, ale widzi mi się, co nam kaj indziej drogi wypadną.

Rozejrzał się prędko, na drodze ni żywej duszy, jeno co kancelaria była jeszcze za blisko, więc ruszył z nimi trzymając się kole płota i pilnie bacząc, bych go z nagła nie obskoczyli.

Zmiarkował się starszy i dalejże pogadywać z przyjacielstwa i srodze wyrzekać, jako od samego rana jeszcze nic nie miał w gębie.

– Naczelnikowi pisarz nie żałował, to pewnikiem i la pana starszego ostawił jakie ochłapy. Na wsiach przeciek smaków nie postawią; cóż, kluski a kapusta nie la takich panów – przekpiwał z rozmysłem, jaże młodszy, sielny parob o rozlatanych ślepiach, cosik zamamrotał, ale starszy nie popuścił ni słowa.

Antek się jeno prześmiechał wyciągając coraz lepiej kulasy, że le-dwie za nim nadażyli, nie bacząc już na wyboje ni kałuże wieś była pusta, jakby wymarła, i słońce tak doskwierało, że jeno niekiedy co ta ktoś wyrztał za nimi lub kajś w cieniach zabielały dziecińskie główiny, a tylko jedne pieski przeprowadzały ich wiernie z niemałym jazgotem i docieraniem.

Starszy zakurzył papierosa i strzyknąwszy przez zęby jął się użalać, jak to on nie zazna nigdy spokojnej nocy ni dnia, bo ciągiem służba i służba.

– Pewnie, co niełacno tera wyciągnąć choćby co niebądź od chłopów...

Strażnik jeno zaklął sięgając jaże do maci, ale Antek, że mu się to już zmierzily te kluczenia, ścisnął mocniej kijaszek i rzekł całkiem zaczepnie:

– Prawdę powiem, a to z waszej służby tyla jeno jest profitu, co się po wsiach naszczekają pieski, a jaki taki zbędzie ostatniej złotówki.

I to jeszcze starszy ścierpiał, chociaż już pozieleniał ze złości, a za pałaszem macał, ale dopiero kiej doszli ostatniej chałupy, rzucił się z nagła na Antka i krzyknął kamratowi:

– Bierz go!

Źle się jednak wybrali, bo nim poredzili go przytrzymać odciepnął ich precz kiej kondle, uskoczył w bok pod chałupę, wyszczerzył zęby kiej wilk i trzających kijem zawrzał przyduszonym, urywanym głosem:

– Idźcie swoją drogą... ze mną nie wygracie... nie dam się i czterem... a kły powybijam kiej psom. Czego chcecie ode mnie?... w niczym nie winowatym... A szukacie bitki, dobrze... zamówta se jeno przódzi podwody na swoje kości...A podejdz który i tknij me jeno, spróbuj! – zakrzyczał wygrażając kijem i gotów już choćby do zabijania.

Strażnicy stanęli kiej wryci, gdyż chłop był ogromny, rozwściekłony i kij jaże mu warczał w garściach, więc starszy widząc, że to nie przelewki, spróbował wszystko obrócić w żart.

– Ha! ha! sławno, a to się nam udała szutka! – i trzymając się za boki, niby to od śmiechu, zawrócił z powrotem, ale uszedłszy kilkanaście kroków pogroził mu pięścią i zgoła już inaczej zawrzeszczał:

– My się jeszcze zobaczymy, panie gospodarzu, i pogadamy.

– A niech cie ta przódzi zaraza spotka! – odkrzyknął na odlew. – Hale, strach go sparł, to się żartem wykręca, pogadam i ja z tobą, niech no cie jeno kaj zdybię na osobności – mruzczał bacząc, póki mu z oczów nie zeszi.

– Tamten poszczuł na mnie, głupi, myślał, co me wezmą kiej psy zająca. To za mój opór, juści, prawda mu nie w smak – rozmyślał i doszedłszy pod dworski ogród, kawał za wsią, przysiadł w cieniu, abych odpocząć nieco, gdyż trzął się jeszcze cały i spotniał kiej mysz.

Przez drewniane ogrodzenie widniał biały dwór, stojący w wyniosłym zagaju modrzewi, powywierane okna czerniały kiej jamy, a na słupiaстым ganku siedziało jakieś państwo i snadź przy jadle, bo służba ciągiem się kręciła kole nich, szczękały statki, a niekiedy długi, wesoly śmiech dochodził.

– Takim niezgorzej! Jedzą, piją i zarówno im wszystko – myślał dobierając się do chleba ze serem, jaki mu była Hanka wetknęła w kieszeń.

Pojadał wodząc oczami po wielgachnych lipach brzęących drogę i całych we kwiatach i pszczelnym brzęku, słodki, sprażony w słońcu zapach przejmował go lubością; kajś ze sadzawki zakwakała kaczką i rozchodziło się senne nukanie żab, z gąszczów trzęsły się cichuśkie pogłoski stworzeń przeróżnych, a na polach muzyka koników podnosiła się raz po raz i przycichała, ale po jakimś czasie jęło wszystko głuchnąć, jakby zalane słonecznym ukropem. Świat oniemiał, a co jeno było żywe, przytało się w cieniach przed pożogą, że tylko jedne jaskółki śmigwały nieustannie.

Przypołudnie kipiało już takim warem, że oczy bolały od blasków i spieki, nawet cienie parzyły, ostatnie kałuże wyschły, a do tego od zbóż prawie dojrzałych i ze spieczonych ugorów pociągało niekiedy jakby z wywartego pieca.

Antek wytchnąwszy galancie ruszył rażno ku lasom niedalekim, ale skoro się wysunął z cieniów na drogę zatopioną w słońcu, jaże go ciarki przeszły, i już szedł jakby przez wrzące, białawe płomienie. Zewlókł kapotę, lecz i tak koszula mu przywierała do spotniałych boków niby rozpalona blacha, zezuł i buciary, grzęznąc w piasku jakby w tym gorącym popiele.

Pokręcone brzezinki stojące kaj niekaj nie dawały jeszcze cienia, żyta chyliły nad drogą ciężarne kłosy i poślepte w żarach kwiaty zwisały pomdlałe.

Upalna cichość leżała w powietrzu, a nikaj nie dojrzał człowieka ni ptaka, ni żadnego stworzenia i nikaj nie zadrgał listek ni trawka choćby najmarniejsza, jakby w oną godzinę Południca zwała się na świat i wysysała spieczonymi wargami wszystką moc ze ziemi omglałej.

Antek szedł coraz wolniej, rozmyślając o zebraniu, że raz w raz porywały go złości, to śmiech spierał, to przejmowało zniechęcenie.

– I poradź co z takimi! Bele strażnika się ulękną... jakby im przykazali posłuchać naczelnikowego buta, to by go i słuchali. Barany, juchy, barany! – myślał z politowaniem i złością. – Prawda, że każdemu źle, każdy wije się kieby nadeptany piskorz i każdy ledwie już z biedy zipie, to gdzie im się ta kłopotać o takie sprawy. Naród ciemny i zabiedzony, to nawet i nie miarkuje, co mu potrza – zafrasował się wielce za wszystkich i serdecznie zatroskał.

– Człowiek to jak świnia, niełacno mu ryja unieść do słońca.

Głowił się i wzdychał, a tyła mu jeno przyszło z tych rozważań i turbacji, że poczuł, jako i jemu jest źle, a może nawet gorzej niżli drugim.

– Bo jeno tym dobrze, które o niczym nie mają pomyslenia!

Machnął ręką i szedł tak srodze zadeliberowany, że omal nie wlaź na Żyda szmaciarza, siedzącego pod zbożem.

– Ustaliście, juści, taki gorąc – ozwał się pierwszy przystając nieco.

– To jest piec, to jest boskie skaranie, a nie gorąc – wybuchnął Żyd i powstawszy, założył szleje na stary, przygarbiony kark, przypiął się do taczki niby pijawka, pchając ją przed sobą z niezmiernym wysiłkiem, gdyż była naładowana workami gałganów i drewnianymi pudłami, a na nich stał jeszcze kosz jaj i klatka z kurczętami, zaś w dodatku droga była piaszczysta i srogi upał, to chociaż się wydzierał ze sił do ostatka i szarpał, a co trochę musiał odpoczywać.

– Nuchim; ty się spóźnisz na szabes! – upominał się płaczliwie. – Nuchim, ty pchaj, ty jesteś mocny jak kuń! – mamrotał zachętliwie. – Nuchim, nu, raz... dwa... trzy... – i rzucał się na taczkę z krzykiem rozpaczny, pchał ją kilkanaście kroków i znowu stawał.

Antek skinął mu głową i przeszedł, ale Żyd zawołał błagalnie:

– Pomóżcie, panie gospodarzu, dobrze zapłacę, już nie mogę, już całkiem nie mogę – opadł na taczki, błądy kiej trup i ledwie dyszący.

Antek zawrócił bez słowa, zwałił na taczki kapotę i buty, ujął je krzepko i pchał tak wartko, jaże koło zapiszczało i kurz się podniósł. Żyd dreptał pobok łapiąc powietrze zadyszana pierś i gadał zachętliwie:

– Tylko do lasu, tam dobra droga, już niedaleko, dam wam całą dziesiątkę.

– Wsadź se ją w nos! Głupi, stoję to o twoją dziesiątkę! No, jak to te Żydy myślą, że wszystko na świecie jeno za pieniądze.

– Nie gniewajcie się, to ja dam śliczne kuraski la dzieci, nie? to może nici, igły, jakie wstażki? Nie! Może być bułki, karmelki, obarzanki albo jeszcze co? Ja mam wszystko. A może pan gospodarz kupi paczkę tytoniu? A może dać kieliszek fajnej gorzałki? Ja mam dla siebie, ale po znajomości. Na moje sumienie, tylko po znajomości!

Zakaślał się, jaże mu ślepie na wierzch wylazły, a kiej Antek zwolnił nieco kroku, chycił się taczek i włókł się poglądając nań łzawie.

– Będzie dobry urodzaj, żyto już spadło – zaczął z innej beczki.

– A jak nie urodzi, też mniej płacą. Zawdy na stratę gospodarzom.

– Piękny czas dał Pan Bóg, ziarno już suche – kruszył kłosa i poja-
dał.

– Juści, tak se folguje Pan Jezus, co już jęczmiona przepadły.

Pogadywali z wolna o tym i owym, aż zeszło na zebranie, o którym Żyd wiedział, bo rzekł rozglądając się trwożliwie dokoła:

– Wiecie, jeszcze zimą naczelnik zrobił kontrakt z jednym maj-
strem na postawienie szkoły w Lipcach. Mój zięć im faktorował.

– Jeszcze zimą? Przed uchwałą? Co wy też powiadacie?

– Może się miał pytać o pozwolenie? Czy to on nie dziedzic na
swój powiat?

Antek jął rozpytywać, gdyż Żyd wiedział różne ciekawe rzeczy i
rad odpowiadał, zaś w końcu rzekł pobłażliwie:

– Tak musi być. Gospodarz żyje z tej ziemi, kupiec z handlu,
dziedzic z folwarku; ksiądz z parafii, a urzędnik ze wszystkich. Tak
musi być i tak jest dobrze, bo każdy potrzebuje trochę żyć. Czy nie-
prawda?

– Widzi mi się, co nie o to idzie, aby jeden drugiego łupił ze skóry,
a jeno, bych każdego żył sprawiedliwie, jak Pan Bóg przykazał.

– Co na to poradzić? każdy żyje, jak może.

– Ja wiem, że każdy sobie rzepkę skrobie, ale i bez to jest źle.

Żyd jeno głową pokiwał, ale swoje myślał.

Doszli właśnie lasu i twardszej drogi, Antek odstawił taczki, kupił
za całą złotówkę cukierków la dzieci, a kiej mu Żyd jął dziękować,
burknął:

– Głupiś, pomogłem ci, bo mi się tak spodobało.

Ruszył ostro ku Lipcom, błogi chłód go ogarnął, rozłożyste drzewa
tak przysłaniały drogę, że jeno środkiem widniał pas nieba, zaś po zie-
mi skrzyła się rozmigotana rzeka słońca. Bór był stary i wyniosły, dę-
by, sosny i brzozy tłoczyły się gęstą, pomieszaną ciżbą, a dołem tulił
się do grubachnych pni drobny naród leszczyn, osik, jałowców i gra-
bów, zaś miejscami świerkowe zagaje rozpychały się hardo, pnać się
chciwie ku słońcu.

Na drodze jeszcze gęsto połyskiwały kałuże po wczorajszej burzy i
walały się połamane wierzchoły i gałęzie, a kaj niekaj smukła drzewi-
na, wyrwana z korzeniami zalegała w poprzek kiej trup. Cichusko było,
rzeźwo i mroczno, pachniało pleśnią a grzybem, drzewa stały bez
ruchu jakby zapatrzone w niebo, a przez zwarte korony jeno gdzienieg-
dzie przedzierało się słońce, pełzając niby te złociste pająki po mchach,

po czerwonych jagódkach, rozsypanych jak stężałe krople krwi, po trawach bladych.

Antka tak rozebrał chłód i głęboki spokój lasu, że przysiadłszy kajś pod drzewem zdrzemnął się niechcący. Przebudził go dopiero koński tupot i parskanie, a dojrawszy dziedzica jadącego konno podszedł do niego. Przywitani się zwyczajnie, po sąsiedzku.

– Ależ to piecze, co? – zagadał dziedzic głaszcząc niespokojną klacz

– A dopieka, za jaki tydzień trza będzie wychodzić z kosą.

– Na Modlickiem kładą już żyto aż miło.

– Tam piachy, ale latoś wszędy żniwa rychlejsze.

Dziedzic zapytał go o zebranie w kancelarii, a usłyszawszy wszystko, jak się odbywało, jaże oczy szeroko otworzył ze zdumienia.

– I wyście się tak głośno, otwarcie o polską szkołę upominali?

– Rzekłem, przeciek nie robię z gęby cholewy.

– A żeście się to ważyli z tym wystąpić przy naczelniku, no, no!

– W ustawie stoi o tym jak wół, to prawo miałem.

– Ale skąd wam przyszło do głowy upominać się o polską szkołę?

– Skąd! Przecieśma Polaki, a nie Niemcy czy to jakie drugie.

– Któż to was tak namówił? – pytał ciszej pochylając się ku niemu.

– Dzieci też i bez nauczyciela przychodzą do rozumu – odrzekł wykrętnie.

– Widzę, że Roch nie na próżno kręci się po wsiach – ciągnął tak samo.

– A wespół z panowym stryjaszkiem, jak mogą, tak naród nauczają.

Wtrącił z naciskiem, patrząc mu bystro w oczy, dziedzic zakręcił się jakoś niespokojnie, zagadując o czym innym, ale Antek z rozmysłem wracał do tej sprawy i do różnych chłopskich bolączek, wyrzekając ciągiem na ciemnotę i opuszczenie, w jakim naród żyje.

– A bo nikogo nie słuchają! Wiem przecież, jak księża pracują nad nimi, jak nawołują do pracy, ale to wszystko groch na ścianę.

– Hale, kazaniem tyle pomoże co umarłemu kadzidłem.

– Więc czymże? Zmądrzałeś, widzę, w kryminale – rzucił z przekąsem, aż Antek poczerwieniał, łypnął ślepiami, ale odrzekł spokojnie:

– A zmądrzałem, bo wiem, że wszystkimu złemu winni panowie.

– Duby smalone pleciesz, a cóż ci to złego zrobili?

– A to, że za polskich czasów tyle jeno dbali o naród, żeby go bitem popędzać i ciemnić, a sami se tak balowali, jaże i przebalowali cały naród, że tera wszystko trza zaczynać od początku, na nowo.

Dziedzic, że to był prędko, ozgniewał się i krzyknął:

– A wara ci, chamie jeden, do tego, co panowie robili, pilnuj lepiej gnoju i wideł, rozumiesz! A język trzymaj za zębami, by ci go nie przycięli!

Świsnął szpicrutą i pognał, jaze w klaczy zagrała wątroba.

Antek zaś poszedł w swoją stronę, a również zły i wzburzony.

– Psie nasienie! – mamrotał gniewnie. – Jaśnie pany, psiekrwie! Jak mu było potrza chłopskiej łaski, to z każdym się bratał. Ścierwo! Sam niewart i wszy pieczonej, a drugich przeżywa od chamów! – srożył się kopiąc ze złości muchary stojące mu na drodze.

Już wychodził z lasu na topolową, gdy naraz posłyszał jakby znajome głosy, rozejrzał się uważnie: pod krzyżem tuliła się w cieniu brzózek jakaś bryka zakurzona, zaś na kraju boru stał Jasio organistów z Jagusią.

Przetarł oczy, całkiem pewny, jako mu się przywidziało, ale nie, stojali zaledwie o kilkanaście kroków od niego, zapatrzeni w siebie i dziwnie roześmiani.

Zdziwił się niemało nastawiając przy tym uszy, ale chociaż słyszał głosy, nie mógł jednak złożyć i wymiarkować ani jednego słowa.

– Wracała z boru, on jechał i spotkali się – pomyślał, ale w tym oczymgnieniu ukąsiło go cosik w serce, sposepniał i głuche, kolące podejrzenie zatargało kajś we wąpiach.

– Nic drugiego, jeno się zmówili! – lecz dojrzawszy Jasiowe księżę obleczenie i jego twarz taką jakąś świętą, uspokoił się odetchnawszy z niezmierną ulgą, nie poredził se jeno wyrozumieć Jagusi, dlaczego się tak była wystroiła do boru? i czemu tak modrzały jej ślepie roziskrzzone? czemu jej tak latały czerwone wargi, a biło od niej taką radością? Obiegał ją wilczymi, głodnymi ślepiami, gdy wypinając się naprzód wzdętymi piersiami podawała króbkę, z której Jasio wybierał jagody, sam jadł i jej wtykał do ust...

– Prawie ksiądz, a chce mu się zabawiać kiej dzieciak – szepnął z politowaniem i wartko ruszył ku domowi miarkując sobie po słońcu, jako musiało już być kole podwieczorka.

– Póki nie tknę tej zadry, póty i nie boli! – myślał o Jagusi. – A jak to w niego łakomie patrzała; dziw go nie zjadła. A niechta, a niechta...

Próżno się jednak otrząchał, zadra i tak dolegała mu do żywego.

– A ode mnie to uciekaj kieby od tej zarazy. Juści, nowe sitko na kolek, szczęściem, co z Jasiem nic nie wskóra – rozjątrzał się coraz barzej – poniektóra to jak suka, polecą za każdym, kto zagwizda.

Leciał pędkiem, ale nie poredził zgubić tych gorzkich wspominków, jacyś ludzie go wymijali, ani spostrzegł kogo; uspokoił się dopiero pod wsią, gdyż dojrzał organiścinę siedzącą nad rowem z pończochą w ręku, najmłodszy tarzał się przed nią w piasku, a stadko podskubanych gęsi szczypało trawę między topolami.

– Aż tutaj pani zawędrowała z gęsiami? – przystanął obcierając spotniałą twarz.

– Wysłałam naprzeciw Jasia, tylko go patrzeć, jak nadjedzie.

– Dyć ino co wyminałem go pod lasem.

– Jasia! to już jedzie? – zakrzyczała zrywając się na nogi. – Pilusie, pilu, pilu a gdzie, szkodniki, a gdzie? – wrzasnęła, bo gęsi jakoś niespodzianie dopadły do żyta stojącego nad drogą i wzięły je zajadłe młócić.

– Bryka stała pod figurą, zaś on rozmawiał se z jakąś kobietą.

– Pewnie spotkał znajomą i pogadają. To on tu zaraz nadjedzie. Poczciwa chłopczyzna, on nawet obcego psa nie przepuści bez pogłaskania. A którąż to spotkał?

– Nie rozeznałem dobrze; ale zdało mi się, co Jagusię – a widząc, że stara skrzywiła się jakoś niechętnie, dorzucił ze znaczącym prześmiechem: – Nie rozeznałem, bo zesli mi z oczów kajś w zagaje... pewnikiem przed gorącym...

– Święci Pańscy! co też wam w głowie, Jasio zadawałby się z taką...

– Taka dobra jak drugie, a może i lepsza! – rozgniewał się srodze.

Organiścina chybniej zaruchała drutami wpatrując się jakoś pilnie w pończochę. – A żeby ci ozór odjęło, pleciuchu jeden – myślała głęboko dotknięta – Jasio miałby z taką dziewczyną... prawie już ksiądz... – Ale się jej spomniały różne księżowskie historie i ogarnął ją niepokój, poskrobała się drutem po głowie, postanawiając rozpytać się obszerniej, lecz Antka już nie było, natomiast na drodze od lasu podniósł się tuman kurzawy i toczył się ku niej coraz prędzej, a nie wyszło i Zdrowaś, już Jasio ścisnął ją z całej mocy i skamlał serdecznie:

– Mamusiu kochana! Mamusiu!

– Święci Pańscy! Ady mnie udusisz! Puść, smoku, puść! – i kiedy puścił, sama wzięła go ścisnąć, całować a wodzić po nim rozkochanymi oczyma.

– A to cię wychudzili, kruszyno! Takiś blady, synaczku! Takiś mizerny!

– Rosoły na święconej wodzie nie pasą! – śmiał się pohuśtując brata, którego jaże piszczał z radości.

– Nie bój się, już ja cię odpasę – szeptała gładząc go pieściwie po twarzy.

– To jedźmy, mamusiu, prędzej będziemy w domu

– A gęsi? Święci Pańscy, znowu w szkodzie! Skoczył wyganiać, gdyż się były dorwały żyta łuskając kłosa aż miło, potem brata usadził w bryce i zapędzając przed sobą gęsi szedł środkiem drogi rozpowiadając o podróży.

– Patrz no, jak się bęben umazał! – zauważyła wskazując na małego.

– Dobrał się do moich jagód. Jedz, Stasiu, jedz! Spotkałem w lesie Jagusię, wracała z jagód i trochę mi usypała... – zrumienił się wstydliwie.

– Właśnie przed chwilą mówił mi Boryna, że was spotkał...

– Nie widziałem go, musiał gdzieś bokiem przechodzić.

– Moje dziecko, na wsi ludzie widzą przez ściany nawet i to, czego wcale nie było! – wyrzekła z naciskiem, spuszczać oczy na rozmigotane druty.

Jasio jakby nie zrozumiał, gdyż dojrawszy stado gołębi lecące nisko nad zbożami, śmignął za nimi kamieniem i zawołał wesoło:

– Zaraz poznać po wypasionych brzuchach, że to proboszczowskie...

– Cicho, Jasiu, jeszcze kto usłyszy! – skarciła go łagodnie, rozmazując się myśleniem, jak to on zostanie kiedyś proboszczem, a ona usiedzie przy nim na stare lata dożywać dni swoich w spokoju i szczęśliwości.

– A kiedyż to Felek przyjedzie na wakacje?

– To mama nie wie, że go aresztowali?

– Święci Pańscy! Aresztowany! i cóż to zbroił? A zawsze mówiłam, a przepowiadałam, że źle skończy! Taki łajdus, w sam raz było mu iść na jakiego pisarka, ale młynarzom zachciało się zrobić z niego doktora! A tak się nim pysznili, tak nosy zadzierali, a teraz synek w kryminale, mają pocięchę! – aż się trzęsła z jakiejś mściwej radości.

– Ależ to zupełnie co innego, siedzi w cytadeli.

– W cytadeli, a to musi być coś politycznego? – zniżyła głos.

Jasio nie umiał odpowiedzieć czy też nie chciał, zaś ona szepnęła trwożnie:

– Moja kruszyno, tylko ty nie mieszaj się do niczego.

– U nas nawet mówić nie wolno o takich rzeczach, zaraz by wypędzili.

– A widzisz! Wypędziliby cię i nie zostałbyś księdzem! Ady bym umarła ze wstydu i zgryzoty! Boże mój, zmiłuj się nad nami!

– Niech się mama o mnie nie boi.

– Przecież rozumiesz, jak harujemy i zabiegamy, aby chociaż wam było trochę lepiej. Sam wiesz, jak ciężko, tyle nas w domu, a przychody coraz mniejsze i żeby nie te trochę ziemi, to byśmy przy naszym proboszczu musieli nieraz głodem przymierać. Wiesz, proboszcz się teraz sam godzi z chłopami o śluby i pogrzeby, sam, słyszane to rzeczy! powiada, że ojciec z ludzi zdzierał! Jaki mi dobrodziej z cudzej kieszeni.

– A bo naprawdę zdzierał! – wykrztusił nieśmiało.

– Co ty! Na ojca będziesz powstawał? na rodzonego ojca! A jeśli zdzierał, to dla kogo? Przecież nie dla siebie, a tylko dla was, dla ciebie, na twoją naukę – zaskarżyła się boleśnie.

Jasio zaczął ją przeproszać, ale mu przerwało jakieś jazgotliwe dzwonicie, płynące gdzieś od stawu.

– Słyszysz mama? pewnie ksiądz idzie do chorego z Panem Jezusem.

– Prędeż to dzwonią na pszczoły, żeby nie uciekły, musiały się wyroić na plebanii. Proboszcz więcej teraz pilnuje swojego byka i pasieki niżli kościoła.

Dochodzili właśnie smętarza, gdy naraz sypnął się na nich brzękliwy szum, że Jasio ledwie zdążył krzyknąć na furmana:

– Pszczoły! trzymajcie konie, bo się spłoszą.

Jakoż nad placem kościelnym huczał ogromny rój, niósł się górą kieby rozbręczana chmura, kołował upatrując sposobnego miejsca, to zniżał się przepływając między drzewami, a za nim leciał ksiądz w portkach jeno i koszuli, bez kapelusza, zaziajany i nieustannie machający kropidłem, zaś Jambroż skradając się bokami, w cieniach, przydzwaniał zajadle i wrzeszczał; obiegli plac parę razy nie zwalniając ani na chwilę, gdyż pszczoły opadały coraz niżej, jakby zamierzając opaść na który z domów, że już dzieci pierzchały spod ścian, ale naraz poderwały się ździebko i szły prosto na Jasiową brykę; wrzasnęła organiścina i zadarłszy kieckę na głowę przycupła kajś w rowie, konie zaczęły się rwać, aż furman skoczył zakryć im ślepie, gęsi się rozleciały, a jeno Jasiu stał spokojnie z zadartą głową, rój zakręcił z nagła tuż nad nim i poszedł prosto na dzwonicę.

– Wody! – ryknął proboszcz puszczając się w cwał za nimi, dopadł z bliska i tak je skropił, że nie mogąc już ruchać przemiękłymi skrzydłami, zaczęły się osadzać w dzwonnicy oknie.

– Jambroż! drabina, sitko, a prędzej, bo uciekną! Ruszaj się, kulasie! Jak się masz, Jasiu, zrób no ognia w trybularzu, trzeba je podkurzyć, to się uspokoją! – wrzeszczał zgorączkowany, nie przestając skrapiać opadającego roju, a nie upłynęło i Zdrowaś, drabina stała pod dzwonnicy, Jambroż przydzwaniał, Jasio dymił z trybularza niby z kominą, zaś ksiądz piął się w górę i dosięgnąwszy pszczoł gmerał między nimi wyszukując matki.

– Jest! Chwała Bogu, już nie uciekną! Podkurz, Jasiu, od spodu, bo się rozlażą! – rozkazywał zgarniając gołymi rękami pszczoły; nic się bowiem nie bojał, chociaż obsiadły mu głowę i łążyły po twarzy, jeno pogadując cosik do nich zbierał je do sitka i zbierał, gdyż rój był ogromny.

– Uważać! burzą się, mogą ciąć! – ostrzegał schodząc z drabiny, otoczony całą chmarą wirującą nad nim z brzękiem i szumem, a zeszedłszy na ziemię poniosł sito przed sobą tak ważne i uroczyście kieby tę monstrancję, Jasio go okadzał kołysząc trybularzem, Jambroż dzwonił pokrapiając raz po raz i w takiej ano procesji walili do pasieki za plebanią, kaj w osobnym zagrodzeniu stało kilkadziesiąt uli rozbrzęczanych, jakby w każdym się roilo.

A kiedy ksiądz zajął się obsadzaniem pszczoł, Jasio, dobrze już głodny i utrudzony, wysunął się cichaczem do domu.

Juści, co ucieszyli się nim niezmiernie, a co tam było pisków, całowań i pytań, tego i nie wypowiedzieć, zaś skoro przeszła pierwsza radość, usadzili go za stołem i dalejże znosić przeróżne smaki a podtykać, a molestować i zachęcać do jadła, jaże cały dom się trząsł od wrzasków i bieganiny; gdyż wszyscy naraz pragnęli mu usłużyć i być jak najbliżej. Właśnie na taki rejwach wpadł zziązany Grzela, wójtów brat, rozpytując się niespokojnie, czy nie widzieli Rocha? Ale nikt go nie widział na oczy.

– Nie mogę go nikaj naleźć – wyrzekął frasobliwie i nie wdając się w rozmowy poleciał dalej szukać po chałupach, a zaraz po jego odejściu zawołano Jasia na plebanię. Ociagał się, zwłóczył, ale iść musiał.

Proboszcz czekał w ganku przy podwieczorku, wycalował go po ojcowsku i usadziwszy przy sobie rzekł wielce łaskawie:

– Rad jestem, żeś przyjechał, będę miał z kim odmawiać brewiarz! Ale wiesz, ile mam tegorocznych rojów? Piętnaście! A mocne, jak sta-

re, już niektóre zarobiły miodem po ćwierć ula! Wyroilo się więcej, Ambrozemu kazałem pilnować pasieki, ale usnęła trąba, i pszczołki fiut... na bory i lasy. A jeden rój ukradł mi młynarz! No, mówię ci, że ukradł! Uciekły na jego gruszę, zabrał jak swoje i ani chciał słuchać o oddaniu! Zły o byka, to mści się na mnie, jak może, rabuś jeden. Słyszałeś to już o Felku? Te gałgany to tną jak osy, a sio! – zajęczał opędzając się chusteczką od much, padających mu ciągiem na łysinę.

– Tylko tyle, że siedzi w cytadeli.

– Żeby się choć na tym skończyło! Doigrał się, co? A mówiłem, a przekładałem, nie słuchał osieł jeden i ma teraz bal! Stary ryfa i bufon, ale Felka szkoda, zdolna szelma, po łacinie umie ekspedite, że i biskup lepiej nie potrafi. Cóż, kiedy we łbie pstro i dalejże wybierać się z motyką na słońce... A powiedziano: jakże to... aha! czego nie wolno, nie rusz, a co zakazane, obchodź z daleka. Pokorne ciele dwie matki ssie... tak... – ciągnął ciszej i już coraz słabiej, opędzając się przed muchami. – Zapamiętaj to sobie, Jasiu! No, mówię, zapamiętaj! – zwiesił głowę zapadając w głęboki fotel, ale gdy Jasio powstał z krzesła, otworzył oczy i zamamrotał: – Zmęczyły mnie pszczołki! A przychodź wieczorami na brewiarz. Ale uważaj na siebie i nie spoufalaj się z chłopami, bo kto się zada z plewami, tego świnię zjedzą! No, mówię, zjedzą i basta! – przysłonił łysinę chustką i zachrapał już na dobre.

Snadź tak samo myślał organista, albowiem kiedy parobek wyprowadzał konie na pastwisko i Jasio skoczył na jednego, stary zakrzyczał:

– Zleź mi zaraz! Nie pasuje, żeby ksiądz jeździł na oklep i zadawał się z pastuchami!

Strasznie chciało mu się jechać, ale zlął jak niepyszny i ponieważ mrok już zapadał, poszedł za ogrody odmówić wieczorne pacierze, ale mógł się to zebrać w sobie, kiedy jakaś dzieuszyna piesneczka dzwoniła gdzieś niedaleko i baby rajcowały w jakimś sadzie, że każde słowo leciało po rosie, i wrzeszczały dzieci kąpiące się w stawie, kajś znów śmiechy się zatrzęsły, to ryki krów, to księżę perliczki darły się przenikliwie i cała wieś huczała przeróżnymi pogłosami niby ten ul rozbrzęczany, że ciągiem mu się myliło, a gdy nareszcie uchwycił wątek i przyklękawszy pod żytem wtopił rozmodlone oczy w to niebo rozgwiażdżone i poniósł duszę kajś w zaświaty, buchnęły od wsi takie przeraźliwe krzyki, lamenta i przeklinania, że poleciał ku domowi wystraszony wielce i niespokojny.

Matka właśnie wyszła go wołać na kolację.

– Co się tam stało? Biją się czy co?

– Józef Wachnik wrócił z kancelarii trochę pijany i pobił się ze swoją. Dawno się już babie należała porządna frycówka. Nie bój się, nic jej nie będzie.

– Ależ krzyczy, jakby ją ze skóry obdzierał.

– Zwyczajne babskie wrzaski, żeby ją prał kijem, toby była cicho! Odbije mu ona jutro za swoje, odbije! Chodź, kruszyno, bo kolacja przestygnie.

Ledwie tknął jada i czując się wielce zdrożony, zaraz położył się spać. Ale rano, jak tylko słońce zaświeciło, już był na nogach. Obleciał pole, przyniósł koniom koniczyny, podrażnił księżę indory, jaże się rozbulgotały, przywitał pieski, że dziw łańcuchów nie pozrywały z radości, sypnął ziarna gołębiom, pomógł młodszemu wypędzać krowy, narąbał drzewa za Michała, spenetrował w sadzie dojrzewające małgorzutki, pofiglował ze żrebakiem i był wszędy i wszystko witał całującymi oczami, jak przyjaciół serdeczne, jak braty rodzone, nawet te malwy osypane kwiatem, nawet te prosięta grzejące się na słońcu, nawet pokrzywy i chwasty; przytajone pod płotami, aż matka biegnąca za nim rozkochanymi spojrzeniami szeptała z pobłażliwym uśmiechem:

– Wariacie jeden! wariacie!

A on snuł się i promieniał jako ten dzień lipcowy, jasny, roześmiany, rozsloneczniony, wezbrany ciepłem i ogarniający wszystek świat duszą miłującą, ale skoro zadzwoniła sygnaturka, rzucił wszystko i poleciał do kościoła.

Proboszcz wyszedł z wotywą, poprzedał go Jasio w nowej komży, przybranej świeżo czerwonymi wstęgami, organy zagrały przebieraną, hukliwą nutą, z chóru podniósł się grubachny głos, od którego zadrgały światła, kilkanaście osób przykłękło przed ołtarzem – i zaczęło się nabożeństwo.

Jasio, chociaż służył do mszy, a w przerwach żarliwie się modlił, jednak dostrzegł Jagusię klęczącą nieco z boku i co podniósł głowę, to widział jej modre, błyszczące oczy wlepione w siebie i jakiś przytajony uśmiech na rozchylonych, czerwonych wargach.

Zaraz po kościele zabrał go ksiądz na plebanię i zasadził do pisania, że dopiero po południu wyrwał się na wieś odwiedzać znajomków.

Najpierw zaszedł do Kłębów, gdyż siedzieli najbliżej, przez dróżkę jeno, w chałupie jednak nie zastał nikogo, a tylko w sieniach, wywarłych na przestrzał, cosik zaruszało się w kącie, a jakiś głos zachrypiał:

– Dyc to ja, Jagata! – uniesła się rozkładając ręce ze zdumienia – Jezus, pan Jasio!

– Leżcie spokojnie. Chorzyście, co? – pytał troskliwie i przysunąwszy se pieniek przysiadł blisko, ledwie rozpoznając jej twarz wyschniętą kiej ziemia.

– Jeno już Pańskiego miłosierdzia czekam – głos jej zabrzmiał uroczyście.

– Cóż to wam jest?

– A nic, śmierć se we mnie rośnie i na żniwo czeka Kłęby me ano przytuliły, bym se u nich pomarła, to pacierz mówię i wyglądam cierpliwie onej godziny, kiej kostucha zapuka i powie: pódzi, duszo umęczona.

– Czemuż do izby was nie przeniosą?

– Hale, póki nie pora, to co ta bede im zabierała miejsce... i tak cielaka musiały ze sieni wyprowadzić. Ale mi przyobiecały, że na tę ostatnią moją godzinę to me przeniosą do izby, na łóżko pod obrazy, i świecę mi zapalą...i księdza sprowadzą... a potem we świąteczne szmaty me przyobleką i pochówek sprawią gospodarski. Juści, dałam na wszystko... a ludzie pocziwe sieroty może nie ukrzywdzą. Niedługo przeciek bede im tu zawałać, nie... i przy świadkach mi przyobiecały, przy świadkach.

– A nie przykrzy się wam samej? – głos mu nasiąkł żałością i łzami.

– Całkiem mi dobrze, paniczku. A mało to świata dojrzę se przez drzwi? kto przejdzie drogą, kto gdziesik zagada, kto i zajrzy, kto nawet rzuci to pocziwe słowo, że jakbym se po wsi wędrowała. A pójdą wszystkie do roboty, to kokoszki pogrzebią w śmieciach, gadzina pochrząka za ścianą, pieski zajrzą, wróble wpadną do sieni, słońce ździebko poświeci przed zachodem, a niekiej wisus jaki ciepnie pecyną i dzionek zleci, ani się człowiek spodzieje. A nocami też do mnie przychodzą, juści... a niejedne...

– Któż taki? kto? – zajrzał z bliska w jej otwarte, a jakby niewidzące oczy.

– A te moje, co się im już dawno pomarło, a te powinowate i znajome. Prawdę mówię, paniczku, przychodzą... A kiedyś – szeptała z uśmiechem nieopowiedzianego szczęścia i słodczy – to przyszła do mnie Panienka i powieła cichuško: „Leż se, Jagato, Pan Jezus cię wynagrodzi!...” Sama Częstochowska, zaraz poznałam... w koronie ano była, w płaszczu, a cała we złocie i koralach. Poglądziła me po głowie i

rzekła: „Nie bój się, sieroto, gospodynią se będziesz pierwszą na niebieskim dworze, panią se będziesz, dziedziczką...”

I tak se gaworzyła starucha kiej ta zasypiająca ptaszka, zaś Jasio przychyłony nad nią słuchał i patrzył kieby w jakąś nieodgadnioną głąb, kaj cosik tajnego bulgoce i gada, i błyska, i coś takiego się dzieje, czego już zgoła człowieczy rozum nie rozbierze. Zrobiło mu się jakoś strasznie, ale nie poredził się oderwać od tej kruszyny ludzkiej, od tego zetłalego źdźbła, co drgając, kieby ten promień gasnący w mroku, jeszcze se śnił o dniach nowego żywota. Pierwszy raz w życiu tak z bliska zajrzał w człowieczą, nieubłaganą dolę, to i nie dziwota, że przejął go luty strach, żałość ścisnęła duszę, łzy zatopiły oczy, współczująca litość przygięła go do ziemi, a gorąca, proszalna modlitwa sama się już rwała z warg roztrzęsionych.

Stara przecknęła się i unosząc głowę szepnęła w zachwycie:

– Janioł przenajświętszy! księżyczek mój serdeczny!

On zaś potem długo stał pod jakąś ścianą grzejąc się w słońcu i ciesząc oczy tym dniem jasnym i życiem, jakie wrzało dokoła.

Bo i cóż, że tam jakaś dusza człowiekowa skamląła w pazurach śmierci.

Słońce nie przestało świecić, szumiały zboża, białe chmury przepływały wysoko, wysoko, dzieci bawiły się po drogach, rumieniły się po sadach jabłka dojrzewające, w kuźni biły młoty, jaże rozlegało się na całą wieś, ktoś wóz rychtował, ktoś kosę nakuwał sposobiac się do zniw, pachniał chleb świeżo upieczony, rajcowały kobiety, chusty suszyły się po płotach, ruszali się po polach i obejściach, jako dnia było, jak zawdy, gmerał się rój ludzki wśród trosk i zabiegów ani nawet myśląc, kto tam pierwszy stoczy się z brzegu.

Zaśby ta komu przyszło co z tego.

Więc i Jasio prędko się otrząsnął ze smutku i poszedł na wieś.

Posiedział czas jakiś przy Mateuszu, któren Stachową chałupę wyciągał już do zrębu; postął nad stawem z Płoszkową bielącą płótno; odwiedził chorą Józkę; nasłuchał się wyrzekań wójtowej; przyjrzał się w kuźni, jak kowal stalił kosy i nacinał ostrza sierpów; zajrzał i na ogrody, kaj pracowało najwięcej dzieuch i kobiet, a wszędy wielce byli mu radzi, witając przyjacielsko i patrząc na niego z niemłą dumą: boć lipeckie to było dziecko, więc jakby w krewieństwie ze wszystkimi.

A dopiero na samym ostatku wstąpił do Dominikowej; stara siedziała przed domem i przędła wełnę, dziwił się temu, gdyż oczy miała przewiązane.

– Palcami zmacam i też wiem, jaka nitka, cienka czy ogrubnia – tłumaczyła i bardzo ucieszona z jego odwiedzin, zawołała na Jagusię zajętą kajś w podwórzu.

Przyleciała zaraz, nieco ino rozdziana, bo tylko we wełniaku i w koszuli, ale dojrzawszy Jasia przysłoniła piersi rękami i sczerwieniwszy się kiej wiśnia uciekła do chałupy.

– Jaguś, a wynieś no mleka, to może pan Jasio się przechłodzi!

Wyniesła pokrótce pełną doinkę i garnuszek, przybrana już w chusteczkę na głowie, lecz tak jakoś zesromana, że kiej wzięła nalewać mleko, ręce jej latały i bladła, to czerwieniła się na przemian, nie śmiejąc podnieść oczów.

I cały czas nie odezwała się do niego ani słowa i dopiero kiej poszedł, odprowadziła go na drogę, patrząc za nim, póki jej z oczów nie zginął.

Niewypowiedzianie parło ją cosik za nim i tak strasznie ponosiło, że aby się nie dać pokusić, wpadła do sadu, chyciła się oburącz jakiegoś drzewa i przytulając się do niego stanęła bez tchu prawie i przytomności, nakryta, niby płaszczem, gałęziami, zwisłymi od jabłek; stała z przywartymi powiekami, z uśmiechem zatajonym w kątach warg, pełna szczęśliwości, a zarazem lęku, i pełna jakowychś łez słodkich i lubego dygotu, jak wtedy, kiej patrzyła na niego przez okno, w tamtą noc wiośnianą.

Ale i Jasia jakby ciągnęło za nią, bo chociaż bezwolnie, a zaglądał do nich niekiedy na krótką chwilę i odchodził dziwnie rozradowany, a już co dnia widywał ją w kościele, klęczała zawdy przez całą mszę, a tak wielce rozmodlona i jakby wniebowzięta, że spoglądał na nią ze słodkim wzruszeniem, opowiadając kiedyś o jej pobożności:

Matka tylko wzruszyła ramionami.

– Ma za co przepraszać Pana Boga, ma...

Jasio miał duszę czystą kieby ten najbielszy kwiat, to i nie zrozumiał przytyku, a że przychodziła do nich, że ją wszyscy w domu lubili, że widział, jaka była pobożna, tomu ani powstało w głowie jakie niebądź posądzenie; zdziwił się tylko teraz, że od jego przyjazdu nie była jeszcze ani razu.

– Właśnie posłałam po nią, bo mam dużo do prasowania – odrzekła matka.

I przyszła wkrótce tak wystrojona, że Jasio aż się zdumiał.

– Cóż to, idziecie na wesele?

– A może przysłali do was z wódką? – zapiszczała któraś z dziewczyn.

– Zaśby ta kto śmiał, dyć bym go przepędziła na cztery wiatry! – ośmiała się kraśniejąc kieby róża, że to wszyscy na nią patrzeli.

Stara zapędziła ją zaraz do prasowania, poleciały za nią organiścianki wraz z Jasiem i tak się im wkrótce zrobiło wesoło, tak gruchali śmiechem z bele głupstwa i wrzeszczeli, jaże organiścina musiała przykarcać:

– Cichocie, sroki! Jasiu, idź lepiej do ogrodu, nie wypada ci tu suszyć zębów.

To rad nierad wziął książkę i powlókł się jak zwykle w pole, i tam kajś daleko za wsią, na miedzach, pod gruszami, na granicznych kopcach, przesiadywał zagłębniony w czytaniu albo jeno se medytujący.

Ale Jagusia dobrze już знаła te samotne schroniska, dobrze wiedziała, kaj go szukać utęsknionymi oczami, kaj się nieść do niego choćby jeno tą myślą radosną; krążyła bowiem kole niego kieby ten motyl w kręgu światła i krążyć musiała, parło ją za nim niepowstrzymanie i wlekło tak nieprzeparcie, że się już dała bez pamięci na wolę tej jakiejś lubej mocy, dała się jakby wodom spienionym, co ją ponosiły w jakoweś wyśnione światy szczęśliwości, dała się wszystką duszą i sercem, ani nawet myśląc, na jaki brzeg ją wyniesą ni na jaką dolę.

I czy się późną nocą kładła do snu, czy się rankiem zrywała z pościeli, to zawdy jednym pacierzem dygotało jej serce:

– Obaczę go znowu! obaczę!

A nieraz, kiedy klęczała przed ołtarzem i ksiądz wyszedł ze mszą, i zagrały przejmującą nutą organy, i wionęły kadzielne dymy, i roztrzęsły się gorące szepty pacierzy, i kiedy zapatrzyła się rozmodlonymi oczami w Jasia, którego biało przybrany, smukły, śliczny, ze złożonymi rękami snuł się w tych dymach i kolorach, jakie były z okien, to się jej widziało, co żywy janioł zstąpił z obrazu i oto płynie ku niej ze słodkim prześmiechem... idzie... że raje otwierały się w jej duszy, padała na twarz w proch, przywierając wargami do miejsc, kaj przeszły jego stopy, i porwana zachwyceniem, śpiewała wszystką mocą człowieczej szczęśliwości:

– Święty! Święty! Święty!

A nieraz i msza się skończyła, i ludzie się porozchodzili, i Jambroż już w pustym kościele przedzwaniał kluczami, a ona jeszcze klęczała, zapatrzona w puste po Jasiu miejsce, rozmodlona przenajświętszą ci-

chością upojenia, tą radością nabrzmiałą do bólu, tymi jeno łzami, co jej same spływały z oczów, kiej ziarna pełne, ważkie i przeczyste.

Że już dnie były dla niej jako te ciągle święta, jako te uroczyste odpusty w nieustannej radości nabożeństwa, jakie się ciągiem odprawiało w jej, duszy, bo kiedy wyjrzała w pole, to dzwoniły jej tym samym dojrzałe kłosy, dzwoniła spieczona ziemia, dzwoniły sady przygięte pod ciężarem owoców, dzwoniły bory dalekie i te wędrujące chmury, i ta przenajświętsza hostia słońca, wyniesiona nad światem, a wszystko śpiewało wraz z jej duszą jeden niebosiężny hymn dziękczynienia i radości:

– Święty! Święty! Święty!

Hej, jaki to świat śliczny, kiej się nań patrzą rozmiłowane oczy!

A jaki to człowiek mocen w onej świętej godzinie! Z Bogiem by się zmagał, śmierci by się nie dał, nawet doli by się przeciwiał. Życie mu jednym weselem, a bratem choćby i ten stwór najmarniejszy! Przed każdym dniem by klękał w podzięce, każdej nocy by błogosławił i na każdym miejscu wszystek by się rozdawał między bliźnie, a bogaczem ostaje, a ciągiem mu jeszcze przybywa mocy, kochania i dni barzej cudnych.

Światami dusza się jego nosi, górnje we gwiazdy patrzy z bliska, nieba zuchwale sięga, o wiecznej sni szczęśliwości, bo się jej widzi, że nie ma już kresu ni zapory la jej mocy i kochania.

Tak się to i Jagusi widziało w tę porę miłowania.

Dnie szły zwyczajne, dnie znojnych przygotowań do żniw, a ona uwijała się przy robotach rozśpiewana niby skowronek, niestrudzenie radosna i weselnie rozkwitła, kieby ta róża w jej ogródku, kieby te malwy smukła i kieby ten kwiat na Bożym zagonie najśliczniejsza i tak ciągnąca oczy, tak wabiąca jarzącymi ślepiami, tak ciągiem roześmiana, że nawet starzy chodzili za nią oczami, zaś parobcy zaczęli się znowu kole niej kręcić i wzdychający wystawać pod jej chałupą, ale odprawiała każdego.

– Żebyś nawet wrosnął w ziemię, to i tak niczego nie wystoisz – szydziła.

– Z kuźdego się już prześmiewa! A harna kieby dziedziczka! – skarżyli się przy Mateuszu, który jeno westchnął żałośnie, gdyż nawet on tyła jeno wskórał, co mógł niekaj o zmierzchu pogadywać z Dominikową a patrzeć za Jagusią zwijającą się po izbie i słuchać jej prześpiewek. Patrzył też i nasłuchiwał tak gorąco, że odchodził coraz chmurniejszy i coraz częściej zaglądał do karczmy, a potem w chałupie

wyprawiał różne brewerie. Juści, co już najbarzej dostawało się Teresce, że już chodziła ledwie żywa ze zgryzoty, toteż spotkawszy kiedyś Jagusię odwróciła się od niej plecami i splunęła.

Ale Jagusia, zapatrzona kajś przed się, przeszła nawet jej nie widząc.

Tereska rozgniewana zwróciła się do dzieuch, pierających nad stawem.

– Widziałyście, jak się to pawi! A to przejdzie i ani już spojry na kogo.

– A wystrojona jakby na odpust.

– Jakże, do samego południa przesiaduje przy czesaniu.

– I ciągiem se kupuje wstęgi a stroiki – dogadywały zawistnie, bo znów od jakiegoś czasu, niech się jeno pokazała na wsi, chodziły za nią babie spojrzenia ostre kiej pazury i jadowite kieby zmije. Brały ją też na ozory przy leda sposobności, a nicowały, że niech Bóg broni, nie mogły jej bowiem darować, że się stroiła jak żadna i że była ponad wszystkie urodniejsza, żeby już nie spominać, co wyprawiała z chłopami.

– Wynosi się nad drugie, jaże trudno ścierpieć!

– I przystraja się kieby dziedziczka i skąd to na to bierze!

– Cie, a za cóż to wójt ma u niej łaski?

– Powiadają, jako i Antek nie skąpi – przepowiadały se na ucho gospodynie zebrawszy się w opłotkach Płoszkowej.

– Antek dba tyła o nią, co pies o piątą nogę – wtrąciła Jagustynka – tam jest w przygodzie ktoś drugi! – zaśmiała się tak domyślnie, że jęły ją molestować na wszystkie świętości, ale się nie wygadała, jeno im w końcu rzekła:

– Ja to plotów nie roznoszę. Macie oczy, to wypatrzcie same.

Jakoż od tej chwili sto par ślepiów jeszcze zacieklej poszło na przepięgi trop w trop za Jagusią, kiej te gończe za zajączkiem.

Ale Jagusia, chociaż na każdym kroku spotykała te przyczajone, stróżujące ślepie, nie domyślała się niczego; co ją tam zresztą obchodziło; kiej mogła w każdej porze obaczyć Jasia i topić się w jego oczach na śmierć.

Na organistówkę zaglądała prawie już co dnia i zawdy w takim czasie, gdy Jasio był w domu, że nieraz kiej zasiadał z bliska i kiej poczuła na sobie jego spojrzenie, to dziw nie omdlewała z lubości, oblewał ją war, nogi się trzęsły i serce łomotało kieby młotem, zaś indziej, gdy w drugim pokoju nauczał siostry, to jaże dech przytajała zasłucha-

na w jego głosie niby w tym słodkim dzwonieniu, aż organiścina spostrzegła:

– Co tak pilnie nasłuchujecie?

– Bo pan Jasio tak prawi naucznie, że niczego nie poredzę wyrozumieć!

– Chcielibyście! – zaśmiała się pobłaźliwie. – Abo to w małych szkołach się uczy przyrzuciła z dumą, wdając się w szeroką pogawędkę o synu, lubiła ją bowiem i rada zapraszała, że to Jagusia chętna była do pomocy przy każdej robocie, a przy tym często gęsto i przynosiła co niebądź; to gruszek, to jagódek, to nawet niekiedy i osełkę świeżego masła.

Jagusia wysłuchiwała zawdy tych opowiadań z jednaką żarliwością, lecz skoro Jasio ruszył się z domu, i ona śpieszyła się niby to do matki; strasznie bowiem lubiała nagłądać za nim z daleka i nieraz przy czajona we zbożu lub za jakimś drzewem patrzyła w niego długo i z taką tkliwością, że nie mogła się powstrzymać od płaczu.

Ale już najmilsze były la niej te krótkie, nagrzone, jasne noce, że kiedy jeno matka zasnęła, wynosiła pościel do sadu i leżąc na wznak, zapatrzona w niebo migocące przez gałęzie, zapadała w jakieś przenaj-słodsze niezmierzoności marzenia. Upalne wiewy nocy muskały ją po twarzy, gwiazdy zaglądały w oczy szeroko otwarte, nabrane zapachami głosy ciemnic, głosy pełne niepokojącego żaru i lubości, zadyszane szepty liści, senne, urywane szmery stworzeń, jakby stłumione westchnienia, jakby wołania, idące kajś spod ziemi, jakby chichoty strwożone, lały się w nią dziwną muzyką i przejmowały warem, dygotem, zapierały dech i prężyły w takich ciągotkach, że staczała się na chłodne, oroszone trawy, padając ciężko jak owoc dostały... i leżała bezwładnie wezbrana jakąś świętą, rodnią mocą, niby te pola dojrzewające, niby te gałęzie owocem ciężarne, niby ten łan żrącej pszenicy, gotów się dać sierpom, ptakom czy wichrom, bo już na każdą dolę zarówno tęsknie czekający.

Takie to miała Jagusia te krótkie, nagrzone, jasne noce i takie to te skwarne, rozprażone dni lipcowe, że mijały kieby sen słodki, ciągiem pragniony.

Chodziła też jak we śnie, ledwie już miarkując, kiedy był dzień, a kiedy noc.

Dominikowa czuła, że się z nią wyrabia cosik dziwnego, ale nie mogła wyrozumieć, więc tylko się radowała jej niespodzianej i żarliwej pobożności.

– Powiem ci, Jaguś, że kto z Bogiem, z tym Bóg! – powtarzała z dobrością.

Jagusia jeno się uśmiechała, pełna cichej, pokornej szczęśliwości a czekania.

I któregoś dnia całkiem niechcący natknęła się na Jasia, siedział pod kopcem granicznym z książką w ręku, nie mogła się już cofnąć i stanęła przed nim, okryta rumieńcem i mocno zesromana.

– Cóż wy tu robicie?

Jąkała się strwożona, czy aby się czego nie domyśla,

– Siadajcie, widzę, żeście się zmęczyli.

Wagowała się nie wiedząc, co począć, pociągnął ją za rękę, że przysiadła pobok, śpiesznie chowając bosc nogi pod wełniak.

Ale i Jasio był zmieszany, rozglądał się jakoś bezradnie dokoła.

Pusto było na polach, lipeckie dachy i sady wynosiły się ze zbóż jakoby wyspy dalekie, wiater ździebko przegarniał kłosami, pachniało rozgrzaną macierzanką i żytem, jakiś ptak przeleciał nad nimi.

– Strasznie dzisiaj gorąco! – zauważył, aby jeno zacząć.

– I wczoraj przypiekało niezgorzej! – chycił ją za gardziel jakiś radosny lęk, że ledwie mogła przemówić.

– Lada dzień zaczną się żniwa.

– Pewnie... juści... – przytwierdzała wlepiając w niego ciężkie oczy.

Uśmiechnął się i spróbował mówić swobodnie, prawie żartem:

– Jagusia to co dzień ładniejsza...

– Kaj mi tam do ładności! – stanęła w pąsach, pociemniałe oczy buchnęły płomieniami, a wargi zadrgały w przytajonym prześmiechu radości.

– I naprawdę Jagusia nie chce iść za męż?

– Ani mi się śni, abo mi to źle samej!

– I żaden się wam nie podoba, co? – nabierał coraz więcej śmiałości.

– Żaden, nie żaden! – trzęsła głową patrząc w niego rozmarzonymi słodko oczami, nachylił się i zajrzał głęboko w te modre przepaście; modlitwę miała w spojrzeniu, najgłębszą i najśłodsza, i najdufniejszą, żarliwy krzyk serca rwący się w czas Podniesienia. Dusza się w niej trzepotała kiej te skry słońca nad polami, kiej ptak rozspiewany wysoko nad ziemią.

Cofnął się jakoś dziwnie niespokojnie, przetaił oczy i wstał.

– Muszę już iść do domu! – skinął głową na pożegnanie i poszedł szeroką miedzą ku wsi czytając kiej niekiej książkę, to błędząc oczami, ale w jakiś czas obejrzał się i przystanął.

Jagusia szła za nim o parę kroków.

– Bo i mnie tędy najbliżiej – tłumaczyła się jakoś spłoszona

– To pójdźmy razem – mruknął, nie bardzo rad z towarzystwa, wlepił oczy w książkę i z wolna idąc czytał se półgłosem.

– O czym to napisane? – spytała lękliwie, zazierając w karty.

– Jak chcecie, to wam trochę poczytam.

Że akuratnie niedaleczko miedzy stało rozłożyste drzewo, to przysiadł w cieniu i zaczął czytać, Jagusia kucnęła naprzeciw i wsparłszy brodę na pięści zaszuchła się całą duszą, nie spuszczać z niego oczów.

– Jakże się wam podoba? – rzucił po chwili, unosząc głowę.

Szczerwieniła się i uciekając z oczami bąknęła wstydliwie:

– Bo ja wiem... To nie o królach historia, co?

Jeno się skrzywił i wziął znowu czytać, ale już wolno, wyraźnie i słowo po słowie: o polach i zbożach czytał, o jakimś dworze, stojącym we brzozowym gaju, jakby o dziedzicowym synu, któren do dom wrócił, i o dworskiej panience, co siedziała se z dziećmi na ogrodzie... A wszystko było utrafione do wiersza, rychtyk kieby w tych pobożnych śpiewaniach, jakby je kto wypominał z ambony, że nieraz chciało się jej westchnąć, przeżegnać i zapłakać, tak szło do serca.

Ale strasznie gorąco było w tym zaciszu, kaj siedzieli, kręgiem stała gęsta ściana żyta przepleciona modrakiem, wyczką i pachnącym powojem, że ani jeden powiew nie przechładzał, a jeno w tej upalnej ciichości sypał się niekiedy chrzęst obwisłych kłosów, czasem wróble zaćwierkały wśród gałęzi, bzyknęła przelatująca pszczoła i dzwonił Jasiowy głos, wezbrany dziwną słodyczą, lecz Jagusia, chociaż wpatrzona była w niego jakby w ten obraz najśliczniejszy i nie straciła ani jednego słowa, kiwnęła się raz i drugi, bo ją rozbieierało gorąco i morzył śpik, że ledwie już mogła wytrzymać.

Na szczęście, przerwał czytanie i zajrzał jej głęboko w oczy.

– Prawda, jakie śliczne, co?

– Juści, co śliczności... jakbym tego kazania słuchała.

Jaże oczy mu rozblęły, a na twarz wystąpiły kolory, gdy zaczął rozpowiadać, czytając raz jeszcze te miejsca, kaj było o polach i lasach, ale mu przerwała:

– Przeciek i dziecko wie, co w borach rosną drzewa, w rzekach jest woda i sięją na polach, to po co ta drukować o tym wszyćkim?...

Jasio aż się cofnął ze zdumienia.

– Mnie to się jeno spodobają takie historie o królach, o smokach albo i o strachach, co to jak się o nich słucha, to jaże mrówki człowieka oblażą i jakby zarzewia nasuł do piersi. Jak Rocho nieraz powiedają takie historie, to bym go słuchała dzień i noc. A czy pan Jasio ma o tym książki?

– A któż by czytał takie bajdy! – buchnął wzgardliwie, głęboko zgorszony.

– Bajdy! Hale, przeciek Rocho czytał o tym i z drukowanego.

– Głupstwa wam czytał i same cygaństwa!

– Jakże, to by se ino la cygaństwa umyślali takie cudeńka?...

– A tak, wszystko bajki a zmyślenia.

– To nieprawda i o południcach, i o smokach? – pytała coraz żałośniej.

– Nieprawda, mówię wam przecież! – odpowiadał zniecierpliwiony.

– To i o tym też nieprawda, jak to Pan Jezus wędrował ze świętym Piotrem, co?...

Nie zdążył odrzec, bo nagle jakby wyrosła spod ziemi Kozłowa i stając przy nich patrzała naśmiechliwymi ślepiami.

– A to pana Jasia szukają po całej wsi – rzekła słodziusko.

– Cóż się tam stało?

– Jaże trzy bryki ziandarów przyjechało na plebanię.

Zerwał się niespokojnie i poleciał prawie w dyrdy.

Jagusia też poszła ku wsi, ale dziwnie czegoś markotna.

– Pewnikiem przerwałam waju pacierze, co? – syknęła Kozłowa idąc pobok.

– Zaśby ta pacierze! Czytał mi z książki takie historie, ułożone do wiersza.

– Cie... a ja miarkowałam całkiem co drugiego. Organiścina pchnęła me go szukać... lecę w tę stronę, rozglądam się... pusto... tknęło me cosik, bych zajrzeć pod gruszkę... patrzę... siedzą se jakieś turkaweczki... gaworzą... Juści, miejsce sposobne... z dała od ludzkich oczów... juści...

– Żeby wam ten paskudny ozór pokręciło – buchnęła wrywając się naprzód.

– I będzie cie miał kto rozgrzeszyć! – krzyknęła za nią urągliwie.

ROZDZIAŁ 10

Jagusia zaraz na wstępie pomiarkowała, że na wsi dzieje się cosik ważnego, psy jakoś zajadlej naszczekiwały w obejściach, dzieci kryły się po sadach wyzierając jeno zza drzew i płotów, ludzie już ściągali z pól, chociaż słońce było jeszcze wysoko, gdzieś znów zbierały się rajcujące cicho kobiety, a na wszystkich twarzach widniał srogi niepokój i wszystkie oczy pełne były lęku i oczekiwań.

– Co się to wyrabia? – spytała Balcerkówny, wyglądającej zza węgła.

– Nie wiem, toć pono wojsko idzie od boru.

– Jezus, Maria! wojsko! – nogi się pod nią ugięły ze strachu.

– A Kłębiak co ino mówił, że kozaki ciągną od Woli – dorzuciła lecąca kajś Pryczkówna.

Jagusia przyśpieszyła kroku, w niemałej już trwodze dopadając chałupy, matka siedziała w progu z kądzielą, a przy niej parę rozgadanych kobiet.

– Widziałam jak was, siedzą w ganku, a starsze u proboszcza na pokojach.

– A po wójta posłali Michała organistów.

– Po wójta! Moiściewy, to nie przelewki. Ho, ho, wyjdą z tego historii, wyjdą...

– A może jeno przyjechały ściągać podatki.

– Hale, to by jaże w tyła narodu przyjeżdżały, co? Musi być co drugiego.

– Pewnie, ale nic dobrego z tego nie wyjdzie, obaczycie, spomnicie moje słowa.

– To ja wam rzeknę, po co przyjechały – zaczęła Jagustynka przystępując do nich.

Zbiły się w kupę i kiej gęsi powyciągały szyje nasłuchując z chciwością.

– A to będą was zapisywały do wojska – zaśmiała się skrzekliwie, ale żadna nie zawtórzyła, tylko Dominikowa rzekła z przekąsem:

– Cięgiem się was trzymają psie figle.

– A bo z igły robita widły! Wszystkie dziw zębów nie pogubią ze strachu, a każda by rada jakiej przygodzie. Wielka mi rzecz ziandary.

Płoszkowa wtoczyła swój spaśny kałdun w opłotki i dalejże rozpowiadać, jak to ją zaraz cosik tknęło, kiej dojrzała bryki, jak to...

– Cichojsa! Ano Grzela z wójtem lecą na plebanię.

Poniesły oczy na drugą stronę stawu, przeprowadzając idących.

– Cie, to i Grzelę wołają.

Ale nie zgadły, bo Grzela puścił brata naprzód, a sam obejrzał bryki, stojące przed plebanią, wypytał furmanów, przyjrzał się żandarmom siedzącym w ganku i jakoś mocno zaniepokojony poleciał do Mateusza zajętego przy Stachowej chałupie; właśnie był siedział okrakiem na zrębie zacinając luzy la osadzenia krokwi.

– Nie odjechały jeszcze? – pytał nie przestając rąbać.

– A nie, to jeno bieda, że nie wiada, po co przyjechały.

– I w tym się cosik tai niedobrego! – zająkał stary Bylica.

– A może o zebranie! Naczelnik się wygrażał, a strażniki już się tu i owdzie przewidywały, kto Lipce buntuje – rzekł Mateusz zesuając się na ziemię.

– To by rychtyk wypadało, że przyjechały po mnie! – szepnął Grzela rozglądając się niespokojnie, przybladł i ciężko robił pierściami.

– A mnie się widzi, co prędzej by po Rocha! – zauważył Stacho.

– Prawda, przeciek się już o niego przepytywali! Że mi to nawet w myślach nie postało! – odetchnął z ulgą, lecz srodze zatroskany o niego, rzekł smutnie:

– Ani chybi; że jeśli mają kogo wziąć, to tylko Rocha!

– Jakże, możemy go to dać, co? Rodzonego ojca, co? – krzyczał Mateusz.

– Hale, nie sposób się im przeciwzić, ani mowy o tym...

– Niechby się kaj schował, trza go przestrzec, juści... jąkał Bylica.

– A może to co drugiego, może to z wójtem sprawa – wtrącił nieśmiało Stacho.

– Na wszelki przypadek lecę go przestrzec! – zawołał Grzela i buchnął we zboża, przebierając się ogrodami do Borynów.

Antek siedział w ganku nakuwając sierpy na kowadełku i porwał się strwożony, dowiedziawszy się, o co idzie.

– Właśnie, co jeno przyszli. Rochu, a chodźcie no do nas! – krzyknął.

– Co się stało? – pytał stary wyściubiając głowę przez okno, ale nim mu rzekli, przyleciał srodze zaziąjany Michał organistów.

– Wiecie, a to do was, Antoni, wałą żandarmy! Już są nad stawem...

– To po mnie! – jęknął Rocho zwieszając smutnie głowę.

– Jezus, Maria! – krzyknęła Hanka stając w progu i uderzyła w płacz.

– Cicho! Trza zaradzić jakoś – szeptał Antek tężąc myślą.

– Skrzyknę wieś i nie damy was, Rochu! – srożył się Michał, wyłamując sielną gałąź i groźnie tocząc oczami.

– Nie bajdurz! Rochu, za bróg i w żyta, prędzej ino! Przywarujcie kaj w bruździe, póki was nie zawołam. A chybko, bych nie nadeszli...

Rocho zakręcił się po izbie, cisnął jakieś papiery Józce leżącej na łóżku i zaszeptał:

– Schowaj pod siebie, a nie wydaj!

I jak był, bez czapki a kapoty, rzucił się w sad i przepadł jak kamień we wodzie, że jeno kajś za brogiem zaruchało się żyto.

– Odejdź, Grzela! Hanka, do swojej roboty! Uciekaj, Michał, i ani mru-mru! – rozkazywał Antek zasiadając do przerwanej roboty i jał znowu nacinać sierp tak równiūsko i spokojnie jak przódzi, tylko że co trochę podnosił ostrze pod światło, a strzygł ślepiami na wszystkie strony, gdyż naszczekiwania psów były coraz bliższe, i wnet rozległy się ciężkie stapania, brzęki pałaszów i rozmowy...

Zatłukło mu serce i zadygotały ręce, ale ciał równo, akuratnie, raz za razem, nie odrywając oczów, aż dopiero kiej przed nim stanęli.

– Rocho doma? – pytał wójt, wielce zalekniony.

Antek obrzucił spojrzeniem całą kupę i odrzekł wolno:

– Musi być na wsi, bo nie widziałem go od rana.

– Otworzyć! – rozkazał grzmiąco jakiś starszy.

– Przeciek wywarte! – odburknął Antek dźwigając się z ławy.

Urzędnik wraz z żandarmami wszedł do chałupy, zaś strażnicy rozlecieli się pilnować sadu i obejścia.

Na drodze zebrało się już z pół wsi, przyglądając się w milczeniu, jak przetrząsali dom kieby kopę siana. Antek musiał im wszystko pokazywać i otwierać, a Hanka siedziała pod oknem z dzieckiem przy piersi.

Juści, co szukali na darmo, ale tak penetrowali wszędy nie przepuszczając zgoła niczemu, że nawet któryś zajrzał pod łóżka.

– A siedzi tam i właśnie czeka na waju! – mruknęła.

Starszy dojrzał na stole jakieś książeczki przyciśnięte Pasyjką, skoczył do nich kiej ryś i jął je pilnie przeglądać.

– Skąd je macie?

– Musi być, co Rocho je położył, to se i leżą.

– Borynowa niegramotna! – tłumaczył wójt.

– Kto z was umie czytać?

– A żadne, tak nas uczyli we szkole, że tera nikt nie rozbierze nawet na książce do nabożeństwa! – odpowiedział Antek.

Starszy oddał książeczki drugiemu i ruszył na drugą stronę domu.

– Cóż to, chora? – podszedł nieco do Józki.

– A juści, już od paru niedziel leży na ospę.

Urządник śpiesznie cofnął się do sieni.

– To w tej izbie mieszkał? – wypytywał wójt.

– I w tej, i kaj mu popadło, zwyczajnie jak dziad.

Przejrzeli wszystkie kąty, szukając nawet za obrazami, Józka chodziła za nimi rozpalonymi oczami, a tak rozdygotana ze strachu, że gdy któryś zbliżył się do niej, zaskrzeczała nieprzytomnie:

– Schowałam go pewnie pod siebie, co? Szukajcie!...

A kiedy skończyli, Antek przystąpił do starszego i kłaniając mu się w pas zapytał pokornym głosem:

– Dopraszam się, czy to Rocho zrobił jakie złodziejstwo?...

Urządник zajrzał mu jakoś z bliska w twarz i rzekł z naciskiem:

– A wyda się, że go ukrywasz, to już razem powędrujecie, słyszysz!...

– Dyć słyszę; jeno nie poredzę wymiarkować, o co sprawa! – podrapał się frasobliwie, urządnic spojrział ostro i poniósł się na wieś.

Chodzili jeszcze po różnych chałupach, zaglądali tu i owdzie, przepytując, kogo się jeno dało, że już słońce zaszło i drogi zapchały się stadami pędzonymi z pastwisk, gdy odjechali nic nie wskórawszy.

Wieś odetchnęła i naraz przemówili wszyscy, kaźden bowiem rozpowiadał, jak, to szukali u Kłębów, jak u Grzeli, jak u Mateusza, i kaźden widział najlepiej, i najmniej się bojał, i najbarzej im dopiekał.

Jaż Antek, kiedy już ostali sami, rzekł cicho do Hanki:

– Sprawa widzę taka, co już nie sposób trzymać go w chałupie.

– Jakże, wypędzisz go! taki święty człowiek, taki dobrodziej!

– A żeby to wciórności! – zaklął, nie wiedząc już, co począć, szczęściem, iż pokrótce przyleciał Grzela z Mateuszem i żeby cosik pewnego uradzić, zamknęli się w stodole, gdyż do chałupy ciągiem ktoś wpaadał na wywiady.

Mrok już do cna przysłonił świat, Hanka podoiła krowy i Pietrek przyjechał z boru, kiej dopiero wyszli; Antek wziął zaraz rychtować brykę, zaś Grzela z Mateuszem, la zamydlenia oczów, poszli szukać Rocha po chałupach.

Dziwowali się temu, boć każden byłby przysiągł, jako siedzi schowany kajś u Boryny.

– Zaraz po obiedzie gdziesik się zapodział i ani słychu! – rozgłasza-
li przyjaciele.

– Ma szczęście, już by se ano w dybkach wędrował!

I w mig się rozniosło, jak chcieli, że Rocha już od południa nie ma we wsi.

– Przewąchał i zwiął, kaj pieprz rośnie! – pogadywali radzi.

– Niech jeno nie powraca więcej, nic ta po nim! – rzekł stary Płozka.

– Przeszkadza wama? A może was ukrzywdził, co? – zawarczał Mateusz.

– A mało to narobił mątu? Mało to was nabuntował? Jeszczek przez niego cała wieś ucierpi...

– To go złapcie i wydajcie!

– Żebyśta mieli rozum, to by go już dawno mieli...

Sklął go Mateusz i chciał pobić, ledwie ich rozdzielili, więc jeno mu nawytrząchał pięścią, nasobaczył i odszedł, a że już było do cna pociemniało na świecie, to i naród porozchodził się po chałupach.

Na to właśnie czekał Antek, bo skoro jeno drogi opustoszały i ludzie zasiedli przed wieczierzami, a po wsi rozwiały się zapachy smażonej słoniny, skrzyboty łyżek i ciche pogwary przy miskach, przypro-
wadził Rocha na Józina stronę, nie pozwalając rozniecać ognia.

Stary przegryzł naprędce coś niecoś, pozbierał, co miał swojego, i jał się żegnać z kobietami. Hanka padła mu do nóg, a Józka buchnęła skomlącym, rzewliwym płaczem.

– Zostańcie z Bogiem, może się jeszcze zobaczymy! – szeptał łza-
wo, przyciskając je do piersi a całując po głowinach kiej ten ociec ro-
dzony, ale że Antek przynaglał, to pobłogosławiwszy jeszcze dzieciom
i domowi przeżegnał się i ruszył da przełazu pod bróg.

– Konie zaczekają u Szymka na Podlesiu, a Mateusz was powiezie.

– Muszę jeszcze zajrzeć do kogoś na wsi... Gdzie się spotkamy?...

– Przy figurze pod borem, zarno tam pociągniemy...

– A dobrze, bo z Grzelą mam jeszcze dużo do pomówienia.

I przepadł w mrokach, że nawet kroków nie było słychać.

Antek zaprzągnął konie, włożył w brykę jakąś ćwiartkę żyta i worek ziemniaków, pogadał cosik długo z Witkiem na stronie i rzekł głośno:

– Witek, zaprowadź konie do Szymka na Podlesie i wracaj! Rozumiesz?

Chłopak jeno błysnął ślepiami, dorwał się koni i ruszył z kopyta tak ostro, jaże Antek za nim krzyknął:

– Wolniej, bo mi, jucho, szkapy zmordujesz!

Tymczasem zaś Rocho przebrał się chyłkiem do Dominikowej, kaj miał jakieś rzeczy, i zamknął się w alkierzu.

Jędrzych pilnował na drodze, Jagusia ciągiem wyzierała w opłotki, a stara siedząc w izbie nasłuchiwała niespokojnie.

Wyszło dobre parę pacierzów, nim wyszedł, pogadał jeszcze na stronie z Dominikową i zarzuciwszy toboł na plecy chciał iść, ale Jagusia napała się ponieść za nim choćby do boru. Nie sprzeciwiał się temu i pożegnawszy starą ruszyli przez sad na pola.

Szli miedzami z wolna, ostrożnie i w milczeniu.

Noc była widna i sielnie roziskrzona gwiazdami, pośpione ziemie leżały w cichościach, tylko kajś na wsi ujadał pies...

Dosięgali już borów, gdy Rocho przystanął i wziął ją za rękę.

– Jaguś! – szepnął dobrotliwie – posłuchaj mnie uważnie.

Słuchała pilnie, rozdygotana jakimś złym przeczuciem.

Prawił kieby ksiądz na spowiedzi, wypominając jej Antka, wójta i już najbarzej Jasia! Prosił i zaklinał na wszystkie świętości, by się opamiętała i zaczęła żyć inaczej!

Odwróciła zesromaną twarz, oblały ją palące ognie wstydu, a serce spięło się męką, ale kiej spomniał Jasia, podniosła hardo głowę.

– A cóż to złego z nim wyrabiam, co?

Jął wywodzić po swojemu, a przedstawiać łagodnie, na jakie to pokusy się dają i do jakiego to grzechu i zgorszenia może ich zły doprowadzić...

Nie słuchała, wzdychając jeno i niesąc się myślami do Jasia, że już same wargi lśniące i nabrane krwią szeptały słodko, gorąco i zapamiętane:

– Jasiu! Jasiu! – A rozjarzone oczy rwały się gdziesik kieby ptaki radośnie rozśpiewane i krążyły nad jego głową najmilejszą...

– Dyć bym poszła za nim we wszystek świat! – wyrwało się jej bezwolnie, że Rocho zadrzał, spojrział w jej oczy szeroko otwarte i zamilkł.

Na skraju boru pod krzyżem zabielały jakby kapoty.

- Kto tam? – wstrzymał się niespokojnie.
 - Jesteśma! Swoi!
 - Nogi mi się już płaczą, że odpocznę nieco – rzekł rozsiadając między nimi. Jagusia zwała toboł i przysiadła nieco z boku, pod krzyżem, w głębokim cieniu brzoż.
 - Żebyście ino nie mieli jakich nowych kłopotów...
 - I... gorsze, że ano idziecie już od nas! – powiedział Antek.
 - Być może, iż kiedyś powrócę, być może!...
 - Psiekrwie, żeby człowieka gonić jak tego psa zepsutego! – buchnął Mateusz.
 - I za co, mój Boże, za co? – jęknął Grzela.
 - Że chcę prawdy i sprawiedliwości la narodu! – ozwał się uroczyście
 - Każdemu jest na świecie źle, ale już najgorzej sprawiedliwemu.
 - Nie martw się, Grzela, przemieni się jeszcze na dobre, przemieni...
 - Tak se i miarkuję, bo ciężko by pomyśleć, że wszystkie zabiegi na darmo.
 - Czekaj tatka latka, jak kobyłę wilcy zjedzą! – westchnął Antek, wpatrzony w cienie, kaj mu bielą Jagusina gębusia.
 - Powiadam wam, że kto chwasty wrywa i posiewa dobrym ziarnem, ten zbierał będzie w czas żniwny!
 - A jak nie obrodzi? Przeciek i to się przygodzi, nie?
 - Tak, ale każdy sieje z wiarą, że w dwójnasób mu zaplonuje.
 - Juści, chciałby się to kto mozolić na darmo!
- Zadumali się głęboko nad tymi rzeczami.
- Wiatery powiał, zaszeleściły nad nimi brzozy, zaszumił głucho bór i polami poszedł chrzęstliwy szmer zbóż. Księżyc wypłynął i leciał po niebie, jakby ulicą białych chmur postozonych rzędami, drzewa rzuciły cienie przesiane światłem, lelki cichym, krętym lotem przewijały się nad ich głowami, a jakiś smutek przejmował serca.
- Jagusia zapłakała cichuśko, nie wiadomo laczego.
- Co ci to, co? – pytał dobrotliwie Rocho gładząc ją po głowie.
 - A bo to wiem, markotno mi jakoś...
- Ale i wszystkim było markotno i jakaś żałość rozpieiała dusze, że siedzieli osowiali, powiedłymi oczami ogarniając Rocha, któren się im teraz widział kiej ten święty Pański. Siedział pod krzyżem, z którego ciężko obwisły Chrystus jakby błogosławił okrwawionymi rękami jego siwej, umęczonej głowie, on zaś jął mówić głosem pełnym dufności:

– A o mnie się nie trwóźcie, kruszynam tylko, jedno źdźbło z bujnego pola, wezmą mię i zagubią, to i cóż, kiedy takich zostanie jeszcze wiele i każdego tak samo gotów dać żywot dla sprawy... A przyjdzie pora, że jawi się ich tysiące, przyjdą z miast, przyjdą z chałup, przyjdą ze dworów i tym ciągiem nieprzerwanym położą głowy swoje, dadzą krew swoją i padną jeden za drugim, stożąc się jak te kamienie, aż póki się z nich nie wyniesie ów święty, utęskniony Kościół... A mówię wam, że stanie i trwał będzie po wiek wieków, i już go żadna zła moc nie przezwycięży, bo wyrośnie z ochfiarnej krwi i miłowania...

I opowiadał szeroko, jak to ni jedna kropla krwi, ni łza jedna, ni żaden wysiłek nie przepada na darmo, jak to ciągiem, kieby te zboża na ziemi nawożonej, rodzą się nowe brońce, nowe siły, nowe ochfiary, aż nadejdzie ów dzień święty, dzień zmartwychwstania, dzień prawdy i sprawiedliwości la całego narodu...

Mówił gorąco, a chwilami tak górnie, że nie sposób było wyrozumieć wszystkiego, ale przejął ich święty ogień, serca sprężyły się uniesieniem i taką wiarą, mocą i pragnieniem, jaże Antek zawołał:

– Jezu... prowadźcie jeno... a choćby na śmierć pódę, pódę...

– Wszystkie pójdziemy, a co stanie na zawadzie – stratujem!

– A kto się nam sprzeciwi, kto nas przemoże? Niech jeno spróbuje...

Wybuchnęli jeden po drugim, a coraz zapamiętalej, aż musiał ich przyciszać i przysunawszy się jeszcze bliżej zaczął nauczać, jaki to będzie ów dzień upragniony i co im trzeba robić, aby go przyśpieszyć...

Mówił tak ważkie i zgoła niespodziane rzeczy, że słuchali z zapałym tchem, z trwogą i radością zarazem, przyjmując każde jego słowo z dreszczem wiary serdecznej, jako by tę komunię przenajświętszą... Niebo im bowiem otwierał, raje pokazywał, że dusze im poklekwały w zachwyceniu, oczy widziały cudności niewypowiedziane, a serca się pały janielskim, przesłodkim śpiewaniem nadziei...

– We waszej to mocy, aby się tak stało! – zakończył niemało już utrudzony. Księżyc schował się za chmurę, poszarzało niebo i zmętniały pola, bór cosik zagadał z cicha i trwożnie zachręściły zboża, i kajś od wsi dalekich niesły się psie naszczekiwania, oni zaś siedzieli niemi, dziwnie cisi, jeszcze zasłuchani a jakby opici jego słowami i tak jakoś uroczyści jakby po wielkiej przysiędze.

– Czas mi już odejść! – rzekł powstając i brał każdego w ramiona, ścisnął i całował na pożegnanie. Dziw się nie popłakali z żalu, on zaś

przyklęknął, odmówił krótką modlitwę i padł na twarz, i zapłakał obejmując ziemię rękami kieby tę mać żegnaną na zawsze.

Jagusia jaże się zaniesła szlochaniem, chłopcy ukradkiem wycierali oczy.

I zaraz się rozeszli.

Do wsi wracał tylko Antek z Jagusią, tamci zaś przepadli kajś pod borem.

– A nie mówże przed nikim o tym, coś słyszała! – rzekł po długiej chwili.

– Czy to ja latam z nowinami po chałupach! – warknęła gniewnie.

– A już niech Bóg broni, żeby się wójt dowiedział – upominał surowo.

Nie odrzekła, przyśpieszając jeno kroku, ale nie dał się wyprzedzić, trzymał się pobok zacierając raz po raz w jej twarz zapłakaną i gniewną...

Księżyc znowu zaświecił i wisiał prosto nad drogą, że szli jakoby tą srebrzystą miedzą obrzeżoną pokrętnymi cieniami drzew, naraz zadrgało mu serce, tęsknica wyciągnęła nienasycone ramiona, przysunął się ździebko, bliżej, tak blisko, że jeno sięgnąć ręką i przyciągnąć ją do siebie, ale nie sięgnął, zbrakło mu bowiem śmiałości i powstrzymywało jej zawzięte, wzgardliwe milczenie, więc jeno rzekł z przekąsem:

– Tak lecisz, jakbyś chciała uciec przede mną...

– A bo prawda! Obaczy nas kto i gotowe nowe plotki.

– Albo ci śpieszno do kogo drugiego!

– Juści, abo mi to nie wolno! Abom to nie wdowa!

– Widzę, co nie darmo powiadają, że kierujesz się na księżą gospodynię...

Porwała się jak wichur i łzy potrzęśły się jej z oczów rześistymi, palącymi strugami.

ROZDZIAŁ 11

Już stronami, na piaskach i lżejszych gruntach wychodzono ze sierpem, już nawet kaj niekaj po wyżniach błyskały kosy, ale we wsiach, gdzie były mocniejsze ziemie, dopiero imano się przygotowań i żniwa leda dzień miały się rozpoczynać.

Więc i w Lipcach, jakoś w parę dni po ucieczce Rocha, jęto się ostro sposobić do żniwa, rychtowano na gwałt drabiny i moczono we stawie wozy co barzej rozeschnięte, oprząto stodoły, że już stały wywarte na przestrzał, gdzie w cieniach sadów wykręcano powrósła, zaś prawie pod każdą chałupą brząkały rozklepywane kosy, kobiety zwijały się przy pieczeniu chlebów i sposobieniu zapasów, a z tego wszystkiego zrobiło się tylachna skrzętu i rwetesów, że wieś wyglądała jakby przed jakimś wielkim świętem.

A że przy tym zjechało się z drugich wsi sporo narodu, to na drogach i pod młynem wrzało kieby na jarmarku, głównie bowiem ściągali ze zbożem do mielenia, ale jakby na utrapienie, tak mało było wody, że robił tylko jeden ganek, a i to zaledwie się ruchając, czekali jednak cierpliwie swojej kolei, boć każdego chciał zemleć jeszcze na żniwa.

Niem mało też cisnęło się do młynarzewego domu kupować mąkę, kasze przeróżne, a nawet i po chleb gotowy.

Młynarz leżał chory, ale snadź nic się nie działo bez jego przyzwolenstwa, gdyż krzyknął do żony siedzącej na dworze, pod wywartym oknem:

– A rzepeckim nie dawaj ani za grosz, prowadzali swoje krowy do księzego byka, to niechże im proboszcz zaborguje i co innego.

I nie pomogły żadne prośby ni skamłania, na darmo też wstawiała się za biedniejszymi zaciął się i żadnemu, któren ino wodził krowę na plebanie, nie pozwolił zborgować ani pół kwarty mąki.

– Spodobał im się księży byk, to niech go sobie doją! – wykrzykiwał.

Młynarzowa, też jakoś kwękająca, splakana i z obwiązaną twarzą, wzruszała ramionami, ale jak mogła, ukradkiem zborgowała niejednemu.

Nadeszła Kłębowa prosząc o pół ćwiartki jaglanej kaszy.

– Płacicie zaraz, to bierzcie, ale na bórg nie dam ani ziarnka...

Zafrasowała się wielce, bo juści, że przyszła bez pieniędzy.

– Tomek z nim trzyma za jedno, to niechaj uprosi o kaszę.

Obraziła się i rzekła wyzywająco:

– Juści, co trzyma z księdzem i trzymał będzie, ale tutaj już więcej jego noga nie postoi.

– Mała szkoda, krótki żal! Sprobujcie mleć gdzie indziej.

Odeszła wielce skłopotana, bo w domu nie było już ani grosza, lecz natknąwszy się na kowalową, siedzącą przed zawartą kuźnią, rozżaliła się przed nią i zapłakała na młynarza.

Ale kowalowa ozwała się z prześmiechem:

– To wam jeno rzeknę, co już niedługie to jego panowanie.

– Hale, a któż to da radę takiemu bogaczowi, kto?

– Jak mu wiatrak postawią pod bokiem, to mu i radę dadzą.

Kłębowa jaże oczy wytrzeszczyła ze zdumienia.

– A mój wiatrak postawi. Co ino poszedł z Mateuszem do boru wybierać drzewo, na Podlesiu będą stawiać kole figury.

– Cie... Michał stawia wiatrak, śmierci bym się prędzej spodziała, no, no. Ale dobrze tak temu zdzierusowi, niech mu kałdun spadnie.

Tak jej ulżyło, że śpieszniej szła ku domowi, ale dojrawszy Hanke pierącą pod chałupą wstąpiła podzielić się tą niespodzianą nowiną.

Antek majdrował cosik kole woza i posłyszawszy rozmowę rzekł:

– Prawdę wam powiedziała Magda, kowal już kupił od dziedzica dwadzieścia morgów na Podlesiu, zaraz przy figurze, i tam wystawi wiatrak! Młynarz się wścieknie ze złości, ale niech mu rura zmięknie! Tak się już wszystkim dał we znaki, że nikto go nie pożałuje.

– Nie wiecie to niczego o Rochu?

– Nic a nic – odwrócił się od niej jakoś śpiesznie.

– To dziwne, trzeci dzień i nie wiada, co się z nim wyrabia.

– Przeciek nieraz już tak bywało, że poszedł kajś, a potem znowu się zjawił.

– Któż to od was idzie do Częstochowy? – zagadnęła Hanka.

– A idzie moja Jewka z Maciusiem. Latoś mało wiała się ze wsi wybiera.

– I ja pójdę, właśnie przepieram na drogę co lżejsze szmaty.

– Ale pono z drugich wsi to sporo się szykuje.

– Sposobną porę se wybrały, na największą robotę – mruknął Antek, ale żonie się nie przeciwiał wiedząc od dawna, na jaką to intencję się ochfiarowała.

Zaczęły se rozpowiadać różności, gdy wpadła Jagustynka.

– Wiecie – wrzeszczała – a to może przed godziną przyszedł z wojska Jasiak!

– Tereski chłop! A dyć powiadała, co wraca dopiero na kopania.

– Co inom go widziała, galancie koło niego i okrutnie stęskniony do swoich.

– Dobry był chłop, ale zawzięty. Tereska doma?

– Rwie len u proboszcza i jeszcze nie wie, co ją w domu czeka.

– Znowu zakotłuje się w Lipcach, przeciek mu zarno powiedzą!

Antek słuchał uważnie, gdyż mocno go zajęła nowina, lecz się nie odzywał, zaś Hanka z Kłębową szczerze ubolewając nad Tereską jęły przewidywać najgorsze la niej rzeczy, aż im przerwała Jagustynka:

– Psu na budę taka sprawiedliwość! Hale, pójdzie se taki ciołek na całe roki we świat, kobietę ostawi samą, a potem, jak się niebodze co przygodzi, to gotów ją choć i zakatrupić! A wszystkie też bij zabij na nią! Kajże ta sprawiedliwość! Chłop to se może używać jak na psim weselu i nikto mu za to nie rzeknie nawet marnego słowa. Do cna głupie urządzenie na świecie! Jakże, to kobieta nie żywy człowiek, to z drewna wystrugana czy co? Ale kiej już musi odpowiadać, to niechże i gach zarówno płaci, przeciek pospólnie grzeszyli. Czemuż to jemu tylko uciecha, a la niej samo płkanie, co?

– Mościewy, tak już postanowione od wiek wieka, to ostanie! – szepnęła Kłębową.

– Ostanie, żeby się naród marnował, a zły cieszył, ale ja to bym postanowiła inaczej: wzion któren cudzą kobietę, to niechże se ją ostawi na zawdy, a nie zechce, bo mu już nowa lepiej zasmakowała, kijem ścierwę i do kreminau!

Antek roześmiał się z jej zapalczywości, skoczyła ku niemu z wrzaskiem.

– La was to ino warte śmiechu, co? Zbóje zapowietrzone, każda wam najmilejsza, póki jej nie dostanieta. A potem jeszcze się przekpiwają!

– Wydzieracie się jak sroka na pluchę! – rzucił niechętnie.

Poleciała na wieś i przyszła dopiero nad wieczorem, ale srodze spłakana.

– Cóż się to waju przygodziło? – spytała niespokojnie Hanka.

– A co, napiłam się człowieczego bólu i jaże mnie zamgliło – rozplakała się i jęła mówić przez łzy i szlochania – wiecie, a to Kozłowa wzięła Jaśka pod swoją opiekę i już mu wszycko wyśpiewała.

– Nie ta, to druga by mu pedziała, takie rzeczy się nie zagubią.

– Mówię wam, że cosik straszego wzbiera w ich chałupie! Poleciałam do nich, nie było nikogo. Zaglądam teraz, siedzą oboje i płaczą, na stole porozkładane podarunki, jakie jej przyniósł. Jezu, jaże mróz mnie przejął, jakbym zajrzała do grobu. Nie mówią do się, jeno płaczą. Mateuszowa matka rozpowiedziała mi, jak to było, aże mi włosy powstały na głowie.

– Nie wiecie, wspominał Mateusza? – zagadnął niespokojnie Antek.

– Pomstuje na niego, że niech Bóg broni! Jasiek mu tego nie przepuści, nie!

– Nie bójcie się, Mateusz go skamlał o łaskę nie będzie – odrzucił gniewnie i nie słuchając więcej poleciał na Podlesie przestrzec przyjaciela.

Nalazł go dopiero u Szymków, siedział z Nastusią pod ścianą i cosik z cicha se redzili, wywołał go zaraz i kiej odeszli spory kawał drogi, opowiedział.

Mateusz aż się zachłysnął i zaczął kłać.

– A żeby to siarczyste pioruny spaliły taką nowinę!

Wracali do wsi, Mateusz się krzywił i jakoś boleśnie i ciężko wzdychał.

– Widzę, co ci markotno i żal – wtrącił ostrożnie Antek.

– Zaśbym ta żałował, już mi kością w gardle stanęła. Co inszego mnie trapi.

Antek się zdumiał, ale nijakoś było się rozpytywać.

– Czasu by nie chwaciło, żebym miał każdej żałować! Wpadła mi w pazury, to i wzionem, każdy by zrobił to samo! Nie bój się, użyłem jak pies w studni, bo com się musiał nasłuchać beków i wyrzekań, to starczyłoby la dziesięciu. Uciekałem, to kieby cień szła za mną. Niechże i Jasiek się nią nacieszy. Nie kochanie mi w głowie, a jeno całkiem co drugiego.

– Pewnie, że pora by ci się żenić.

– Właśnie i Nastka mówiła mi to samo.

– Dzieuch we wsi jak maku, nietrudno wybrać.

– Już mam z dawien dawna cosik upatrzonego – wyrwało mu się bezwolnie.

– To me proś w dziewosłęby i sprawiaj wesele choćby zaraz po żniwach.

Nie poszło mu to w smak, bo skrzywił się i zagadał znowu o Jaśku, a wywiedziawszy się wszystkiego, jał rozpowiadać o Szymkowej gospodarce wyznając przy tym niby to niechcący, że Jędrzych mówił Nastusi pod sekretem, jako Dominikowa ma podać do sądu o grunt Jagusi po Macieju.

– Ociec zapisali, to jej nikto nie zapiera, juści, że samej ziemi nie oddam, ale święcie zapłacę, co warta! Klótnica chce się jej procesów!

– Prawda to, że Jagusia zapis oddała Hance? – pytał ostrożnie.

– Cóż z tego, kiej nie odpisała się u rejenta.

Mateusz jakoś poweselał i nie mogąc się już powstrzymać zatracał w rozmowie raz po raz o Jagusię, sielnie ją sobie chwalać.

Antek pomiarkowawszy, o co mu idzie, rzekł szydliwie:

– Słyszałeś, co to znowu o niej wygadują?

– Baby zawdy łatki jej przypinały.

– Za Jasiem organistów lata pono kiej suka – dodał z rozmysłem.

– Widziałeś to? – rozczzerwienił się z gniewu.

– Na prześpiegi za nią nie chodzę, bo me ni parzy, ni ziębi, ale są, które widują co dnia, jak się schodzi w boru z Jasiem, to po miedzach...

– Sprać jedną i drugą, to by wnet przestały plotkować.

– Sprobuj, może się wystraszą i przestaną! – mówił z wolna, zatargała nim nagła, strasznie szarpiąca zazdrość o Jagusię, a już te myśle, że Mateusz może się z nią ożenić, kąsały go kieby rozwścieklone psy.

Nie odpowiadał na jego zaczepne i często przykre słowa, bych się jeno nie wydać ze swoją męką, ale na rozstaniu nie poredził się już wstrzymać i rzekł ze złym prześmiechem:

– A któren się z nią ożeni, sporo szwagrów miał będzie...

Rozeszli się dosyć oziębłe.

Mateusz, odszedłszy parę kroków, roześmiał się cicho i pomyślał:

– Musi go trzymać z daleka, to się na nią źli a pyskuje. A niechta se lata za Jasiem, taki dzieciuch. Barzej ją tam ciągnie ksiądz niżli chłopak.

Rozmyślał pobłaźliwie, bo wywiedziawszy się od Antka co do tego zapisu po Macieju, już stanowczo umyślił się z nią ożenić. Zwolnił kroku i rozliczał se w myślach, po ile to trza by mu spłacać Jędrzycha i

Szymka, bych samemu ostać na gospodarce, na całych dwudziestu morgach.

– Stara przykra, juści, ale przeciek nie będzie wiekowała.

Spomniały mu się Jagusine sprawki, to go ździebko rozfrasowało.

– Co było, to nie jest, a zechce się jej nowych figlów, to z niej rychło wytrzęsę.

W opłotkach przed chałupą czekała na niego matka.

– Jasiek wrócił – szeptąła zatrwożona – już mu o tym powiedzieli.

– To i lepiej, nie będzie potrza się ocyganiać.

– Tereska przylatywała już parę razy, grozi, że się utopi... że nie...

– Pewnie, co gotowa to zrobić, pewnie – szepnął wystraszony i tak się tym srodze zamartwił, że zasiadłszy w proggu do kolacji nie mógł jeść, a jeno nadśluchiwał od Jaśkowego sadu, że to siedzieli tylko przez miedzę. Przejmował go coraz większy niespokój, odsunął miskę i kurząc papierosa za papierosem na darmo barował się z dygotem trwogi, na darmo kłął siebie i wszystkie kobiety i na darmo chciał całą sprawę obrócić w przekpinki, bo strach o Tereskę rozrastał się w nim coraz barzej i dręczył już nie do wytrzymania. Już parę razy się podnosił, aby iść kajś na wieś między ludzi, ale ostawał wyczekując nie wiada na co.

Noc się już zrobiła, gdy naraz postłyszał, jakieś kroki, a nim rozeznał, z której strony nadchodzą, już Tereska wisiała mu na szyi.

– Ratuj, Mateusz! Jezu, tak czekałam na cię, tak wyglądałam.

Usadził ją pobok, lecz cisnęła mu się do piersi kiej dzieciątko i przez łzy lejące się ciurkiem, przez mękę i rozpacz szeptąła:

– Powiedziały mu o wszystkim! Śmierci bym się była prędzej spodziała niżli jego powrotu. Byłam u księżego lnu... przylatuje któraś i powiada... dziw trupem nie padłam... szłam jak na śmierć... nie było cię doma... poszłam cię szukać... nie było cię we wsi... kołowałam z godzinę, ale musiałam iść... wchodzę do chałupy... a on stoi na środku bład kiej ściana... skoczył do mnie z pięściami...o prawdę pyta... o prawdę...

Mateusz jaże się zatrząsł i obcierał z twarzy zimny, lodowaty pot.

– Wyznałam się przed nim... na nic już by się zdały cygaństwa... Topora chycił na mnie... myślałam, że już koniec, i pierwsza mu rzekłam: „Zabij! ulży nam obojgu!” Ale me nie tknął nawet palcem! Jeno popatrzył we mnie, przysiadł pod oknem i zapłakał!... Jezu miłościwy, żeby me chociaż sprął, skopał, sponiewierał, lżej by mi było, lżej, a on siedzi i płacze! I cóż ja teraz pocznę nieszczęsna, co? kaj się podzieję! Ratuj me, bo się rzucę do studni albo se co złego zrobię, ratuj! – wrzasnęła padając mu do nóg.

– Cóż ja ci poredzę, sieroto, co? – jąkał bezradnie.

Zerwała się nagle z dzikim warkotem gniewnego szaleństwa.

– To po coś me brał? po coś me stumańił? po coś me przywiódł do grzechu?

– Cała wieś tu się zleci, cichoj!

Przypadła mu znowu do piersi, objęła sobą i pokrywając pocałunkami zaskamlała całą mocą strachu, miłowania i rozpacz:

– O mój jedyny, o mój wybrany z tysiąca, zabij me, a nie odpędzaj od siebie! Miłujesz to me, co? Miłujesz? Dyc me utul ten ostatni razik, dyc me weź, ogarnij sobą i nie daj na mękę, nie daj płakania, nie daj zatracenia! Jedyne go cię mam na wszyćkim świecie, jedynego... Ino me ostaw przy sobie, a służyła ci będę za tego psa wiernego, za tę ostatnią dziewczkę!

Jęczała rzewliwymi słowy, rwanymi ze samego dna udręczonej duszy.

A Mateusz wił się jakby w kleszczach i jak mógł, wykręcał się od stanowczej odpowiedzi zbywając ją całunkami a przygłaskaniem i przytakując wszystkiemu, co jeno chciała, rozglądał się trwożniej i niecierpliwiej, gdyż mu się uwidziało, że Jasiak siedzi na przelazie.

Ale w jakiejś minucie Tereska przejrzawszy prawdę do dna odepchnęła go od siebie i zakrzyczała, bijąc słowami kieby biczem:

– Cyganisz jak pies! Zawdys me ocyganiał! Juź me teraz nie zwiedziesz! Strach ci Jaśkowego kija, to się wijesz kiej ta przydeptana gli-sta! A ja mu zawierzyłam jak komu najlepszemu! Mój Boże, mój Boże! A Jasiak taki poczciwy, nawiózł mi podarunków, nigdy mi nie powiedział marnego słowa i ja mu tak odpłaciłam. I takiemu przeniewiercy zawierzyłam, takiemu zbójowi! takiemu psu! Idź se za Jagusią! – zawrzeszczała przyskakując do niego z pięściami – idź, i niech was pożeni hycel, pasujeta do siebie, lakudra i złodziej.

Padła na ziemię zanosząc się strasznym, obłąkanym płaczem.

Mateusz stał nad nią, nie wiedząc, co począć, matka chlipała kajś pod ścianą, gdy wyszedł ze sadu Jasiak i przystąpiwszy do żony jął jej szeptać tkliwe, przesiąkłe łzami, a pełne dobrości słowa:

– Chodź do dom, chodź, sieroto. Nie bój się, nie ukrzywdzę cię, masz ty juź dosyć za swoje, chodź, żono...

Wziął ją na ręce i przeniósłszy na przelaz krzyknął do Mateusza:

– Pókim żyw, to ci jej krzywdy nie daruję, tak mi dopomóż, Panie Boże!

Mateusz milczał, dusił go wstyd i zalewał mu serce taką gorzkością i taką dojmującą udręką, że poniósł się do karczmy i pił przez całą noc.

Cała historia migiem się roznieśliła po wsi, a ku niemałemu podziwowi, z wielkim też uważaniem rozpowiadali o Jaśkowym postąpieniu.

– Ze świecą nie najdzie takiego drugiego – mówiły rozrzewnione kobiety, srodze przy tym powstając na Tereskę, ale Jagustynka zapalczywie broniła.

– Tereska niewinowata! – wrzeszczała po różnych opłotkach, kaj jeno posłyszała, że bierą ją na ozory – smarkul to był jeszcze, kiej Jaśka wzieni do wojska, ostała sama jedna, nawet przez dziecka, to i nie dziwota, co bez tyla roków zacniło się jej za chłopem. Żadna by nie przetrzymała takiego postu. A Mateusz zwietrzył kiej pies i dalejże bakę świecić, cudeńka prawić, na muzykę prowadzić, jaże i głupią zdurzył.

– Ze to nie ma sądu na takich zwodzicieli – westchnęła któraś.

– Łeb mu już lenieje, a za kobietami jeszcze ciągnie.

– Kawalerska sierota, to kajże się pożywi, jak nie z cudzego – kpili parobcy.

– Mateusz też niewinowaty, nie wiecie to, że jak suczka nie da, to i piesek nie weźmie! – zaśmiał się Stacho Płozka i dziw go za to nie pobiły.

Ale wnet przestali o tym deliberować, gdyż żniwa były za pasem, dnie szły wybrane, suche i upalne, po wzgórkach żyta jakby się prosiły o kosy, a jęczmiona już dochodziły, to co dnia ktosik wychodził penetrować pola, zaś bogatsze już się oglądali za najemnikiem.

Zaś na pierwszego ruszył organista, wywiódłszy do żniwa kilkanaście kobiet, stanęła do sierpa nawet sama organiścina, wzięły żać i córki, a stary miał nad wszystkim czuwające oko. Jasio przyleciał dopiero po mszy i niedługo się cieszył żniwami, bo skoro jeno podniosła się przypołudniowa spieka, wypędziła go matka, żeby se głowy nie przepalił na słońcu.

– Poszuka se cienia u Jagusi, w to mu graj – warknęła za nim Kozłowa.

W domu jednak było mu gorąco, nudnie i muchy tak cięły zapamiętane, że wybrał się na wieś i przechodząc koło Kłębów dosłyszał jakies przyduszone jęki, rozchodzące się z wywartej na rozcież chałupy.

Jagata leżała w sieniach pod progiem, w izbie było pusto, cały bowiem dom poszedł do żniwa.

Przeniósł ją do izby, położył na łóżko, napił i tak cucił, jaże przyszła nieco do siebie i otworzyła załzawione oczy.

– Dyc już kończę, paniczku – uśmiechnęła się kiej rozbudzone dziecko.

Chciał zaraz biec po księdza, przytrzymała go za sutannę.

– Panienska mi dzisia rzekła: „Gotuj się na jutro, duszo umęczona!” Mam czas jeszcze, paniczku! Jutro... dzięki ci, Boże miłosierny, dzięki! – jąkała coraz słabiej, prześmiejch zatlił się na jej wargach, złożyła ręce i zapatrzona kajś, w jakoweś dalekości, zapadła jakby w głęboką duszną modlitwę, a Jasio, rozumiejąc, co już zaczęło się konanie, poleciał zwoływać Kłębów.

Zajrzał do niej dopiero po południu, leżała w łóżku całkiem przytomna, skrzynka stała przy niej na ławie, wyjmowała z niej stygnącymi rękami wszystko, co se była nagotowała na tę porę ostatnią; czystą płachtę pod siebie i świeże obleczenie na pościelu, wodę święconą, całkiem jeszcze dobre kropidło i spory kawał gromnicy, i obrazek Częstochowskiej do ręki, i nową koszulę, suty wełniak, czepek bujnie ururkowany nad czołem, wraz z chustą do zawiązania, i zupełnie nowe trzewiki, wszyćko śmiertelne wiano, uzebrane przez całe życie, rozłożyła koło siebie, ciesząc się każdą rzeczą i chwając przed kobietami, zaś czepek nawet przymierzyła i przejrzawszy się w lusterku szepnęła wielce szczęśliwa:

– Będzie galancie, na sielną gospodynię patrzę.

Przykazała, bych ją w te skarby przystroili jutro, zaraz od samego rana.

Juści, co nikto się jej nie sprzeciwił, chodzili kole niej na palcach, umilając jej te ostatnie chwile, jak jeno poredzili.

Jasio przesiedział przy niej do zmierzchu czytając w głos modlitwy, powtarzała a nim, zasypiając co chwila z jakimś leciuskim pośmiechem.

A gdy zasiadali do wieczerzy, zapragnęła jajecznicy, juści, że jeno dziobnęła raz i drugi, odsuwając jadło od razu, i już cały wieczór leżała cichusko, dopiero kiedy zabierali się do spania, przywołała Tomka.

– Nie bój się, nie będę ci zawadzała długo, nie – wyrzekła lękliwie.

Na drugi dzień z rana przybrali ją, jak przykazała, położyli ją na Kłębowej łóżko, a na jej własnej pościeli, sama pilnowała, żeby wszystko było jak się patrzy, sama strzepywała drząc chudą pierzynę, sama naląła wody święconej na talerz i położyła na nim kropidło, a

spenetrowawszy, że już jest, jak być powinno w taką godzinę u gospodarzy, poprosiła o księdza.

Przyszedł z Panem Jezusem, przygotował ją na tę drogę ostatnią i zalecił Jasiowi pozostać do końca, że to jemu samemu gdziesik się śpieszyło.

Jasio zasiadł przy niej i czytał se po cichu z brewiarza, Kłębowie też ostali w domu, a wkrótce przyleciała Jagusia, przywarowawszy kajś w kącie cichuśko niby trusia. W izbie jeno muchy brzęczały, gdyż ludzie snuli się bez głosu jak cienie, trwożnie jeno spozierając na Jagatę... Leżała z różańcem w ręku, jeszcze całkiem przytomnie żegnając się z każdym, kto ino zajrzał do chałupy, zaś poniekórym dzieciom, cisnącym się w sieniach i pod oknem, rozdawała po parę groszy:

– Naści, a zmów paciorek za Jagatę! – szeptała z lubością.

A potem już całe godziny nie odzywała się do nikogo.

I leżała se godnie, po gospodarsku, na łóżku i pod obrazami, jak se była roiła przez całe życie. Leżała pełna cichej dumy i nieopowiedzianej szczęśliwości, radosne łzy siwiły się w jej oczach. Poruchiwała co-sik wargami, błogo uśmiechnięta i zapatrzona przez okno w niebo głębokie, w pola nieobjęte, gdzie już kaj niekaj błyskały z brzękiem kosy i kładły się żrałe, ciężkie żyta, w jakieś dale, widne jeno jej duszy zamierającej.

Ale w jakiejś minucie, gdy dzień miał się już ku schyłkowi, a izbę zalały czerwone zorze zachodu, wstrząsnęła się gwałtownie, usiadła i wyciągnawszy ręce zawołała mocnym, a jakoby cudzym głosem:

– Pora już na mnie, pora.

I padła wznak.

W izbie zrobiło się straszno, buchnęły płacze, poprzyklekali kole łóżka, Jasio jął czytać modlitwę za konających, Kłębowa zapaliła gromnicę, umierająca powtarzała za Jasiem, ale coraz słabiej, coraz ciszej, coraz bełkotliwiej, oczy jej gasły niby ten dzień letni znojami utrudzony, twarz grażyła się w tuman wiecznego zmierzchu, wypuściła gromnicę i skonała.

I pomarła se ta dziadówka kieby najpierwsza we wsi, a Jambroź, który akuratnie zdążył na sam koniec, zawarł jej oczy, sam Jasio zmówił za nią gorący pacierz i cała wieś przychodziła się modlić przy jej zwłokach, popłakać a zazdrośnie się dziwować szczęśliwej śmierci i lekkiemu skonaniu.

Tylko Jasia, skoro zajrzał w jej martwe oczy i w tę stężałą na grude twarz, poradloną pazurami śmierci, zatrząsł taki strach, że uciekł do domu, rzucił się na łóżko, wcisnął głowę w poduszki i zapłakał.

Poleciała wnet za nim Jagusia i chociaż sama była pełna przerażenia i żalości, jęła go uspokajać i obcierać mu twarz zapłakaną. Przytulił się do niej kieby do matki, kładł rozbolałą głowę na jej piersiach, obejmował ją zaszyję, i jaże się zanosząc szlochaniem, skarżył się rzeźliwie:

– Boże mój, jakie to straszne, jakie to okropne!...

Weszła na to organiścina, zobaczyła i srogi gniew nią zatargał.

– Co się tu dzieje! – postąpiła na środek izby i zasyczała, ledwie się już hamując:

– Widzisz ją, jaka mi czuła opiekunka, szkoda tylko, że Jasio już niańki nie potrzebuje i sam sobie poradzi nos obetrzeć!

Jagusia podniosła na nią zapłakane oczy i dygocąc w zalęknieniu, jęła rozpowiadać o śmierci starej, Jasio też rzucił się skwapnie, tłumacząc matce, co mu się to przygodziło, ale organiścina, snadź już dobrze przódzi podbechtana przez kumy, wywarła na niego gębę:

– Głupiś jak cielę! Nie odzywaj się lepiej, byś i ty czego nie oberwał!

Skoczyła naraz do drzwi, wywarła je na rozcież i zawrzęszczała do Jagusi:

– A ty się wynoś, i żeby tutaj nie powstała więcej twoja noga, bo cię wyszczuję!

– Cóżem to winowata, co? – jąkała, zgoła już nieprzytomna ze wstydu i boleści.

– Poszła precz i w tej minucie, bo każę psy pospuszczać! Już ja nie będę płakała przez ciebie, jak Hanka albo wójtowa! Ja cię nauczę jamorów, mało jedna, już ty mnie popamiętasz, tłumoku! – darła się na cały głos.

Jagusia buchnęła płaczem, wypadła przed dom i pognąła w cały świat.

A Jasio stanął jakby rażony piorunem.

ROZDZIAŁ 12

Naraz porwał się za nią lecieć.

– A to gdzie? – warknęła groźnie matka zapierając mu sobą drzwi.

– Dlaczego ją mama wypędziła, za co? Że była dla mnie taka poczciwa! To niesprawiedliwie, ja na to nie pozwolę! Cóż ona zrobiła złego? co? – wykrzykiwał gorączkowo, wydzierając się z twardych rąk matczynych

– Usiądź spokojnie, bo zawołam ojca... Za co? Zaraz ci powiem: masz być księdzem, to nie chcę, abyś pod moim dachem sposobił sobie kochanicę, nie chcę dożyć takiego wstydu i hańby, żeby cię ludzie wytykali palcami! Dlatego ją wypędziłam, rozumiesz teraz?

– W imię Ojca i Syna! Co mama mówi! – jęknął w najgłębszym oburzeniu.

– Mówię to, co wiem! Juści, wiedziałam, że ją spotykasz tu i ówdzie, ale Bóg mi świadkiem, jako cię nie podejrzewałam o nic zdrożnego! Myślałam sobie zawsze, że skoro mój syn nosi kapłańską sukienkę, to splamić się jej nigdy nie poważy! Ady bym cię przeklęła na wieki i wydarła ze serca, choćby wraz pęknać miało... – Oczy jej zapłonęły taką świętą zgrozą i nieubłaganiem, że Jasio zdrętwiał ze strachu. – Dopiero Kozłowa otworzyła mi oczy, a teraz już sama zobaczyłam, do czego chciała cię przywieść ta suka...

Rozplakał się żałośnie i wśród szlochań i skarg na te okropne posiadzenia z taką szczerością opowiedział wszystkie spotkania, że całkiem zawierzyła i przygarnawszy go do piersi jęła mu obcierać łzy a uspokajać.

– Nie dziw się, że zlekłam się o ciebie, przecież to łajdus najgorszy we wsi..

– Jagusia! Najgorszy we wsi! – Nie wierzył własnym uszom.

– Wstyd mi, ale dla twojego dobra muszę ci wszystko rozpowiedzieć:

I opowiedziała o niej przeróżne historie, nie szczędząc na dokładkę ni plotów, ani też najrozmaitszych wymysłów.

Jasiowi włosy powstały na głowie, jaże się porwał z miejsca i zakrzyknął:

– To nieprawda, nigdy nie uwierzę, żeby Jagusia była taka podła, nigdy...

– Matka ci to mówi, rozumiesz? Z palca sobie tego nie wyssałam.

– Bajki, nic więcej! Przecież to byłoby straszne! – załamał rozpaczliwie ręce.

– A czemuż ją bronisz tak zawzięcie, co?

– Bronię każdego niewinnego, każdego.

– Głupiś jak baran. – Rozgniewała się, dotknięta srodze jego niewiarą.

– Jak mama uważa. Ale jeżeli Jagusia taka najgorsza, to czemu mama pozwalała jej przychodzić do nas? – Zaperzył się zapalczywiekiej młody kogut.

– Nie będę się tłumaczyła przed tobą, kiedyś taki głupi, że niczego nie rozumiesz, ale ci zapowiadam: trzymaj się od niej z daleka, bo jak was gdzie razem przydybię, to chociażby przy całej wsi, a sprawię jej taką frycówkę, że mnie popamięta z ruski miesiąc! A i tobie może się przy tym co oberwać...

Odeszła trzaskając drzwiami ze złości.

A Jasio, nawet nie rozumiejąc, czemu go tak obchodzi Jagusina osława, przeżuwał matczyne słowa niby te kolczate osty, dławił się nimi, sycąc duszę ich piołunową gorzkością.

– Toś ty taka, Jaguś! Toś ty taka! – skarżył się z żalonym wyrzutem, że gdyby się była w tej chwili zjawiała, odwróciłby się od niej ze wzgardą i gniewem. Albo to mógł spodziewać się czegoś podobnego? Że nawet w myślach nie powstały mu takie straszne rzeczy. Rozważał je jednak z coraz większą udręką i już sto razy się zrywał, aby do niej biec, aby stanąć do oczów i rzucić jej w twarz tę całą litanie grzechów... Niech posłysz, co mówią o niej, i niechaj się wyprze, jeżeli może... Niech głośno powie: nieprawda! Dumął gorączkowo, ale coraz głębiej wierzył w jej niewinność i ogarniał go żal, i wstawała w nim cicha tęsknota, i budziły się jakieś słodkie, radosne przypomnienia spotkań, a jakiś słoneczny tuman niepojętej rozkoszy przysłonił mu oczy i serce dręczył, że naraz się zerwał i zaczął krzyczeć jakby do wszystkiego świata:

– Nieprawda! nieprawda! nieprawda!

Ale przy kolacji uparcie patrzył w talerz, unikając matczynych oczów, i chociaż mówiono o śmierci Jagaty, nie wtrącał się do rozmowy.

wy, a jeno ciągiem matyjasiał, przebierał w jadle, sprzeciwiał się siostróm wyrzekał na gorąc w izbie i skoro tylko sprzątnęli miski, poniósł się na plebanię – proboszcz siedział se na ganku z fają w zębach i cosik pilnie pogadywał z Jambrozem, obszedł ich z dala i spacerując kajś pod drzewinami frasobliwie medytował.

– A może to i prawda! Mama by sobie tego nie stworzyła.

Z okien plebanii lały się smugi światła na klomb, gdzie baraszkowały pieski warcząc na się przyjacielsko, a z ganku roznosił się grubachny głos.

– A jęczmień na Świńskim Dołku obejrzałeś?

– Słoma jeszcze ździebko zielona, ale ziarno już kiej pieprz.

– Trza by ci jutro przewietrzyć ornaty, na nic spleśnieją. Komżę i alby zanieś Dominikowej, niech Jagusia upierze. Ale kto to był po południu z krową?

– Któryś z Modlicy. Młynarz spotkał go na moście i próbował przeciągnąć do swojego byka, obiecywał go nawet dopuścić za darmo, ale chłop wolał naszego...

– Ma rozum, za rubla będzie miał profit na całe życie, przynajmniej krów się dochowa. Nie wiesz, Kłęby wyprawia to pogrzeb Jagacie?

– Przeciek ostawiła na pochówek całe dziesięć złotych.

– Pochowa się ją z paradą jak gospodynię. A powiedz tam brackim, że wosku im sprzedam, niech sobie tylko dokupią blichowanego. Jutro Michał obrzędzi w kościele, a ty idź z ludźmi do żniwa i poganiaj, barometr jakiś niepewny, może być burza! Kiedyż to się zbiera kompania do Częstochowy?

– Wotywę zamówiły na czwartek, to juści, zaraz po mszy ruszą...

Jasia drażniła nieco ta rozmowa, odszedł dalej aż pod niski pleciony płot, dzielący sad od pasieki, na wąską, zarosłą dróżkę i spacerował trącając niekiedy głową w obwisłe, ciężkie od jabłek gałęzie.

Wieczór był nagrany i duszny, pachniał miód, i żyto skoszone kajś za ogrodami, powietrze było ciężkie, przejęte spieką, bielone pnie majaczyły. w mrokach niby gźła porozwieszane do przeschnięcia, kajś nad stawem naszczekiwały psy wielce swarliwie, a od Kłębów buchały niekiej żałobne, jękliwe zawodzenia.

Jasio, strudzony wreszcie deliberacjami, zawrócił już ku domowi, gdy naraz postyszał jakby z pasieki jakieś przyduszone, gorące szepty.

Nie dojrzał nikogo, ale przystanął i słuchał z zapartym tchem.

–...byś skisł... puść me, puść, bo będę krzyczeć!...

–...głupia... Czego się wydzierasz? Krzywdy ci to chcę, krzywdy?...

-...jeszcze kto posłyszysz. Laboga, dyć mi zioobra zgnieciesz... puść...

Pietrek Borynów i księża Maryna! Rozpoznał ich po głosach i odszedł z uśmiechem, lecz po paru krokach zawrócił na dawne miejsce i nasłuchiwał z dziwnie bijącym sercem. Gęste krze ich przysłaniały i ciemnica, nie sposób było rozeznąć, ale coraz wyraźniej słyszał krótkie, rwane i warem kipiące słowa, buchały kiej płomienie, a niekiedy przez długie chwile wrzały gorączkowe, dyszące oddechy i szamotania.

-...takusieńką, jak ma Jagusia, obaczysz... ino mi nie broń, Maryś, ino...

-...zarno ci zawierzę... bo ja to taka... loboga, dajże odzipnąć...

Zaszeleściły gwałtownie krzaki, coś ciężko zważyło się na ziem, ale po chwili zatrzęsły się, i znowu krótkie, rozpalone szept, ściszone śmiechy i całunki.

-...że już i nie sipiam, a ino ciągiem o tobie, Maryś... o tobie, najmilsza...

-...każdej prawisz to samo... czekałam cię do północks... u drugiej byłeś...

Jasio jakby z nagła ogłuchł i zatrząsł się kieby osika. Wiatr poszedł po sadzie, zaruchały się drzewa i zagwarzyły cichusko kieby we śpiku, z pasieki zawiąły takie miodne zapachy, jaże go sparło pod pierściami, a oczy nalały się łzami, przejął go jakiś dygotliwy war i cosik tak lubego jęło udrećcać, że ino się raz po raz przeciągał a wzdychał.

-...tyła mi do niej, co do tych gwiazdów... Jasia se tera namówiła...

Oprzytomniał, wcisnął się w płot i nasłuchiwał coraz silniej rozdygotany.

-...prawda... co noc wychodzi do niego... Kozłowa przydybała ich w lesie...

Świat się z nim zakręcił i rozciemniało mu w oczach, ledwie się już trzymał na nogach, a tam w gąszczach wciąż mlaskały drażniaco całunki, prześmiechy i szept...

-...to ci łeb wrzątkiem oparzę kieby temu psu...

-...ino ten razik, najmilsza... dyć cię nie ukrzywdzę... obaczysz...

-...Pietruś, loboga, Pietruś...

Jasio odskoczył i uciekał niby wiatr, rozdzierając sutannę o krzaki, wpadł do domu czerwony jak burak, oblany potem i zgorączkowany, szczęściem nikto nie zwrócił na niego uwagi. Matka siedziała przed kominem z kądzielą i przędła śpiewając z cicha: „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, siostry wtórowały cieniuśko wraz z Michałem, któren pucował kościelne lichtarze, ojciec już spał.

Jasio zawarł się w swoim pokoju i zabrał się do brewiarza, ale cóż, kiej chociaż uparcie powtarzał łacińskie słowa, to i tak ciągiem słyszał tamte szepty i tamte całunki, że w końcu sparł czoło na książce i dał się już poniewoli jakowymś myślom, kieby tym wichrom palącym.

– Więc to tak? – dumał z coraz większą zgrozą i wraz z jakimś lubym dreszczem – Więc to tak! – powtórzył naraz głośno, i chcąc się oderwać od tych obmierzłych myśleń, wziął brewiarz pod pachę i poszedł do matki.

– Zmówię pacierz przy Jagacie – wyrzekł cicho i pokornie.

– A idź, synu, przyjdę później po ciebie. – Spojrzała bardzo miłościwie.

W chałupie Kłębów nie było już prawie nikogo, tylko jeden Jambroż cosik tam mamrotał z książki przy zmarłej, która leżała nakryta płachtą; na poręczy łóżka tliła się gromnica zatknięta w dzbanuszek, przez wywarte okna zaglądały gałęzie pełne jabłek, noc roziskrzona gwiazdami, a kiej niekiej wsadzał zdumioną twarz jakiś zapóźniony przechodzień, w sieniach warczały ciągiem pieski.

Jasio przykleknął pod światłem i tak się był gorąco oddał pacierzom, że ani wiedział, kiej Jambroż pokuszywał do dom, Kłęby pokładły się spać kajś w sadzie i zapały pierwsze kury, szczęściem, co matka o nim nie zapomniwała.

Ale cóż, kiej śpik prawie się go nie imał, bo co jeno zaczynało go morzyć, to zjawiała się przed nim Jagusia niby żywa, że zrywał się z pościeli, przecierał oczy i rozglądał się wystraszony, juści, co nie było nikogo, cały dom leżał pograżony w twardym śnie, a z drugiej izby rozlegało się ojcowe chrapanie.

– To może ona dlatego... – Zamyślił spominając jej gorące całunki, oczy rozjarzone i drżący głos: – A ja myślałem! – Zatrząsł się ze wstydu, zeskoczył z łóżka, otworzył okno i przysiadłszy w nim, do samego świtania medytował i kajał się z mimowolnych przewin i pokuszeń.

Zaś rano przy mszy nie śmiał nawet podnieść oczów na ludzi ni się rozejrzeć po kościele, ale tym goręcej modlił się za Jagusią, bo już był całkiem uwierzył w jej straszne przewiny, nie poredził tylko w sobie zbudzić do niej gniewu i odrazy.

– Co ci jest? Wzdychałeś, że dziw nie pogasły świece! – pytał go proboszcz w zakrystii.

– Tak mnie parzy sutanna! – zaskarżył się odwracając prędko twarz.

– Jak się przyzwyczaisz, to będziesz ją nosił niby drugą skórę.

Jasio pocałował go w rękę i poszedł na śniadanie przecierając się cieniami nad stawem, gdyż słońce prażyło już nie do wytrzymania, i natkał się na księżą Marynę, ciągnęła za grzywę ślepego konia i zawodziła wrzaskliwie.

Przypomnienia żgnęły go niby szydłem, iż przystąpił do niej zeżłony.

– Z czegoż to Marysia tak się cieszy? – patrzył w nią z wstydliwą ciekawością.

– A bo mi wesoło! – zaśmiała się, jaże zagrały jej białe zęby, szarpnęła konia i wyśpiewywała jeszcze rozgłośniej.

– Po wczorajszym taka wesoła! – Odwrócił się prędko, gdyż spod ugiętej wysoko kiecki błyskały jej białe podkolania, rozłożył bezradnie ręce i wstąpił do Kłębów. Jagata leżała już z całą paradą na środku izby, przybrana w odświeżone szaty, w czepcu o sutym białym zburzeniu nad czołem, w paciorkach na szyi, w nowym wełniaku w trzewikach, zaścibniętych na czerwone sznurowadła; twarz miała kieby odlaną z blichowanego wosku, a dziwnie rozradowaną, w zeszywniałych palcach tkwił krzywo obrazik, dwie świece paliły się pobok jej głowy, Jagustynka odganiała muchy wielką gałęzią, jałowcowy dym ciągnął się z komina i rozwłóczył po całej izbie, co trochę kto wchodził zmówić pacierz za nieboszczkę, a kilkoro dzieci plątało się pod ścianami.

Jasio jakoś trwożnie rozglądał się po mrocznej chałupie.

– Kłęby pojechały do miasta – zaszeptła mu Jagustynka. – Ostawiła im sporo, to muszą się wypuczyć na pochówek, krewniaczka przeciek! Eksporta dopiero będzie wieczorkiem, bo Mateusz jeszcze nie zdążył z trumną...

Zaduch był w izbie i taką trwogą przejmowała go ta żółta, znieruchomiła w prześmiejch twarz umarłej, że jeno się przeżegnał i wyszedł spotykając się tuż przed progiem oko w oko z Jagusią, szła z matką i ujrzawszy go przystanęła, ale przeszedł bez słowa, nawet Boga nie pochwalił, dopiero z opłotków obejrzał się na nią bezwolnie, jeszcze stała w miejscu wpatrzona w niego smutnymi oczami.

W domu nie chciał jeść śniadania, wyrzekając na srogi ból głowy.

– Przejdź się trochę, może przestanie – radziła mu matka.

– A gdzież pójde? Żeby mama zaraz myślała Bóg wie co!

– Jasiu, co ty wygadujesz!

– Przecież mama nie pozwala mi się ruszyć z domu! Przecież to mama zabroniła mi nawet rozmawiać z ludźmi! Przecież... – Mścił się wielce rozdrażniony. A skończyło się na tym, że mu obwiązała głowę

szmatą skropioną octem, ułożyła go spać w ciemnym pokoju i przegnawszy dzieci na podwórze czuwała nad nim kiej kokosz, póki się dobrze nie wyspał i nie podjadł jak się patrzy.

– A teraz idź się przejść, idź na topolową, tam większy cień i chłodniej. – Nic się nie odezwał, ale czując, że matka pilnie za nim nagłała, na złość jej poszedł całkiem w drugą stronę; włóczył się po wsi, patrzył na kowali grzmiących młotami, zajrzał do młyna, łąził po ogrodach, skwapnie zazierając na lniska i wszędy, kaj się ino czerwieniły kobiece przyodziewy, posiedział z panem Jackiem pasącym na jakiejś między Weronczyne krowy, napił się mleka u Szymków na Podlesiu i wrócił do wsi dopiero na samym zmierzchu, nie napotkawszy nikaj Jagusi.

Zobaczył ją dopiero nazajutrz na pogrzebie Jagaty, tak patrzała w niego przez całe nabożeństwo, jaże litery skakały mu w oczach i mylił się w śpiewaniach, a kiej ciało prowadzili na smętarz, to nie bacząc na groźne spojrzenia organiściny, szła prawie pobok niego, że nasłuchując jej żałośliwych wzdychów topniał w sobie kieby śnieg pod tym zwiesnowym słońcem.

Zaś kiedy trumnę spuszczali do dołu i wybuchnęły lamenta, posłyszal i jej płacz rzewliwy, ale zrozumiał, co nie po umarłej tak szlocha, a jeno z ciężkiej udręki zbolatego, pokrzywdzonego serca.

– Muszę się z nią rozmówić. – Postanowił wracając z pogrzebu, ale nie mógł się prędko wydostać na wolę, gdyż zarno z południa zaczęli się zjeżdżać do Lipiec ludzie z dalszych wsi, a nawet i z drugich parafii na jutrzejszą pielgrzymkę do Częstochowy Kompania miała wyjść raniem, zaraz po solennej wotywie, to się z wolna ściągali napełniając drogi nad stawem wozami a gwarem, sporo też przychodziło na plebanię, że Jasio musiał siedzieć i załatwiać za proboszcza przeróżne sprawy, ale jakoś pod sam wieczór upatrzwszy sposobną porę wziął książkę i niepostrzeżenie wyniósł się na miedzę za stodołami, pod gruszę, kaj nieraz siadywali wraz z Jagusią.

Juści, co ani tknął oczami książki, a cisnął ją kajś w trawę i rozejrzawszy się po polach skoczył w żyta i chyłkiem, prawie na czworakach, przebierał się na ogrody Dominikowej.

Jagusia właśnie podbierała ziemniaki ani się spodziewając, że ktośik na nią patrzy, raz po raz bowiem prostowała się ocieżale i wsparta na motyczce, powłócząc smutnymi oczami po świecie, wzdychała długo i ciężko.

– Jagusia! – zawołał lękliwie.

Pobladła na płótno i stanęła kiej wryta, zaledwie już wierząc własnym oczom, tchu jej brakło i ścisnęło pod pierśiami, ale patrzyła w niego kieby w to cudne zwidzenie, a słodki prześmiejch zatlił się na spąsowiałych z nagła wargach, rozmigotał się płomieniami i wybuchnął kiej słońce.

Jasiowi również rozjarzyły się oczy i miody zalały serce, nie dał se jednak folgi, milczał, a jeno przysiadł na zagonie i patrzył w nią z dziwną lubością.

– Bojałam się, co pana Jasia już nigdy nie obaczę...

Kieby pachnący wiaterek zawiął z łąk i uderzył w niego, jaże pochylił głowę, tak mu ten głos rozdzwaniał się w duszy prawie niepojętą szczęśliwością.

– A przed Kłębami, wczoraj, to pan Jasio ani spojrział...

Stojała przed nim spłoniona kieby ten kierz różany, kieby ten jabłoniowy kwiat, mdlejący w skwarze tęsknicy, śliczności pełna i zgoła jakiemuś cudowi podobna.

– A to dziw mi serce nie pękło! A to dziw me rozum nie odszedł.

Łzy błysnęły jej u rzęs przysłaniając niby diamentami modre nieba oczów.

– Jagusia! – wyrwało mu się kajś spod samego serca.

Przyklękła w bruździe i cisnąc mu się do kolan wpierała w niego oczy, przepaści ogniste, oczy modre jak niebo i jak niebo niezgłębione, oczy upojne niby całunki i niby przygarnięcia rąk umiłowanych, oczy pokuszeń i niewinnego dzieciństwa zarazem.

Wstrząsnął się gwałtownie i jakby się broniąc przed czarami zaczął ostro wymawiać wszystkie jej grzechy, wszystkie, jakie mu była powiedziała matka. Piła każde słowo nie spuszczać z niego oczów, ale mało wiele poredziła wymiarkować, wiedziała bowiem tylko jedno, że oto siedzi przed nią ten ponad wszystko wybrany, że se cosik gaworzy, że oczy mu się jarzą, a ona klęczy se przed nim kieby przed tym światkiem i modli się niezgłębioną wiarą miłowania.

– Powiedz, Jaguś, że to wszystko nieprawda? powiedz! – nalegał prosząco.

– Nieprawda! Nieprawda! – przytwardziła z taką szczerością, że uwierzył od razu, uwierzyć musiał, a ona sparła się, pierśiami o jego kolana i zatonąwszy mu w oczach wyznawała się cichuśko ze swego miłowania... Jakby na świętej spowiedzi otwarła przed nim duszę na ścieżaj, rzuciła mu ją pod nogi kiej zbłąkaną ptaszkę i modlitewną, go-

racą prośbą dawała się wszystka na jego zmiłowanie i na jego wolę i niewolę.

Jasio rozdygotał się kiej listek wstrząsany gwałtowną nawałnicą, chciał ją odepchnąć i uciekać, ale jeno szeptał omdlałym, nieprzytomnym głosem:

– Cicho, Jaguś, tak nie można, grzech, cicho!

Aż umilkła, całkiem wyzbyta ze sił, milczeli już oboje unikając swoich oczów, a wraz cisnąc się do siebie tak z bliska, że słyszeli bicie serc własnych i ciche, palące dychania, było im strasznie dobrze i radośnie, obojgu łzy spływały po zbladłych twarzach, obojgu śmiały się czerwone wargi, a dusze kieby w czas Podniesienia były zatopione w jakąś najświętszą cichość i tajnię jaśniejącą gdzieś na wysokościach i unosiły się jeszcze wyżej, ponad światy.

Słońce już zaszło i ziemia spłynęła zorzami kieby tą, rosą pozłocistą, wszystko przycichło, wszystko przytailo dech wszystko kieby zmartwiało w zasłuchaniu dzwonów, co zabiły na Anioł Pański, i wszystko jakby się zamodliło cichym dziękczynnym pacierzem za świętą łaskę dnia odebranego. Poszli w pola, zasypane pyłem zórz, szli jakimiś miedzami pełnymi kwiatów, wskroś zbóż dojrzałych, wlekąc rękami po kłosach, zwisających im do kolan, szli w łuny zachodu wpatrzeni, w szerokie, złociste przepaście nieba i z niebem w duszach, i z niebem w oczach, i jakby w niebiańskich otęczach nad głowami.

Jakby msza się w nich odprawiała, tak pełni byli świętego nabożeństwa, tak dusze im klęczały w zachwyceniu i tak im śpiewały wniebowzięte serca o łasce Pańskiej, tylko im jednym objawionej w tej godzinie żywota.

Ni słowa nie przemówili więcej do siebie, ni jednego słowa, tylko niekiedy krzyżowały się ich spojrzenia jak błyskawice, całkiem już postęple od własnych żarów i nic o sobie nie wiedzące.

Nie wiedzieli również, że śpiewają jakąś pieśń, co się z nich była sama zrodziła i kieby ptak rozświergotany leciała nad omroczone pola, we wszystek świat.

Nie wiedzieli nawet, kaj są i dokąd idą, i po co?

Nagle i kajś z bliska runął im nad głowy twardy i suchy głos:

– Jasiu, do domu!

Wytrzeźwiał w tym oczymgnieniu; byli na topolowej, a matka stała tuż przed nimi z groźną i nieprzeblaganą twarzą – jał cosik bąkać i pleść trzy po trzy.

– Chodź do domu!

Wzięła go za rękę i gniewnie pociągnęła za sobą, dał się bez oporu, z pokorą...

Jagusia szła za nimi jakby urzeczona, gdy naraz organiścina podniosła z drogi kamień i cisnęła w nią ze straszną zawziętością.

– Poszła precz! A do budy, ty suko! – zakrzyczyła wzgardliwie.

Jagusia obejrzała się dokoła, całkiem nie miarkując, o kogo tamtej chodzi, ale gdy jej zniknęli z oczów, długo się plątała po drogach, a potem, gdy w chałupie poszli spać, siedziała pod ścianą do białego rana.

Godziny szły za godzinami, piały kokoty, rżały konie przy wozach nad stawem, robił się świt, wieś zaczynała wstawać, brali wodę ze stawu, wypędzali bydło na pastwiska, kto już wychodził na robotę, gdzie już trajkotały kobiety, kajś dzieci popłakiwały matyjaśnie, a ona wciąż siedziała na jednym miejscu i z otwartymi oczami śniła na jawie o Jasiu – że cosik z nim rozmawia, że patrzą na się tak z bliska, jaże ją ogarniały słodkie ognie, że idą kajś i śpiewają coś takiego, czego nie poredziła sobie przypomnieć – i tak ciągiem jedno w kółko.

Matka zbudziła ją z tych cudnych zwidzeń, a głównie Hanka, która przyszła już przyszykowana do drogi i chociaż nieśmiało, pierwsza wyciągnęła rękę na zgodę.

– Do Częstochowy idę, to mi darujecie, com ta przeciw waju zgrzeszyła...

– Bóg zapłać za dobre słowa, ale co krzywda, to krzywda! – mruknięła stara.

– Nie ruchajmy tego! Proszę was ze szczerego serca, byście mi odpuścili.

– Złości już do was w sercu nie chowam – westchnęła ciężko Dominikowa.

– Ani ja! choćmiem niemało przecierpiała! – wyrzekła poważnie Jagusia i posłyszawszy sygnaturkę poszła się przybierać do kościoła.

– Wiecie, a to Jasio organistów idzie z kompanią – ozwała się po chwili Hanka.

Jagusia posłyszawszy nowinę wypadła z chałupy na pół ubrana.

– Co ino sama organiścina mi powiedziała, jako koniecznie napał się iść do Częstochowy! Raźniej będzie nama wędrować z księżykiem i honorniej! Ostajta z Bogiem. – Pożegnała się przyjacielsko i poszła do kościoła rozpowiadając po drodze nowinę, juści, co się jej dziwowali, tylko Jagustynka pokręciła głową i rzekła cicho:

– W tym coś jest! Już on ta z dobrej woli nie idzie, nie...

Ale nie pora była na dłuższe wywody, bo z pół wsi zebrało się w kościele i ksiądz już wychodził z wotywą, odprawianą na intencję pielgrzymki.

Jasio służył do mszy jak co dnia, jeno dzisiaj twarz miał cosik bledszą i dziwnie zbolałą, zaś oczy podsiniące i, jeszcze szkliste od łez, że jakoby we mgłach majaczył mu cały kościół, Tereska, leżąca krzyżem przez całe nabożeństwo, wystrachane oczy Jagusi, matka, siedząca w dworskiej ławce, i te przystępujące do komunii wędrowniki – jak przez mgłę widział, przez te łzy zaledwie powstrzymywane, przez żal szarpiącą mu serce i przez ten śmiertelny smutek.

Proboszcz od ołtarza żegnał odchodzących, a kiej się wywalili przed kościół, skropił ich wodą święconą i pobłogosławił, podnieśli zaraz chorągiew, krzyż błyszczał na czele, ktosik zaśpiewał i kompania ruszyła w daleką drogę.

Z Lipiec szły: Hanka, Marysia Balcerkówna, Kłębowa z córką, Grzela z krzywą gębą, Tereska z mężem, które się ochfiarowały przez całą drogę nie brać do ust nic gorącego, i parę komornic, ale wraz z ludźmi z drugich wsi zebrało się ze sto narodu.

Odprawiała ich cała wieś, zaś wozy zawalone tobołami szły na zajdach. Ale mimo wczesnej godziny upał się już wzmagął, słońce ślepiło oczy i kurz podnosił się tumanami, że szli jakby w tych szarych, duszących obłokach.

Jagusia szła z matką i z drugimi, była strasznie zmizerowana, trzęsła się w sobie z żalności, a łykając gorzkie, sieroce łzy patrzyła w Jasia kieby w to słońce, juści, co z dała, bo organiścina z dziećmi nie opuszczała go ani na chwilę, że nie było sposobu przemówić do niego ni nawet stanąć mu w oczach.

Mateusz mówił cosik do niej, to matka, to drugie, cóż, kiej tylko jedno wiedziała, że Jasio na zawsze odchodzi, że już go nigdy nie zobaczy, przenigdy.

Pod figurą na Podlesiu pożegnali kompanię, która zaraz pociągnęła dalej, wśród śpiewań oddalając się coraz barzej, aż i zginęła całkiem z oczów, a tylko kajś w rozslonecznionych dalach, nad drogami, podnosiły się kłęby kurzawy.

– Laczego? laczego? – jęczała wlekąc się niby trup za powracającymi do wsi.

– Padnę i zamrę! – myślała czując w sobie jakby poczynanie się śmierci, szła coraz wolniej i ciężiej, wyzbyta ze sił skwarem, zmęczeniem i tą straszną udręką.

– I cóż ja teraz pocznę, co? – pytała, zapatrzona w ten dzień dziwnie pusty i boleśnie ślepiący.

Czekała z upragnieniem nocy i cichości, ale i noc nie przyniosła jej folgi ni ukoju, tłukła się do samego świtania kole chałupy, szła na drogi, poleciała nawet na Podlesie pod figurę, kaj ostatni raz widziała Jasia, i zapiekłymi od męki oczami szukała na szerokiej, piaszczystej drodze jakby śladów jego kroków, choćby cienia po nim, choćby tej grudki ziemi tkniętej przez niego.

Nie było, nie było la niej nic i nikaj, nie było już zmiłowania i poratunku.

Zabrakło jej w końcu nawet łez, zabite smutkiem i rozpaczą, oczy świeciły kiej studnie niezgłębionej boleści.

A tylko niekiej, przy pacierzu, zrywała się ze spiekłych warg żałosna skarga.

– I za co to wszystko, mój Boże, za co?

ROZDZIAŁ 13

U Dominikowej zrobiło się już zgoła nie do wytrzymania, Jagusia bowiem łąziła kiej nieprzytomna i o Bożym świecie nie wiedząca, Jędrzych też jeno zbywał roboty, coraz częściej przesiadując u Szymków, a w gospodarstwie czynił się taki upadek i opuszczenie, że nieraz nie wydojone krowy pędzili na paśniki, świnie kwiczały z głodu i konie obgryzały drabiny rżąc przy pustych żłobach, boć staranie poredziła zaradzić wszystkiemu, jesczek ona utykała o kiju, z przewiazanymi oczami, na pół ślepa, to i nie dziwota, co głowa jej pękała od turbacji.

Bo i jakże: gnój pod pszenicę wysychał w polu, a nie miał go kto przyorać, len się już prosił o wyrywanie, ziemniaki zdałoby się jeszcze raz opleć i osypać, brakowało drew na opał, porządek gospodarski niszczał, zniwa były za pasem, roboty starczyło choćby i na dziesięć rąk, a tu szło, kieby kto w nosie podłubywał. Przynajęła nawet komornicę, sama też zabiegała, jak mogła, i dzieci pędziła do roboty, ale Jagusia była jakby głucha na wszystkie prośby i przekładania, zaś Jędrzych na jakąś pogrozę odburknął hardo:

– Bo ciepnę wszystko i pójdę se we świat! Wypędziliście Szymka, to sobie tera sami róbcie! Jemu ta nie cni się za wami, chałupę ma, grosz ma, kobietę ma, krowę ma i gospodarz całą gębą. – Pyskował przemysłnie, trzymając się z dala.

– Juści, co ten zbój poredził zaradnie wszystkiemu! – westchnęła ciężko.

– A bogać, że uredzi wszystkiemu, nawet Nastusia się dziwuje!

– Trza by kogo przynając abo i zgodzić parobka myślała głośno.

Jędrzych podrapał się i rzekł nieśmiało:

– Hale, szukać obcego, kiej Szymek gotowy... żeby mu ino rzec to słowo...

– Głupiś! Nie wyciągaj szyją, kiej do cię nie piją! – warknęła i srode się tym zgryzła, że tak czy owak, a trza będzie ustąpić i jakąś zgodę z nim zrobić.

Jednak najbarzej martwiła się o Jagusię, na darmo bowiem próbowała się wywiedzieć, co jej jest. Jędrzych też nie wiedział, a kum nie śmiała się wypytywać, bych za wiele nie dołożyły. Przez całe te trzy dni, po wyjściu kompanii do Częstochowy, błąkała się w przeróżnych domysłach kieby w tej uprzykrzonej ćmie, jaż dopiero w sobotę po południu doprowadzona już do ostatka wzięła sielnego kaczora pod pachę i poszła na plebanię.

Wróciła nad wieczorem zburzona, kiej ta noc jesienna, splekana i ciężko wzdychająca, nie odzywała się do nikogo, aż po kolacji, kiej ostała sama z Jagusią, przywarła drzwi do sieni i rzekła:

– A wiesz, co rozpowiadają o tobie i Jasiu?

– Nie ciekawam plotów! – odrzekła niechętnie, podnosząc zgorączkowane oczy.

– Ciekawaś czy nie, a powinnaś wiedzieć, że przed ludźmi nic się nie uchowa! A kto cicho robi, o tym głośno mówią! A o tobie wygadują, że niech Bóg broni!

Rozpowiedziała szeroko, czego się dowiedziała od proboszcza i organistów.

– Zaraz w nocy zrobili nad nim sąd, organista zerznął mu skórę, ksiądz swoje, cybuchem dołożył i bych ustrzec przed tobą, wyprawili go do Częstochowy. Słyszysz to? Pomiarkujże, coś narobiła! – krzyknęła groźnie.

– Jezus Maria! Biły go! Jasia biły! – zerwała się gotowa lecieć na jego obronę, ale jeno zakrzyczała przez zaciśnięte zęby:

– A żeby im kulasy poodpadały, żeby ich nie oszczędziła zaraza! – I zapłakała, z zaczerwienionych oczów polały się strugi gorzkich łez, a wszystkie rany duszy spłynęły jakby tą żywą, serdeczną krwią.

Ale Dominikowa nie bacząc na to jęła ją bić, niby kijem, przypominkami wszystkich przewin i grzechów, nie darowała ani jednego, wypominając, co ją tylko żarło od dawien dawna i nad czym srodze bolała.

– To musi się już raz skończyć, rozumiesz! Tak ci już dalej żyć nie sposób! – krzyczała coraz zawzięciej, chociaż palące łzy ciekły jej spod szmat przewiązujących oczy. – Żeby cię mieli za najgorszą, żeby cię już wytykali palcami! Taki wstyd na moje stare lata, taki wstyd, mój Jezu – jęczała rozpaczliwie.

– I wyście pono za młodu byli nie lepsi! – trzasnęła ją złym słowem.

Stara tak się zaniesła gniewem, że ledwie już wybełkotała:

– Choćby świętemu, a nie przepuszczą!

Nie śmiała już się więcej pastwić nad nią, zaś Jagusia wzięła się prasować jakieś fryzki na jutro; wieczór szedł wiejny, szumiały drzewa, po niebie, zawalonym drobnymi chmurami, leciał księżyc, kajś na wsi śpiewały dzieuchy, a jakieś skrzyпки rzępoliły drygliwą wielce nutą.

Przed oknami rozległ się głos przechodzącej wójtowej:

– Jak wczoraj pojechał do kancelarii, tak i przepadł...

– Pojechał z pisarzem do powiatu jeszcze wczoraj na noc. Powiadał sołtys, jako wezwał ich do siebie naczelnik – odpowiadał Mateusz.

Gdy przeszli, stara odezwała się znowu, ale już łagodniej:

– Czemu to przepędziłaś z chałupy Mateusza?

– Bo mi obmierzył i po co tu będzie wysiadywał! Nie szukam se chłopca!

– Czas by ci już było obejrzyć się za którym, czas! Zaraz by i ludzie przestali cię napastować! Choćby i Mateusz, też nie do pogardzenia, chłop zmyślny, pocziwy...

Długo się nad nim rozwodziła i wielce zachętnie, ale Jagusia się nie odezwała ani słóweczkiem, zajęta robotą i swoimi strapieniami, że stara dała spokój i wzięła się do różańca. Na dworze pocichły już głosy, tylko drzewiny szarpały się z wiatrem i młyn turkotał, noc była późna, księżyc jakby całkiem zatonął w zwałach, że jeno kajś niekaj świeciły obrzeża chmur i wydzierały się snopy brzasków.

– Jaguś, trza ci jutro do spowiedzi. Lżej ci będzie, jak zbędziesz się grzechów.

– Co mi tam, nie pójdę!

– Nie chcesz do spowiedzi! – Aż głos jej schrypnął ze zgrozy,

– A nie. Książd do kary to skory, ale z pomocą to się nikomu nie pokwapi...

– Cicho, żeby cię Pan Jezus nie skarał za takie grzeszne gadanie! A ja ci mówię, do spowiedzi idź, pokutuj i Boga prosz, to ci się jeszcze wszystko przemieni na dobre.

– A mało to mam pokuty, co? A cóżem to zgrzeszyła? Za co? To pewnie za moje kochanie i za moje cierpienia taka mnie spotyka nadgroda, co? Ze już co najgorszeé we świecie, to mnie spotkało! – skarżyła się żałośnie.

Nie przeczuwała nawet biedula, że spadnie na nią jeszcze cosik gorsze i bardziej niespodziane, i bardziej niesprawiedliwe.

Nazajutrz bowiem, w niedzielę, przed sumą gruchnęła po wsi wieść, zgoła niepodobna do wiary, że wójta aresztowali za brak pieniędzy w kasie gminnej.

Nie sposób było zrazu uwierzyć, i chociaż prawie z każdą godziną ktosik przylatywał z nową i coraz gorszą przykładką, jeszcze nie brali tego zbyt do serca.

– Próżniaki wymyślą se co niebądź i roztrząsają se la zabawy! – mówili poważniejsi.

Ale uwierzono, gdy kowal wrócił z miasta i wszystko co do słowa potwierdził, a Jankiel w południe powiedział do całej gromady:

– Wszystko prawda! W kasie brakuje pięć tysięcy, zabierają mu za to całą gospodarę, a jak będzie jeszcze mało, Lipce muszą za niego dopłacić!

Wzburzyło to wszystkich, że niech Bóg broni, jakże, bieda wszędy jaże piszczy, do garnka nie ma co włożyć, niejeden się zapożyczył, aby jeno dociągnąć do żniw, a tu przyjdzie płacić za złodzieja! Tego była już za wiele na ludzką cierpliwość, to i nie dziwota, że cała wieś jakby się wściekła ze złości, klątwy, pogrozy i wyzwiska posypały się kieby kamienie:

– A żebyś, ścierwo, skapiał jak ten pies!

– Nie trzymałem z nim spółki, to i płacił za niego nie będę.

– Ani ja! Balował się, używał, a ty cierp za cudze! – pogadywali tak sfrasowani, jaże niejednemu płakać się chciało z markotności.

– Dawno miałem oko na niego i mówiłem, do czego to idzie, przekładałem, nie słuchaliście i tera mata bal! – dogadywał z rozmysłem stary Płoszka, pomagała mu Płoszkowa rozpowiadając kto ino chciał słuchać.

– Wiecie, Antek już wyrachował, co na wspomnienie pana wójta zapłacim po trzy ruble z morgi, ale za takiego przyjaciela nie żal i po dziesięć...

I tak te wiadomości przygnębiły ludzi, że mało wiele poszło do kościoła, a jeno radzili użalając się pospólnie, że pełno było w opłotkach, przed chałupami, a zwłaszcza nad stawem, na próżno się przy tym głowiąc, kaj zadział tylachna pieniędzy.

– Musieli go podebrać, nie sposób, aby tyła sam jeden zmarnował.

– Pisarzowi zawierzał, a wiadomo, jakie to ziółko!

– Szkoda człowieka, nama juści zrobił krzywdę, ale sobie najgorszą! – mówili poniekąd co stateczniejsi, a na to wraziła między nich

tłuste brzuchoz Płoszkowa i dalejże niby to żałującz wyrzekać i trzeć suche ślepie.

– A mnie żal wójtowej! Biedna kobieta, panią se była i nos zadzie-rała, a teraz co! Chałupę wezmą, grunt przedadzą i na komorne pójsć pójdzie chudzina, na wyrobek. I żeby se chociaż użyła!

– A mało to jeszcze wysmakowała dobrego! – wrzasnęła Kozłowa wtórując gorąco, jeno na drugi sposób – używały se ścierwy kieby jakie dziedzice. Co dnia jadły mięso! Wójtowa pół garczka cukru kładła se do kawy, a czysty harak pili szklankami! Widziałam, jak zwoził z miasta półkoszki przeróżnych przysmaków. A z czegoż to im brzuchy spęczniały, przecież nie z postu!

Słuchali rozważnie, choć w końcu pletła już trzy po trzy, ale dopiero organiścina trafiła wszystkim do serca, znalazła się na wsi niby to przypadkiem i posłuchawszy rozmów rzekła od niechcienia:

– Jak to, to nie wiecie, na co wójt wydał tyle pieniędzy?

Jęli się cisnąć dokoła i pytać niewoląc ją do odpowiedzi.

– Stracił na Jagusię, wiadomo.

Tego się nie spodziewano, więc jeno w zdumieniu spojierali po sobie.

– Już cała parafia mówi o tym od wiosny! Ja wam nie rozpowiem, ale spytajcie się kogo bądź, choćby z Modlicy, a dowiecie się całej prawdy!

I odeszła jakby nie chcąc się zdradzić, ale baby jej nie puściły, przyparły kajś do płota, tak molestowały, że zaczęła im rozpowiadać na niby pod sekretem: jakie to wójt przywoził dla Jagusi piesztronki ze szczerzego złota, a jakie chusty jedwabne, a jakie płótna cieniuśkie, a jakie korale, a ile to jej nadawał gotowych pieniędzy! Juści, co cyganiła, jaze się kurzyło, ale święcie uwierzyły, tylko jedna Jagustynka ozwała się gniewnie:

– Klituś bajduś, módl się za nami. Widziała to pani?

– A widziałam i mogę przysięgnąć nawet w kościele, że dla niej ukradł, dla niej, a może go nawet namówiła! Ho, ho, gotowa ona na wszystko, nic dla niej nie ma świętego, bez wstydu już i sumienia! Jak ta rozciekana suka lata po wsi, a roznosi jeno zgorszenie i nieszczęście. Nawet mojego Jasia zwieść chciała, chłopiec niewinny jak dziecko, to uciekł od niej i wszystko mi opowiedział! Czy to nie zgroza, księdzu nawet nie daje spokoju! – gadała prędko, ledwie już dysząc od złości.

Jakby iskra padła na prochy, tak buchnęły naraz wszystkie dawne urazy do Jagusi, wszystkie zazdroście i gniewy, i nienawiście; jęły wy-

pominać, co ino która miała na wątpiach, że podniósł się niewypowiedziany wrzask. Krzyczały jedna przez drugą i coraz zapamiętały.

- Ze to taką świętą ziemią nosi!
- A przez kogo pomarł Maciej? Wspomnijcie jeno sobie!
- Całej wsi przyjdzie pokutować za taką zapowietrzoną!
- I nawet księdza chciała przywieść do grzechu! Jezu, bądź nam miłościwy!
- A wiewa to już było przez nią pijatyk, swarów a obrazy boskiej!
- Zakała całej wsi! Już przez nią Lipce wytykają palcami!
- Morowe powietrze nie gorsze niżli taka zaraza.
- Póki taka jest we wsi, potąd ciągle będzie grzech, rozpusta i zło, bo dzisiaj wójt ukradł dla niej, a jutro robi to samo drugi!
- Kijami zatłuc i ścierwo rzucić psom!
- Wypędzić ją ze wsi, wypędzić na bory i lasy, kiej tę zarazę!
- Wypędzić! Jedyna rada! Wypędzić! – zawrzeszczały rozszczone, gotowe już na wszystko i z namowy organiściny pociągnęły do wójtowej.

Wyszła do nich, zapuchnięta od płaczu, a tak zbiedzona, tak nieszczęśliwa i rozlamentowana, że wzięły ją ścisnąć płacząc nad nią i użalając się ze wszystkiego serca.

Dopiero po jakimś czasie organiścina wspomniała jej o Jagusi.

– Święta prawda! Ona wszystkiemu winowata, ona – zalamentowała rozpacznie. – Ten tłuk sobaczy, ta piekielnica! A żebyś zdechła pod płótem za moją krzywdę, a żeby cię robaki roztoczyły za mój wstyd, za moje nieszczęście! – padła kajś na ławę tarzając się w niewypowiedzianej męce i szlochaniu.

Napłakały się nad nią do woli, nabiedziły i rozeszły się do domu, bo słońce kłoniło się już ku zachodowi. Ostała tylko organiścina i zamknawszy się z nią, cosik ważnego uradziły, gdyż jeszcze przed zmierzchem poleciały na wieś po chałupach, rozpoczynając jakąś cichą i tajną robotę.

Przystały do nich Płoszki, przyniewoliły jeszcze niektórych i poszli razem do proboszcza, wysłuchał wszystkiego, ale rozłożył ręce i zawołał:

– Nie mieszam się do niczego, róbcie, co chcecie, ja nie wiem o niczym i jutro z rana jadę do Żarnowa na cały dzień!

Wieczór uczynił się wiewce swarliwy, pełen narad, sprzeczek i tajemniczych szeptów, a gdy już ciemna noc zapadła, wszyscy zmówieni zeszli się do karczmy, i ugaszczani przez organistów, jęli znowu radzić

i deliberować. A zeszli się co najpierwsi gospodarze i prawie wszystkie żeniate kobiety i uradzali już dość długo, gdy Płoszkowa zakrzyzczała:

– A kajże to Antek Boryna? Cała wieś się zebrała, on pierwszy w Lipcach gospodarz, to przez niego nie można radzić, będzie nieważne.

– Prawda, posłać po niego! Musi przyjść! Bez niego nie można! – wrzeszczeli.

– A może będzie jej bronił, kto wie? – szepnęła któraś.

– Śmiałyby to całej wsi się przeciwzić! Kiej wszystkie, to wszystkie!

Kopnął się po niego sołtys i z łóżka musiał ściągać, bo już był spał.

– Musicie iść i powiedzieć swoje! A nie pójdziecie, to powiedzą, co ją osłaniacie i przeciwko gromadzie na sprzeciw idziecie! Baby wam nie darują dawnych grzechów. Chodźcież, raz trzeba z tym skończyć.

I poszedł, chociaż z ciężkim sercem, bo iść musiał.

Karczma była jakby nabita, że trudno już było palec wrazić, i wrzało z cicha, gdyż organista stał właśnie na ławie i prawił niby to kazanie.

-... i drugiego sposobu nie ma! Wieś to jak ten dom, niech jeden złodziej wyjmie spod niego przyciesię, niech drugi złakomi się na belki, a trzeciemu zachce się wyjąć kawał ściany, to w końcu chałupa się zwali i na śmierć wszystkich przygniecie! Wymiarkujcie to sobie dobrze! A niechże tu każdemu będzie wolno kraść, rozbijać, krzywdzić, rozpustę czynić, to i cóż się stanie ze wsią? Powiadam wam, nie wieś to już będzie, a jeno ten chlew diabelski, a hańba i wstyd la pocziwych! Że omijać ją będą z daleka i żegnać się na jej przypomnienie. Ale mówię wam, że prędzej czy później kara boska na taką wieś spaść musi, jak spadła na ową Sodomę i Gomorę! Spadnie i wszystkich wytraci, bo wszyscy są zarówno winni, tak ci, którzy źle robią, jak i ci, którzy pozwalają rozrastać się złemu! Pismo święte nas poucza: jeśli zgorszy cię ręka twoja, odetnij ją, a jeśli zgrzeszyło oko, wyłup je i ciśnij psom! Jagusia, mówię wam, to gorsza od moru, gorsza od zarazy, bo sieje zgorszenie, grzeszy przeciw wszystkim przykazaniom i ściąga na wieś gniew Boży i jego straszną pomstę! Wypędźta ją, póki jeszcze czas! Już się przebrała miarka jej grzechów i przyszedł czas na pokaranie! – ryczał kiej byk, jaże mu oczy wyłaziły z rozczzerwienionej twarzy.

– Juści! Pora! Naród mocen jest karać i mocen wynadgradzać! Wygnać ją ze wsi! Wygnać! – wrzeszczeli coraz głośniej.

Prawił jeszcze Grzela, wójtów brat, przemawiał stary Płoszka, pysskował Gulbas, ale mało kto słuchał, bo już wszyscy wraz mówili. Or-

ganiścina ciągiem rozpowiadała, jak to było z Jasiem, wójtowa też swoje krzywdy każdemu w uszy kładła, a i drugie pofolgowały se niezgorzej, że już wrzało kiej na jarmarku.

Tylko Antek się nie odzywał, stał przy szynkwasio chmurny kiej noc, z zaciętymi zębami, pobladły od męki, a przychodziły na niego takie minuty, że chciało mu się chycić ławę i prać nią te wszystkie rozwrzeszczone pyski, a obcasami tratować kiej to paskudne robactwo i tak mu się już wszystko zmierziło, iż pił kieliszek po kieliszku, a spluwał jeno i kłął cicho.

Podszedł doń Płoszka i głośno na całą karczmę zapytał:

– Już wszystkie zgodziły się na jedno, że Jagusię trza wygnąć ze wsi. Rzeknij i ty swoje, Antoni.

Przycichło nagle w karczmie, wszystkie oczy wlepiły się w niego, byli prawie pewni, że się sprzeciwi, ale on odsapnął, wyprostował się i rzekł głośno:

– W gromadzie żyję, to i z gromadą trzymam! Chceta ją wypędzić, wypędźta; a chceta se ją posadzić na ołtarzu, posadźta! Zarówno mi jedno!

Odsunął ręką zalegających mu drogę i wyszedł nie patrząc na nikogo.

Długo jeszcze po jego wyjściu radzili, prawie do samego świtania, a rankiem wiedzieli już wszyscy, że postanowiono wypędzić ze wsi Jagusię.

Mało kto stawał w jej obronie, bo każdego zakrzyczeli, tylko jeden Mateusz nie uląkszy się nikogo kłął wszystkich w oczy i pomstował całą wieś, że już rozwścieklony do ostatka, poleciał szukać ratunku u Antka.

– Wiesz o Jagusi? – błady był kiej trup i cały dygotał.

– A wiem, prawo za nimi! – rzekł krótko, myjąc się pod studnią.

– Żeby ich mór z takim prawem! To robota organistów! Jakże, dopuścim do takiej niesprawiedliwości! Cóż to komu zawiniła? A o co ją winią, to nieprawda, czyste cygaństwo! Jezu, żeby się ważyli wyganiać człowieka jak tego wściekłego psa. Nie sposób, żeby to miało być!

– Sprzeciwisz się to całej gromadzie?

– Rzekłeś, jakbyś z nimi trzymał – zawarczał z groźnym wyrzutem.

– Z nikim nie trzymam, ale i tyła mi do niej, co do tego kamienia.

– Ratuj, Antek, poradź co niebądź. Laboga, już mi się we łbie maści! pomiarkuj ino, cóż ona pocznie, kaj się podzieje? A psiekrwie, zbóje,

wilki jedne. Siekierę chyba chyćę i będę rąbał, a nie dopuszczę, nie dopuszczę!

– Nic ci nie pomogę. Postanowili, to cóż znaczy jeden sprzeciw, nic.

– Masz do niej złość! – zawrzeszczał niespodzianie.

– Mam złość czy nie, nic komu do tego – powiedział surowo i wsparty o studnię zapatrzył się kajś daleko. Bolesnym kłębem zwiły się w nim jeno przytające a wiecznie czujne miłowania i zazdroście, że chwiał się w sobie z pojęciem niby drzewo targane przez wichurę.

Obejrzał się naraz, Mateusza już nie było, a wieś wydała mu się jakaś obca i dziwnie przykra, i strasznie rozwrzeszczana.

Prawda, co i ten dzień pamiętny także był jakiś niezwyčajny. Słońce wlekło się blade i jakby obrzękłe, duszno było na świecie i strasznie gorąco, niebo wisiało nisko, zawalone paskudnymi chmurzy-skami, wiatr zrywał się co chwila i zamiatał, a nad drogami podnosiły się kłęby kurzawy, miało się na burzę, kajś nad borami jakby się łyskało.

Zaś między ludźmi już się srożyła sielna zawierucha, latali po wsi kieby poszaleli, kłótnie wrzały po wszystkich chałupach, jakieś baby pobiły się nad stawem, psy ujadały bezustannie, prawie nikt nie wyszedł w pole do roboty, bydło nie wypędzone na paszę ryczało po oborach, nawet mszy tego dnia ksiądz nie odprawił i wyjechał równo ze świtem, zamęt podniósł się coraz większy i niespokojność rosła z minuty na minutę.

Antek dojrzawszy, że w organistowych opłotkach zbiera się coraz więcej narodu, wziął kosę na ramię i śpiesznie poszedł w pole pod las.

Przeszkadzał mu wiatr płacząc zboże i bijąc piaskiem w oczy, ale wparł się w zagon i jał siec, spokojnie nasłuchując zarazem dalekich gwarów.

– Może to już – przemknęło mu naraz przez głowę, serce zatłukło kieby młotem, gniew nim zatargał i rozprężył grzbiet, już miał rzucić kosę i lecieć na ratunek, ale opamiętał się jeszcze w porę.

– Kto zawinił, niech weźmie karę. A niechta, a niechta.

Żyta z chrzęstem kłoniły mu się do nóg i biły w niego niby rozko-lebane wody, wiatr rozwiewał mu włosy i suszył twarz spotniałą z męki, oczy prawie nic nie widziały, jakby już wszystek był tam, przy Jagusi, że tylko twarde przyuczone ręce same wodziły kosę kładąc pokos za pokosem.

Wiatr przyniósł od wsi jakiś długi, przeciągły krzyk.

Rzucił kosę i przysiadł pod żytnią ścianą, jakby się wparł w ziemię, jakby się jej czepił całą mocą, zaś cały się jej ujął jakby w żelazne pazury i zdzierzył, i nie dał się, chociaż oczy latały nad wsią niby oszalałe ptaki, choć serce skwierczało z trwogi, choć trząsał się i dygotał z niepokojem. – Wszystko musi iść po swojemu, wszystko. Trza orać, by siać, trza siać, by zbierać, a co jeno przeszkadza, trza wyplenić kiej zły chwast – mówił w nim jakiś surowy, prawieczny głos jakby tej ziemi i tych ludzkich siedlisk.

Buntował się jeszcze, ale już słuchał coraz pokorniej.

– Juści, że każdy ma prawo bronić się przed wilkami, każdy.

Chyciły go jakieś ostatnie żałości i myśli, kiej lute kąśliwe wichry, owiały go mrocznym tumanem ponosząc z miejsca.

Porwał się na nogi, naostrzył kosę osełką, przeżegnał się, splunął w garście i jał się do roboty, wałąc pokos za pokosem z taką zapamiętałością, jaże świstało płytkie ostrze kosy i pojękiwały ściany żyta.

A tymczasem na wsi nastał straszny czas sądu i kary, że już i nie opowiedzieć, co się tam wyrabiało. Jakoby dur ogarnął Lipce, a ludzie zgoła się powściekali, bo co jeno było rozważniejsze, pozamykało się w chałupach lub uciekło na pola, zaś reszta, pozbierana nad stawem w gromady i jakby opita złością, wrzała coraz zapalczywiej jurząc się nawzajem krzykami, że już każdy się wydzierał, każdy pomstował, każdy się srożył wraz, czyniąc przeraźliwy warkot, podobien dalekim i groźnym grzmotom.

I w jakiejś minucie cała wieś ruszyła do Dominikowej kieby ten wezbrany, szumiący potok, wiedła organiścina z wójtową, a za nimi przepychało się z rykiem całe rozjuszony stado.

Wdarli się do chałupy kiej burza, jaże zadygotały ściany, Dominikowa zastąpiła drogę, to ją stratowali, Jędrzych skoczył bronić i w oczymgnienie zrobili z nim to samo, wreszcie Mateusz chciał ich powstrzymać przed komorą i chociaż prał drągiem, chociaż bronił całą mocą, ale nie wyszło i Zdrowaś, już leżał kajś pod ścianą z rozbitym łbem i nieprzytomny.

Jagusia była zaparta w alkierzu, a kiej wyrwali drzwi, stała przytulona do ściany i nie broniła się, nie wydała nawet głosu, błada była kiej trup, a w oczach szeroko rozwartych gorzało ponure płomień grozy i śmierci.

Sto rąk wyciągnęło się po nią, sto rąk głodnymi, chciwymi pazurami chyciło ją ze wszystkich stron, wyrwało niby kierz płytko wrośnięty w ziemię i powlekło w opłotki.

– Związać ją, wyrwie się jeszcze i ucieknie – rozrządziła wójtowa.

Na drodze stał już gotowy wóz, nałożony świńskim nawozem po wręby desek i zaprzężony we dwie czarne krowy, rzucili ją na gnój związaną niby barana i ruszyli wśród piekielnego zamętu; urągliwe wyzwiska, śmiechy i przekleństwa posypały się na nią kiej grad po stokroć zabijający

Ale przed kościołem cały pochód przystanął.

– Trza ją zewlec do naga i pod kruchtą wysiec różgami! – krzyknęła Kozłowa.

– Zawdy takie bili pod kościołem! Do pierwszej krwi, bierzta ją! – wrzeszczały.

Na szczęście, brama smętarza była zawarta, zaś we furtce stojał Jambroz z proboszczowską strzelbą w ręku i skoro się wstrzymali, ryknął z całej piersi:

– Kto się poważy wejść na kościelne, zastrzele, jak mi Bóg miły. Ubiję jak psa – groził i tak jakoś strasznie patrzył gotując broń jakby do strzału, że poniechawszy zamiaru ruszyli dalej na topolową.

Zaczęli nawet pośpieszać, gdyż burza mogła wybuchnąć leda chwila, niebo posepniało coraz barzej, wiater bił w topole, jaże się pokładały, kurzawa zrywała się spod nóg zasypując oczy i stronami hurkotały grzmoty.

– Poganiaj, Pietrek, prędzej – przynaglali rozglądając się niespokojnie po niebie, przycichli jakoś, szli bezładnie bokami drogi, bo środkiem był srogi piasek, że tylko niekiedy co tam któraś zawziętsza dopadłszy wozu ulżyła se pokrzykując zajadle:

– Ty świnió! ty tłumoku! A do żołdatów, łajdusie zapowietrzony!

– Używałaś, to nażrej się teraz wstydu, posmakuj zgryzoty! – darły się nad nią.

Pietrek, parobek Borynów, któren powoził, bo żaden drugi nie chciał, szedł przy wozie, smagał krowy, a skoro jeno upatrzył porę, szeptał do niej litośnie:

– Już niedaleczko... pomsty za taką krzywdę... ścierpcie ino...

Zaś Jagusia w postronkach, na gnoju, zbita do krwi, w porwanym odzieniu, pohańbiona na wieki, skrzywdzona ponad człowiecze wyrozumienie i nieszczęsna ponad wszystko, leżała jakby już nie słysząc ni czując, co się dzieje dokoła, tylko żywe łyzy nieustanną strugą ciekły po jej twarzy posiniaczonej, a niekiedy wzniesła się pierś niby w tym krzyku skamieniałym.

– Prędeż, Pietrek! prędeż! – wołali coraz częściej, rosła w nich bowiem niecierpliwość, jakby opamiętanie, że już prawie w dyrdy dosięgli granicznych kopców pod samym lasem.

Podnieśli deski woza i wraz z gnojem jak to ścierwo obmierzłe rzucili, jaże ziemia pod nią jęknęła, padła wznak i nawet się nie poruszyła.

Dopadła jej wójtowa i kopnąwszy nogą zawrzęszczała:

– A wrócisz do wsi, to cię zaszczujemy psami! – podniosła jakąś grudę czy kamień i grzmotnęła w nią z całej siły – za krzywdę moich dzieci!

– Za wstyd całej wsi! – biła ją druga.

– Byś szczęła na wieki!

– By cię święta ziemia wyrzuciła!

– Byś zdechła z głodu i pragnienia!

Biły w nią głosy, grudy ziemi, kamienie i przygarście piachu, a ona leżała kiej kłoda, zapatrzona jeno w rozkolebane nad sobą drzewa.

Spochmurniało nagle na świecie, zaczął padać deszcz gruby i rześisty.

Pietrek z wozem cosik się zamarudził, że już nie czekając na niego wracali kupami, a jakoś dziwnie cicho, ale gdzieś w połowie drogi spotkali Dominikową, szła okrwawiona w potarganej odzieży, zaszlochana i z trudem macająca kijem drogę, a gdy pomiarkowała, kto ją wymija, wybuchnęła strasznym głosem:

– A żeby was mór! A żeby was zaraza! A żeby was ogień i woda nie szczędziły!

Każden jeno głowę wtulił w ramiona i uciekał zestrachany.

A ona wielkimi krokami pobiegła na ratunek Jagusi.

Burza rozsrożyła się już na dobre, niebo posiniało kiej wątroba, kurz zakotłował wielgachnymi kłębami, topole z jakimś szlochaniem i krzykiem przyginały się do ziemi, zawyły wiatry i jęły coraz zapamiętalej walić się na zboża pierzchające we wszystkie strony i rycząc kiej byki zjuszone, rypnęły w lasy zwarte, rozchybotane i wniebogłosy szumiące.

Grzmoty już szły za grzmotami przewalając się z hurkotem wskroś całego świata, jaże ziemia dygotała i chałupy się trzęsły.

Zwite kołtuny miedzianogranatowych chmur zwiesiły nisko spęczniałe opuchłe kałduny i coraz to któraś się rozpękla, trzaskał pierun i buchały potoki oślepiającej jasności.

Niekiedy sypał rzadki grad trzeszcząc po liściach i gałęziach.

A w sinej ćmie dnia, kurzawy i gradów targały się rozpaczliwie drzewa, krzaki i zboża jakby rwiąc się do ucieczki, ale bite wichurą ze wszystkich stron, ślepione piorunami, obłąkane hukami, kręciły się jeno i szarpały z dzikim poświstem, a kajś z wysoka, przez chmury, ciemnicę i rozwieję przelatywały modre łyskawice, leciały niby stado węzów ognistych, leciały wyrwane skądś i nie wiadomo kaj ciskane, leciały migotliwe a zagubione, oślepiające wszystek świat, a ślepe i nieme kiej dola człowiekowa. I trwało tak z przerwami do samego wieczora, dopiero na samym zmierzchu całkiem się uspokoiło i przyszła noc cicha, ciemna i chłodnawa.

A nazajutrz dzień podniósł się bardzo cudny, niebo było bez chmur i modrzało kiej opłukane, ziemia polśniewała rosami, śpiewały radośnie ptaki, a wszelaki stwór pławił się z lubością w rzeźwym, pachnącym powietrzu.

Zaś w Lipcach wróciło wszystko do dawnego, ale skoro jeno słońce wyniosło się na parę chłopa, to jakby zmówieni wszyscy zaczęli wychodzić do żniwa, że ano z każdej chałupy ruszali całą gromadą, z każdej chałupy błyskały sierpy i kosy, z każdego obejścia wytaczały się wozy na miedze i polne drożyny.

A kiej sygnaturka zaświegotała na kościele, już każdy stał gotowy na swoim zagonie i posłyszawszy dzwonięcie, a jak poniektórzy na co bliższych polach i przejmujące granie organów, jęli odmawiać pacierze, kto przykłękał, kto nawet modlił się w głos, kto jeno wzdychał pobożnie nabierając przy tym tchu i mocy, a każdy się żegnał, w garście spluwał, nogami krzepko w zagon się wpierał, przyginał grzbiet i żarliwie imając się sierpa czy kosy zaczynał rznąć i kosić.

Wielka, uroczysta. cichość przejęła żniwne pola, zrobiło się jakby święte nabożeństwo znojnej, nieustannej i owocnej pracy.

Słońce podnosiło się coraz wyżej, skwar wzrastał się z godziny na godzinę, ogniste blaski zalewały pola i żniwny dzień potoczył się kiej to pszeniczne złoto i dzwonił kiej złotem ciężkim, żrałym ziarnem.

Wieś ostała pusta i jakby wymarta, chałupy były pozawierane, ba wszystko, co jeno żyło i mogło się dźwignąć z miejsca, ruszało do żniw, że nawet dzieci, nawet stare i schorzałe, nawet pieski rwały się z postronków i ciągnęły od opustoszałych domostw za narodem.

Że już na wszystkich polach, jak jeno było można sięgnąć okiem, w straszliwym skwarze, wśród zbóż złotych, w rozmigotanym i ślepiącym powietrzu, od świtu do późnego wieczora połyskiwały sierpy i

kosy, białe koszule, czerwienieły wełniaki, gmerali się niestrudzenie ludzie i szła cicha, wyteżona robota i nikt się już nie lenił, na somsiadów nie oglądał, o niczym drugim nie myślał, a jeno przygięty nad zagonem kiej wół, w pocie czoła pracował.

Tylko jedne pola Dominikowej stały opuszczone i jakby zapomniane; ziarno się już sypało z kłosów, zboża mdlały od suszy, a nikt się tam nawet nie pokazał, z lęklwym smutkiem odwracano od nich oczy, niejeden już wzdychał nad nimi, niejeden drapał się frasobliwie, oglądał trwożnie na drugich i potem jeszcze skwapniej przypinał się do roboty, nie pora była deliberować nad taką marnacją i upadkiem.

Albowiem te żniwne dni toczyły się już kiej koła rozmigotane złocistymi szprychami słońca i przechodziły jedne za drugimi, a coraz chybziej, i zarówno znojne, i zarówno ciężkim a radosnym trudom oddane.

A wkrótce po paru dniach, że czas był wybrany i pogody ciągiem dopisywały, to wzięli pożęte zboża wiązać w grubachne snopy, ustawiać je na zagonach mendlami, a z wolna przewozić do Lipiec.

Że już bez przerwy toczyły się ciężkie, nastroszone wozy; toczyły się ze wszystkich pól, wszystkimi drożynami i do wszystkich na ścieżaj powywieranych stodół, jakoby sypkim złotem nabrane fale rozlały się po drogach, podworcach i klepiskach, trzęsły się nawet nad staw, nawet u drzew nad drogami wisiały złote, słomiane brody, a wszystek świat rozpachniał się przywiedłą słomą, trawami a młodym ziarnem.

Już gdzieniegdzie po stodółach biły cepy, spiesznie młójące na chleb. A na przestronnych, pustoszejących polach, na złotawych rzysskach, stada gęsi bobrowały chciwie za kłosami, pasły się całe zgony owiec i krów, kaj niekaj dymiały pierwsze ognie, a już po całych dniach rozgłaszały się dzieuszynę przyśpiewki, wrzaski radosne, nawoływania, turkoty wozów i jaśniały opalone, szczęsne twarze ludzi.

I nie położyli jeszcze żyta, to już po górkach owsy skamlały się o kosy, a jęczmiona dojrzewały prawie na oczach, a pszenice coraz złociej rdzawiały, że nie było czasu odzipnąć ni nawet podjąć jako tako, ale mimo tej ciężkiej pracy i takiego utrudzenia, iż niejeden zasypiał nad miską wieczorami, kiej pościągali z pól, Lipce jaże się trzęsły od wrzawy radosnej, śmiechów, rozpowiadań, śpiewań a muzyki.

Skończył się bowiem przednówek, stodoły były pełne, zboże sypało niezgorzej i kaźden, choćby najbiedniejszy, hardo podnosił głowę, z dufnością patrzył w jutro i roił se jakoweś z dawien dawna upragnione szczęśliwości.

Któregoś z takich żniwnych, złotych dni, kiej już zwozili jęczmiona, przechodził przez wieś ślepy dziad, wodzony przez pieska, lecz mimo spieki nikaj nie wstąpił, spieszył się bowiem na Podlesie. Ciężko mu było dźwigać spaśny brzuch i pokręcone kulasy, to włókł się z wolna i ciągiem pociągał nosem, uszami czujnie strzygł i przystając przy żniwiarzach Boga chwalił, tabaką częstował, a kiej mu jaki grosz kapnął niespodzianie, pacierze mamrotał, ale i przemyślnie, od niechcenia zagadywał o Jagusię i lipeckie sprawy.

Niewiela się jednak wywiedział, bo go czym niebądź i niechętnie zbywali.

Dopiero na Podlesiu, kiej przysiadł pod figurą odzipnąć nieco, napotkał go Mateusz, rychtujący niedaleczko drzewo na kowalowy wiatrak.

– Pokażcie mi drogę do Szymków! – prosił dziad dźwigając się na kule.

– Nie zażyjecie u nich wywczasu! Tam jeno płacz i zgryzota! – szepnął Mateusz.

– Jagusia chora jeszcze? Powiadały, jako się jej cosik w głowie popsuło...

– Nieprawda, leży jednak ciągiem i mało wiele o Bożym świecie pamięta! Kamień by się nad nią zlitował! O ludzie, ludzie!

– Żeby tak zatracić duszę chrześcijańską! Ale stara pono skarży całą wieś?

– Nic nie wskóra! Wszystkie postanowiły, całą gromadą, prawo mają...

– Straszna rzecz gniew całego narodu, straszna! – Jąże się wstrząsł.

– Juści, ale głupia i zła, i niesprawiedliwa! – wybuchnął Mateusz i podprowadziwszy go pod chałupę sam zajrzał do środka, ale rychło wyszedł obcierając ukradkiem łzy. Nastusia przedła len pod ścianą, dziad przysiadł poboki wyjął niebieską flaszkę.

– Wiecie, trza tą wodą pokropić Jagusię trzy razy na dzień i nacierać jej ciemię, a do tygodnia jakby ręką odjął! Dały mi tę wodę zakonnice w Przyrowie.

– Bóg wam zapłać! Dwie niedziele już przeszło, a ona ciągiem leży bez pamięci, czasami jeno rwie się kajś uciekać, lamentuje i Jasia przyzywa.

– Jakże Dominikowa?

– A też kiej trup, jeno przy niej przesiaduje. Nie pociągną oni długo, nie.

– Jezu, co się marnuje narodu, Jezu! A kajże to Szymek?

– W Lipcach siedzi, przeciek wszycko na jego głowie, bo ja muszę przy obu stróżować.

Wetknęła mu w garść całą dziesiątkę, ale dziad wziąć nie chciał.

– Z dobrego serca la niej przyniosłem i jeszcze jaki paciorek dołożę do Przemienienia Pańskiego! Dobra była la biednych jak mało kto drugi na świecie, pocziwa.

– Prawda, co miała dobre serce, prawda! A może to i bez to musi tyle przecierpieć! – szepnęła wlekąc smutnymi oczami po świecie.

Od Lipiec roznosiło się dzwonięcie na Anioł Pański, a niekiedy dochodziły turkoty wozów, szczęki naostrzanych kos i dalekie, dalekie śpiewania, złocista kurzawa zachodu przysłaniać jęła całą wieś i pola wszystkie, i lasy.

Dziad podniósł się, spędził psa, poprawił torebek i wsparłszy się na kulach rzekł:

– Ostańcie z Bogiem, ludzie kochane.